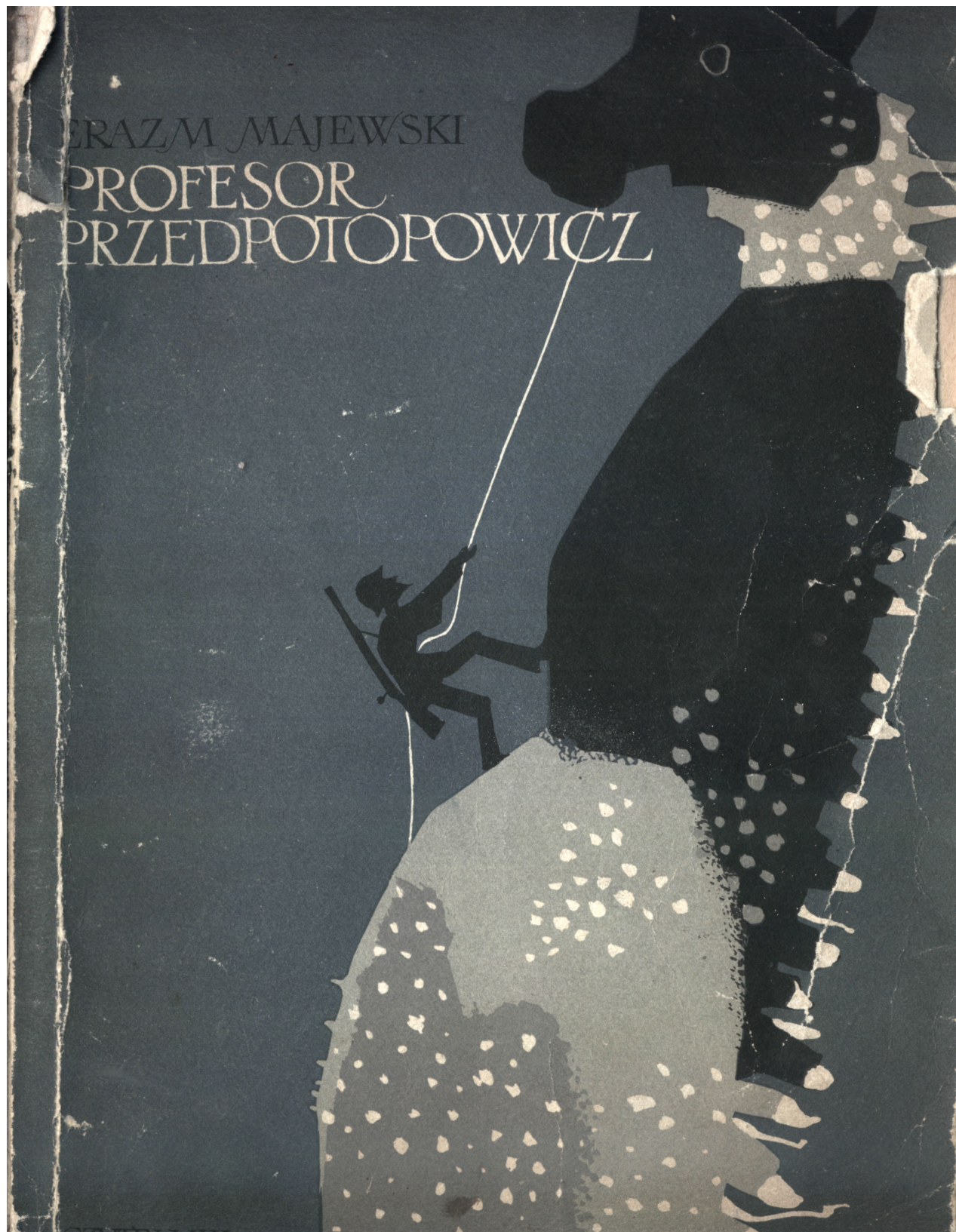


ERAZM MAJEWSKI
PROFESOR
PRZEDPOTOPOWICZ





ERAZM MAJEWSKI

PROFESOR
PRZEDPOTOPOWICZ

ILUSTROWAŁ
ROMAN OWIDZKI

CZYTELNIK 1957

Księga pierwsza

O^{fc})

WROTA PIEKIELNE

Karst

JTocznając od wybrzeża Adriatyku, aż po rzekę Sawę, kryształową lenniczkę Dunaju, rozpościera się obszerna, górzysta i jałowa okolica, Karstem, a po słowiańsku Krasem zwana.

Do tego stopnia jest ona obrana z roślinności, że brak tej naturalnej ozdoby poczytywano za skutek wapiennego składu gór miejscowych. A jednak niegdyś i ją okrywały lasy, pełne najgrubszej zwierzyny, ale znikły z oblicza ziemi, tępione nielitościwie już od dwóch tysięcy lat. Miliony pni z tych lasów, wbite jako pale w laguny weneckie, podpierają do dziś dumne pałace „Perły Adriatyku”. Miliony drzew poszły na budowę okrętów i galer potężnej Rzeczypospolitej Weneckiej. Od czasów jej gospodarki wzgórze Istrii i Dalmacji pozostały nagimi i zaledwie tylko dalej od morza położona kraina utrzymała leśną szatę swoją, chroniąc nietrwały grunt od szybkiego rujnowania przez wodę.

Już Frankońska i Szwabska Jura ze swymi dzikimi wapiennymi skałami niełatwo zaciera się w pamięci, ale nie daje ona jeszcze wyobrażenia o ponurej surowości czystych wapieni i dolomitów nadadriatyckich.

Nawet pobliskie okolice Nabresiny nie mogą się równać z dzikością Krasu i Alp Dynarskich. Jest to istna Norwegia, osobliwie nad morzem, ale Norwegia ciepła, słoneczna, bez granitów i lodowców.

W tej krainie, dalekiej od gościńców świata, przyroda bywa niekiedy tajemnicza, jakby w głębiach mało znanych kontynentów. Tu rzeka Lim, wspaniała ponurym wdziękiem urwistych wybrzeży, niesie swe wody do Driny. Tu przyroda umie być groźną, a nawet bezlitosną. Tu ojczyzna Bory, owych zimnych północno-wschodnich wichrów, które sieją po swej drodze zagładę.

Kras jest krainą wapienną, a więc pozornie bezwodną. Całą powierzchnią chłonie wodę niby gąbka. Jej pokruszone grzbiety, bezdenne jary z rączymi potokami, które spadają w kaskadach i nikną w mrocznych przepaściach oraz tunelach, były już i za weneckiej potęgi tak samo pełnymi grozy i poezji. Woda ze skałą toczy zwy-

cięską walkę na całej powierzchni ziemi, ale mało gdzie- chyba walka jest równie zacięta, jak tutaj, mało gdzie podobnie jaskrawo rzucają się w oczy zwycięstwa płynnego żywiołu. Tu woda i skały, rzecz można, walczą na śmierć i życie. Żaden kamień nie może się porównać z wapniem pod względem chciwości w pochłanianiu wody atmosferycznej, a zarazem żaden nie jest tyle rozpuszczalnym w wodzie nasyconej kwasem węglanym. Już sama w sobie woda deszczowa zawiera ten kwas, pochłonięty z atmosfery, ale w miarę jak przenika coraz głębsze warstwy gruntu, zawartość w niej kwasu wzrasta jeszcze.

Żywioł też, który sprzysiągł się na te skały, przybiera do pomocy ów kwas węglany, przegryza bruzdy pionowe, rozpuszcza kamień bez wytchnienia i wynosi niewidzialne tysiące cetnarów do morza. Małe i na razie niewinne szczeliny powiększają się skutkiem tego, nadkrużają coraz głębiej, a zdradnie rozpoczęte dzieło zniszczenia kończą w sposób brutalny ulewy i burze. Siła wody bieżącej jest straszna, osobliwie w wąwozach o znacznym spadku. Po każdej ulewie widzieć w nich można mnóstwo skałeczeń, nowych bruzd, zwalisk i ułamków. Kamienie, raz porwane wodami potoku, sięją bezgraniczne zniszczenie. Niesione na wielkie odległości z siłą niekiedy trudną do uwierzenia, druzgocą niby armatnie pociski wszystko, co po drodze opór stawia. Odrywają słabsze części koryta i dopiero w miarę zmniejszania się chyżości prądu, tereny te zostają porzucone gdzieś przy pierwszej przeszkodzie. Tam, w postaci gotowych zapasów amunicji, oczekują nowego, silniejszego prądu, aby prowadzić niżej dzieło zniszczenia.

Wszędzie to działanie daje się dostrzegać, ale w mocno zrujnowanych skałach, jak tutaj, dochodzi do potęgi wciąż rosnącej.

Jedną z właściwości Krasu są również tak zwane przez lud miejscowy „doliny”, a właściwie dziwne zapadliska, jamy i kotliny. Geologowie długo nie mogli zrozumieć, jak one powstały. Do dziś wiele z tych kotłów o brzegach stromych stanowi pod tym względem zagadki, ale przekonano się, że większość pochodzi od zapadania się górnych warstw gruntu w bardzo obszerne podziemne pieczary i przepaści, jakimi niemal wszędzie podminowany jest tutejszy grunt stały. Pospolite są tu wypadki nagłego zapadnięcia się gruntu, niekiedy wraz z domami i ich mieszkańcami. Rzeźba gruntu zmienia się czasem tak szybko, że wieśniak wracający z wojska do ojczyzny nie może się zorientować w najbliższej, doskonale znanej sobie okolicy, albowiem w czasie jego nieobecności całe wsie musiały być opuszczone, sady znikły pod gruzami świeżo zwalonych skał, a drogi i ścieżki dawne stały się niedostępnymi lub znikły w przepaściach.

W krainie Krasu na jaskiniach też nie zbywa. Najrozmaitsze są ich rodzaje. Niektóre, osobliwie w obrębie właściwego Krasu, są podziem-

nymi korytami rzek, wąwozami tym tylko różnymi od prawdziwych, że ich boki łączą się nad rzeką i tworzą jednolite sklepienie. Takimi są właśnie adelberskie i płonińskie grotty. Inne, bardzo szerokie przy niewielkiej długości, wyobrażają istne jeziora podziemne. Często wody napelniające owe rezerwuary torują sobie nowe odpływy i opuszczają wygodne legowisko. Wtedy osuszone pieczary ozdabiają się powoli pięknymi stalaktytami i stalagmitami.

Niektóre z tych jaskiń i podziemnych wydrzeń służyły niegdyś za schroniska liczным pokoleniom drapieżnych zwierząt. Znajdowano w nich niezmierną ilość kości srogich mieszkańców po społu z kośćmi ich ofiar. W niektórych jaskiniach mieszkali w przedhistorycznych czasach nawet ludzie. Świadczą o tym pozostawione resztki broni i narzędzi z kości i krzemienia, ślady węgla i biesiad niewybrednych.

O posiadanie tych zacisznych schronisk odbywały się zacięte walki między człowiekiem i drapieżnikami minionej doby, do których należały hieny olbrzymie, lwy i niedźwiedzie jaskiniowe.

Bywało zapewne, że człowiek triumfował nad niedźwiedziem lub hieną, ale trafiało się często, że ginął w tym nierównym pojedynku.

Takim jest Kras, takimi mniej więcej nagie Alpy Dalmacji, Hercegowiny, Bośni, a nawet i Albanii. Wszędzie okolica przedstawia obraz zwalisk chaotycznych, z tą różnicą, że nie wszędzie jeszcze taki brak lasów, jak na morskim wybrzeżu. Połowa gór i nizin bośniackich jest jeszcze bujną puszcza leśną i daje przytułek dzikom, wilkom, niedźwiedziom i rysiom.

co

Wzdłuż rzadko przez turystów zwiedzanych rumowisk i wąwozów Krasu, wśród bezprzykładnego labiryntu skał i przepaści, przez smutną krainę ponurych płaskowzgórzy podążał konno cudzoziemiec.

Zatrzymywał się tu i ówdzie po kilka dni wśród dzikiej przyrody, najczęściej z dala od nielicznych i biednych wiosek, żyjąc prawie życiem obozowym.

Zajmowały go strome ściany wąwozów, brzegi rzek czy strumieni, zwały skaliste, nade wszystko zaś jaskinie i przepaści. W najciaśniejszą szczelinę musiał się sam wcisnąć, musiał wynieść z niej trochę kamienia lub kości, po czym zadowolony ciągnął dalej na południo-wschód.

Towarzyszył mu stale — nie licząc przygodnych przewodników, a czasem gromadki ciekawych górali — niby Robinsonowi, Piętaszek jakiś na drobnym, ale wytrwałym bośniackim koniku i obaj wędrowcy wydawali się pomimo uciążliwej tułaczki zupełnie zadowoleni.

Tak wędrując minęli już źródlika Kulpy i Dobrej, przeprawili się

przez Korę (rzekę), a w parę tygodni później przez Urną i wkroczyli na terytorium Bośni poza Alpy Dynarskie. Tu skutki strasznej katastrofy przykuły ich dłużej do miejsca.

Cudzoziemcem, o którym mowa, był Leszek Przedpotopowicz, profesor paleontologii * na wszechnicy w Oksfordzie, zapalony geolog i paleontolog. Odbywał on wycieczkę naukową w towarzystwie wiernego służącego, Stanisława.

Nie lada to była osobistość ten profesor Przedpotopowicz. Mimo niepodeszłych lat był „powagą” i rachował się z nim świat uczony.

Dla nas wszakże, jako nie specjalistów, sama ta okoliczność nie wystarczała do wyróżnienia go spośród roju podobnie sławnych lub jeszcze głośniejszych kolegów po wiedzy, gdyby nie drobna okoliczność, że był nie tylko dobrym znajomym naszego dobrego znajomego, doktora Muchołapskiego, ale nawet podobno jednym z najlepszych druhów jego od szkolnej ławy.

I to jeszcze zasługuje na zaznaczenie, że starzy ci przyjaciele, rzućni na dwa końce świata i rzadko widujący się z sobą, dochowali sobie przyjaźni i utrzymywali nienatrętą wprawdzie i wymierzoną, ale za to prawdziwie serdeczną korespondencję.

Upływał czasem rok i więcej głuchego milczenia — innym razem obszerne listy krzyżowały się i gonily za sobą niby ognista a niecierpliwa korespondencja zakochanej pary. Nie szukajcie wszakże zbyt prozaicznych lub zbyt poetycznych powodów tej ożywionej wymiany myśli. Nie interes, nie obudzone nagle uczucia lub wyrzuty sumienia przyjaciół, ale zwykle jakieś naukowe wątki stanowiły tutaj główną sprężynę. Obaj bowiem żyli głównie nauką i dla nauki. Ona była im całym światem, jej poświęcali wszystkie siły swoich ruchliwych umysłów i serc gorących.

Jeden patrzył na świat przez okulary entomologii **, drugi przez szkła geologii i obaj byli szczęśliwi o tyle, o ile ludzie szlachetni szczęśliwymi być mogą.

Dla Przedpotopowicza ziemia była zlepkiem skał ogniowych, przeobrażonych i okruczowych, polem zawiłych zjawisk geologicznych, a widział na niej to jedynie, na co geologia z paleontologią zwracała swe oko.

Nawet w człowieku, nie zaprzeczając jego wyjątkowego stanowiska w przyrodzie, dostrzegał przede wszystkim jeden z młodszych gatunków stworzeń ssących, grzecznie przez uczonych nazwany łacińskim mianem „Homo sapiens” bez względu na okoliczność, że dotąd jeszcze

* Paleontologia — nauka badająca dzieje świata organicznego na podstawie skamieniałości przedhistorycznych roślin i zwierząt.

** Entomologia — nauka o owadach.



większa część przedstawicieli tego gatunku zasługuje na inny łaciński przydomek, którego tu nie wymienię.

Przedpotopowiczowa kariera różniła się tylko tym od kariery Muchołapskiego, że dane mu było jeszcze zostać apostołem umiłowanej nauki, że mógł jako profesor przelewać za pomocą żywego słowa zapal swój i wiedzę w głowy młode i łaknące jeszcze pokarmu naukowego.

Miał dwustu słuchaczy, którym co rok przez osiem miesięcy nabijał głowy pokładami, piętami, osadami, erozją, metamorfizmem, wulkanizmem, denudacją, lepidodendronami, ichtiozaurami, siwateriami, hipparionami i Bóg wie jakimi jeszcze dziwami.

Odtwarzał on przed oczyma słuchaczy świat dawno zaginiony, ukazywał, jak się powoli z pieluch wywijał, i biorąc za punkt wyjścia naukę, wołał czasem z zapalem: — Panowie! Skoro już Linne * nazwał nas „Homo sapiens”, starajcie się być i „ludźmi”, i „mądrymi”! — A ponieważ sam pierwszy starał się być człowiekiem, lubili go też słuchacze i z wielkiej miłości przewali „Homo sapiens”. Przedpotopowicz wiedział o przydomku i... dumnym był z niego.

Profesor był także, podobnie jak doktor Muchołapski, po trosze poetą i marzycielem. W chwilach wolnych od trudów naukowych, od operowania suchymi jak formuły matematyczne pewnikami, lubił zapuszczać wzrok w tajniki nie rozwikłanych dotąd zagadek swej nauki.

Marzył wtedy i filozofował, wypełniał luki wiedzy błyskami wyobraź-

* Linne — Karol Linneusz (1707—1778) — sławny botanik szwedzki, twórca systematyki biologicznej.

ni, która nie znała hamulca. Pozwalał sobie jednaka na te rozkosze w cichości ducha i nie zwierzał się przed żadnym kolegą w zawodzie. Zbyt dobrze wiedział, że sztywni i chłodni nie zrozumieliby go, a w ciasnym puryzmie naukowym poczytaliby mu to za grzech ciężki.

Jeden tylko doktor Muchołąpski był powiernikiem tej duszy gorącej, tego umysłu nadmiernie ruchliwego, on jeden zamiast przybierać surową minę i chłodzić rozpalone nerwy przyjaciela, dolewał oliwy do ognia i wspólnie dosnuwał pajęczę nici subtelnej tkanki śmiałych pomysłów. On jeden odpowiadał na zaufanie zaufaniem i otwierał nawzajem tajniki własnych marzeń entomologicznych.

Ot i teraz, z tej głuchej krainy, z lichej wioszczyzny u źródłowisk Wrbasu, poszybował z ręczością poczty bośniackiej via Serajewo, Zagrzeb i Wiedeń dobrze wyładowany list do Muchołąpskiego niosąc mu garść świeżych i silnych wrażeń.

Mile sławy początki

Niech sobie list bieży swoją drogą, my tymczasem musimy zajrzeć do Londynu. Bawi tam dawny nasz znajomy, głośny na świat cały z przygód w dolinie Białej Wody w Tatrach, lord Puckins. Nie przypuszczam, aby łaskawym czytelnikom obca była ta osobistość.

Wprawdzie żyjemy chwilą i nie mamy czasu na zajmowanie się długo sławnymi osobistościami. Wprawdzie nawet Kopernika znamy głównie z widzenia na Krakowskim Przedmieściu i niewiele nas obchodzi zarówno Arystoteles, jak Newton — ale to co innego. Nasz stary znajomy nie jest znowu tak stary jak „tamci”, a co ważniejsza, nie wyszedł jeszcze z mody. Należy do tych gwiazd chwili, do których każdy szanujący się człowiek rad się zbliża.

Z tego powodu wszelkie objaśnienia dotyczące tej osobistości ze względów delikatności pomijamy zupełnie*.

Jak wszystkim zapewne wiadomo, zostawiliśmy ofiarę własnej nieostrożności w Zakopanem w towarzystwie dwóch panów. Jednym był doktor Muchołąpski, który z narażeniem własnego życia wyratował Anglika z ciężkiej przygody, drugim — jak o tym czytelnicy bez wątpienia także pamiętają — sir Biggs, pełnomocnik lorda.

Wszyscy trzej rozstali się serdecznie i każdy powrócił do zajęć

* Gdyby, broń Boże, był ktoś w nieświadomości co do omawianego bohatera, radzimy mu poufnie, aby cichaczem udał się po informacje do „Doktora Muchołąpskiego”. (przyp. aut.)

swoich. Doktor Muchołapski po przerwanej monografii syrfidów, sir Robert Biggs do klientów swoich i szwedzkiej gimnastyki, lord Puckins zaś, skoro powrócił do Londynu, nie miał nic pilniejszego do zrobienia nad opowiedzenie niezwykłych przygód, jakich doświadczył w dolinie Białej Wody, na posiedzeniu Klubu Ekscentryków.

Nie można mu tego brać za złe, bo któż stroni dziś od nieśmiertelności? Nie tacy nawet jak lord Puckins uganiają się za sławą.

Co się tam po sprawozdaniu działo, jakie prezesowi urządzano owacje, ile wypalono „mówek” na cześć zawsze niedoścignionego kolegi i naczelnika, trudno to opisać.

Komitet zwołał nadzwyczajne zgromadzenie, na którym przez sześć godzin z rzędu rozprawiano nad sposobem godnego upamiętnienia jego niesłychanych przygód. Najrozmaitsze podawano projekta, po kolei odrzucane.

Zgodzono się w końcu na ułożenie krótkiej piosenki humorystycznej, którą członkowie przez rok byli obowiązani śpiewać, a w razie braku głosu gwizdać, oraz na wydrukowanie opisu przygód Puckinsa w trzech od razu wydaniach, poczynając od najtańszego, dostępnego dla każdej kieszeni — z wyjątkiem pustej — a kończąc na wytwornej księdze, zdobnej w mnóstwo wspaniałych obrazków, wykonanych przez najgłośniejszych rysowników.

Wszystko odbywało się w ścisłej tajemnicy; dopóki druk nie został ukończony, żadna wiadomość o dziele nie przedarła się poza obręb Ekscentryków.

Na trzeci jednak dzień po ukazaniu się książki na półkach księgarskich pojawiły się w najpoczytniejszych gazetach sprawozdania z niezwykłego dzieła, a w ciągu dwóch miesięcy rozchwytało pięćdziesiąt wydań.

Lord Puckins stał się bohaterem chwili, a jego niezwykle przygody były na wszystkich ustach.

Rozprawiano o prezesie klubu, przypominano dawne jego czyny i jednogłośnie uznawano, że przewyższył nie tylko wszystkich kolegów, ale nawet siebie.

Lord znalazł się u szczytu sławy i popularności. Uczuł się znowu nieszczęśliwym z nadmiaru powodzenia. Zaczął już nawet rozmyślać nad środkiem zaradczym w tym względzie, gdy niebo zlitowało się nad nim i zesłało pożądaną gorąco pociechę.

Oto posypały się stopy listów od znajomych, przyjaciół oraz nieznanymi wielbicielami. Nie brakło nawet wonnych bilecików od miss, mistress i ladies. W pierwszych dniach odczytywanie owych korespondencji sprawiało lordowi wielką przyjemność, po tygodniu czuł się już znudzony. Zmuszał się jeszcze do przeczucia roztargnionym okiem

nieciekawej korespondencji,, ale wstawał od pracy z bolącą od poziewania szczęką. Po czwartej setce listów przestał się nudzić, zaczął się gniewać, wreszcie piąta wprawiła go w furję. Tego dnia połowa listów została nie odpieczętowaną, ale gdy nazajutrz sekretarz złożył mu jeszcze większą pakę, w której nie podobna było odszukać czysto prywatnej korespondencji, wtedy zapowiedział mu uroczyście, aby nie ważył się już przyjmować z poczty jakichkolwiek listów.

I to nie złagodziło losu prezesa. Gdzie tylko się pojawił, zarzucano go pytaniami bez końca. Zatykał uszy i uciekał przed nieznanymi, ale trafiali się tacy, których wypadało z uśmiechem na ustach wysłuchać. Ci byli najokropniejsi. Torturowali biednego lorda najoryginalniejszymi pomysłami.

Na wyścigach, dokąd zaszedł, zbliżył się doń James Sigdwick Lounsbury, członek Izby Panów, wielce poważany ekonomista i autor dzieła, głoszącego na zasadzie prawa Maltusa, jaką czarna przyszłość — skutkiem przeludnienia — czeka ludzkość za kilka wieków. Sir Lounsbury ubierał się z tego powodu zawsze czarno i nie uśmiechał się nigdy. Toteż zadziwił się lord niemało ujrawszy go w bładoniebieskim garniturze z gałązką bzu w klapie od surduta i do tego z obliczem rozpromienionym. Autor dzieła „O przeludnieniu” zamiast uścisnąć w pogrzebowym nastroju i milczeniu dłoń lorda, jak to zwykle bywało, odezwał się bardzo żywo w te słowa:

— Muszę ci, milordzie, złożyć powinszowanie. Staniesz się niebawem największym dobrodziejem ludzkości.

Puckins ze zdziwienia podniósł brwi.

— Od dwudziestu lat suszę na próżno głowę nad wynalezieniem środka, który by oddalił od ludzkości nieuchronne klęski, będące następstwem mnożenia się ludzi. I oto przeczytałem twoje nadzwyczajne przygody. Niby promień światła do ciemnicy, wpadła pod moją czaszkę wiadomość o czarownym płynie Nureddina. Zapaliła tam wielki pomysł, jeden z tych, jakie często nawiedzają śmiertelników. Ten płyn zbawi ludzkość, da jej możność rozwijać się prawidłowo przez najdłuższe tysiącolecia!

— Nic nie rozumiem!

— Wyjaśnię ci w krótkości. Powierzchnia kuli ziemskiej ma przeszło 9 milionów geograficznych mil * kwadratowych. Z tego na lądy przypada 2 442 000 mil geograficznych, zaś na powierzchnię zdatną do zamieszkania — niecałe 2 miliony. Ponieważ ludność obecnie liczy półtora miliarda głów, przeto na milę kwadratową zamieszkalnych obszarów przypada 750 ludzi. Dobre to na dziś, ale zaludnienie wzrasta

* Mila geograficzna — 7420,44 m.



o 8% w przeciągu lat dziesięciu. Za sto lat tedy ziemia będzie już żywić 6 miliardów głów, po upływie dwóch wieków — 24 miliardy, za trzy wieki mogłaby dojść do 96 miliardów, to znaczy 48 tysięcy dusz na milę kwadratową. Ale do tego nie dojdzie! Wcześniej już potomkom naszym zabraknie środków do życia.

— Bardzo dobrze, a raczej: bardzo źle... lecz cóż to ma za związek z eliksirem Nureddina?

— Najściślejszy i najwspanialszy! Ten cenny płyn sprawi cud rozszerzenia gruntu pod nogami. Każda mila kwadratowa przemieni się dla ludzkości w 14 tysięcy mil. Ziemia, choć zostanie przy dawnych rozmiarach, powiększy się dla nas praktycznie do rozmiarów słońca*.

— Rzeczywiście, pomysł uderzający prostotą — przerwał zniecierpliwiony prezes — życzę zatem wziąć się co prędzej do założenia fabryki indyjskiego eliksiru.

— Otóż w tym względzie liczę na twą pomoc, milordzie! — odezwał się z zapalem James Sigdwick Lounsbury.

— A to w jaki sposób?

— Potrzeba odszukać Nureddina i wydrzeć mu drogą dla ludzkości tajemnicę. Rozprawialiśmy o tym z doktorem Tyrolem i zgodziliśmy się, że bez twojej pomocy obejść się nie możemy. Ale otóż i onS

* 1 719 mil średnicy mając, będzie miała dla nas 206 280 mil, gdy słońce liczy 185 200 mil średnicy, (przyp. aut.)

Szcześliwy traf sprowadza na jedno miejsce trzech ludzi, którzy trzymają w ręku klucz do zbawienia ludzkości!

— Wybaczcie, ale jeden z nich odchodzi — odezwał się z pośpiechem lord Puckins, ale sir James Sigdwick Lounsbury chwyta go za guzik od surduta i woła do zbliżającego się doktora Tylora:

— W porę zjawiasz się, kochany przyjacielu! Właśnie rozprawiamy z milordem o naszym wielkim projekcie. Jak sądzisz, czy mogłyby wszystkie narody zażyć w jednym dniu płyn Nureddina?

— Dlaczegożby nie? — odrzekł doktor wyniośle — ale wyznać muszę, że związane to z niemałymi trudnościami. Trzeba będzie dobrze zorganizować czynność, podzielić ziemię na okręgi, wysłać delegatów w najgłusze nawet puszcze i nie pominąć obu stref biegunowych.

— A to po co?

— Aby nie została ani jedna para ludzi o wroście dzisiejszym. Gdyby się stało inaczej, wtedy całej ludzkości groziłyby straszne klęski. Rozmnożony lud olbrzymów trzymałby wszystkich pod grozą, a jeden taki jegomość zdolny byłby w przystępie gniewu lub dobrego humoru w ciągu godziny zburzyć sto miast ludniejszych od Londynu. Co mówię, jeden dzieciak swawolny mógłby zaćmić sławę Czingizchana i Napoleona!

— W samej rzeczy — odezwie się zbity z tropu ekonomista.

Lord Puckins spoglądał przymrużonym okiem na przejętych doniosłą sprawą towarzyszków.

— Zapomnieliście, panowie, o zwierzętach — wtrącił tonem przestrogi.

— Nasz prezes ma słuszość! — zauważył sir James. — Dzikie bestie stałyby się groźniejszymi od małoletnich wielkoludów!

— Jest na to rada! — rzekł doktor wydymając dolną wargę. — Trzeba w dniu oznaczonym połapać wszystkie lwy, tygrysy, niedźwiedzie i wilki i zadać im również płynu Nureddina.

— Czy bezpiecznym byłoby pominąć węże, żaby i tym podobne zimnokrwiste istoty? — wtrącił tonem jeszcze większej wyższości znakomity autor dzieła o skutkach prawa Maltusa.

— Co do mnie, nie dowierzałbym nawet ptakom! — dodał ironicznie lord Puckins i chciał się pożegnać, ale go znowu w porę zatrzymał sir Lounsbury.

— Najlepiej więc będzie wytepić wszystkie szkodliwe i drapieżne zwierzęta — zawyrokował z zapalem. — Zmniejszymy jedynie zwierzęta domowe i pożyteczne.

I snuć zaczął na nowo genialny plan.

W czasie tej dyskusji lord Puckins próbował kilkakrotnie oddalić się, ale nadaremnie. W końcu udało się Puckinsowi pozbyć rozgnionych

zbawców ludzkości, ale na prawo i lewo zatrzymywali go znajomi zasypując pytaniami dotyczącymi głównie pobytu w Tatrach.

Jeden pytał, czy jajka motyle w istocie są smaczne, drugi winał mu, że się nie zabił zlatując z Wazki z wysokości tysiąca metrów i tak dalej.

Zirytowany do żywego lord opuszcza plac wyścigów i nie wracając do domu w obawie nowych przykrości wstępuje do kawiarni na gazety. Tu uderza słuch jego nuta konkursowej piosenki wykonana w sposób niemożliwie fałszywy. Zaledwie umieścił się w najdalszym kącie sali i przerzucił okiem telegramy, spostrzega własny portret na czele sążnistej artykułu. Wściekły rzuca płachtę bibuły na garsona, który mu niósł filiżanką mokki, i wybiega, a mijając dwóch jegomościów słyszy za sobą słowa: — Patrz, patrz, oto Puckins przyszedł! — Ach! ten co był liliputem? — woła drugi. — Szkoda, żeś mi go wcześniej nie pokazał. Mam właśnie do niego interes. — Możemy go dogonić — odzywa się pierwszy, ale lord Puckins przerażony wsiada w pierwszy lepszy powóz i każe ruszać.

— Nie mogą! — odzywa się stangret.

— Jedź natychmiast! Zapłacę hojnie.

— Ależ ja czekam na moją panią!

Na takie diktum lord czyni ruch celem opuszczenia powozu, zaledwie jednak rzucił trwożnym wzrokiem na chodnik, dostrzegł zbliżającą się właścicielkę pojazdu. W drodze czyni mu ona wymowne znaki, aby pozostał na miejscu. Dwie sekundy — i przesadnie ubrana, niemłoda dama z krótko obciętymi włosami podaje mu poufale dłoń na powitanie.

— Witam, witam na swym terytorium! A zawsze oryginalny! Jakże to dobrze, lordzie, że cię widzę. Wszak lepiej późno niż wcale!

— Nie rozumiem pani — wybąknął lord uchylając kapelusza — pomyliliśmy się.

— ■ Chętnie wierzę i w jedno, i w drugie! — odparła śmiejąc się nieurodziwa dama. — Wstydz się pan tego, że mnie nie znasz. Jestem Eloquentia Scarecrow *. Onegdaj miałam o tobie odczyt w naszym klubie. Posłałam ci nawet zaproszenie. Byłeś oczekiwany, upragniony. Ułożyłyśmy mowy, przygotowały niespodzianki... i wszystko spełzło na niczym. Nie godziło się tak lekceważyć przyjaciółek. Teraz, skorośmy się poznali, nie puszcę cię, dopóki nie przyrzeczesz, że stawisz się na wezwanie. Pragnę powetować zawód.

Lord, błądzący ze wzruszenia, niezdolny wymówić słowa, wy dostał się z powozu i pożegnał damę ceremonialnym ukłonem.

— Nie! tak dłużej być nie może! — ryknął na głos. — Wyjadę **dziś**

* Scarecrow (ang.) — znaczy dosłownie: „strach na wrony”, (przyp. aut.)

jeszcze choćby na koniec świata! — I nagle przypomniał sobie towarzysza przygód i wybawiciela, doktora Muchołańskiego.

— Że też o nim mogłem zapomnieć! — zawołał uderzając się w czoło. — Jadę do Warszawy!

Zanim towarzyszyć będziemy lordowi w jego podróży, zajrzyjmy jeszcze do jego mieszkania, gdzie w przedpokoju rozegrała się ostatnia scena gniewu za nieproszoną popularność i zerwanie z Klubem Ekscentryków.

Stało się to w ten sposób:

Poobiednią drzemkę lokaja przerwał odgłos dzwonka, poruszonego silną i śmiałą ręką.

— Lord Puckins przyjmuje? — zapytał poważny gentleman.

— W domu, lecz nie przyjmuje nikogo — wygłosił sztywnie lokaj Puckinsa.

— Do mnie zakaz nie może się stosować! — odrzekł prostując się z godnością przybyły. — Bądź tak dobry, obywatelu, i oznajmij panu, że w sprawie ważnej potrzebuję się z nim widzieć. Oto moja karta.

— Niepodobieństwo! Lord zapowiedział, że nikogo nie przyjmuje, choćby nawet przybył sam książę Walii!

— No, widzisz, domyśliłem się zaraz tego! Więc powiedz tylko, że pragnie się z nim widzieć Rambler.

Sługa zawahał się. Spostrzegł to wrażenie przybyły i zapragnął je spotęgować.

— Jestem honorowym członkiem Klubu Ekscentryków — dołożył z dumą.

Na te słowa automat odzyskał nagle utraconą pewność siebie.

— Tym gorzej! Tym gorzej! — zawołał mimo woli i ugryzł się za późno w język.

— Jak to? Czyżby zakaz dotyczył i Ekscentryków?...

— Gorzej, panie. Lord polecił mi przede wszystkim strzec się członków klubu, do którego masz pan zaszczyt należeć.

Oblicze przybyłego oblało się szkarłatem gniewu.

— Ach, więc tak dalece łaskaw na nas... — wycedził przez zaciśnięte zęby i umilkł nagle zatykając sobie usta kościaną główką od laski. Po kilku sekundach opanował się i zapytał łagodnie:

— Wolno przecież wiedzieć, gdzie lord się wybiera?

— Nie mamy żadnych w tym względzie objaśnień — odrzekł sługa tym chłodnym tonem, który pozwala przypuszczać, że gdyby nawet wiedział, nie zdradziłby tajemnicy.

Przybyły przekonał się, że nic nie wskóra, mruknął więc jakiś niezrozumiały frazes, który służący wziął bez namysłu za nowe i nieznane mu jeszcze przekleństwo, potem uśmiechnął się złośliwie i pogwizdując śpiewkę o Puckinsie wytoczył się z przedsionka, wsiadł do fiakra i znikł w tłumie.

Widzimy z tej małej sceny, że lord Puckins palił za sobą mosty.

*Lord Puckins składa wizytę doktorowi Muchołapskiemu,
po czym okazuje się, że nawet sir Biadlay nic nie pomógł
lordowi Puckinsowi*

W cztery dni potem zjawił się Puckins w cichym mieszkaniu naszego entomologa.

Można sobie wyobrazić, jaką miłą gospodarzowi sprawił niespodziankę.

— Przyjacielu, czyś ty także wydrukował opis naszych przygód? — zapytał gość zaraz na wstępie.

— Uczyniłem to — odrzekł rumieniąc się przyrodnik.

— I siedzisz tu jeszcze? — zawołał z podziwem lord Puckins.

— Cóż bym miał robić? Pracuję przecież nad monografią syrfidów.

— Więc dadzą ci pracować?

— Któż miałby mi przeszkadzać?

— „Kto?” ty pytasz?... Twoi czytelnicy, to naturalne!

— Nie dla mnie!

— Więc nie zasypują cię listami, owacjami, nie urządzają na cześć twoją rautów, nie przebierają się za jelonki, motylki, pająki, nie umieszczają portretów w dziennikach i na prospektach, nie dobijają się o autografy? Czy wasz słynny Lewandowski nie napisał na cześć twoją mazura? Czy nie kradną ci wszystkich chwil? Słowem — nie zadreczają cię na wszelkie sposoby?

— Wcale a wcale!

— ■ A ileż wydań liczy twój opis przygód?

— Wydań? — zapytał doktor Muchołapski. — Wątpię, czy będzie kiedy drugie.

— Żartujesz! Więc chyba gazety o tym milczały.

— Przeciwnie! Niektóre podały nawet sprawozdania kreślone, jak się u nas mówi, „sympatycznym piórem”.

— Czemu przypisać ten spokój?

— No widzisz, milordzie, my mamy tyle spraw bieżących, miejskich, te nas pochłaniają... ale nauka...

— O szczęśliwy człowiecze! A ja myślałem, że 'tu"tak samo jak u nas! Jakiż przyjemny ten wasz kraj! Tu dopiero żyć i nie umierać. Szkoda, że jestem Anglikiem!

— Nie rozumiem cię, lordzie...

— Chcę być z dala od Anglii, od jej zgiełku i Klubu Ekscentryków. Daj mi jaką robotę, rozkazuj, będę pracować, byle zapomnieć raz o mych przygodach. Mam już dosyć tego wszystkiego! Cóż oni sobie myślą, ci moi koledzy? Ekscentrykami są, a nudni jak filistry. Nie mogą się zdobyć na prawdziwą ekscentryczność, aby przecież raz zaprzestać zajmowania się swym prezesem z błałego powodu, że wrócił szczęśliwie z niebezpiecznej wyprawy.

— Ha, twoja wina, lordzie!

— Prędeż twoja, przyjacielu! Trzeba mię było zostawić na pastwę łowików, mrówek i pajaków. Wszystkie razem nie sprawiłyby mi tyle tortur, ile przeszedłem przez ostatnich parę tygodni.

— Czemużeś poczuwał się do obowiązku ogłoszenia swych przygód na wieczną chwałę twego klubu? — zapytał uśmiechając się doktor Muchołapski.

— Masz słuszność, przyjacielu, moja wina! — jęknął zgnębiony Anglik.

— Jest na twą biedę łatwa rada. Wypisz się z klubu, ogłoś, że to wszystko było mistyfikacją...

— Myślałem już o tym, ale boję się...

— Ty, lordzie? Czegóż to lęka się nieustraszony awanturnik?

— Nie uwierzą, odrzucą moje żądania. Przyjmą je na karb ekscentryczności. Nie wiesz, doktorze, jak u nas trudno o czyn, który by nie mógł zaliczyć się do ekscentrycznych. Niedawno sir Sparrow wywichnął sobie nogę podczas tańca unikając nadeptania na tren tancerki. Wszyscy jednomyślnie „zaopiniowali", że znakomitym jest ekscentrykiem, a dwóch już czy trzech młodszych członków poszło przy pierwszej sposobności za jego przykładem. Ręcę, że gdybym zatonął podczas burzy morskiej, będzie mi to poczytane za ostatni i wcale dowcipny figiel. Widzisz tedy, że wykreślić się nie mogę.

— Więc szanowny prezes pragnie pozostać w naszym mieście czas jakiś?

— Naturalnie, ale incognito! Niech nawet moje nazwisko nie będzie wymówione. Dla ciebie będę Puckinsem, dla całego świata... dajmy na to Johnem Bradlayem, handlarzem zboża albo korespondentem gazet.

— Skoro sobie tego życzysz, zgoda.

— Zamieszkać niedaleko ciebie... będę codziennym twym gościem. Dobrze?

— Rad ci będę, milordzie!

— Bardzo proszę nie zapominać, że mówisz z Bradlayem.

—• Gdzież to pozostawiłeś swoje rzeczy, kochany panie B'ldlay?

— Na dworcu kolei. Skoro obiorę lokum, sprowadzę je natychmiast.

Nie minęła godzina, a sir Bradlay zamieszkał w prywatnym lokalu naprzeciw domu zajmowanego przez Muchołapskiego. Przyjaciele stanawszy w oknach mogli nie tylko widzieć się wzajemnie, ale nawet rozmawiać przez złożoną w trąbkę rękę przy ustach.

cv)

Nazajutrz rano nowy służący, przyjęty z pierwszorzędnego hotelu dla poliglotycznych uzdolnień, mógł się popisać swoją umiejętnością.

— Czy sir Bradlay przyjmuje? — zapytał jakiś przybysz po angielsku.

—• Zaraz się dowiem, racz pan wymienić godność.

— Przyjaciel z przeciwka. Tak powiedz twemu panu, to będzie najlepiej — odrzekł nieznajomy i melancholiczny a zagadkowy uśmiech ożywił jego oblicze.

Służący znikł za drzwiami zapraszając gościa do saloniku. Lord Puckins nie powątpiewał ani na chwilę, że przybył doktor Muchołapski.

— Proś natychmiast! — wyrzekł żwawo.

Można sobie wyobrazić minę Anglika na widok wchodzącego niby widmo z innego świata honorowego członka Klubu Ekscentryków, sir Ramblera.

Lord skamieniał z podziwu. Język odmówił mu posłuszeństwa. Nie dowierzał wzrokowi i przecierał oczy.

— Nie jesteś ofiarą złudzenia, drogi panie Bradlay — odezwał się słodko orientolog. — Nie przyjął mnie lord Puckins w Londynie, więc przybyłem w tym samym interesie do pana Bradlaya. Mam nadzieję, że tym razem nie odmówione mi będzie posłuchanie.

— Diabeł nie człowiek! — mruknął Puckins wskazując uprzejmie krzesło i rzucając się na drugie przed biurkiem. — Cóż pana sprowadza tutaj, nieoceniony kolego?

— Niby się nie domyślasz, najdroższy prezesie! Cóż by innego, jeśli nie opis twych przygód...

— Jeszcze jeden! — zawołał sir Bradlay wznosząc oczy ku niebu. — Więc nigdzie nie znajdę spokoju!

—■ Któż, milordzie, godzi na twój spokój. Ja pragnę jedynie pomówić o przedmiocie pozostającym w związku...

— Mówmy, o czym pan chcesz, ale ani słowa o mych przygodach.

— Żałuję bardzo, że nie mogę zastosować się do życzenia pańskie-



go. Śledziłem cię przez pięć dni i przyjechałem za tobą jedynie w celu pomówienia o przedmiocie w tej książce dotkniętym, a ty, niegościnnie człowieku, wyobrażasz sobie, że ci ustąpie?...

— Jestem zmęczony, storturowany! Pragnę zapomnieć o nieszczęsnej wyprawie...

— A mnie znowu konieczne są twe informacje. To nie kaprys. W interesie wiedzy proszę o rozmowę!

Lord Puckins zbierał siłą woli resztki cierpliwości i szarpał złotawe bakenbardy. Tymczasem sir Rambler z niezmałonym spokojem tak zaczął:

—■ List wysłany przez muchę zawiera wzmiankę o fakirze, dawcy czarownego płynu...

— Jesteś pan, jak widzę, kandydatem na liliputa...

— Uchowaj Boże!... Chodzi mi o odszukanie cennego dla ludzkości zabytku.

— Znowu „dla ludzkości”? Tego doprawdy za dużo!

— Nie inaczej, zaginionego magicznego rękopisu, którego poszukiwał jeszcze w dwunastym wieku światły Akbar, król Pendżabu i Afganistanu...

—• A cóż nas obchodzą sprawy Akbara?

—■ Poszukiwał na próżno! — odrzekł z przejęciem sir Rambler. — Przypomnij sobie, milordzie, coś napisał o manuskrypcie fakira Nurreddina, a przekonasz się, że tu mowa o tym samym zabytku...

— Do czegoż to wszystko zmierza?

— Cierpliwości! — odrzekł sir Rambler podnosząc w górę dłoń z wyciągniętymi palcami, a następnie sadowiać się jeszcze wygodniej naprzeciw Puckinsa. Wszystkiego się dowiesz, milordzie, ale powoli i po kolei. Stwierdziliśmy dopiero, że cenny rękopis induski, długo uważany za przepadły, znajduje się w posiadaniu fakira. To dopiero początek...

Puckins stał się nagle uprzejmy i uściął dłoń Ramblera.

— Skoro początek — odezwał się słodko — czy nie byłbyś łaskaw, zacny kolego, odłożyć dalszy ciąg zajmującej opowieści na inny raz. Obecnie nie mogę cię wysłuchać...

— Skończę niedługo... Zresztą powinno by to ciebie również silnie interesować. Za twoją przyczyną ludzkość zdobędzie...

— Ciągłe ta ludzkość! — zgrzytnął lord, ale pohamował się i przybrał uprzejmy wyraz.

— Ach! tak... ludzkość, wielki wyraz — wycedził. — Więc cóż ludzkość zdobędzie?

— Zdobędzie pierwszy i niezbity dowód, że nie znajduje się u szczytu cywilizacji, bo nigdy stała już na wyższym szczeblu...

— Już wiem! — zawołał żywo Puckins. — Od dawna poszukujesz w tym względzie dowodów...

— Dotąd na próżno!...

— Ale cóż ja mogę?

— Bardzo wiele! Osądzisz to sam...

— Dobrze! chętnie cię wysłucham, ale innym razem. Obecnie, daruj pan, ale spieszę się nadzwyczajnie.

— Więc przyjdę jutro.

— Skoro pan chcesz koniecznie, przyjdź jutro! — rzekł Puckins z naciskiem i pożegnał gościa.

Nie upłynęło pięć minut, gdy już wstępował w progi Muchołapskiego.

— Jestem w rozpacz, przyjacielu! Muszę cię pożegnać i jak najprędzej opuścić Warszawę! — wyrzekł i usiadł desperacko.

Po chwili dopiero zauważył niezwykle zakłopotanie i roztargnienie entomologa, który tonął w zadrukowanej bibule. Była to pierwsza gazeta po przerwie spowodowanej świętami Wielkiej Nocy.

— Co ci się stało? — zagadnął Anglik.

— Nie czytałeś, lordzie, dzienników?

— Nie otrzymuję ich — odparł Puckins — a waszych nie nauczyłem się czytać.

— Więc nic nie wiesz?

— Wiem, że mnie sir Rambler aż tu znalazł... i jestem wściekły!

— Żarty się ciebie, lordzie, trzymają... Stała się rzecz okropna...

— Mów wyraźnie, kogo i jakie dotknęło nieszczęście? — przemówił Anglik.

— Trzęsienie ziemi! Dzienniki przepełnione są strasznymi szczegółami katastrofy, która nawiedziła południową Austrię, górne Włochy, południowe i wschodnie Alpy, Kras, Styrię, Krainę, Chorwację, Dalmację i Bośnię aż do Rawenny, Florencji i Rzymu... Ogniskiem katastrofy zdaje się być Kras i Alpy Dynarskie.

— Ładne w takim razie święta miała Europa południowa!

— Telegramy przynoszą przerażające szczegóły. Niesłychana panika owładnęła ludnością. Pociągi wiozą tysiące osób uciekających z południa. Lubiana zrównana niemal z ziemią, całe miasto obozuje na placach lub za miastem. W Trieście sądzono, że nastąpił koniec świata. W Zagrzebiu ludzie półnaczy tysiącami wylegli na ulice. Miasto Cilea leży w gruzach; ziemia drży dotąd! Ale to nie koniec! Przed chwilą otrzymałem smutną i zdumiewającą depezę z Trawnika od mego przyjaciela, profesora Przedpotopowicza. Donosi mi, że o mało nie został zasypany gruzami walącego się domostwa, w którym bawił chwilowo dla studiów naukowych.

Lord Puckins zamyślił się nagle.

— Profesor donosi, że gwałtowne wstrząśnienia od trzech dni już z rzędu ponawiają się z coraz większą siłą, a zrozpaczeni mieszkańcy są na najgorsze przygotowani rzeczy.

— Może się wulkan otworzyć! ■— przerwał mu Puckins, ale machnął ręką i mruknął: — I wulkany mnie już nudzą...

— W pobliżu wsi — ciągnął Muchołapski — gdzie mój przyjaciel bawi, otworzyła się przepaść bezdenna, coś niesłychanego w kronikach nauki. Wypadkiem tym profesor jest zelektryzowany. Telegrafował już do Suessa* i kolegów w Londynie i Paryżu, aby niezwłocznie przybyli. Spodziewa się ważnych odkryć i cieszy się niemal z tego, że znalazł się przypadkiem w miejscu tak ważnej katastrofy.

Oblicze Puckinsa zaczęło się ożywiać. Zadał parę pytań dotyczących profesora, obciął i zapalił cygaro, wreszcie ze stanowczością, właściwą mu w chwilach ważnych, przemówił:

— Pragnę zdążyć choćby na „resztki trzęsienia", a przy tym zajrzeć do bezdennej szczeliny. Jadę natychmiast do Bośni i proszę o rekomendację do twego przyjaciela.

Jak postanowił, tak się stało.

Mimo przestróg Anglik, pragnący zdążyć choćby na resztki trzęsie-

* Edward Suess (1831—1914) — geolog austriacki.

nia ziemi, wyjechał błyskawicznym **pociągiem**, **żegnany** trwożnie **przez** doktora Muchołapskiego.

Ostatnie słowa Anglika rzucone z wagonu były:

— Spodziewam się, że tym **razem** sir **Rambler** za mną nie podąży!

Spotkanie — Odkrycie karkołomne

Po kilku dniach lord Puckins z właściwym sobie sztywnym spokojem jechał truchcikiem na bułanym, niewiele większym od osiołka koniu ku jedynej oberży, którą posiadała biedna wioszczyna w pobliżu Kupresz. Towarzyszył mu zabrany z Serajewa tłumacz, a za niezwykłym gościem ciągnęła gromada wieśniaków wystraszonych, wynędzniałych od niewyuczasu, głodu i silnych wzruszeń. Smutny orszak zasypywał tłumacza opowiadaniem o strasznych wypadkach dni ubiegłych i o nowym trzęsieniu, jakie nawiedziło okolicę dnia wczorajszego. Tłumacz powtarzał wieści Anglikowi, skutkiem czego lord Puckins nie mógł się uskarżać na brak wzruszeń. Miał ich zresztą dość od samego wstąpienia na grunt nieszczęsnej krainy. Nie dalej jak wczoraj obudził się wyrzucony z łóżka silnym a niespodziewanym wstrząśnieniem.

Właśnie zatrzymał się celem udzielenia drobnej zapomogi pozbawionym dachu i mienia biedakom.

Jeden z obdarowanych, jakiś wszystkowiedzący staruszek, żywa encyklopedia wiedzy ludowej, rzadki i wymierający już pod tchnieniem nowożytnej oświaty okaz etnograficzny, przez wdzięczność rozgadał się szeroko i opowiedział, co było według niego właściwą przyczyną nieszczęścia. To sprawa czysto diabelska.

Stara wieść niesie, że u źródeł Wrbasu jest wejście do bardzo rozległej groty, pełnej dziwów i bogactw nieprzebranych. Wejście owo zwie się „Wrotami Piekielnymi”. Poza nimi złote i srebrne sople wiszą tam u sklepienia, a straszydła żywią się rudą, z której po strawieniu zostaje czyste złoto. Przez jeden tylko dzień w roku grota „kwitnie”, to jest stoi otworem dla każdego, kto by znał wejście do niej. W każdej innej porze Wrota Piekielne są niedostępne. Ale i w tym dniu straszydła, psy czarne, ropuchy i pająki bronią wejścia i trzeba znać „sposób”, aby wejść i wyjść cało. Wielu już zuchów na próżno próbowało wtargnąć do jaskini, wreszcie znalazł się niedawno taki, który dopiłnował, kiedy „zakwitła”, i wszedł do środka. Jakich użył czarów, trudno wiedzieć, musiały jednak być mocne, skoro wszedł. Ale „złe” zbuntowało się. Zatrzęsła się nagle ziemia tak, że w oddalonych nawet miastach i wioskach domy i kościoły się zwały. Skąły nawet z grzmotem obrywały się, a w miejscu, gdzie były Wrota, rozwarła się przepaść

bezdenna. Kto miał odwagę, mógł oglądać straszną przepaść, w której warczało i gotowało się, a kłęby pary wznosiły się gęstą chmurą.

Opowiadania powyższego wysłuchał lord Puckins z zajęciem.

— Wszystko to już wiem od kilku dni — rzekł spokojnie. — Właśnie przyjechałem, aby dostać się do szczeliny...

Starzec zmierzył od stóp do głów Anglika.

— Chcecie do Wrót Piekielnych, panie? — zagadnął z niepokojem.

— Tak jest.

<— I po co? Jeśli po złoto diabelskie, to go już nie znajdziecie. Od dwóch dni, dzięki Bogu, przepaść piekielna zawarła się. Nie pozostało z niej nawet śladu!

Lord Puckins nie mógł ukryć żalu.

■— To nieszczęście! — zawołał. — I cóż na to ów pan, który tu przyjechał? Musi być niepokieszony?

Na te słowa, powtórzone przez tłumacza, starzec wpił groźne i przełkłe spojrzenie w Anglika. Następnie splunął głośno, przeżegnał się i odszedł.

W mgnieniu oka gromadka wieśniaków przeredziła się i znikła niepostrzeżenie. Podróżni zostali sami. Niezawodnie stary wziął Anglika, przebranego w kraciasty kostium, za czarownika, zaprzedanego „złemu”, a może nawet za samego diabła, za współnika tajemniczego przybysza, który się kręci u Wrót Piekielnych. Anglik nie zwrócił na to uwagi. Myślał tylko o zasłyszanej nowinie.

— A to historia! Profesor musi być niepokieszony.

Tymczasem doszedł do oberży. Mrok już zapadał i blade promienie księżycy oświetlały głęboki wąwóz, biorący swój początek tuż przy oberży. Przy tym świetle lord Puckins ujrzał stojącego przed oberżą mężczyznę. Nieznajomy zbliżył się spiesźnie do lorda, wznosił w górę kapelusz i siląc się na wesołość zawołał:

— Witaj mi, znakomity gościu i przyjacielu mego przyjaciela! Czekam na ciebie już dzień trzeci. Proszę cię, lordzie, wejdź i rozgość się w tym pokoju, który dziś posłuży nam za wspólną sypialnię.

Tak powitany Anglik pozbył się od razu zwykłej sztywności.

— Widzę z rozpaczą, że telegraf na usługach mego przyjaciela spełnił dobrze swoją rolę i pozbawił mnie zaszczytu przedstawienia się formalnie znakomitemu mężowi. Muszę poprzestać na ponowieniu mej deklaracji, że oddaję się, profesorze, do twego rozporządzenia.

— Przeciwnie. Ja to jestem do twego, lordzie, i rad bym wszystko uczynić, aby cię rozerwać i pogodzić ze światem.

— Dzięki! Jesteś zbyt uprzejmy, profesorze. Ale cóż słyhać u Wrót Piekielnych? Przybyłem przecież, aby zajrzeć wraz z tobą do wnętrza ziemi.

Na te słowa geolog spochmurniał.

— Sprowadziłeś mię z wyżyn zapomnienia na ziemię! — rzekł i zapanowała chwila milczenia.

— Twoje milczenie, profesorze, potwierdza oplakaną wieść, która mię już doszła.

— Ach, ta szczelina! To moja zgryzota!

— Więc prawda, że jej już nie ma?

— Niestety! Nie mogę jeść, spać, tylko myślę, com stracił!

— Ale widziałeś ją przecież?

— Bardzo niedokładnie. Wejścia broniły kłęby pary, wrywające się z głębi ziemi. Wprawdzie ślady pęknięcia gruntu pozostały na znacznej długości. Całkiem świeże...

—■ To już dobrze!

— Cóż nam z tego — odrzekł paleontolog — gdy wejść już i badać przekroju nie mogę. Jest w całym zdarzeniu coś prawdy, ale musi się kryć dużo przesady w opowiadaniu górali o otworzeniu się owej okropnej przepaści. Dziś już jej nie ma, przy nowym wstrząśnieniu zawarła się. Opowiadano mi nawet, ale to zakrawa mi mocno na bajkę, że zanim przybyłem, spuszczał się jakiś zuch do czeluści i cuda opowiadał o tym, co w niej widział. Rozmawiałem nawet z tym bohaterem, ale czyż można na ślepo wierzyć? Wobec wszystkiego odwołałem już przyjaciół z drogi i sam badam pęknięcie, szukam, czy nie została choćby najmniejsza szczelina, przez którą dostałbym się do głębin ziemi, ale wątpię już, czy mi się powie. Tak głęboka szczelina! Tak niezmiernie ciekawa i wszystko przepadło!

Lord jął pocieszać uczonego.

—• Nic jeszcze straconego. Jeśli zechcesz, będziemy szukać!

— I owszem — rzekł profesor z mocą. — Jutro udamy się na poszukiwania.

— Wybornie!

— Rozpadlina poczyna się tuż pod wsią w głębokim wąwozie, prawie przy naszym domku. Jest to miejsce pełne strasznych legend i podań. Żaden z tutejszych mieszkańców w nocy bez drżenia o nim nie myśli. I ty, lordzie, chociaż jesteś zahartowany na wszelkie wrażenia, z pewnością doznałbyś nowego uczucia znalazłszy się tam w taką noc jak dzisiejsza, kiedy światło księżyca nadaje każdemu przedmiotowi fantastyczne kształty. Ale dosyć już o tym, jutro rozpoczynamy poszukiwania we dwóch. Tymczasem chodź do izby odpocząć i posilić się po trudach podróży.

Gdy nowi znajomi spożyli niewykwintną kolację i wyczerpali bieżące tematy, geolog otworzył drzwi i wprowadził gościa do sąsiedniego pokoju, zarzuconego okazami paleontologicznymi.

— Czyżby to był plon z. tej wioski? — zapytał Anglik.

— O nie! Wykopało się to w różnych miejscowościach po drodze; teraz gatunkuję i pakuję do dalekiej drogi. Połowa zdobyczy spoczywa już w skrzyniach, a mam rzeczy, które mnie cieszą — dodał z triumfem.

— Dokonałeś, profesorze, jakiegoś niezwykłego odkrycia?

— Niestety, nie! Znoszę tylko pyłki do gmachu wiedzy. Zdożyłem nieco skamieniałości dla naszego muzeum. Najbardziej cieszy mnie okaz lwa jaskiniowego (*Felis spelaea*).

— I kiedyż to lwy w Bośni żyły? — zagadnął ciekawie Anglik.

— Bardzo niedawno, bo jeszcze w ostatniej dobie geologicznej, zwanej pleistocenem*.

— Ileż to lat temu?

■— Może kilkadziesiąt tysięcy — odrzekł profesor niedbale.

■— Bardzo niedawno! — powtórzył Anglik.

Profesor zauważył ironię.

■— Mówię o gatunku wygasłym. Dziś żyjący gatunek lwa do niedawna jeszcze bywał w Europie nierzadkim zwierzem. Według podań klasycznych lwy czuły się w Tracji jak u siebie. Napadały przecież na wielbłądy wojsk Kserksesa. Wracając do mego lwa powtarzam, że zaźdrościć mi będą, skoro w wielkiej sali ustawię cały szkielet. Nie brak w nim ani jednej kostki! Większy jest i piękniejszy od przepysznego okazu, znalezione go przez Wankla w jaskini słupskiej na Morawach". Wprawdzie na tę całość złożyło się kilka osobników, ale nie moja w tym wina. Skoro żaden nie przechował się w całości, musieli wszyscy razem posłużyć do odbudowania swego typu.

— A drobne braki zapewne dały się uzupełnić kostkami ich niewinnych ofiar, antylop, koni...

— Przestań pan! —■ wołał geolog zatykając uszy. ■— Nie mogę słuchać takich drwin. Mój szkielet jest bez zarzutu. Byłbym zhańbiony, gdyby choć jedna kostka okazała się obca. Ścisłość naukowa, mój panie, przede wszystkim. Minęły już czasy takich, co składali fikcyjne węże morskie albo smoki z kręgów niedźwiedzi, ichtiozaurów i mamutów. Minęły czasy takich akademików jak Henriem. Utrzymywał on (zapewne na podstawie kości mamutów i innych zwierząt zaginionych), że Adam mierzył Lrzydzieści osiem i pół metra, a jego zacna małżonka — trzydzieści siedem metrów wysokości.

Minęły czasy takich badaczy jak Scheuchzer z Zurychu, który (w 1725 r.) zdumiał świat odkryciem „przedpotopowego człowieka" w wapieniu mioceńskim (w Oeningen) i opisał go pod nazwą „świadka potopu" (*Homo diluvii testis*).

* Patrz tablica I: „Kronika życia minionych epok".

Obecnie okaz ten znajduje się w Muzeum Geologicznym w Wiedniu, (przyp. aut.)

— Słyszałem o tym!

— Utrzymał on, że w owej skamieniałości przechowała się nie tylko substancja kości, ale nawet ciało. Wedrug niego można było u tej „grzesznej” ofiary potopu dokładnie odróżnić „resztki nosa”, „ślady wątroby” itd. * Minęły czasy Voltaire'a, który w swoim Dykjonariuszu Filozoficznym obecność morskich muszli na szczytach wapiennych Alp objaśniał wędrówkami pielgrzymów przez góry, w kapeluszach ozdobionych muszelkami i gubieniem tych muszelek po drodze... Minęły czasy autorów utrzymujących z całą powagą, że ryby skamieniałe były owymi rzadkimi rybami, które wyrzucano niegdyś z kuchni bogatych Rzymian dlatego, że nie będąc dosyć świeżymi, nie dały się na ich stół użyć**. Dziś nie bawimy się w naciąganie! Ścisłość przede wszystkim!

— Ależ nie gniewaj się, profesorze. Nie miałem zamiaru stawiać ci nie uzasadnionych zarzutów. Przeciwnie! Choć ją znam bardzo mało, jestem pełen uwielbienia dla waszej nauki. Jeśli co podziwiam, to chyba waszą wstrzeźliwość w odtwarzaniu przeszłości. Wprawdzie wyznam, że mimo wiary w waszą naukę, nie mogę zrozumieć, po czym poznajecie, wydobywszy z ziemi mizerny ząb albo ułamek kości, do jakiego zaginionego potwora on należał; nie rozumiem, jak możecie odtworzyć całą jego postać, a nawet wyrokować o sposobie życia tego stworzenia. Przecież niekiedy żaden z was całego szkieletu owego zwierzęcia nie widział nawet. Ale wiem dobrze, że mówicie raczej za mało niż za wiele. Macie swoje wypróbowane środki porównawcze, które tak nie zawodzą, jak nie zawodzą chemika jego delikatne odczynniki... Dlaczegoż więc tak skąpi jesteście w odsłanianiu prawd zdobytych?

— Dzięki ci, lordzie, w imieniu pracowników wiedzy za twą wiarę w potęgę metod i środków naukowych, za wiarę w nasze dobre chęci. To dodaje otuchy do walki z przeszkodami, jakie piętrzą się na ciernistej drodze, wiodącej do poznania prawdy. Ale niestety! Muszę ci wyznać, że nie myśmy skąpi w odsłanianiu prawdy, jak mówisz, to natura raczej broni zawzięcie swych tajemnic, a broni wszelkimi sposobami.

Niby zwodnicza syrena ludzi często i prowadzi na bezdroża. Toteż nie dziw się, żeśmy małowówni, że lekliwie krocymy ścieżkami wiedzy. Hasłem naszym jest trzymanie się z dala od niepewnych przy-
puszczeń. Jeśli czego nie rozumiemy, mamy dziś odwagę przyznać się otwarciem do nieświadomości. Powiem nawet, dumni jesteśmy wy-

* Cuvier w tych resztkach rozpoznał rodzaj olbrzymiej, dziś już nieżyjącej salamandry. Dziś znana jest ona pod nazwą *Andrias Scheuchzeri*. (przyp. aut.)

** Pismo takie wyszło w Paryżu w r. 1746. (przyp. aut.)

mawiając upokarzające: nie wiem o takich rzeczach, o których wyrokowano przed laty z zarozumiałością i naiwnością młodzieniaszków.

— Obawiam się, czy nie wpadacie w przesadę. Wyrządzacie tym krzywdę wiedzy.

— Nigdy! — zawołał profesor. — Samo stwierdzenie nieświadomości, odrzucenie ponętej, ale niepewnej hipotezy, jest ofiarą, ale zarazem postępem. Wprawdzie zostawiamy lukę tam, gdzie wznosiła się budowla bez fundamentu, ale za to umożliwiamy postawienie w przyszłości na jej miejscu trwalszego gmachu.

W gruncie rzeczy co do wielu, ale to bardzo wielu kwestii, na pozór najprostszych, jesteście w zupełnej nieświadomości.

Upokarzająco drobną jest liczba pewników naszych, ale, powtarzam, strzeżemy się jak ognia rozprawiania o rzeczach niepewnych i uzupełniania braków wiedzy płodami wyobraźni. To jest naszą siłą, którą się chlubimy.

— Dobre są samokrytycyzm i ostrożność, ale w miarę — przerwał Anglik — inaczej tamują one swobodę myśli. Własnymi rękoma spiętrzacie przed sobą przeszkody i kręcicie się w kółku urojonych zapór.

— Ostrożności nigdy nie za dużo! I tak już zbyt często zarzuca nam świat szerzenie mrzonek i fałszów pod pozorem wyników naukowych dociekań. Cóż by było, gdybyśmy w istocie nie kroczyli po pewnym gruncie faktów?

A więc jutro do pracy, dobranoc ci, lordzie.

— Dobranoc, profesorze!

cv)

Lord Puckins nie mógł zasnąć. W uszach jego dźwięczały słowa słynnego geologa dotyczące szczeliny, która się zawarła, i myśl przenosiła się tam, gdzie podania ludzkie pomieściły tyle tajemniczego piękna i tyle obaw. Szła ona za promieniem księżyca i błąkała się po urwiskach wąwozu, z nim razem zazierała w każdą szczelinę i dotykała każdego urwiska.

W oberży było duszno. Spoza okna załatywał szmer owadów i jakieś tajemnicze tony przeciągały w powietrzu. Wszystko to wabiło i ciągnęło. Lord Puckins zerwał się z łóżka i wyszedł przed oberżę.

Przed nim, jak brama tajemniczych podań ludowych, rozwierała się szczyja wąwozu. Promienie ślizgały się wśród wąwozu nie mogąc jednakże w zupełności oświetlić jego zburzonych ścian i zdawały się wabić Anglika. Lord Puckins poszedł. Im dalej zapuszczał się w wąwóz, tym zupełniej poddawał się urokowi przyrody. Wąwóz załamywał się i był u dołu szerszy aniżeli u góry. Czarne, fantastyczne plamy na kredowej powierzchni skał widniały w tym mroku niedostępnym dla świa-

tła księżycowego, jak wnijścia do głębi ziemi, jak otwory, z których zdawałoby się za chwilę wyjdą straszne postacie i zapytają śmiałka: „Po coś tu przyszedł, prochu, zakłócać nam spokój w tę godzinę naszą?”

Lord Puckins rozkoszował się nowymi wrażeniami. Zdawało mu się przez chwilę, iż za nim biegnie szybko nie jedna, nie dwie istoty, lecz legiony ich. Był to odgłos jego własnych kroków, które powracały do niego w cichości nocnej, spotęgowane po sto razy. Zdawało mu się później, iż wąwóz z góry się zasklepia i zamyka go w żywym więzieniu. Zapuszczał się coraz dalej w labirynt wąwozu, niepomny, że może wrócić będzie trudno, i nagle wpadł po stromym stoku w dół, który jak czarna smuga cienia ciągnął się pod ścianą. Pot zimny okrył czoło lorda. Przeleżał on kilka minut i po chwili podniósł się.

Zaczął krytycznie badać swoje położenie. Rozejrzał się. Odbiegł od głównego kierunku wąwozu w jakąś jego odnogę i znajdował się właśnie w jej zakończeniu. W złudnym półświatle, chcąc zbadać położenie odnogi w stosunku do głównego łóżyska wąwozu, oparł się plecami o wielki głaz i śledził okiem malowniczy labirynt skał. Podniósł wreszcie wzrok ku gwiazdom, aby dopatrzyć znajomych sobie konstelacji, gdy nagle uczuł, że podpora ustąpiła i leci w tył. Instynktownie podparł się nogą i utrzymał równowagę. Odwrócić się i ujrzeć olbrzymi otwór, gdzie przed chwilą leżał głaz — było dziełem sekundy. Jednocześnie rozległ się i brzmiał jeszcze przeciągły grzmot bryły odbijającej się o ściany przepaści.

— A więc znów to szczęście, które mi ciągle dopisuje! — zawołał. — Podwójne nawet! I karku nie skręciłem, i wpadło mi w ręce to, czego na próżno poszukiwał profesor.

Jestem w tajemniczej czeluści!

cv>

Noc była pełna niepokoju. Lord wyciągnął z łóżka geologa i obaj niezwłocznie przekonali się, że istotnie Puckins odkrył przypadkiem szczelinę, którą pozostawiło drugie trzęsienie.

*Stanisław — Improwizowany wykład mineralogiczno-geologiczny
U Wrót Piekiełnych — Wyprawa podziemna*

Nazajutrz lord Puckins obudził się późno. Biła godzina dziesiąta. Oprócz niego znajdował się w pokoju tylko Stanisław, służący i nieodstępny towarzysz geologa. Nie był to chłopiec zwykły. W miarę zgrabny, w miarę wesół i ciekawy, był za to nad miarę poufały i przywiązany.

Młodym jeszcze chłopakiem zabrał go profesor z rodzicielskiego zaścianka z puszczy litewskiej. Śmiały i sprytny, zżył się prędko z nowymi warunkami. Nauczył się obcego języka i nieznacznie stał się niemal prawą ręką młodego uczonego.

Lat czternaście przerobiło bezpretensjonalnego chłopca na zaufanego laboranta w muzeum i stałego towarzysza wycieczek naukowych, zarazem lokaja, kucharza, sekretarza i troskliwego opiekuna swego profesora. Czyścił on buty, smażył w podróży befsztyki, składał i sklejał kości, utrzymywał roczniki czasopism w porządku, a zarazem umiał dziesięć razy na godzinę sprowadzać na siebie mniejsze lub większe wybuchy niezadowolenia profesora. Pod tym ostatnim względem Stanisław mistrzem był prawdziwym. Drobnostką u niego było sklejanie połamanych kości niedźwiedzia jaskiniowego z odłatkami kości hieny, oddanie do oprawy dwóch czasopism pomieszanych ze sobą i utrzymywanie, że wszystko w porządku. O czynnościach zarówno pana, jak własnych wspominał najczęściej w liczbie mnogiej.

„Egzaminowaliśmy studentów”, „zapłaciliśmy krawca”, „odkryliśmy szkielety małp w Pikermi”, „udała się nam prelekcja” — wszystko dokonywało się w liczbie mnogiej. Profesor nie miał nic przeciwko takiej spółce, wszystko więc było w porządku.

Sprawiedliwość wyznać każe, iż posiadał niejakię prawo do poufałości, gdyż wiedza geologiczna niezupełnie była mu obcą.

W niej petrografia była najmocniejszą stroną Stanisława. Minerale złożone w muzeum, które z natury swych obowiązków często przynosił, odnosił i okurzał, zaciekawiły go zawsze niepomernie i stosunkowo dużo o nich wiedział. Umiał odróżniać wapień od dolomitu lub marglu. Znał rudy żelazne, miedziane, srebrne lub inne. Wiedział, co to porfiry i trachity, fluoryt i kryolit. Co to skały metamorficzne, jak kwarcyt, gnejsy i łupki krystaliczne. Łyszczki wzbudzały w nim zawsze podziw i za każdą nadarzoną sposobnością lubił zginać ich giętkie płyty niby tabliczki tektury.

Poza tym i paleontologia nie była całkiem obojętna naszemu zachowu, a to dzięki okoliczności, że lubił studiować napisy pod okazami wybitniejszych skamielin.

Uszy jednak puchły, gdy wymawiał nazwy grecko-łacińskie, przekrecone do niepoznania. Najmniej miał wiadomości z dziedziny geologii historycznej. Geodynamika* zaś była mu zupełnie obcą. Takim był Stanisław.

* Geodynamika albo: geologia dynamiczna — nauka o budowie skorupy ziemskiej, o siłach na nią oddziałujących i procesach zachodzących w niej i na jej powierzchni.

— Dzień dobry, milordzie! — odezwał się, gdy Anglik otworzył oczy.

— Dzień dobry! — mruknął ziewając Puckins.

— Jakże się panu spało? — począł Stanisław. — Ja tu już od dwóch godzin porządkuję minerały. O, widzi pan, jaki to ładny okaz zlepieńca wapiennego...

■— Zlepieniec wapienny? — wycedził z ponownym ziewaniem Puckins. •— Cóż to za diabeł?

— To jest, proszę pana, okruczowa skała, taka, co składa się z kamyczków spojonych przez masę mineralną. Skały, proszę pana, dzielą się na okruczowe i krystaliczne. Pierwsze są młodsze od krystalicznych, bo powstały z osadów na dnie wód. Dlatego nawet pan mój nazywa je osadowymi dla lepszego rozróżnienia od krystalicznych, które — jak porfiry, bazalty i trachity — są pochodzenia ogniowego. Ich to właśnie pokruszone cząstki tworzą główną masę skał zwanych osadowymi.

— Bardzo przyjemnym jesteś chłopcem — odrzekł na to Anglik i siadł na łóżku. — Mówisz jak z nut!

Stanisław wziął ze stołu drugi kamień i podał go lordowi.

■— To także okruczowa skała — wyrzekł z wzrastającym ożywieniem. •— Nazywa się piaskowcem, bo składa się z drobnego piasku kwarcowego. Są piaskowce, w których piasek spojony jest przez krzemionkową masę, taki zwie się krzemionkowym, są też spojone dolomitem albo marglem i takie nazywamy dolomitowymi albo marglistymi.

— W istocie? — zapytał lord spoglądając z zajęciem na służącego.

Stanisław odczuł, że czyni wrażenie na Angliku. Dorzucił też od niechcenia:

— My różnych piaskowców posiadamy całe szafy!

— Nie może być! — wycedził Puckins zaczynając się ubierać.

— Albo, proszę pana, co to za pyszny amonit*, czy pan kiedy widział równie piękny?

— Przyznam ci się w sekrecie, że nawet nie poznałbym się na jego piękności.

— Niech to pana nie wstydzi, milordzie. Trudno przecież znać się na wszystkim. Wydobyliśmy go wczoraj z jurskiego** wapienia. Jest go tu pełno. A nawet i innych skamieniałości nie brak. Nie wiem do¹ prawdy, gdzie my to pomieścimy, jeśli profesor uprze się wziąć wszystko, co zasługuje na zabranie.

¹ Amonit — drapieżny głowonóg kopalny. Patrz tablica na końcu książki: „Kronika życia minionych epok”.

** Jurski — w obecnej terminologii: jurajski.

— A gdzie pan? — zagadnął Anglik mając dosyć paplaniny poufalego famulusa.

— Poszedł! Albo on usiedzi kiedy w pokoju, a osobliwie gdy pogoda? Zawsze się gdzieś musi z młotkiem zawieruszyć. A wraca obładowany jak tragarz! Co ja mam potem roboty z układaniem w skrzynie tych wszystkich gnejsów, łupków, syenitów, fluorytów, kości i muszli skamieniałych, to niech Bóg broni! A za byle co zaraz bura! Niech się rozleci jaki „odcisk”, tak kruchy, że go zetrze w palcach, to na pewno nikt inny, tylko ja temu winienem.

— Gdzie pan poszedł i kiedy? — zapytał Anglik, rad już przerwać potok wymowy Stanisława.

— To pan nie wie? Toż to znalazł w nocy tę dziurę.

— Wiem!...

— A więc poszedł znowu do niej. Pewnie tam dotąd siedzi!

— Czemużeś mi tego od razu nie powiedział? — zawołał lord z nągłym ożywieniem.

— Alboż ja wiedziałem, że i pana ta niemądra szczelina może obchodzić!?

Lord Puckins już nie odrzekł. Ubrał się, jak mógł najprędzej i niebawem znalazł się na miejscu swego wczorajszego odkrycia.

Zastał nad jamą gromadkę Bośniaków. Paru ludzi leżało plackiem nad szczeliną i nasłuchiwało pilnie. Kilku innych rozprawiało i gestykulowało gwałtownie. Lordowi zdawało się, nie bez racji, iż ruchy znamionowały niepokój połączony z niechęcią. Wśród zebranych był i tłumacz lorda. Objąsnił on, że profesor mimo oporu zebranych odważył się zapuścić w podziemie i, lubo z trudnością, zdołał skusić obietnicą sutej zapłaty jednego z najodważniejszych zuchów, Basanisa.

Obaj od dwóch godzin znajdują się w czeluści piekielnej i pewno już życiem przyplacili zuchwalstwo.

Wszystko to prawil tłumacz, przejęty złowrogim przecuciem, a zebrani wieśniacy, choć nie rozumieli, dodawali liczne uwagi, którym towarzyszyły wymowne gesty zgrozy.

Nieprędko by się to skończyło, gdyby nagle jeden nie porwał się na równe nogi z okr7ykiem:

— Wracają!

Nie mylił go słuch wyrobiony. Po kilku minutach rozróżniono szmer i ludzkie głosy.

Puckins pochylił się nad otworem.

— Zwycięstwo! Raduj się, lordzie! — wołał z głębi ziemi geolog. — Szczelina prowadzi bardzo głęboko!

— Zdrajco! Porachujemy się, skoro wyjdiesz na wierzch! — wołał groźnie Anglik.



— Ja też nie myślę wychodzić — odezwał się profesor — dopóki nie dosięgnę dna przepaści...

— Dlaczegoś sam się wybrał?

— Spałeś lordzie, tak smacznie, że nie miał sumienia cię budzić...

— To zazdrość! Chciałeś pierwszy wstąpić w czeluść, ale spotka cię zasłużona kara!

— Cóż uczynisz?

— Nie odstąpię od jaskini, dopóki mi w ręce nie wpadniesz.

— Wybornie! Pojdę przeto głębiej. Może znajdę inne wyjście, a wtedy nie spotkamy się prędko.

— Czy nie zamierzasz, profesorze, powędrować do antypodów*? — zapytał Puckins,

— Byłbym najszcześniejszym z ludzi, gdyby mi się to powiodło!

— Więc szukaj innej drogi; tu jesteś moim więźniem.

Nadbiegł zadyszany Stanisław i usłyszał koniec rozmowy.

— Zapomniał pan, że ja tu jestem! — zawołał wesoło.

Anglik pochylił głowę nad otworem.

— Jak daleko byłeś, profesorze?

— Trzysta metrów pionowej głębokości! Teraz przemawiam z głębokości 150 metrów.

* Antypody — tak nazywa się mieszkańców przeciwległych punktów kuli ziemskiej (np. mieszkańcy Europy są antypodami mieszkańców Ameryki Północnej).

— A dobra też droga?
 — Jak dla much! — rozległ się wesoły głos z dołu.
 — Poczekaj na mnie.
 — Nic z tego!
 — Jak to? Czyżbyś śmiał, profesorze, pójść beze mnie?..
 — Naturalnie! Cóż ci za potrzeba, lordzie, narażać całość członków, a może i życie.
 — Skoro ty narażasz...
 — Ze mną inna sprawa. To mój obowiązek!
 — Wszak jestem praktykantem geologii, więc obecnie i moim także obowiązkiem.
 — Nie chcę! Gdyby ci się, lordzie, przytrafiło co złego, nie darowałbym sobie tego nigdy!
 — Zapewniam, że zawrotu na widok przepaści nie doznaję..
 — Nie ustąpię — odrzekł Leszek Przedpotopowicz. — Później może i owszem!
 — Za kogo mnie bierzesz, kochany profesorze? — odrzekł na to urażony Anglik. — Nie w takich ja bywałem mysich jamach. Na wyspie Jawie, gdzie wulkanów tyle, ile grzybów w lesie, zwiedziłem cztery nie znane przedtem kratery. Byłem także we wnętrzu ciągle wybuchającego Gunung-Guntur, straszego Gunung-Gelungung, który zniszczył już niejedną setkę wiosek, a nawet zmuszasz mnie do wyznania, że się nie uląkł wulkanu na wyspie Sumbawa.
 — Jak to? Zwiedziłeś okropnej sławy Temboro, który wstrząsnął całym archipelagiem indyjskim i okrył go popiołami? *
 — ■ Byłem na dnie jego krateru.
 — Przebac mi, mistrzu! — rozległ się ze szczeliny głos profesora. — Wyjdę zaraz i przygotujemy się do wyprawy.
 — Nie fatyguj się, profesorze, i czekaj! — krzyknął udobruchany Anglik. — Szkoda na próżno przemierzać pod górę i potem na dół sto pięćdziesiąt metrów najgorszej drogi. Sam przyniosę wszystko, co potrzeba. Jak daleko zamierzasz się zapuścić?
 — Jak można najgłębiej! — zawołał z mocą profesor.
 — To lubię! — odrzekł Anglik. — Tak przemawia prawdziwy badacz przyrody. Zatem żywności wezmę na dwa dni.
 — I oleju więcej do lampek! — rzekł geolog.

* Jego wybuch w 1815 r. należy niemal do największych, jakie historia zapisała. W okolicach Jawy, na morzu, wskutek deszczu popiołu, jaki padał po wybuchu, przez cztery dni nie widziano słońca. Na wyspie Lombok tyle spadło popiołów, że pokryły grunt na łokieć grubo i spowodowały głód, od którego zginęło kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, (przyp. aut.)

— Dobrze! Mam także drut magnezjowy i pochodnie!

— A jeśli szczelina prowadzi naprawdę aż do piekła?... — ośmielił się zapytać Stanisław.

— Niechby choć do kilku tysięcy metrów — odrzekł z zapalem geolog. — Przekonałbym się raz, kto ma słuszość: czy ci, co twierdzą, że wewnątrz jest rozpalona płynna lawa, czy też inni, którzy uważają wnętrze ziemi za zimną i zastygłą już bryłę.

— Szkoda, że człowiek nie jest przynajmniej z platyny.

— Zatem czekaj, profesorze! Najdalej za godzinę będziesz miał żywność, swoje narzędzia, drabiny sznurowe, światło i mnie.

— Dziękuję! Za tragarza i przewodnika pošlę ci, lordzie, Basanisa. On cię bezpiecznie na dół sprowadzi.

— O mnie, jak widzę, pan już zapomniał! — krzyknął Stanisław pochylając się nad czarną czeluścią.

— Nie zapomniałem, mój kochany. Ale zostaniesz na górze.

— Pan profesor wie dobrze, że my wszędzie bywamy razem.

— Bywaliśmy — poprawił geolog.

Przestraszony Stanisław poty prosił i zapewniał o swej wytrzymałości na gorąco i o zręczności, że uzyskał nareszcie pozwolenie na przyłączenie się do wyprawy.

Tysiąc metrów pod ziemią

Lord Puckins zawsze dotrzymuje słowa. Punktualnie w godzinę chciwy wrażeń Anglik spotkał się z paleontologiem na głębokości 200 metrów pod powierzchnią wąwozu. Termometr wskazywał 21 stopni Celsjusza. Dla upamiętnienia szczęśliwego zejścia, jako też ze względu, aby się Basanis nie podźwigał, opróżniono za radą lorda niezwłocznie butelkę szampana i w różowym nastroju zapuszczano się w mroczne głąbiny.

— Wcale tu nie za ciepło — zauważył Stanisław.

— Bardzo wierzę! Ale zmienisz zdanie, jeśli dojdziemy o 500 metrów niżej. Przyrost temperatury bywa wprawdzie w różnych okolicach ziemi niejednakowy. Zdarza się, że co 30 metrów przybywa jeden stopień, choć bywają miejsca, w których temperatura podnosi się o jeden stopień zaledwie co 80, a nawet 87 metrów, jak na przykład pod Liverpoollem.

— Jakież tutaj zauważyłeś przyrost, profesorze? — zagadnął Puckins.

— Na głębokości 300 metrów ciepłomierz wskazywał 23 stopnie, przybyło zatem 2 stopnie ciepła, co rozłożone na 100 metrów stanowi jeden stopień na każdych 50 metrach. Jest to przyrost mały, ale tym lepiej dla mnie, bo dojdziemy głębiej.

— Zatem w drogę, nie traćmy czasu. Ale gdzież teraz jesteście? Mówiłeś, profesorze, iż otaczały cię pokłady kredowe, a ja tu wcale kredy nie widzę.

— Pokłady noszące nazwę kredowych nie składają się z samej kredy do pisania. Występuje i ona wprawdzie często w różnych krajach, ale stanowi jeden z najmłodszych utworów epoki kredowej. Częściej są to skały zupełnie do kredy niepodobne. W jednych krajach — na przykład w Anglii, Francji, Niemczech północnych — przyłączają się do białej kredy pokłady szarych skał krzemionko-wapiennych, zwane opoką. Gdzie indziej kredowe utwory znane pod postacią piaskowca ciosowego albo wapienia pełnego muszli i koralii; jeszcze gdzie indziej, na przykład na Litwie, pod postacią gliny plastycznej. Tutaj znów, podobnie jak i w Karpatach, jest to zlepienie szarego, gruboziarnistego, znany pod nazwą piaskowca karpackiego.

Do tego wszystkiego dodać należy trafiające się w formacji kredowej nawet węgle kamienne, żyły asfaltu i rudy żelazne, wreszcie bryły krzemienia i fosforyty. Węgle kredowe, zwane wealdeńskimi — obficie znajdujące się w Niemczech — tworzą pokłady bardzo cienkie. Po większej części bardzo smoliste i powstały nie przez zbutwienie karliszcz (sigillarii) i lepidodendronów, jak węgle paleozoiczne, ale przez zwęglenie się dziś bardzo już nielicznych na ziemi sagowców i roślin szyszkowych.*

— I dlaczegóż to, proszę pana, pokłady jednej i tej samej epoki nie są jednakowe na całej kuli ziemskiej?

— Sądzę, że gdybyś się zastanowił, znalazłbyś sam odpowiedź.

— Posądza mnie pan niesprawiedliwie — odrzekł Stanisław. — Właściem się zastanawiał i nic mi z tego nie przyszło.

— Bo nie wziąłeś pod uwagę, że kredowe czasy trwały ogromnie długo, a czynniki wpływające na tworzenie się osadów kredowych nie były nawet w jednym i tym samym czasie jednakowe na różnych miejscach kuli ziemskiej. Wszak i wtedy były morza i lądy, góry i doliny, rzeki i jeziora. Czysto więc morskie warstwy powstawały obok lądowych, błotnistych lub słodkowodnych. Każdy zaś z tych utworów odznacza się sobie właściwymi cechami i skamieniałościami.

Podróźni nasi przy mdłym świetle lampek ruszyli na dół w milczeniu — aż doszli do jurskich pokładów. Przedpotopowicz poglądał po

Patrz tablica II: „Etapy ewolucji świata roślinnego”.

ścianach i co kilka minut czynił pomiary i notatki. Dziwiła go niezmierna grubość, a nade wszystko prawidłowość pokładów zarówno kredowych, jak jurskich. Minął grubą warstwą oolitycznych (ziarnistych) wapieni średniego piętra jurskiego, zwanego pospolicie jurą brunatną, i zatrzymał się wśród smolnych łupków dolnego piętra, zwanego czarną jurą lub liasem. Oblicze jego promieniało zadowoleniem.

— Jesteśmy otoczeni najstarszymi utworami jurskiej epoki. W ciągu pół godziny pogrążyliśmy się, że tak powiem, o miliony lat w przeszłość...

— W przeszłość?

— Nie inaczej. Jesteśmy w katakumbach świata jurskiego. Każda skamieniałość, każda nie skruszona jeszcze na proch skorupka mięczaka to wymowny dla nauki świadek... Podnieś lampkę, Stanisławie. Nad nami piętrzy się już 200 metrów jurskich pokładów. Oświeć je, a może zadrga dla nas, przy pomocy wyobraźni, w tych martwych resztkach zgasłe od milionów życie... Może ówczesne zwierzęta, gady na przykład, ukazać się nam tak pełnymi życia, jakimi niegdyś były, aby rozstrzygnąć spór nasz z przeciwnikami teorii rozwoju...

— Co słyszę? — zawołał lord Puckins. -- Byłżebyś pan zwolennikiem zbankrutowanej hipotezy stopniowego rozwoju organizmów?

— Jestem zwolennikiem teorii, o której, milordzie, wspominasz, ale o bankructwie jej nic nie słyszałem — odrzekł paleontolog.



— A to mię dziwi! Wszak już o tym wróble świergocą!"

— Wróble o wszystkim świergocą — odrzekł paleontolog — ale też dopóki tylko ptactwo gęga, świergoce i gdacze, wierzaj mi, lordzie, szkoda tego słuchać...

— I gęganie bywa pożyteczne! — przerwał Anglik. ■— Ocaliło niegdys Rzym.

— Dla prawd naukowych pozostanie ono obojętnym — dodał uśmiechnięty paleontolog.

— ■ Szczególnie dla takich, które zostały już pogrzebane przez nowsze odkrycia naukowe — odciął się Anglik złośliwie. — Ale bo też innego losu doznać nie mogła doktryna, której przeczą zdrowe zmysły. Jak to — ciągnął zapalając się Anglik — owca, żyjąca ziołami pastwiska, i wilk, który swe życie podtrzymuje tylko krwią i mięsem, miałyby być braćmi? Jak to: ciepłe futro niedźwiedzia miałyby być przeróbką wilgotnej skóry żaby lub łuskowatej karpia? A wśród roślin mech i grzyby krewniakami jabłoni i pomarańcz? Pasożytna huba drzewna i dąb, trujący szalej i smaczna malina miałyby być wszystkie potomstwem jednej i tej samej prarośliny?

— To wszystko możliwe! — odrzekł paleontolog.

— Ależ to jest absurd pozbawiony sensu! — zawołał z ogniem Puckins. — Dlaczegoż nie twierdzisz raczej, że ziemia się obraca od wschodu na zachód? Wszak wszystko można przypuścić, ale na szczęście nie każde przypuszczenie jest faktem! A właśnie faktem jest, że żadne środki nie zmieniają natury ani kształtu zwierząt i roślin. Lis i wilk, choćby chowane, zostaną zawsze lisem i wilkiem, sowa i po tysiącu lat nie zmieni się w orła, a z nasienia pokrzywy dąb nie wyrośnie. Szczygieł, choćby umieszczony wśród słowików, nie zostanie nigdy słowikiem!

— O takich metamorfozach nikt ze zwolenników teorii rozwoju istot organicznych nie myślał. Teoria, o której mowa, przypuszcza tylko zmiany drobne i niewidoczne w jednym lub kilku pokoleniach. Dopiero po upływie setek pokoleń stają się one wyraźne, a po upływie dalszych setek, a może tysięcy składają się na wytworzenie nowego gatunku...

— Dowcipne to wykroty, bo nikt tak powolnych zmian sprawdzić nie może. Powiadacie: potrzeba było bardzo długiego czasu, aby z jednej pary gadów wytworzyły się wszystkie gatunki gadów, aby z jednej pary ptaków wytworzyły się tysiące gatunków poczynając od kolibra, a kończąc na kondorze. Potrzeba by patrzeć przez tysiąclecia, aby zauważyć stopniowe i drobne zmiany, a na to życie nasze za krótkie. Ale te dowodzenia okazały się fantazją i upadły pod ciosami nowszych odkryć!

— Jakież to odkrycia pogrzebały teorię stopniowego rozwoju istot?
— Choćby mumie kotów wydobytych z grobów faraonów, które w niczym nie różnią się od kotów dziś żyjących. Ziarna ps: t-nicy sprzed czterech tysięcy lat, które są takie same, jak dziś zebrane. Gdzież więc dowód, że rasy się wyradzają w gatunki, a gatunki w rodzaje? Powiedz mi szczerze, profesorze, czy znacie choć jeden fakt, aby powstał nowy gatunek?

— Nie znamy! — odrzekł z prostotą paleontolog.*

— Cieszy mię, że podobnie ważne wyznanie słyszę z ust gruntownego badacza — odrzekł zdziwiony nieco Anglik — ale pytam, jak można wierzyć w teorię nie popartą ani jednym decydującym dowodem?

— Choćby nawet było, jak sądzisz, to wolałbym na mocy samego rozumowania wierzyć w teorię rozwoju aniżeli należeć do zwolenników „oddzielnych aktów stworzenia”,

— Bardzo mię dziwi podobny upór!

— A jednak to proste. Kto odrzuca teorię rozwoju z powodu, że fakty przemawiające za nią nie są dość liczne, ten zapomina, że dla poparcia własnego poglądu nie posiada ani jednego faktu!

— Nie rozumiem cię, profesorze!

— Zmuszasz mię do jasnego postawienia kwestii wielce drażliwej. Czy masz, lordzie, choćby przybliżone do prawdy pojęcie o tym, jak został „stworzony” gatunek, jak się on dostał na świat ziemski?

Tak zagadnięty Anglik umilkł nie wiedząc, co ma odpowiedzieć. Z zakłopotania wyprowadził go paleontolog.

— ■ Wcale ci nie mam za złe, milordzie, tego, iż nie jesteś w stanie pojąć ani objaśnić stworzenia choćby jednego gatunku, bo nikt z nas nie ma o tym pojęcia. A dlaczegóż wymagasz od nas, abyśmy dowiedli, jak się odbywa przemiana gatunku, skoro nie masz pojęcia, jak się stwarza gatunek?... A teraz posłuchaj jeszcze chwilę, milordzie. Na ziemi żyje obecnie paręset tysięcy gatunków roślin i 270 tysięcy zwierząt. Dodawszy do nich gatunki wygasłe, których małą zaledwie część, bo tylko 50 tysięcy, znamy, możemy śmiało oznaczyć liczbę gatunków, które żyją lub żyły na ziemi, na kilka, dajmy na to: jakie 5 milionów. " Któraż to teoria pochodzenia tych 5 milionów gatunków będzie prawdopodobniejszą? Czy twoja, która każe przyjąć 5 milionów oddzielnych „aktów stworzenia”, czy też moja, która objaśnia, że wskutek ciągłych drobnych zmian pod wpływem licznych bodźców

* Dziś stwierdzone zostały już fakty powstawania nowych gatunków z dawnych.

** Obecnie znamy już znacznie więcej gatunków zarówno wymarłych jak żyjących.

wszystkie istoty powstały stopniowo z bardzo małej liczby pierwotnych typów?

Lord Puckins, uderzony logiką rozumowania przeciwnika, powtórnie umilkł, ale znać było, że nie dawał za wygraną.

Była to natura niepodległa i pomimo młodzieńczej chciwości wiedzy o zdeklarowanym poglądzie na świat i wspaniałe jego zagadki. Profesor pierwszy raz miał sposobność przekonać się o tym, pierwszy raz też zarysowała się sprzeczność zapatrywań tych dwóch ludzi.

— Sprowadzacie więc wszystko do kilku pierwotnych typów. Dobrze! Ale czy też możecie objaśnić, skąd się te typy wzięły?

— Niestety, o tym na równi z wami nic nie wiemy — odrzekł geolog.

— Więc stoicie bezradni wobec wielkiej tajemnicy stworzenia.

— Stoimy na równi z wami w obliczu najwspanialszej zagadki * — potwierdził spokojnie Przedpotopowicz.

— I nie możecie zaprzeczyć przynajmniej jednego aktu stworzenia, jeśli nie kilku!

— Powiedziałem ci już, że pierwsza siła, która tchnęła życie w świat nieograniczony, jest dla nas tajemnicą. Tajemnicy tej nie dotykamy słabym rozumem naszym i korzemy przed nią czoła.

— A zatem dziwię się, dlaczego przyjmując jeden, wahacie się z przyjęciem licznych, oddzielnych aktów stworzenia. Jeden cud czy tysiąc lub milion cudów nie stanowi różnicy. Wobec jednej tajemnicy, jednego aktu wszechmocy Stwórcy cała wasza teoria staje się bezsilną i bezpotrzebną!

— Ależ i ty, milordzie, nie objaśniasz nic zgoła wymawiając wyraz „cud” lub „akt stworzenia”. Ty tylko zaprzeczasz nie opierając zaprzeczenia na żadnym fakcie. Powtarzasz tylko: wszystko u Boga jest możliwym.

— Tak jest!

— ■ W takim razie nie jesteś, milordzie, logicznym. Dlaczego uważasz za niemożliwą i niedorzeczną teorię rozwoju, która nie przeczy wszechmocy Boga, a ma za to tę dobrą stronę, że jest prostą i zawiłane zjawiska przyrody czyni zrozumiałymi?

Któreż z dwóch przypuszczeń jest lepsze: czy to, które nic nie daje

* Obecnie stosunkowo najlepszą hipotezę powstania życia na ziemi dał Aleksander Oparin, wskazując, że wiele ciał o charakterze koloidalnym znalazłszy się w wodzie łączy się w niewielkie kropelki, które z kolei mają tendencję do pochłaniania innych związków z otaczającego roztworu. W ten sposób, przypuszcza uczonego, właśnie jako taka kropelka złożona z różnych białek, powstała grudka plazmy podstawowej substancji żywych komórek. Dalszy rozwój szedł już w kierunku wytworzenia komórki, a później przekształcenia ich kolonii w organizmy tkankowe roślinne lub zwierzęce.



i nie usiłuje nic objaśnić, czy inne, które ściśle określa wspaniałe zagadki świata? Gdybyśmy ograniczyli się tylko do wykazania, że gatunki mogą powstawać z innych przez odpowiedni szereg zmian, uczynilibyśmy już stokroć więcej aniżeli nasi przeciwnicy — ciągnął dalej profesor porwany zapalem. — A myśmy dowiedli więcej! Dowiedliśmy już, że każdy gatunek jest zmienny, że przeniesiony do nowych warunków powoli zmienia swój ustrój i przystosowuje się do nich tak dobrze, iż w końcu stają się one dla niego normalnymi. Cały świat jest właśnie polem działania podobnych wpływów przekształcających i każdy je może obserwować. Zbyt dużo zresztą byłoby w tej materii do powiedzenia i dlatego porzucmy lepiej drażliwy temat. Widzimy wszędzie dowody, że na pozór zupełnie niepodobne do siebie rzeczy, rzeczy bardziej od siebie różne aniżeli jaskółka od słonia, aniżeli nawet roślina od zwierzęcia, mogą mieć wspólny początek. Przez szereg niewidocznych zmian koło zmienia się w elipsę, elipsa na parabolę, parabola na hiperbolę. Każdemu wiadomo, że wszystkie te linie krzywe można otrzymać przecinając pod różnym kątem jeden i ten sam stożek.

Czy jednak rozważając w oderwaniu koło i hiperbolę można by przypuścić, że są ze sobą pokrewne?

Czy można by wyrzec, że wypływają jedno z drugiego przez nieskończony szereg zmian drobnych?

Wszak koło jest jednakowe we wszystkich swych częściach, hiperbola zaś nie ma dwóch części podobnych do siebie! Jedno jest przeciwieństwem drugiego, a jednak od jednego do drugiego istnieją formy przejściowe tak mało różne, że sąsiednich form żadnymi narzędziami nie odróżnisz!

— Okropny z ciebie człowiek, profesorze. Jak się uweźmiesz, to z białego zrobisz czarne!

—/Nie, milordzie, ja tylko przywołuję na pomoc logikę, przypominam, że przeczenie nie jest przekonywaniem, a burzenie budowaniem.^

Od pewnego czasu rozpoczął się w umysłach ruch dziwny. Dąży on do zdyskredytowania nauki w oczach tłumów, które jej jeszcze nawet nie poznały, do stłumienia światła w imię idealizmu czy źle zrozumiałego krytycyzmu.

Stało się naraz modą ogłaszanie bezsilności ścisłej wiedzy, sportem — gołosłowne i brutalne napadanie na naukę, głoszenie nawet, że jest szkodliwą. Mój Boże, alboż światła może być za dużo?! I jeszcze w naszych warunkach, gdy tak niewiele promyków oświeca nasze drogi ku prawdzie!

A jednak potrwa to czas jakiś, bo zgubny a łatwy sport stał się modą, bo wreszcie stał się geszeftem dla kameleonowych krzykaczy o mocnych płucach a słabych głowach, bo lenistwo umysłowe szerszych tłumów sprzyja bujaniu wszelkich chwastów...

Ci nareszcie przyszli do głosu i nie umilkną, dopóki nie zachrypną; ale przeminie i to, jak każda moda, jak każdy kaprys, a poważna wiedza, to duchowe słońce ludzkości, nie przestanie jaśnieć nad nią zawsze jednakowo poważne, zawsze dalekie od zgiełku drobnych interesów i namiętności... Co tu dużo mówić? Jeśli jest źle na świecie, jeśli jest dużo brudu, przewrotności, zezwierzęcenia — przecież nie wiedza tego źródłem ani żadne teorie. Zło i głupota są starsze od wszystkich naukowych teorii!...

Profesor Przedpotopowicz stracił poczucie, gdzie się znajduje i do kogo przemawia, taki ogarnął go zapał w obronie ukochanej nauki. Znać było, że mówi, co czuje i gotów bronić swej nauki do upadłego.

Lord Puckins patrzył nań przez chwilę z ciekawością, wreszcie pochwycił go za rękę.

— Nie wiedziałem, profesorze, że cię tak wzburzę — przemówił ściskając dłoń uczonego. — Przebac mi mimowolną napaść na twoją naukę. W gruncie rzeczy zdaje mi się, że walczymy o niepochwytny cień. Zawrzyjmy już pokój i wracajmy do rzeczywistości.



Nieznajomy zblżył się spiesznie do lorda, wznosił kapelusz i siłc się na wesołość zawołał... (str. 30)

Długiej chwili trzeba było, żeby Przedpotopowicz ochłonał, ale też skoro to nastąpiło, rad w duszy z triumfu — mimo przykrych drogi — wpadł w dobry humor.

— Przebacz profanowi, że zapytują o rzeczy stanowiące zapewne abecadło w waszej nauce, i racz mię objaśnić, czy ta formacja na całej kuli ziemskiej posiada takie same uwarstwowanie i taką grubość? — zapytał Anglik.

— ■ Bynajmniej. Podobnie jak to wspomniałem o kredzie, osadzały się w różnych czasach i miejscach niepodobne do siebie warstwy — zależnie od współczesnych warunków. Nie wszędzie nawet dochowały się. W wielu miejscach są one cienkie lub szczątkowe, a na znacznych obszarach skorupy zupełnie ich brak nawet.

— Czemże się to dzieje?

— Bo geologiczne warstwy ziemi to istotne numizmaty. Podobnie jak z każdego tysiąca dawniej błyszczących szelągów dotrwało do dziś zaledwie parę wytartych i od rdzy zjedzonych, tak samo osady raz nagromadzone podlegały i podlegają dotąd bezustannie niszczącym lub przetwarzającym wpływom ciepła, ciśnienia i powietrza. W jednych okolicach zostały tedy doszczętnie splukane, w innych dochowały się wprawdzie, ale najczęściej rozmaicie przetworzone, pogięte i połamane, a nawet skryształizowane w części. Nie zapominajmy i o tym, że warunki osadzania się nawet współczesnych pokładów były na różnych punktach ziemi w najwyższym stopniu rozmaite.

Cóż dziwnego, że w jednych miejscach dochowały się te osady w kilkusetmetrowej grubości, gdy w innych, przy mniej sprzyjających okolicznościach, ta sama epoka zostawiła po sobie słabe ślady.

— Chodźmy już dalej! — naglił Anglik, —• Może niżej zobaczymy co ciekawszego.

Usłuchano wezwania i czterech ludzi posuwało się znowu w głąb ziemi nierównym i ciasnym sklepem skalnym. Upłynęło z pół godziny schodzenia przy pomocy nóg, rąk, pleców, lin i drabinek. Profesor, któremu fizyczny wysiłek zgoła nie paraliżował dzielności komórek mózgowych, przyjrzał się bacznie ścianom skalistego wąwozu, poskrobał, roztarł szczątki w palcach i ogłosił uroczyście, że opuszczono granice triasu.

— Co to znaczy? •— zapytał sługa.

— To znaczy, że dostaliśmy się już w otchłanie świata paleozoicznego. Wraz z triasem opuściliśmy okres mezozoiczny, który odpowiada wiekom średnim w dziejach ziemi. Teraz zagłębiamy się w wieki starożytne ziemi, znane w nauce pod nazwą okresu paleozoicznego...

— Ciepło się robi — zauważył Stanisław.

— Bo też jesteśmy już na głębokości 750 metrów. Mamy 33 stopnie Celsjusza.

Wśród urywanej gawędy ani się opatrzone, jak temperatura podniosła się znowu o 3 stopnie, co odpowiadało 150 metrom pionowego zniżenia się pod powierzchnią. Turyści znaleźli się w czerwonej czeluści piaskowca permu i w tych pokładach, przeplatanych cienkimi warstwami miękkiego, czerwonego łupku lub wapienia dolomitowego, a nawet wśród warstewek węgla permskiego doszli cokolwiek niedogodnym i chropawym kominem aż do głębokości 1000 metrów. Tutaj zatrzymano się i urządzono popas.

Po należytych odpoczynku zapuszczono się znowu w otchłań i dość łatwo znaleziono się wśród potężnych skał formacji węglowej.

Co by ryby myślały, gdyby rozum miały?

— Wiesz, lordzie, ja bym te wrota nazwał piękniejszym mianem, aniżeli noszą, na przykład „rajem geologa"! — wołał profesor w zachwycie.

— O tak — dodał Anglik — zupełnie jakby ziemia, zwykle zazdrośnie ukrywająca swe skarby przed okiem człowieka, otwarła nam tu gościnne podwoje i zapraszała do podziwiania swych tajników!

Stanisław pogrążył się w myślach sprzecznych ze zdaniem profesora. „2eby ziemia tak bardzo gościnna była, tego nie powiem — myślał sobie. — Podrapałem już na nic ręce, a guzów mam więcej, aniżeli ich posiada cała moja garderoba..."

— Przypomina mi się tu wędrówka na dnie czarujących kanionów porzecza Colorado — rzekł Anglik.

— A mnie — dorzucił Stanisław — spacer po bośniackim gościńcu o zmierzchu, gdy już nie widać jam, w których można od razu wszystkie kości połamać.

— Dochodzimy już do granic epoki węglowej, krok tylko dzieli nas od dewonu.

— Na tym się nie znam ■— odrzekł z powagą Stanisław — ale za to czuję wyraźnie zapach nafty czy też smoły ziemnej.

— Powonienie objaśnia cię o bliskości dewońskich warstw olejonośnych*. Popatrz na te ciemne plamy i pręgi na ścianach. To są gniazda

* Autor ma tu na myśli warstwy zawierające ropę naftową. Dotyczy to również określenia: „surowa nafta".

i żyły węgla kamiennego. Zawierają one i wywiązują niewyczerpane bogactwo płynnych i lotnych związków węglowodorowych. W niektórych punktach ziemi węglowodory owe w postaci surowej naitii oraz gazów palnych wytryskują podziemnymi szparami aż na powierzchnię ziemi.

— Powiadasz, profesorze, że jesteśmy w dewonie? — zapytał Anglik.

— Jeszcze nie, ale lada chwila zejdziemy! — odrzekł geolog.

— Czy nie mógłbym prosić cię, profesorze, abyśmy tam urządzili przystanek?

— I owszem! Jeśli ci to uczyni przyjemność.

— Wielką nawet.

— Ruszajmy tedy — zakomenderował geolog.

I czwórka nasza poczęła się opuszczać niewygodnym kominem w tajemniczą czeluść. W milczeniu dosięgli szczupłej platformy i na tym progu zatrzymano się dość wygodnie.

Teraz Anglik ukłonił się z wyszukaną uprzejmością profesorowi.

— Ani myślałem, że będę miał szczęście powitać pana tak prędko w mojej ojczyźnie, w rodzinnym gnieździe! — zawołał Puckins uśmiechając się.

Przyrodnik z niepokojem spojrział na Anglika.

— Co pan mówisz? Jakim sposobem?

— Dla tej racji, że Puckinstone, moje rodzinne gniazdo, leży właśnie w hrabstwie dewońskim *.

— A ja sądziłem, żeś pan już dostał gorączki — zauważył profesor.

— I do tego wkrótce przyjdzie! Jesteśmy jak w łaźni.

— W istocie trochę za ciepło — dodał geolog.

— Obawiam się, abyśmy się nie udusili w tej atmosferze, albo nie wzniecili pożaru, co zresztą wyszłoby nam na jedno...

— Nie ma obawy pożaru! — przerwał żywo paleontolog. — Nafty zaledwie słabe i nieszkodliwe ślady. Za to czuję się tu jak w katakumbach pełnych tajemniczości. Otaczają nas już prochy świata niezmiernie dawnego. Podczas gdy osadzały się cał po calu te grube pokłady, nie było zwierząt czworonożnych. Królami naszej planety były skrzeklowce, to jest ryby (*Pisces*). Życie zwierzęce ograniczało się do oceanów, a w wiecznie zamglonych puszczech kalamitowych, skrzypowych oraz iglastych nie znalazłbyś ani jednego zwierzątka, ani jednego ptaszka. Nawet motyl o tęczy barwach nie migotał jeszcze, ani złota pszczołka nie zbierała słodyczy z kwiatów, bo i tych nie było.

Lord Puckins przerwał mu nagle.

* Hrabstwo dewońskie (Devonshire) — hrabstwo w Anglii, gdzie po raz pierwszy odkryto warstwy geologiczne charakterystyczne dla dewonu.

— Ryby królami? To nie podobna!

— Tak było!

— Ależ w takim razie niestęchanie mizernym musiał być świat ziemski.

— Biednym był niezaprzeczenie, ale tylko w naszym, wyższym pojmowaniu, ponieważ już znamy doskonalsze warunki życia. Nie trzeba jednak do wszystkiego przykładać własnej miarki. Jestem pewien, że gdyby dewońscy mieszkańcy głębin morskich umieli myśleć i oceniać podobnie jak my swoje warunki z własnego, a więc ograniczonego punktu widzenia, wtedy żadna rozsądna ryba nie wymyśliłaby dla siebie lepszych warunków nad żywot w morzu. Co najwyżej zapragnęłaby, aby w tym idealnym morzu zabrakło jej wrogów, a karmy za to był dostatek. Dopiero chyba jakaś „niedowarzona” ryba-poetka zdobyłaby się na marzenia o życiu w jakiejś lżejszej od wody atmosferze, w powietrzu.

— Oryginalne czynisz porównania! — zaśmiał się Anglik.

— Co więcej: gdyby ryby miały ludzką inteligencję, uważałyby wówczas cały ocean za swój własny, a nawet mniemałyby, że świat został dla nich stworzony.

— Dlaczego położyłeś nacisk na wyraz wówczas? — spytał Anglik.

— Bo wówczas byłyby nawet poniekąd konsekwentne, choć nie przestałyby być śmieszne — odrzucił paleontolog. — Wszak w istocie cała kula ziemską dźwigała ocean będący ich światem, deszcze padały po to, aby nasycić wodę mikroskopowymi pęcherzykami powietrza, potrzebnego im do życia, nawet słońce dla nich, a nie dla kogo, oświecało mroczne głębiny...

— Miał słuszność Muchołapski nazywając cię poetą — wycedził kwaśno lord Puckins.

Przedpotopowicz nic na docinek nie odrzekł.

— Jestem pewny — ciągnął — że ówczesna „trzeźwa” ryba nazwałaby także poetą tego, kto by jej na przykład dowodził, że można bardzo przyjemnie żyć poza obrębem wody na suchym dnie morskim, mieć nogi zamiast płetw i igrać na zielonej murawie. Nazwałaby półgłówkiem tego, kto by jej dowodził, że to jest przyjemnie mieć skrzydła okryte barwnym pierzem i fruwać lekko z gałązki na gałązkę, świergotać mile wśród wonnego kwiecia... Ówczesna trzeźwa ryba uważałaby nadto za skończonego głupca śmiałka, który by dał jej do zrozumienia, że wszystkie ryby bez wyjątku są bardzo ograniczonymi istotami. Gdyby na dobitkę ten ktoś prawić im zaczął o zwierzętach, które po nich będą stworzone i oddychać będą wyłącznie samym powietrzem, gdyby wspomniał o człowieku, który zamieszka w przyszłości ziemię, o jego

dzielach, o rozumie, wynalazkach, uznałyby opowiadacza wprost za niebezpiecznego wariata...

Lord zaciął wąskie usta i patrzył drwiąco a uporczywie na pro esora.

Ostatni nie dostrzegał tego i ciągnął swoje.

— Jak to? — wołałyby chórem obywatelki morza — czyż jest choć odrobina sensu w twierdzeniu, aby było możliwym życie w próżni, która otacza oceany? My się dławimy w tej próżni wyskakując z wody na kilka sekund zaledwie, a ten szaleniec utrzymuje, że można urodzić się i egzystować poza obrębem wody! Niechże nam pokażą taką istotę! I zwyciężyłyby owe sceptyczki, bo takiej istoty na całej kuli ziemskiej jeszcze nie było. Albo człowiek! Toż to wytwór najbardziej chorobliwej imagacji! Takich stworzeń nie ma i być nie może. Aby być czym więcej od ryby, trzeba by być istotą nadprzyrodzoną! I wyznam ci, lordzie, szczerze, iż nie śmiałybym się z takiej ryby. W jej biednej skąpomózgiej głowie nie mogły się zmieścić pojęcia o doskonalszej organizacji, o człowieku, który dziś króluje na ziemi.

Lord Puckins nie wiedział, czy gniewać się na uczonego, czy pokryć niezadowolenie milczeniem.

— Podkreśliłeś, o ile mi się zdaje, wyraz dziś.

— Bo w istocie dziś człowiek króluje na ziemi.

— Dziś tylko?

— Dziś króluje on bezspornie! — powtórzył krótko geolog.

— A jutro?

— Odległe jutro nie należy do nas — odrzekł poważnie Przedpotopowicz.

— To prawda — potwierdził Anglik. — Nic wiecznego pod słońcem. Przyjdzie czas, gdy nas nie stanie, a ziemia toczyć się jeszcze może w przestworzach. Ale też wtedy będzie ona przeżyta i martwa niby trup, z którego uleciała dusza.. Będzie pustą łupiną, która wydała już owoc i spełniła cel swego istnienia.

— Proszę! A skąd pewność, że po nas musi już zostać głucha pustka? — żywo zapytał geolog.

— Bo z wygaśnięciem ducha pocznie się już śmierć ziemi.

— ■ A czyż duch nie może już po nas gościć na globie ziemskim?

Anglik się zdziwił.

— Po nas? Gdy ludzkości nie stanie?

— Nie wydaje mi się to niemożliwym. Alboż my mamy prawo uważać się za ostatnie słowo kreacji ziemskich?

Puckins nie umiał się zdobyć na razie na odpowiedź. Z oburzenia język odmówił mu posłuszeństwa.

Spostrzegł to profesor i żał mu się zrobiło pysznego króla stworzenia.

— Widzę z przykrością, że zaawanturowałem się nieco — wyrzekł. —

Nie powinienem głosić tego, co sprzeciwia się rybiej logice, przepraszam, omyliłem się znowu!

Anglik odzyskał teraz utraconą równowagę. Zaśmiał się z ironią i pokiwał swą lordowską głową.

— Oddajesz się, profesorze, mrzonkom i śmiesznym przypuszczeniom. Nie licują one bynajmniej z powagą nauki, której służysz. Otrząśnij się tylko z uprzedzeń, a ujrzysz w nas ucieleśniony ideał Stwórcy! Większego nie pragnij na ziemi!

Geolog z kolei obrzucił poważnym spojrzeniem postać Anglika.

— Pycha przemawia przez ciebie, milordzie, ta sama, która straciła aniołów i stworzyła piekło. Tobie, widzę, imponuje nasza powłoka, wydaje ci się piękną i jedynie godną na mieszkanie dla ducha, ale po stokroć jesteś w błędzie! Tobie się może zdaje, żeś już zerwał wszystkie nici, które cię łączą z otaczającą przyrodą. Ale po stokroć jesteś w błędzie. Wszystkimiś jeszcze przykuty do tego poziomego łańcucha...

— Profesorze! Pamiętaj, żeśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Boże!...

Przedpotopowicz uśmiechnął się smutnie.

— ■ Milordzie! I ja w to wierzę, ale podobieństwo Bogu odnoszę do ducha naszego, nie zaś do mizernego i brudnego ciała, które jest proch tylko, bo z prochu powstało, według praw od wieków nakreślonych przez Stwórcę. Muszę ci, lordzie, przypomnieć, że ciałem, to jest polową siebie, należymy do prochu ziemi, że wszystkie kości naszego szkieletu zbudowane są według wspólnego z pozostałym światem pierwowzoru...

— To nie dowiedzione!

— Przeciwnie, to nie potrzebuje nawet dowodzenia. Wszystkie zdobyte nauki stwierdzają, że organizm nasz dalekim jest od jakiegokolwiek doskonałości lub odrębności w przyrodzie ziemskiej. Że tedy nie dzięki urojonej jakiejś doskonałości, ale raczej pomimo całej małości ciało nasze stało się siedliskiem najwyższych dotąd na ziemi uzdolnień. Przyznasz chyba sam, milordzie, że przez swoje ręce, nogi, oczy, zęby lub włosy nie nabył człowiek żadnych praw do wielkich przywilejów, które są jego udziałem. Ciało kała nas tylko, a nie podnosi. Milordzie! Wierzaj mi, że nie potrzebowalibyśmy walczyć z ciałem, gdyby ono harmonizowało jak należy z wyższym pierwiastkiem. A my walczyliśmy przecież! I ciężko walczyliśmy.

Mnie się wydaje po prostu, że wysokie uzdolnienia rozkwitły w człowieku bez względu na liczbę, kształt i proporcję członków naszego ciała.

I to jest już wielkim, cudownym zjawiskiem, ale niech nam nasza dostojność nie przewraca w głowie. Ród ludzki stanowi zapewne ostatnią i najwyższą gałązkę drzewa kręgowców, którego pień wydawał

długo sam liście, aż wreszcie ozdobił się kwiatem o cudownych własnościach. Skąd jednak pewność, że jesteśmy już najpiękniejszym i najdoskonalszym kwiatem, jaki ziemia zdolna wydać, żeśmy dość idealni na ostateczną koronę ziemi?

Słowom tym zawtórował nagły trzask głuchy i syczenie, a wraz z tym okrzyki dobywające się z dwojga płuc.

— Co się tam stało? — zawołał Anglik przerywając dysputę — zdaje się, że jakieś nieszczęście.

Gorąca przeprawa

— Oj, nieszczęście, nieszczęście! — wołał rozpaczliwie Stanisław nadbiegając z syczącym przedmiotem, który oburącz niósł przed sobą.

— Co się stało? Mów prędko! — zawołali pogodzeni nagle przeciwnicy.

— A to wino się leje! — krzyczał sługa i podał butelkę, z której uchodził szampan i obfitą strugą pienił się po kamieniach.

— Stłukłeś, niezgrabiaszu! Dawajże prędeż, niech się choć cokolwiek uratuje. — To mówiąc podał profesor pośpiesznie pękniętą butelkę Anglikowi, który sprawdził, że wina będzie jeszcze na dwie szklaneczki.

■— To samo tak strzela! — biadał Stanisław. — Już druga poszła na nic. W tym piekielnym gorącu nic nam nie zostanie!

Snadź w złą godzinę wymówił fatalne proctwo, bo znowu dał się słyszeć trzask i ostatnia butelka sprawiła suty prysznic plecom Basanisa.

— Dawać ją tu! — krzyknął Anglik i z zadziwiającą przytomnością umysłu wydobywał płaską szklanę podrózną. Niebawem jedyna szklaneczka uratowana z całej butelki oświeżyła zaschłe gardło przyjaciół. Osuszono następnie uratowane pół butelki i po tym niemiłym intermezzo siły i animusz przeciwników nie tylko nie osłabły, ale wzmożyły się nawet. Anglik pierwszy powrócił do przerwanej dysputy.

■— Prawieś, że nasza cielesna doskonałość jest złudzeniem. Ciekaw jestem, o jakim ty ideale marzysz na ziemi. Czyż ci nie dosyć cudów, które w człowieku się urzeczywistniły?

— Ziemskiego ideału nikt przewidzieć nie zdoła!

— Profesorze! Wspomnij na skarby ducha, na skarby piękna i dobra obficie rozlane w naszym rodzie...

Paleontolog gorzko się uśmiechnął.

— Jeżeli kładziesz na szalę brylanty natury ludzkiej i ołśniewasz się

ich blaskiem, to pozwól mi rzucić na drugą niezrównane podłości, okrucieństwa i niskie instynkty, w których nasz naród prześcignął stanowczo wszystkie, ale to wszystkie zwierzęta, a wtedy zobaczysz, jak mało w nas lepszego pierwiastku, jak mało jeszcze ducha, a jak za to wiele zmysłowego zwierzęcia, doprowadzonego częstokroć do potęgi! Dziewięć dziesiątych ludzi zużywa dotąd swe ludzkie uzdolnienia na zadawalnianie głównie najniższych popędów. Wspaniałe zaiste korony stworzenia!

— Niepoprawnym jesteś pesymistą! — syknął Anglik. — Z bólem muszę przyznać, że masz trochę słuszności. Ale przecież ród nasz wiecznie nikczemnym nie pozostanie! Zadatki dobra, które w sobie nosi, rozrosną się niebawem i przygłuszą chwasty. Człowiek wtedy ze zgrozą spojrzy na dawną nędzę i stanie się istotą na wskroś szlachetną i uwielbienia godną.

— Sam przyznałeś, lordzie, że człowiek musi dopiero odmienić się i udoskonić, jeśli ma stanąć na wyżynach, które już przeczuwamy. Otóż posłuchaj mnie, dumny królu ziemi. Jeśli mimo całą niskość naszą przeczuwamy świat lepszy i tęsknimy doń — już on nie może być mrzonką, ale musi być piękny, wielki i wprost niedocieczony dla słabego umysłu naszego.

Może być bardzo, że jesteśmy już w progach tego świata wyższego, temu nie będę przeczył, ale i to mi się zdaje pewne, że kajdany naszej cielesności nie puszczą nas jako ludzi zbyt wysoko...

Człowiek nie wytrzyma nadmiaru ducha, ideału, podobnie jak ryba nadmiaru powietrza... i musi ustąpić miejsca innym albo, jeśli zdoła, musi się jak ryba z gruntu przetworzyć.

— Moim zdaniem przetwarzanie zupełnie jest niepotrzebne ■— wyrzekł oschle Puckins. — Patrzysz dopiero na początki ludzkości, profesorze, a śmiesz wyrokować o losach całości! Czyż nie widzisz, jak szybko wznosimy się ku szczytom? Przypomnij sobie Weddów, brudnych Andamańczyków, bez śladów wstydu i religii, Buszmenów i Australijczyków, jedzących padlinę. Porównaj te biedne kreatury, te serca i mózgi ubogie z sercami i mózgami tych, których czcimy, którym stawiamy pomniki w sercach swoich. Cóż może nastąpić, gdy o jeden szczebel pójdziemy wyżej? Wtedy każdy z ludzi będzie może igrać z trudnościami wyższej matematyki, każdy będzie rozumiał Kanta, Leibnitza i Hoene-Wrońskiego. Pytam, gdzież wtedy wznieść się mogą umysły wyższe spośród wyższych? Ogarną one prawdy utajone przed największymi z naszych myślicieli, prawdy jasne jak słońce, których się dziś ludzkość nie domyśla!... I to wszystko może się obejść bez radykalnych zmian w organizmie ludzkim, podobnie jak się dotąd obywało.

— Znów widzę, że mię fałszywie pojmujesz — przerwał mu Przedpo-

topowicz. — Ja jeszcze wyżej, a raczej dalej patrzę. I ja wierzę, że tkwi w nas pierwiastek, który stawia nas niesłuchanie wyżej ponad zwierzęta. I ja wierzę, że ludzkość nie stanęła jeszcze u mety, wierzę, iż dojdzie jeszcze do udoskonalenia, o jakim dziś pojęcia mieć nie możemy. I ja nie śmiałybym zakreślać mety dla naszego postępu oraz korzę się wobec wielkiej zagadki naszej przyszłości. I ja nie zaprzeczam możliwości względnego w naszym rodzie triumfu dobra i piękna, ale pewny jestem, że istnieje granica, poza którą nie przejdziemy. Że zaś z drugiej strony wierzę w możebność jeszcze wyższych ideałów i uzdolnień, przypuszczam przeto, że możemy być tylko szczeblem w drabinie kreacji ziemskich. Nasza pozioma organizacja, powtarzam to jeszcze raz, nie puści nas zbyt wysoko... Daje ona nam przedsmak nieba, ale nas trzyma w prochu. Pozwala oglądać przez dziurkę od klucza daleki horyzont, ale wstąpić nań nie pozwala i prędkiej pod naciskiem potężniejszego ducha ciało nasze ulegnie zdruzgotaniu na podobieństwo kajdan, aniżeli wzniesie się do wyższych a zupełnie jednak możliwych warunków bytu. Zbyt ono jest poziomym i materialnym, aby służyć mogło za godne mieszkanie wyższemu duchowi.

— Bawisz się w metafizykę, panie marzycielu. I ja jej nie odrzucam, ale zachodzisz, mym zdaniem, w niej za daleko... I ja zgadzam się, profesorze, na możliwość jakichś wyższych, doskonalszych istot, ale domyślam się ich we wszechświecie, gdzieś... w eterach! Na ziemi, daruj, ale nie umiem sobie wystawić nic godniejszego nad terażniejszego człowieka...

— To nie dowód! I ryby dewońskie nie wyobrażały sobie nic doskonalszego od siebie, a przecież jest na ziemi człowiek. Trzeba się wznieść trochę aspiracjami i zarazem upokorzyć, a wtedy łatwo się zgodzisz ze mną, że cała wiedza nasza o świecie jest względną i ściśle ludzką, bo opiera się na ograniczonych zmysłach naszych. Gdyby tylko te zmysły lepiej funkcjonowały, gdyby ich było więcej, gdybyśmy dłużej pamiętali albo dłużej żyć mogli, gdybyśmy mniej poziomych instynktów i namiętności nosili w łonie — o ileż lepsze byłoby nasze serce, o ileż głębszą i subtelniejszą stałaby się ta sama wiedza!... Cały poziom umysłowości naszej jest ściśle ludzki, tuzinkowy, zastosowany do naszych ułomności i brutalnych potrzeb. Jak my nędzni i zaślepieni! Nie zatałowaliśmy jeszcze nawet rubinowych strumieni krwi własną ręką wylewanych, nie stłumiliśmy jęków bólu i konania, a mówimy, żeśmy ideałem! Czyż po to Duch zstąpił na ziemię, aby się jego dzieci wiecznie płatały i mordowały, wiecznie w nieprawościach nurzały?

Czyżby się bez tych jatek i nędzy obejść nie mogło? Czyż ciągle ma się snuć na ziemi pasmo zwierzęcych namiętności i zbrodni? Nie! Po stokroć nie! Skoro nawet dzieci wyrosłe na tym pnium krwawym

czują, że powinno być inaczej, to już nawet na ziemi może być i będzie zapewne inaczej.

— Ale czy jesteś w stanie wyobrazić sobie typ choć cokolwiek odpowiedniejszy na ideał ziemski?

— Nie trudno o to! Pomijając idealne kreacje naszych poetów i malarzy jako niezgodne z wymaganiami rzeczywistości, można by nawet wśród naszego otoczenia znaleźć materiał na wyższe istoty. Weź pod uwagę choćby typ owadów. Są wśród nich gatunki, w stanie dojrzałym nie przyjmujące żadnych pokarmów albo osobniki nie znające nigdy, co to ojcostwo lub macierzyństwo. Popatrz choćby na bezpłciową „nijaką” pszczołę lub mrówkę i wystaw sobie, że węzły mózgowie tych istot wzrastają do stopnia potrzebnego do objawienia się wyższych uzdolnień...

— Profesorze! — wykrzyknął zgorzony Anglik.

Geolog uśmiechnął się z politowaniem.

— Nie byłoby to przecież większym cudem nad wytworzenie się istot obdarzonych wyższymi aspiracjami i uzdolnieniami na pniu poziomych kręgowców. Ale nie upieram się przy tym typie dla przykładu tylko pochwyconym. Czyż poza znanymi nam nie mogą kiedyś, kiedyś, gdy naszego rodu nie stanie, powstać inne, bardziej niespodziewane? Siła przetwórcza ziemi, a raczej światła i tu nie ma granic. W innych warunkach fizycznych powstać może zgoła nowy świat istot ożywionych. Wezmę jeden przykład. Wszak atmosfery stale ubywa. Kiedyś powietrze ziemskie stanie się znacznie lżejsze. Czyż w rzadszej atmosferze nie mogłyby żyć organizmy znacznie subtelniejsze od obecnych? Czyż nie mogą one być o tyle wyższymi od dzisiejszych, o ile wyższym jest nasz świat ludzki od świata istot zrodzonych pod ciśnieniem wód oceanu?...

— Daliby już panowie spokój sprzecze! — przerwał nagle Stanisław⁷. — Czas leci, a kto wie, jak jeszcze daleko do dna szczeliny. Musimy się śpieszyć.

Trzeźwe te słowa sprowadziły rozbujałe umysły przeciwników na ziemię i do rzeczywistości.

Pół milki w głąb ziemi, więcej nie mogę!

Ruszono znowu. Każdy dokazywał cudów odwagi. Z nieustraszoną alpejskich turystów pokonywano przeszkody i nie opatrzone się, aż znowu nad głęboką przepaścią. Aby do dna jej dosięgnąć, trzeba było pozwiązywać linki i umocować z należytą rozwagą. Podczas gdy pa-

leontolog kierował robotami, lord Puckins gwizdał urywek jakiejś opery i spacerował po pochyłym i nierównym dnie. Rzucił wreszcie niedopalone cygaro i jął się chłodzić ukradkiem.

— Ile mamy stopni gorąca? — zapytał po chwili.

— Czterdzieści — odparł profesor — czyli 1150 metrów głębokości. Nie uwierzysz, lordzie, jaką mię to napełnia radością.

— Czterdzieści stopni ciepła napełnia nas radością! — zauważył filuternie sługa. — O takich powodach jak żyję nie słyszałem.

— Ależ nie, ty Metternichu! Ciepło, trzeba ci wiedzieć, jest teraz moim największym wrogiem, cieszy mię zaś wspaniała głębokość, do jakiej dosięgliśmy! Czuję, że dojdziemy do głębin, w jakich nie tylko człowiek nie powstał, ale do których narzędziami nawet górniczymi nie dosięgną*!

— ■ Ma pan zupełną słuszość nazywając ciepło swoim wrogiem, ale dlaczego pan zapomina o mnie i o milordzie? Od godziny czuję, że gorąco jest i moim wrogiem. Ledwo się nie roztopię!

Na te słowa Anglik skrzywił się pogardliwie.

— ■ To mi wytrzymałość, to racja do dumy! — zawołał, pomimo że pracował płucami niby miechem kowalskim. — Gdybyś, profesorze, dostał się do środka ziemi — ha! — to miałbyś z czego czuć się dumnym, ale twoje 1150 metrów znaczy wobec rozmiarów globu dziesięć razy mniej aniżeli ukłucie smoczkiem komara powierzchni największej dyni.

— Prawda! Ale mimo to szczęśliwym czuć się będę, jeśli uda się nam opuścić jeszcze choć o paręset metrów głębiej. Pojmujesz, że to może sprawić człowiekowi niejaką satysfakcję. Choć górnicy pokłuli skorupę ziemską niby rzeszoto, człowiek nie dostał się głębiej nad tysiąc z górą metrów (co stanowi ułamek 1/5000 promienia ziemskiego). Powodem tego były nie tylko techniczne przeszkody, jakie należy zwalczać przy kopaniu głębokich szybów, ale głównie temperatura". O ile wiem, nigdzie jeszcze nie napotkano w podobnych głębokościach tak chłodnego, jak nasz, punktu.

— Tak chłodnego! ■— krzyknął z rozpaczą Stanisław. — A cóż pan nazwie „ciepłym" powietrzem?

* W owym czasie najgłębsze wiercenia dochodziły do 2 000 m. Dziś w Stanach Zjednoczonych osiągają 6 000 m.

** Głębokość, na której temperatura podnosi się o 1°C, nazywamy stopniem geotermicznym, czyli stopniem ciepłoty ziemi. Z dotychczasowych obliczeń wynika, że dla Europy wynosi on średnio 33—35 m, dla Ameryki Północnej 40—45 m, a dla Afryki Południowej dochodzi do 138 m. Z tego powodu w Afryce Południowej na głębokości ponad 2 000 m ludzie mogą jeszcze pracować, natomiast w Europie byłoby to niemożliwe.

— Zwykle ciepło wzrasta się w kopalniach daleko szybciej — odezwał się geolog nie zwracając uwagi na słowa sługi. — W jednym z najgłębszych angielskich szybów, który mierzy tylko 745 metrów, ciepło na dnie dochodzi już do 34,5 stopni. W stanie Nevada istnieje najbogatsza kopalnia złota i srebra. Pomimo jednak bajecznych skarbów, jakie zawiera, pozostaną one w większej części nie tknięte, albowiem gorąco uniemożliwia dostęp.

Robotnicy pracują tam miejscami w temperaturze 47 stopni, ale nie wolno im dłużej nad dziesięć minut przesiadywać i mimo tych ostrożności śmiertelność wśród nich jest przerażającą oraz bardzo częste wypadki pomieszania zmysłów.

Najgłębszy szyb w pokładzie soli pod Sperenbergiem doprowadzony został jedynie w celach naukowych aż do 1 372 metrów i dalsze roboty wypadło przerwać, gdyż ciepło doszło 48 stopni. Niewielką też żywić można nadzieję, aby o wiele głębiej udało się dostać.

— Bardzo przepraszam, ale pozwolę sobie w tym względzie wznieść małą poprawkę — wygłosił z uśmiechem lord Puckins. — Czytałem w pewnej zajmującej książce, że niejaki profesor Lidenbrock w roku 1863 doszedł do głębokości 35 mil pod ziemią*.

— Niepodobieństwo! Chwalił się tylko — zaprotestował żywo profesor. — Choćby nawet istniał podobnie głęboki kanał wulkaniczny, co zresztą jest zupełnie niemożliwym, to jeszcze nie tylko żaden profesor, ale nawet bajeczna salamandra nie wytrzymałaby gorąca, jakie przejmuje na tej głębokości.

— Skądże to wiadomo, proszę pana, skoro, jak pan powiada, nikt nie dosięgnął tej głębokości? — zapytał Stanisław.

— ■ Tego dowodzi stały przyrost ciepła. Niechby temperatura podnosiła się o jeden stopień nie co 33 metry, ale choćby tylko co 80 metrów, to i wtedy na głębokości 33 mil panowałoby gorąco 3 tysiące stopni, żar nieznany nam praktycznie, bo chemicy i fizycy do niedawna umieli tylko otrzymywać temperaturę najwyżej 2 tysiące stopni. Obecnie elektryczne piece dają o kilkaset stopni więcej, co już wystarcza do roztopienia wszystkich metali nie wyłączając nawet platyny!

Widzisz więc, że profesor Lidenbrock chwalił się tylko, bo choćby komórki i włókna jego ciała były z platyny, stopiłyby się niezawodnie już na głębokości 20 mil.

— A zatem skoro nie jesteśmy zbudowani ani z platyny, ani z granitu, tedy będziemy musieli wkrótce przerwać naszą wspaniałą wy-

* Aluzja do głośnej, popularnej, fantastyczno-naukowej pracy Juliusza Verne'a zatytułowanej: „Podróż do środka ziemi”. Polski przekład wyszedł w 1874 r. (przyp. aut).

cieczkę — zauważył lord Puckins. — Moje hrabstwo dewońskie leży tu, jak widzę, w zbyt gorącym klimacie.

— Jesteśmy już od dawna w sylurze — poprawił geolog.

— Wszystko jedno — zauważył lekceważąco Anglik.

— Wcale nie jedno — zaprzeczył profesor — ale nie czas już na dysputy. Wzywam do drogi, bo czas uchodzi.

Zaledwie nasi podróżni uszli kilkadziesiąt kroków, wąskie i niskie sklepienie czerwonego piaskowca rozszerzyło się nagle ukazując kolosalną pustkę. Ściany były czarne, twarde i połyskujące, z pustki biło gorąco.

Tu opatrzone się dopiero, że Basanis znikł, a Stanisław objaśnił, że niechętny już od dłuższego czasu, powrócił. Stanisław także doradzał odwrót — ale na próżno.

Profesor zapalił się i powiedział, że poty będzie się posuwał, dopóki mu sił starczy, póki biało jego krwi nie zacznie się ścinać, że koniecznie musi minąć kambryjskie pokłady, jeśli tu są dochowane, i dostać się do warstw archaicznych.

Jakoż wyprzedził towarzyszków i zniknął w ciemnej czeluści, a za nim rad nierad podążył Stanisław. Anglik „All right!” — zawołał i zrównał się z przyrodnikiem.

— Zdaje mi się, że otaczają nas ściany antracytu.

— Nie inaczej! — odrzekł geolog. — Jesteśmy w skarbcu górników. Gdyby te niedostępne pokłady leżały nieco wyżej, eksploatacja ich przyniosłaby miliony, tutaj zaś znaczą one tyle, co piaskowiec lub granit.

Po chwili czarna czeluść zaczęła zmieniać barwę i podróżni wstąpili w obszerną jaskinię, której ściany składały się z marglu, dolomitów i konglomeratów. W ścianach iskrzyły się prześliczne kryształy najprzeróżniejszych minerałów, które w tej ciszy od tysiącleci powoli formowały się i rosły.

Nasi podróżni, jak mogli, naznaczali sobie drogę, aby jej nie zmylić przy powrocie. Jeszcze kilkadziesiąt metrów i sklepienie z gruntem zaczęło się bardzo stromo opuszczać ukazując nowe głębiny. Znikły błyszczące krystaliczne ściany, szare tło miejsce ich zajęło.

Profesor geologii obejrzał termometr i poczynił pomiary.

— Tysiąc czterysta metrów*! — zawołał z triumfem. — Jesteśmy głębiej aniżeli ktokolwiek z ludzi. Naprzód, naprzód, póki można! Taka okazja do naukowych spostrzeżeń drugi raz już się może nie zdarzyć!

— Panie profesorze — odezwał się prawie z płaczem Stanisław — błagam, wracajmy! Mam jakieś złe przecucia...

* Temperatura wynosiła 45° C. (przyp. aut.)

— To źle, odrzuć je!

— Panie profesorze, jestem prawie pewny, że szczęście nas nie opuści aż do końca.

— Więc doskonale, czegoż chcesz więcej?

— Lękam się właśnie, że jak nam tak doskonale pójdzie, to wpadniemy nareszcie w roztopione skały pierwotne... i potopimy się jak muchy w smole.

— Pleciesz i tyle! Słyszałeś przecież, że do stopienia skał potrzeba 2 tysiące stopni gorąca. Choćby tedy jeden stopień ciepła przybywał co 33 metry, to mógłbyś się utopić w roztopionych skałach dopiero doszedłszy do głębokości 9 mil...

— A myśmy zrobili ćwierć mili dopiero! — dorzucił Anglik.

Stanisław odetchnąwszy odezwał się:

— Skoro pan utrzymuje, że to nie grozi utopieniem, gotów jestem teraz pójść z panami jeszcze nawet z pół milki w głąb ziemi, ale więcej nie mogę...

—• Wierzę ci, dość pół milki, abyś się usmażył na skwarek.

— Ślicznie dziękuję! To już bym wolał przespacerować się z 10 mil w głąb nieznanymi okolicami ziemi i dopiero utopić się tam w lawie — zaprotestował sługa. — Wiedziałbym przynajmniej, że niezwykle ginę.

— Rzecz gustu —■ mruknął Anglik. — Ale wracając do rozpuszczonej lawy ośmieliłbym się zrobić małą poprawkę. Powątpiewam mianowicie, czy można by się w tej głębokości utopić. Skoro kilka tysięcy stopni ciepła wystarcza do utrzymania wszystkich pierwiastków w stanie gazowym, zdaje mi się, że wewnątrz ziemi nie może być płynnym, lecz składa się z gazów. Więc Stanisław nie utonąłby, ale powinien by się zamienić w obłoczek gazu niezmiernie rozrzedzonego.

— Masz słuszość, lordzie, ale tylko w połowie. Wnętrze ziemi w istocie pozostaje w stanie gazu niesłychanie rozgrzanego*. Dość przyjąć stwierdzony doświadczalnie przyrost temperatury, aby obliczyć, że w samym środku ziemi materia rozpalona jest do 76 tysięcy stopni Celsjusza, jak obliczają umiarkowani, albo do 200 tysięcy według krańcowych. Mimo to nie sądzę, aby wewnątrz naszej planety było wypełnione gazem, jak to sobie niektórzy wyobrażają**.

—• Jak to? — zawołał Anglik — jeśli wszystkie zasady nauki dowodzą, że materia dąży do coraz większego rozrzedzenia we wzrastającej

* Sprawa wnętrza ziemi oraz panujących tam temperatur nie jest do tej pory wystarczająco poznana. Nie wiemy, do jakich głębokości odbywa się wzrost temperatury i jaka jest maksymalna temperatura wnętrza ziemi. Wymaga to jeszcze wielu badań naukowych, które czekają na młodych geologów.

** Ustęp niniejszy jest w ścisłym związku z treścią XIII rozdziału mego „Końca świata” (str. 47—120) I wyd. (przyp. aut.)

temperaturze, czy możebnym jest, aby wobec straszego gorąca nie wypełniał ziemi rozrzedzony gaz?

— Nie tylko jest to możebne, ale pewne.

— Na czymże gruntujesz swą pewność? — zagadnął Puckins.

— Na ścisłym obrachunku. Jeśliby wewnątrz ziemi wypełniał gaz, wtedy nasza planeta nie posiadałaby ani milionowej cząstki tej wagi, jaką stwierdzają obrachowania. A tymczasem waga ziemi porównana z jej objętością daje nam niespodzianie wyższą cyfrę, aniżeli nawet można by przypuszczać sądząc po gatunkowym ciężarze skał tworzących skorupę ziemską. Gatunkowy jej ciężar równa się 5,55, czyli średnio glob ziemski ma ciężar pięć i pół razy wyższy od wody, a dwa razy większy od skał, z których składają się znane nam warstwy skorupy. W głębi tedy ziemskiego globu materia musi być znacznie cięższa gatunkowo od skorupy.

■→ Jakże więc pogodzić znaczny ciężar wewnątrz ziemi z ogromnym ciepłem, wobec którego wszystkie pierwiastki mogłyby się nie tylko zmienić w parę, ale rozłożyć nawet na atomy? Gubicie się, panowie, w sprzecznościach!

— Zapomniałeś, lordzie, o sile, która skupiła atomy, która skupiając rozgrzała je do wysokiej temperatury, zapomniałeś o sile ciężenia. Ona to sprawiła, że atomy, ulegając potężnemu przyciąganiu dośrodkowemu, rozgrzewały się tym silniej, im gęściej musiały się skupiać.

Gorąca we wnętrzu ziemi, bez zgęszczenia atomów, tak samo nie można by pojąć, jak obecności nie ścieśnionego gazu, jeśli przypuszczamy, że tam panuje wskazane wyżej gorąco.

Obydwa zjawiska staną się dla nas zrozumiałymi dopiero, jeśli przypomnimy sobie, że gazy pod ciśnieniem zmniejszają swą objętość, i to w prostym stosunku do ciśnienia. Kwarta gazu, gdy na nią podziałamy jednostką siły, zgęści się do objętości kwaterki, czteroma — do półkwaterki itd., aż dojdziemy do zamienienia tej naszej kwarty gazu w płyn zajmujący mniej miejsca niż jedna kropla. Do stałego utrzymania atoli tej kropelki w płynnym stanie potrzeba, aby siła użyta do jej zgęszczenia działała ustawicznie, bo cząsteczki gazu zbliżone przez ucisk posiadają całą swą energię w stanie utajonym i skoro tylko ucisk ustanie, natychmiast dążą z niezmierną szybkością do powrócenia do stanu poprzedniego rozproszenia. Możemy na przykład w bardzo " mocnym i zamkniętym naczyniu rozgrzewać wodę do nader wysokiej temperatury bez żadnej widocznej w niej zmiany. Choć wiemy, że przy 100 stopniach zaczyna się ona gotować, to jest zamieniać się w parę w całej swej masie, pozostanie przecież płynną przy 200 stopniach, przy 300 stopniach i przy każdej temperaturze, jeśli tylko ciśnienie wywierane na nią przez ściany będzie dostatecznie silnym. Musi ono

w każdym razie przynajmniej zupełnie równać się prężności, w miarę bowiem wznoszenia się temperatury, cząsteczki wody coraz większą nabywają siłę prężności i gdyby tylko ciśnienie ustało, natychmiast przyjęłyby postać pary.

A teraz powróćmy od tych luźnych przykładów do naszego globu. Masa wypełniająca wewnątrz ziemi znajduje się właśnie w takim zamknięciu.

— Rozumiem, zamyka ją zewsząd zastygła skorupa...

— Nie może tu być ani mowy o skorupie pokrywającej ziemię. Byłaby ona stokroć za słaba do wytrzymania naporu wewnętrznych cząsteczek, a przy tym, gdybyśmy nawet przypuścili utworzenie się jej w takich warunkach, to pamiętajmy, że najmniejsza szczelina w nich powstała, wywołałaby natychmiastowy wybuch, nie gorszy od dynamitowego. Skorupę ziemską spotkałby los stokroć gorszy od bomb i kotłów parowych. W pył strzaskana, rozleciałaby się w mgnieniu oka daleko w przestrzeń i całe jądro ziemskie przemieniłoby się nagle w obłok bardzo rzadkiego gazu.

Że nie skorupa utrzymuje w karchach, wewnętrzne gazy, łatwo zrozumieć stąd, że rozpekła się ona nieraz na znacznych przestrzeniach bez groźnych następstw dla całości globu. Jest inna potęga unicestwiająca prężność rozpalonego wnętrza ziemi. To siła ciężenia. Wzrasta ona wraz z głębokością. Im bliżej środka ziemi, tym cząsteczki materii większą warstwę innych na sobie dźwigają. Aby nabrać pojęcia, pod jak strasznym ciśnieniem pozostaje materia we wnętrzu globu, dość przypomnieć, że nie tylko twardy grunt, ale nawet i powietrze ulega tej sile. Choć jest tak nikłym, że zwykliśmy je uważać za ideał lekkości, wywiera nawet powietrze niemały ucisk na powierzchnię ziemi. Na każdy centymetr kwadratowy naszego ciała* ciśnie przeszło jeden kilogram powietrza, na całą zaś powierzchnię ziemi — 110 000 bilionów cetnarów**

Teraz zgodzisz się chyba, milordzie, że gazowe jądro ziemi znajduje się pod ciśnieniem najzupełniej przechodzącym nasze pojęcie. Według Tisseranda ciśnienie owo w środku ziemi wynosi 1 700 000 atmosfer, według innych geofizyków dochodzi do 3 milionów atmosfer! Ciśnienie owo równoważy najzupełniej tę niezmierną prężność materii, jaką jej udziela wysoka temperatura wewnętrzna naszej planety i tym sposobem jądro ziemskie może sobie mieć na pewnej głębokości temperaturę 10 tysięcy stopni, głębiej — 2 tysiące, jeszcze głębiej — 50 tysięcy

* Przy powierzchni morza, (przyp. aut.)

** Co choć jest ogromnym ciężarem, stanowi zaledwie milionową cząstkę ogólnego ciężaru ziemi — 0,00000081998. (przyp. aut.)



Z nieustraszonnością alpejskich turystów pokonywano przeszkody... (str. 58)

stopni gorąca, a w samym środku może mieć 76 tysięcy stopni Celsjusa, a mimo to pozostaje ciągle w stanie zgęszczenia.

Równowaga obu sił jest zupełna, więc żar wewnętrzny powoli zmniejsza się przez promieniowanie w przestrzeń, czyli stygnięcie, bez nadzwyczajnych kataklizmów na powierzchni skorupy. Jedynymi, że tak powiem, dotykalnymi objawami stygnięcia ziemi są wybuchy wulkaniczne i trzęsienie; ale choć dla nas, mikroskopowych mrówek, przedstawiają się one jako zjawiska potężne, są one w stosunku do rozmiarów globu skromnym i ledwo dostrzegalnym zjawiskiem kurczenia się, zalamywania tu i owdzie ziemskiej skórki.

I znowu trójka nasza z trudem poczęła się opuszczać w głąbiny. Nagle stało się coś okropnego.

Przecięty odwrót

Przewlekły huk, niby echo dalekiego grzmotu, rozległ się nad głowami śmiałków. Przycichał, to znowu się wzmagał i zdawał się przybliżać. Po upływie minuty zaległa cisza. Zrozumiano, że musiało nastąpić oberwanie się jakiejś kruchej skały w górze. Wrażenie było potężne. Żaden z podróżnych nie poruszył się. Z zapartym oddechem słuchali złowrogiego grzmotu w tej samej pozycji, w jakiej ich zaskoczył.

Pierwszy przemówił geolog.

— Lękam się, czy nie jesteśmy odcięci od świata.

—• Jestem tego pewnym! — rzekł krótko Anglik.

Stanisław zwrócił przerażony wzrok na geologa.

—■ Trzeba się przekonać o rozmiarach nieszczęścia!

— Nic pilnego! — zawyrokował Puckins. — Jeśli przejście zostało uczciwie zasypane, mamy dość czasu do śmierci, gdy nie zostało zniszczone, zdążymy jeszcze do domu.

Całkiem słuszne to było rozumowanie, o ile chodziło o minuty, toteż dwaj towarzysze przeczekali długą chwilę. Dopiero gdy powróciła utracona równowaga, zaczęli wdrapywać się na powrót w wąską czełusć. Po półgodzinnym uciążliwym dźwiganiu się pod górę, ponura rzeczywistość rozwiała złudny promyk nadziei. Natrafiono na zwiastuny obsunięcia się skały, na kamienie rozsiane w gładkim poprzędnie i spadzistym przesmyku.

Dno wąskiego i niewygodnego przejścia pokryte było masą okruchów skalnych. Niektóre za najłżejszym potrąceniem staczały się niżej, a każdy porywał po drodze dziesiątki innych i cała ta ruchliwa gro-

mada, wyprzedzając się wzajemnie, podskakując i warcząc, leciała coraz niżej.

Z wielką ostrożnością dotarli nasi awanturnicy do miejsca, w którym warstwa gruzów sięgała aż do sklepienia niskiej w tym punkcie szczeliny. Przejście było zatkałe przez obsunięte rumowisko skalne. Po uważnym obejrzeniu miejsca katastrofy profesor Przedpotopowicz zawyrokował, że najsłabszej nie ma nadziei, aby można przedrzeć się przez usypisko i wydobyć się z pułapki.

— ■ Zbyt czarno patrzysz — zauważył lord Puckins. — Nie mamy wprawdzie narzędzi, ale pozostali w górze górale nie dadzą nam przecież zginąć.

— A jeśli nie słyszeli? — zapytał Stanisław.

— To pomimo tego wkrótce zauważą naszą nieobecność i będą nas poszukiwać.

— Nie ludźmy się! — odrzekł z rezygnacją geolog. — Za pierwszym usiłowaniem górników kamienie na nas runą, zgniotą i zasypią. Zginęliśmy! — zakończył, a ponurym echem przywodziły mu ściany.

— Ależ przecie musimy coś czynić — przerwał Stanisław.

— Co najwyżej wypadnie nam cierpliwie czekać niżej w bezpiecznym miejscu — rzekł geolog i pierwszy zaczął się opuszczać w dół. Za nim poszli towarzysze.

Po pewnym czasie zatrzymano się na wygodniejszym i bezpiecznym miejscu; tam czekali godzin kilka w śmiertelnej ciszy, nie śmiejąc odezwać się nawet. Czekali aż do znużenia. Ogólną ciszę przerwał pierwszy Stanisław.

— ■ Ja, proszę pana, nie myślę z założonymi rękami skazywać się na śmierć! Może by spróbować ostrożnie przekopać zapórę.

— To na nic! Nie damy rady...

— Stanisław ma słuszność — wycedził Anglik. — Czekanie byłoby zbyt nudnym, trzeba pomyśleć o ratunku.

— Szukajmy chyba innego przejścia.

Zgodzono się na to i żywcem pogrzebani spuścili się jeszcze niżej. Posuwali się niebezpiecznym korytarzem w milczeniu, a końca szczeliny nie było; nigdzie bocznego przejścia, które by dać mogło choć iskrę nadziei. Nikt nie spoglądał na zegarek, stracono też zupełnie rachubę godzin. W tym marszu Przedpotopowicz opatrzył się, że światła starczy nie na długo.

— Zgaś, lordzie, lampę — odezwał się zdmuchując swoją. — Dość nam teraz jednej, oleju mamy niewiele.

Rozkaz został spełniony i przy jednym bladym płomyku trójka tułała się w podziemiach poty, póki sił starczyło. Dopiero gdy profesor usiadł bezwładnie na twardej i gładkiej skale, towarzysze, niemniej

do niego wyczerpani, przerwali bezużyteczną wędrówkę. Kilka godzin bezowocnego błądzenia odjęło wszystkim pewność siebie i zunna krew, okazane na razie. W ponurym nastroju, z uczuciem dotkliwego pragnienia wstał pierwszy geolog z twardego łoża i naglił do nowych wysiłków. Stanisław był już zupełnie przygnębiony. Jeden Puckins usiłował okazać obojętność i pogwizdywał nawet czasami.

— Jestem spokojny o los nasz — mówił tonem przekonania. — Nie wątpię, że wasze zuchy rychło dostrzegą naszą nieobecność, przekopią rumowisko i uwolnią nas z pułapki. Szkoda tylko, że nie mamy wina. Z rozkoszą wychyliłbym szklanekę szampana!

Słowa te zabrzmiały niby „memento mori”. Nikt nie odrzekł słówka. Upłynęło znów parę godzin. Wypaliła się lampka Stanisława i rozniecono światło w lampce profesora. Znowu uciążliwy marsz to na dół, to pod górę. Coraz częściej podróżnicy ocierali czoła okrwawionymi rękami, coraz częściej ze spieczonych i drżących warg wyrwały się westchnienia.

— Pół życia dałbym za odrobinę wody! — szepnął przez zaciśnięte zęby Anglik.

— Mnie wkrótce pozostawicie, panowie, tutaj — odezwał się stłumionym głosem Stanisław.

Profesor tymczasem, ożywiony gorączkową energią, badał przy bladym promyku dogasającej lampki naturę pokładu i temperaturę.



— Wkrótce skończą się nasze utrapienia. Podusimy się w gorącu blisko 47 stopni — zawyrokował ponurym głosem.

— Dajże, Boże, aby to prędzej nastąpiło! — westchnął Stanisław. — Nie mam już sił!

— Ja ledwie się na nogach trzymam — rzekł geolog.

Tymczasem zgasła i druga lampka. Lord zapalił swoją, ale musiał ją zdmuchnąć.

— Zostawmy to na nie przewidzianą potrzebę — zawyrokował paleontolog. — Teraz możemy już odpoczywać.

Ułożyli się jeden obok drugiego pół drzemiąc, pół czuwając, nie licząc wolno upływających godzin. Czuli dobrze, że czekała ich najokropniejsza śmierć, która zwycięża bez walki. Cierpienia gromadki wzmagały się z każdą godziną. Gnębiło ich straszne pragnienie. Nie zaspokojone to uczucie jest zawsze męczarnią, lecz w dusznej atmosferze podrównikowej jest chyba najokropniejszą. Umierać z pragnienia i widzieć, że do cierpień dotychczasowych każda chwila doda nowych, jeszcze sroższych — to złamie najtęższą wolę.

Z ogniem pożerającym wnętrzości lizał geolog wyschłym językiem ściany swego więzienia. Lord Puckins wśród doskonałej ciszy słuchał, azali nie zaszemrze w pobliżu podziemny strumyk. Kropla wody wydawała się teraz zbawieniem. A przecież byłaby tylko przedłużeniem męczarni.

Jakże zmienną jest natura ludzka! Onegdaj, a nawet wczoraj mężnie i obojętnie patrzyli śmierci w oczy; teraz, przykuci ciemnościami i brakiem sił do miejsca, drżeli na myśl o zbliżających się godzinach konania — gorąco pragnęli żyć.

— Idźmy w górę! — zawołał nagle Anglik. — Ten upał zabije nas niedługo.

— Wszystko już jedno! — szepce geolog i zapala drżącymi rękami ostatnią latarkę.

Powlekli się znowu, opromienieni mdłym i żółtym światelkiem, które niedługo miało zgasnąć. I stała się rzecz dziwna.

Ujrzeni przed sobą dwie drogi. Jedna prowadziła na dół, druga, połyskująca od różnobarwnych krystalicznych minerałów, nieco w górę. Nadzieja wstąpiła nagle w zobojętniałe piersi. Nie wiadomo skąd przybyło sił wędrowcom. Wdzierają się w górną szerszą szczelinę. Z gorączkowym pośpiechem wstępują po łagodnie pochyłej, chropowatej drodze. Nie odpoczywają ani chwili, czepiają się szorstkich ścian drżącymi palcami, bo wiedzą, że śpieszyć się trzeba, że z wypaleniem lampy nastąpić musi kres wędrówki do światła, do powietrza, do życia...

Niestety, olej dopala się. Przy nierównych blaskach konającej lampy

geolog zdążył tylko stwierdzić, że znajdują się wśród zupełnie nie znanych utworów osadowych. Westchnął ciężko.

___Ponury triumf! — pomyślał. — Chciałem minąć warstwy archaiczne, ukrywające w łupku krystalicznym, w pierwotnym wapieniu, marmurze, gnejsach itp. najdawniejsze ślady budzącego się życia organicznego, pragnąłem osiągnąć nie znanych dotąd zupełnie człowiekowi skał które znajdują się pod skałami archaicznymi, poznać ich skład i oto pragnienie moje spełniło się. Zostaniemy tu na wieki...

Minęła długa chwila w milczeniu. Geolog na poły senny z osłabienia zaczął błędzić myślą po krainie swej specjalności.

___W uszach mi dzwoni, ogniste koła rysują się na tle ciemności — przemówił Anglik.

___I ja doświadczam tego samego — odezwał się profesor. — Żar wysysa z mego ciała resztki wody i zgęszcza krew...

___Długo my, panie, będziemy się jeszcze męczyć? — jęknął Stanisław i żadnej na zapytanie nie otrzymał odpowiedzi...

IP"-"

Księga druga

MŁODA ZIEMIA

ŚWIAT PALEOZOICZNY

Męczarnie konania — *Olenus kambryjski*

Na próżno byłoby silić się na odgadnienie, jak długo nasi nieszczęśliwi przeleżeli w odrętwieniu.

Pierwszy ocknął się lord Puckins i długa chwila upłynęła, zanim przypomniał sobie, gdzie się znajduje. Nie obchodziło go zresztą wiele. Nie czułby nawet, że żyje, gdyby nie cierpienia, które opanowały organizm z większą niż przedtem siłą.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, nawoływał osłabłym głosem, ale nikt nie odpowiadał. Gdy wróciła przytomność, a z nią obawa śmierci, postanowił pełznąć na czworakach odszukać towarzyszy.

Przyczajone pragnienie zbudziło się z podwójną siłą.

— Wody! Choćby kropelkę jedną!... — szeptał z wysiłkiem i nagle zrodziła się w jego głowie myśl dzika.

Zapach ciepłej krwi niby nektar polechtał podniebienie lorda. Tej krwi się napić zdawało mu się największą rozkoszą... Mniejsza o to, skąd jej wziąć, byle się orzeźwić... Niestety, daremne wysiłki... nigdzie śladu towarzyszków. Zapewne opuścili go, a może już nie żyją... W takim razie na mnie kolej — pomyślał i pogрузzył się w leniwo płynących myślach.

Wtem usłyszał lekkie kroki. Dreszcz wstrząsnął ciałem Anglika. Nastawił uszu i wsłuchał się w taką ciszę, że słyszał bicie własnego serca. Tymczasem o kilkadziesiąt kroków przed sobą dostrzegł niewyraźną sylwetkę ludzką.

Zbliżyła się ona bez szmeru. Zrazu nie mógł rozeznaczyć jej zarysów wśród ciemności, ale wkrótce wzrok odróżnił twarz, a nawet szczegóły ubrania. Był to Rambler w podróżnym ubraniu. Przez lewe ramię zwisała się długa lorneta, przy drugim boku — spora butelka w skórzanym futerale. Wzrok lorda nie mógł się oderwać od tego przedmiotu, a leniwy umysł usiłował rozwikłać zagadkę, co butelka zawiera.

— I tuś mię znalazł, kolego! — wyszeptał wreszcie Anglik oblany zimnym potem. — Czyś żyw, czy też widmem tylko?

/ — Czemu uciekłeś przede mną? — przemówił Rambler ze spokojem automatu.

Lord pożądliwie spojrział na butelkę.

— Co to? — zapytał.

— Whisky!

— Daj to! Umieram z pragnienia!

Wyciągnął skwapliwie dłoń ku przybyszowi, ale w tej samej chwili czarny mrok zakrył go całkowicie.

Zgnębiony Puckins opuścił głowę, kolana ugięły się pod nim, osunął się bezwładny na ziemię.

CVI

W tym samym czasie w innej części podziemi oddalone uderzenia oskardów zbudziły z odrętwienia profesora. Serce zakolało mu w piersi. Wsłuchany w zbawczy zgrzyt oskardów, brzmący milej niż najrozkoszniejsza muzyka, czołgał się po omacku* w głąb pieczary, w kierunku zasłyszanych dźwięków. I niespodzianie na zakręcie ujrzał przy żółtym, migotliwym świetle latarek kilka drobnych postaci z siwymi albo rudymi brodami do kolan. Kuli oni zapamiętałe skałę, im zaś dłużej geolog wpatrywał się w ich ruchliwe i energiczne postacie, tym trudniej mu przychodziło policzyć takowe. Z każdą chwilą ich przybywało.

Niebawem zrobiło się tłumno w podziemiu, a łoskot walących się odłamów ogłuszał literalnie profesora. Gnomy pracowały bez wytchnienia.

Jeden z nich, zwracający już od dłuższego czasu uwagę uczonego, przerwał robotę, zwrócił się ku profesorowi i ujął jego rękę.

— Jam duch tych podziemi! Pójdź, zaprowadzę cię do mych pałaców! — odezwał się stanowczym głosem.

Profesor, lubo odważny, uczuł, że mu włosy powstają na głowie.

— Nie lękaj się! — przemówił karzeł — zaufaj mi, a ujrzysz nieznane twemu rodowi cuda. Dla ciebie nie mam już tajemnic!...

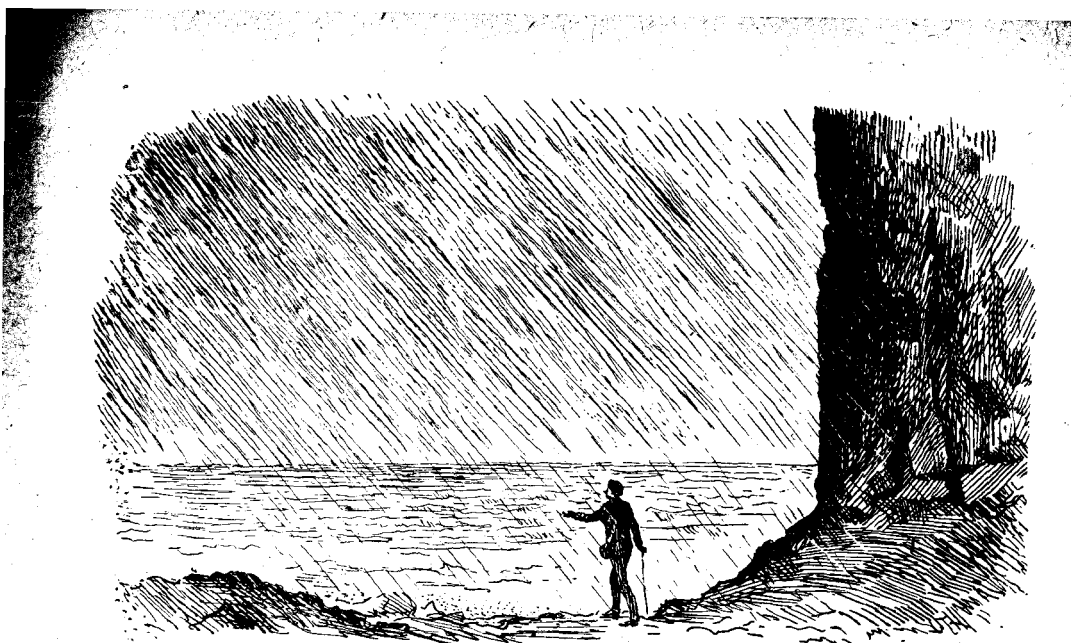
Czoło profesora okryło się zimnym potem.

— Jakiejże szczęśliwej okoliczności zawdzięczam taką łaskę? — zapytał usiłując przezwyciężyć lęk, który go raptownie ogarnął.

— Śmierci! — odrzekł spokojnie karzeł.

— Śmierci? Wszakże ja żyję jeszcze!

— Masz słuszność! — odezwał się ze smutkiem brodac. — Żyjesz jeszcze, ale zbliża się radosna chwila twego wyzwolenia. Zostaniesz tutaj, póki nie zaspokoisz ciekawości. Zgłębiałeś przez cały żywot tajniki skorupy ziemskiej, odkradałeś sobie snu, wyrzekałeś się rozko-



szy życia dla nauki, aleś prócz mozołu nic prawie nie zaznał. Piłeś dziewięć razy gorycz zwątpienia, zawodów i rozczarowań, a raz zaledwie nektar zadowolenia, nie zawsze słusznego, bo i wtedy, gdyś się sądził u mety badań — byłeś od niej bardzo daleki. Tu przekonasz się, jak mało wiedziałeś o tej ziemi, która cię zrodziła. Znajdziesz w mych archiwach jej historię, ale nie taką, jaką sobie wysnułeś w swej wyobraźni. Pełniejszą, prostszą, bo prawdziwą. Ujrzysz i swój ród, jakim był od początku, bez osłon i fałszów. Jesteś ciekaw rozwoju zwierząt aż do pierwszej ameby? I to ci ukazę.

— Ależ ja nie chcę umierać! — zawołał z wysiłkiem Leszek Przedpotopowicz i szarpnął się tak, że wyrwał rękę z dłoni gнома. Wskutek gwałtownego ruchu zatoczył się nagle i uderzył skronią o ostrą krawędź skały.

Pociemniało mu w oczach. Znikły karły, ucichły kilofy. Wśród śmiertelnej ciszy słyszał znowu tylko szmer krwi we własnych żyłach, a serce tłukło się w piersi niby spłoszony ptak w klatce.

„Co za widziadła!... — pomyślał oblany zimnym potem. — Nie sądziłem, że tak źle ze mną, że tak ciężko umierać! A może jeszcze przyjdzie ratunek...” I opierając się na rękach ruszył nieszczęśliwy naprzód.

Nagle zdało mu się, że nieprzebite mroki straciły na czamości. Zamajaczyła niby zwiastun światła zaledwie dostrzegalna szara plama...

Zebrał gasnące siły i zaczął się naprzód. Szary tuman rozszerzył

się, ciemność została w tyle. Robak nadziei zakradł się-do piersi geologa. Odpoczął, posunął się znowu dalej i poczuł lekki powiew. Jednocześnie zarysowała się na szarocznym tle jaśniejsza plama. Nie było wątpliwości. To nie złudzenie! To światło! Zaćmiło się geologowi w oczach i o mało nie stracił przytomności. Następnie podwoił wysiłki, nawoływał słabym głosem i zbliżał się wytrwale do jasnej plamy. Jeszcze jeden i drugi załom pod kątem prostym i nagle jasność prawie dzienna rozproszyła mroki pieczary. Było więc drugie wyjście z podziemi! Oby tylko sił starczyło! Jednocześnie słuch zaostrzony pochwycił szmer wody, a nozdrza połechtął rozkoszny zapach wilgoci. Teraz paleontolog, niby pod wpływem prądu elektrycznego, zerwał się na równe nogi i chwiejnym krokiem śpieszył do światła. Niebawem wynurzył się w tunelu w otwartą przestrzeń zalaną oślepiającym światłem. Spragniona pierś wchłonęła wilgotny powiew.

Szum gwałtownego deszczu, niby słodka muzyka, pociągał go do wyjścia ze skalistej szczeliny. Jeszcze parę minut długach jak wieczność i nogi ugrzęzły w piasku, a osłabłe ciało oblały obfite krople prawdziwej wody.

— Ocalony! Ocalony! — powtarzał w upojeniu i chciwie połykał spływające po twarzy strugi deszczu.

Nadstawił drżące ręce i pił, pił bez opamiętania. Rozkoszował się obfitością drogiego płynu, a nawet oburzał na niepraktyczność natury, która rozrzutnie szafuje wodą w jednym miejscu, gdy skąpi w tylu innych. Wreszcie odetchnął głęboko i spojrzał dokoła. O ile gęsta zasłona chmur, mgły i deszczu pozwalała rozróżnić przedmioty, 7. jednej strony wznosiło się prostopadłe urwisko, z drugiej wzrok gubił się w bezbrzeżnym zwierciadle wodnym.

„Gdzie ja jestem? Ciemno tu, duszno i gorąco” — zapytywał się w duszy geolog i poszedł do brzegu. Drobne fale muskały żółtą ławę piasków. Zaczerpnął ręką wody i skosztował. Słona była. Na próżno silił się odgadnąć, co to za jezioro. Oddychając ciężko błędził czas jakiś w nadziei, że znajdzie bliższą wskazówkę — ale daremnie. Wybrzeże było rzetelną pustynią. Na próżno upatrywał śladów zamieszkania choćby przez najmarniejsze istoty. Nie upłynęło nawet godziny, a już duszność i niezwykle osłabienie przykuły go do miejsca. Dopiero teraz udało mu się natrafić na gromadę ogromnych stworzeń, nieruchomo skupionych na płytkim piasku tuż pod samą powierzchnią wody. Z kształtu przypominały one cokolwiek stonogi, ale z kształtu tylko, bo z rozmiarów podobniejsze były do żółwi.

— Trylobity! Czym ja zmysły postradał? — krzyknął przerażony. — Prawdziwy olenus kambryjski.

Teraz dopiero zdjął go strach paniczny, przypomniał sobie nieobec-

oych towarzyszków. Chwycił się oburącz za głowę. Gdy zebrał roz-
i pierzchłe myśli, zrozumiał, że trzeba z ratunkiem śpieszyć i usiłował
odnaleźć szczelinę, przez którą wydobył się na światło dzienne. Nie-
stety, deszcz zatarł ślady stóp na piasku i nie mógł trafić do podziem-
nego tunelu.

— Do mnie, towarzysze! — wołał ochrypłym z wysiłku głosem, ale
choć nawoływał z całych płuc, nikt się nie odezwał. Zrozpaczony osu-
nął się na wilgotną ziemię i z wyczerpania zapadł w omdlenie.

Tajemnicze ocalenie — Azaius syluiski

Chwilami zdawało mu się, że się budzi, że widzi przy słabym świe-
tle księżycy pochyloną nad sobą postać Stanisława. Raz zdało się nawet
profesorowi, że zmuszono go do przełknięcia jakiegoś pożywienia, ale
nie miał mocy zastanawiać się nad tym, czy to sen, czy jawa.

Z odrętwienia zbudziły go dopiero znajome głosy. Podniósł się i spoj-
rzał dokoła. Pusto było, tylko od strony, skąd głosy go doszły, ujrzał
zbliżających się niezwykle ociężałym krokiem lorda Puckinsa ze Sta-
nisławem.

„A więc żyją!” — pomyślał przypominając z wysiłkiem wczorajsze
przygody.

— Witaj, przyjacielu! — zawołał radośnie i wyciągnął osłabłą dłoń
do powitania. — Jakże się masz, lordzie? «

— Źle. Głowa mi ciąży — odezwał się Anglik.

— Mnie brak powietrza — dodał Stanisław znużonym głosem.

— Jakżeście się tu dostali? — pytał Przedpotopowicz.'

— Nie wiem — odparł powoli lord Puckins — spytaj o to swego zu-
cha. Wyciągnął mnie z przeklętego tunelu właśnie w chwili, gdy mia-
łem zamiar...

— Niech już pan o tym zapomni — przerwał mu pośpiesznie Sta-
nisław.

— Przeciwnie, niech twój pan wie, z jakim ma do czynienia zwierzę-
ciem. Stanisław ocalił mnie w nagrodę za mój niezłomny zamiar skosz-
towania go żywcem! — dokończył lord Puckins. — Doprawdy, nie mógł
się bardziej w porę obudzić. Gdyby się o minutę spóźnił, zostałbym ty-
grysem i zginęlibyśmy obydwaj.

— Okropność! — szepnął geolog domyślając się nie domówionej
reszty.

— Musisz być głodnym, przyjacielu — zapytał Anglik.

W istocie Przedpotopowicz pomimo wyczerpującego- cieplarnianego gorąca doznawał nieznośnego szarpania wnętrzości. Organizm upominał się o należną daninę. Przewidzieli to towarzysze i Anglik podał mu jakiegoś skorupiaka.

—- Własnymi dla ciebie złowiłem rękami, profesorze, posil się i ruszajmy stąd jak najprędzej. Przeklęta okolica! Duszno, gorąco, pusto i nic lepszego nie można było zdobyć.

Geolog spojrział na ofiarowany przysmak i osłupiał.

— Skąd... się... to... wzięło? — wyjąkał z trudnością.

— Złowiłem na brzegu morskim w płytkim zagłębieniu napełnionym wodą przyływu — odrzekł z dumą lord Puckins. — Jest tam tego pełno.

— Niepojęte! Niepojęte! — szeptał geolog.

— Dziwię pana, jak widzę, kształty tego paskudztwa — wtrącił Stanisław. — I my zastanawialiśmy się nad tym, bo nic podobnego nie widzieliśmy jeszcze. Ale mniejsza! Głód jest najlepszym kucharzem. Gdy on przyprawi, to najobrzydliwsza rzecz' smakuje wyśmienicie.

— Ależ to azafus, typowy tryl obit sylurski! — wykrzyknął Leszek Przedpotopowicz.

— Nie rozumiem, co w tym może być dziwnego? — odezwał się Stanisław. — Małoż to żywi morze przeróżnego robactwa?

— Jakiś ty szczęśliwy, że niewiele rozumiesz! — odezwał się profesor i przetarł rozpalone czoło. — Gdybyś był paleontologiem, mózg by ci się przewrócił pod czaszką...

— W takim razie dziękuję Bogu, że jestem prostakiem — zawołał z komicznym uradowaniem Stanisław — przynajmniej mój mózg nie przewraca koziołków dla byle czego...

— Z tobą szkoda słów tracie! — przerwał profesor dysząc ciężko. — Dla ciebie żywy trylobit sylurski jest taki sam dobry, jak pierwszy lepszy mięczak...

— Tego nie powiedziałem! — skwapliwie zaprzeczył niezbity z tropu sługa. — Zbyt smaczny ten pański trylobit nie jest, ale od biedy...

— Masz tobie! A to mnie zrozumiał! — przerwał mu na dobre zniecierpliwiony geolog. — Gdy ja gubię się w odmęcie przypuszczeń, skąd się tu wziął typ od milionów lat wygasły na ziemi, tego żarłoka obchodzi jedynie smak nadzwyczajnego zwierzęcia. Więc słuchaj, może nareszcie zdołam ci wyjaśnić, że tu chodzi o coś ważniejszego. Co byś powiedział, gdyby na tym miejscu w tej chwili stanął przed nami twój żywy pradziadek we własnej osobie?

Stanisław pomyślał chwilkę, uśmiechnął się reżolutnie i zapewnił, że najprzód nie uwierzy, aby to nastąpić mogło, a po wtóre, gdyby nawet

zobaczył własnego prapradziadka, z pewnością wcale by się tego nie domyślił.

— Jakżebym mógł poznać, skoro go nigdy nie widziałem? A przy tym mój prapradziadek podobno nie kazał się nigdy portretować.

Profesor załamał ręce z rozpaczy nad bezskutecznością swej wymowy. Anglik zaś wybuchnął śmiechem. Stanisława ani na mgnienie oka nie wzruszyła zarówno tragiczność profesora, jak wesołość lorda. Nie tracąc też rezonu odezwał się w te słowa:

— Niech znów panowie mnie nie krzywdzą ani wyśmiewają. Jak mi co tłumaczą jasno, to ja też rozumiem, choć niby ciasną mam głowę. Rozumiem ja powód pańskiego frasunku. To przebrzydłe robaczysko znaczy dla pana akurat tyle, co dla mnie widmo pradiadka. Ale ja myślę, że się pan omylił...

— Miej litość nad moimi nerwami, „skorupiak” powiedz, to będzie już lepiej!

— Dobrze! Więc ten skorupiak może jest tylko bardzo podobny do pradiadka... to jest, przepraszam, do swojego przodka z epoki sylurskiej, który już zaginął!

Profesor Przedpotopowicz uśmiechnął się. To prostacze rozumowanie podobało mu się. Nie zwracając tedy uwagi na wesołość lorda poklepał pojętnego sługę przyjaźnie po ramieniu.

— No, no, nie obrażaj się. Spostrzegam znowu z prawdziwą pościechą, że masz ty głowę nie od parady. Co do azafusa jednak, to znam go dobrze, podobnie jak setki innych trylobitów. Skamieniały trafia się często w skałach sylurskiej formacji. W małej części trafnie oceniłeś powód mego zdumienia, ale powtarzam ci, że pojęcie zupełne tej rzeczy przewyższa twoją zdolność. Jeszcze bardziej zaś przewyższałoby, gdybyś znał drugą połowę dziwnej zagadki, która mię poruszyła.

— Więc niby drugą połowę azafusa? — zagadnął Anglik.

— Przestań żartować, lordzie. Nie wiesz, nieszczęsny, że wczoraj na własne oczy widziałem gromadę olenusów.

— Cóż w tym nadzwyczajnego?

— Znać, że nie jesteś paleontologiem! Nie oceniasz należycie znaczenia tego wyrazu.

■— Słowo honoru, twój rab ma rację, gdy bierze rzeczy lekko. Rozumiem przecież niby więcej od niego, a nie mogę pojąć, dlaczego zamiast spożyć, co Bóg dał, psujesz sobie krew domysłami i dysputujesz o jakichś azafusach.

— Jak to? Więc i na tobie, lordzie, olenus wczorajszy i azafus dziś spotkany nie sprawiają żadnego wrażenia? A przecież to jest fakt nie do pojęcia! Wszak to są przedstawiciele dwu osobnych epok czasu. Olenus żył w kambryjskiej dobie, zaś azafus w późniejszej, sylurskiej!

— Teraz dopiero widzę, że podobnie jak Stanisław nic nie rozumiem — odrzekł z komiczną powagą lord Puckins.

— Pociesz się, lordzie, bo i ja nie więcej od was rozumiem — odrzekł profesor przyciskając dłońmi rozpalone skronie. — To ci jeszcze powiem, że pierwszy trylobit zadziwił mię tylko do najwyższego stopnia, dzisiejszy wywołał zupełny chaos w mej głowie.

Na te słowa Stanisław poruszył się żywo.

— Chociaż mój mózg „nie jest wyćwiczony”, jak pan zawsze powiada, ale zdaje mi się, że teraz zaczynam rozumieć. Nie ma się czym trapić, raczej powinien pan cieszyć się i zacierać ręce.

Obaj turyści pytająco spojrzeli na służącego.

— A to znowu czego?

— Niech pan tylko zapisze w notatkowej książce, że zarówno ten jakiś olenus, jak azafus nie zaginęły, ale i do dziś dnia żyją w tej oto słonej wodzie. Wydrukuj to pan za powrotem i będzie z tego chwała może większa aniżeli z odkrycia kości owej małpy, która panu zeszłej jesieni tyle honoru narobiła.

— Jakem ekscentryk, ten chłopak ma rozum! — wyrzekł lord tonem głębokiego przekonania. — Niech żyją zmartwychwstałe olenus i azafus. Niech żyją!

— Na próżno łudzisz się, kochany przyjacielu — przerwał mu



kwaśno geolog — przypuszczenie twoje jest wprost niemożliwe. Trylobity od dawna już wygasły na ziemi!

— Skądże masz tę pewność?

— Takie są nieubłagane prawa przyrody! Nie zapominajmy o tym, że gatunek, rodzaj, ród i każde obszerniejsze skupienie typów, choćby trwały bardzo długo, nie trwają wiecznie. Mają swoje pierwociny, później okres dojrzałości, wreszcie muszą ustąpić na podobieństwo jednostek, które rodzą się i umierają. Trylobity pojawiły się w zaraniu ziemi, w czasach kambryjskich, wiodły przez niezliczone tysiącolecia szczęśliwy na swój sposób żywot, bo były dziećmi swej epoki i panujących wówczas warunków. Ród ich długo był doskonałością...

— Czy nie ziemskim ideałem? — zagadnął Anglik z lekkim uśmiechem.

— Bez wątpienia! Żadna istota nie mogła się z nimi mierzyć. Rozmnożyły się też niesłychanie. Sądzić by można, że berła pierwszeństwa nigdy nie utracą, tymczasem nadeszły ciężkie chwile. Miały trylobity jedną słabą stronę i ta właśnie stała się przedmiotem napaści ze strony głowonogów (*Cephalopoda*), pewnej kategorii bardzo drapieżnych mięczaków, które pojawiły się prawie jednocześnie z nimi w oceanach. Trzeba ci, lordzie, wiedzieć, że ciało tych skorupiaków, choć z wierzchu tego opancerzone, nie było doskonałe.

— Twoje trylobity zaczynają mnie nudzić — odezwał się Puckins poziewając.

— Nie powinieneś się tym chwalić — odciął się geolog.

— Nie pojmuję, dlaczego miałbym się krępować?

— Choćby dlatego, że nie licuje to z umysłem byстрыm i wszechstronnym jak twój.

— Dziękuję!

■— Nie ma za co! Powiedz, lordzie, czy interesują cię dzieje postępu ludzkości?

— Chyba o tym nie wątpisz?

— Na podstawie tego, com usłyszał, powątpiewam. Jeśli stopniowy postęp człowieka jest dla ciebie rzeczą godną uwagi, to sądzę, że nie mniej ciekawym jest badanie rozwoju i doskonalenia się typów zwierzęcych i roślinnych od najpierwszych początków aż do terażniejszości. Wszak tak zwane dzieje cywilizacji są tylko częścią dziejów rozwoju świata ożywionego. Obejmują one ostatni rozdział historii ziemskiej, dzieje postępu najdoskonalszego stworzenia ziemskiego. Ale wracajmy do przerwanej historii. Ciało trylobitów, jak wszystko na świecie, miało swoją słabą stronę. Od spodu było ono miękkie i bezbronne. Głowonogi czteroskrzelne (*Tetrabranchiata*), z początku drobne i nieliczne, napastowały tylko mizerniejsze trylobity, ale z biegiem czasu, gdy wsku-

tek przyjaznych warunków rozrosły się, zaczęły już; napastować większe gatunki, nawet takie, jak stary paradoksides. Prócz ucieczki innego środka obrony ówczesne gatunki trylobitów nie miały. Ale i ucieczka wobec braku oczu u większości gatunków była nie zawsze rzeczą możliwą. Rozzuchwiał się tedy ród głowonogów i dopiero później niektóre trylobity poradziły sobie w ten sposób, że wobec grożącego niebezpieczeństwa umiały zwiijać się w kulkę, nadstawiając napastnikowi jedynie twardą zwierzchnią stronę swego ciała. Przy podobnych ulepszeniach byt trylobitów znowu na długo się utrzymał. Namnożyło się ich tysiące gatunków. Równocześnie wszakże rozradzały się i inne niewybitne dawniej rodzaje żyjątek morskich, a w miarę jak one przychodziły do znaczenia, niezdarne trylobity traciły stopniowo pierwszorzędne stanowisko. W morzach sylurskich obok trylobitów i głowonogów wcale niepoślednie miejsce zajęły: Cystoidea *, graptolity tajemnicze **, szkarłupnie i korale. Mimo nadzwyczajnej długotrwałości pierwotnych typów zaczęło ubywać ich w morzach, a choć wiele młodszych gatunków tych stworzeń przetrwało całą jeszcze następną epokę dewońską, to jednak i one stopniowo, niby resztki starej, dzielnej niegdyś gwardii, po kolei wymierały. Węglowa epoka nie znała już ich prawie wcale. Sam teraz osądź, skąd po upływie tylu epok mógłby się pojawić na ziemi typ, i to wśród warunków gruntownie odmiennych od tych, które powołały ongi ów typ do życia?

— Trudno pojąć, a jednak rzeczywistość zadaje kłam twym słowom, profesorze.

— To być nie może!

— W takim razie twój trylobit nie jest trylobitem.

— Owszem, jest nim bez żadnej wątpliwości!

— A więc rad bym wiedzieć, skąd się wzięli wśród nas przedstawiciele zaginionego od dawna rodu?

Na to paleontolog nie znalazł żadnej odpowiedzi.

—■ Daliby już panowie pokój tej długiej pogawędce — ośmielił się wtrącić Stanisław. — Nie wiadomo, jak daleka droga nas czeka. Szkoda czasu!

— Masz słusność — zawyrokował lord Puckins — musimy co prędzej opuścić tę przerażającą pustkę. Nie widzę tu nie tylko drzewa, ale nawet ździebelka trawy. Wydaje się, jakbyśmy bawili nie w środku cywilizowanej Europy, ale gdzieś w bezludnej pustyni.

— Trzeba nam dziś jeszcze dostać się do najbliższej wioski — odrzekł Stanisław.

* Cystoidea — zwierzęta pokrewne tylko z morskimi liliami, czyli liliowcami (*Crinoidea*), ale od czasów węglowych wygasłe, (przyp. aut.)

** Patrz tablica I: „Kronika życia minionych epok”.

Zbytecznym byłoby zapewniać, że zarówno lord Puckins, jak geolog nie mieli nic przeciwko temu, ale nie sądzonym im było wprowadzić zamiar w czyn. Ogromne osłabienie jakiegoś przykuwało ich do miejsca. Tymczasem nadciągnęły groźne chmury, brzemienne piorunami, pomimo wichru stało się wkrótce tak duszno, że trudno było oddychać.

— Będziemy mieli niezły huragan — odezwał się lord z flegmą, pograżając obie ręce w kieszeniach.

Trzej towarzysze wodzili ponurym wzrokiem po ciemnym widnokręgu, bezradnie oczekując nawałnicy. Dopiero gdy strumienie ciepłej wody polały się na ich głowy dławiąc i oślepiając, gdy grad pokrwał policzki i ręce, a nieustające grzmoty literalnie ogłuszyły, osłabły geolog pochwycił rękę lorda, uściśnął ją gorąco i osunął się na kolana. Pozostał tak chwilę pod chłostą nawałnicy, wreszcie zupełnie stracił świadomość.

Świat dewoński

— Koniec naszych utrapień! — wołał radośnie dnia następnego Stanisław wstępując z towarzyszami w gąszcz bujnej zieleni. Lord był niemniej zadowolony, tylko geolog uporczywie milczał. Znajdowali się w tej chwili daleko od miejsca strasznej nawałnicy, która ich o mało nie zatopiła. Anglik z dziwną stanowczością przekonywał Stanisława, że pierwszą spotkaną istotą będzie bośniacka pasterka. Stanisław dał godny najwyższego uznania dowód niezależności opinii i cywilnej odwagi. Gorąco oponował on członkowi Izby Panów zapewniając, że najpierwej zobaczą bydło, a potem Bośniaczkę.

Podczas gdy Anglik spór w tym ważnym przedmiocie kończył zakładem, profesor wpatrywał się osłupiałym wzrokiem w zielenie paproci drzewiastych, łuszczydeł (lepidodendronów), kalamitów i widłaków.

Podążał on machinalnie za towarzyszami, zatopiony w obserwowaniu lasu.

— Krajobraz wygląda mi na dewoński — odezwał się wreszcie, stając niespodzianie przed lordem Puckinsem.

— Mało mię obchodzi rodzaj roślinności tutejszej — odrzekł Anglik. — Ale powiedz mi, profesorze, czy poznajesz okolicę? Czy prędko wyjdziemy z tych oryginalnych zarośli, aby przed zachodem dostać się do wioski?

Profesor jakby ze snu obudzony obrzucił powłóczytym spojrzeniem ■ wysoką postać lorda i utkwiał wzrok w jego oczach.

— Jeśli ten las jest dewoński — odezwał się dobitnie — o czym zresztą najmocniej wątpię, tedy stało się z nami coś nadzwyczajnego...

— Zbłądziliśmy zapewne bardzo?

— Jeśli to las dewoński, tedy nie zbłądziliśmy wcale, ale powtarzam: stało się coś niewytłumaczonego.

— Nie odpowiadasz wprost, profesorze!

— Bo nie mogę! Bo nic nie rozumiem, a choćbym rozumiał, to nie chcę rozumieć... chcę wątpić! — wybuchnął nagle geolog podnosząc głos za każdym zdaniem. — Bo gdybym przestał wątpić...

— To co?

— To bym powiedział, że... że żaden z was zakładu nie wygra, że nie spotkacie nie tylko Bośniaczki, ale żadnej ludzkiej istoty. Choćbyście obeszli całą ziemię dokoła.

— Oho, ho! Unosisz się!

— Tak jest! — przerwał geolog z mocą. — Nie spotkacie nie tylko stada, ale nawet najmarniejszej myszy!

— Cóż znowu! Uspokój się, drogi przyjacielu, jesteś rozdrażniony...

— Mam być spokojnym, gdy nie wiem, co się ze mną dzieje! Czy tylko zmysły mnie łudzą, czy też mózg uległ katastrofie? Wczoraj znalazłem azafusa sylurskiego, dziś znowu wszystko wygląda tak, jakbyśmy byli w dewońskim świecie. Czy wiesz, że wczoraj ten las jeszcze nie egzystował?

— Co mówisz?

— Mówię, że jeśli azafus był prawdziwym, to wczoraj wcale nie było lasów na ziemi. Od wczoraj do dziś upłynęły miliony lat! A w morzach miały czas wytworzyć się osady na 20 tysięcy stóp * grube! Ale wolę o tym nie myśleć, bo głowa mi pęknie.

Lord Puckins nic nie odrzekł. Znać było, że czyni wysiłki, aby nie wybuchnąć, W milczeniu upłynęła długa chwila. Z wzrokiem wbitym w ziemię, z rękoma w tył założonymi szedł geolog sztywnym krokiem automatu obok niemniej, choć z innych powodów zamyślnego Anglika.

— Zdaje mi się, że pan powiedział, że tych lasów wczoraj jeszcze nie było? — zapytał Stanisław.

— Naturalnie! — odrzekł niespodzianie zagadnięty. — W sylurskiej dobie roślinności lądowej prawie jeszcze nie było. Nawet mchu lub porostów nie znamy w sylurskich warstwach...

— A cóż wtedy było?

— Jedynie wodorosty. Na lądach roślinność wytwarzała się bardzo

* S t o p a — 0,30 m.



powoli. Grunt dla niej przygotować musiały najprzód niepozorne roślinki z działu niższych roślin skrytopłciowych i dopiero na ich prochach wyrastały coraz doskonalsze i wybitniejsze gatunki, może skrzypy jakieś pierwotne i pierwsze paprotniki zwane psylofitami.

— A zwierzęta?

— Były tylko morskie, i to bardzo nisko uorganizowane. I teraz życie zwierzęce koncentruje się głównie w oceanach.

Gdybyś mógł zajrzeć w głębie teraźniejszego oceanu dewońskiego, ujrzałbyś niebywałą za sylurskich czasów obfitość koralów i amonitów. Na pozór świat morski pozostał, jakim był w sylurze, ale w rzeczywistości postąpił daleko w rozwoju. Pomijam, że mało który gatunek wymierającego rodu trylobitów przetrwał bez zmiany, pomijam, że minęły dla tych istot złote czasy i przeredziły się ich zastępy. Pomijam, że przybyły nowe rozgwieżdżone, jeżowce i liczne mięczaki (*Mollusca*). Dokonał się w świecie morskim fakt niesłychanie ważniejszy w następstwach.

— Cóż to takiego być mogło? — zagadnął sługa, rad, że pan z nim „poważnie” rozmawia.

Profesor ciągnął dalej:

— Wszystkie dotychczasowe zwierzęta, nie wyłączając mięczaków i pierwotnych skorupiaków, zostały niespodziewanie zdetronizowane przez niepoczesnych przedstawicieli robaków pierścieniowych, czyli pierścienic (*Annelides*), pokrewnych ze znanymi ci glistami ogrodowymi

i pijawkami, a także przez zachwy pierwotne (*Ascidiae*) zbliżone do dzisiejszych osłonie (*Tunicata*). Z rodu tych stworzeń, pod wpływem szczęśliwych ulepszeń w ustroju ciała, wytworzyły się istoty posiadające grzbiet, czyli główną oś ciała złożoną z oddzielnych kręgów*...

Łatwo pojąć, że stworzenia owe początkowo mało się różniły od robaków, ale z każdym tysiącleciem stawały się mniej podobnymi do przodków, aż powoli przybrały postać istot, które nazywamy rybami.

— Są więc tu ryby? — zawołał Stanisław — Bogu dzięki!

— Są — odparł geolog z powagą ■— ale nie sądz, aby one były tak doskonałe jak te, które widzisz na targach.

— Pan wziął się martwić mnie na każdym kroku! ■— przerwał strapiiony sługa. — Zaledwie ucieszył się nadzieją skosztowania rybki, natychmiast psuje mi pan radość wiadomością, że tutejsze nie są tak smaczne jak nasze karpie, szczupaki lub sandacze. Niech tam zresztą będą sobie i mniej smaczne; dobrze, że są jakiegokolwiek!

— Ależ ja nie smakowitość ryb dewońskich miałem na myśli, mój drogi, mówiłem o niedoskonałości ich budowy! Spośród ryb znanych kucharzom i zoologom, większość posiada łuskę i ości stwardniałe, tymczasem ryby dewońskie są okryte tabliczkami kostnymi z twardą emalią, a cały szkielet mają chrząstkowaty. Prócz tego w budowie anatomicznej dużo mają szczegółów zbliżających je do płazów, które później się pojawiają. Takich chrząstkowatych ryb niewiele już przechowało się do naszych, ludzkich czasów i stanowią już wygasający zabytek dawnych epok. Do nich należą jesiotr i rekin. Ale i rekiny oraz inne resztki potężnych dawniej rodów nie dają nam dostatecznego wyobrażenia o kształtach i budowie wewnętrznej ryb pierwotnych. Co było AV dewonie prawdziwie dewońskiego, nie dotrwało już do czasów człowieka.

Stary dynichtys o ruchomej głowie, mającej metr długości, dzierzył wśród ryb dewońskich pierwszeństwo po społu z drapieżnym cestracionem (Różnozab Jar.) z rodu rekinów. Na próżno by zoolog szukał w morzach ryb pancierzowych, jakie napełniały niegdyś wody ziemskie.

Dziwaczne te stworzenia, niektórymi szczegółami budowy zbliżone do płazów, okryte były od czubka głowy aż do połowy ciała bardzo mocnym pancierzem. Zabezpieczał on je od ran i napaści.

— Nie rozumiem, dlaczego te ryby były bezpieczne od napastników? Przecież pan powiedziałeś, że były do połowy okryte pancierzem —

* Według dawnych poglądów strunowce pochodzą od pierścienic. Obecnie uważa się, że przodkowie strunowców spokrewnieni byli ze szkarłupniami.

przerwał Stanisław — więc nieprzyjaciel mógł łatwo godzić w bezbronną tylną część ciała...

— Gdyby tyły ich — podobnie jak u pterichtysów — bywały wystawione na napaści, to bez wątpienia okryłyby się całe pancerzem, ale snadź niepotrzebne to było. Ryby te przesiadywały ukryte do połowy w mule dna morskiego i dopiero za zbliżeniem się zdobyczy rzucały się na nią, po czym znów chroniły bezbronną część ciała przed łakomstwem innych drapieżników.

— To bardzo sprytnie, proszę pana, z ich strony. Kto by pomyślał, że na taki dowcip zdobyć się może głupia ryba i do tego dewońska. Jednego nie mogę zrozumieć, a mianowicie, jak sobie taka' ryba może dysponować: potrzebne mi są łuski na ogonie — i łuski wyrastają.

— Trudno ci to wytłumaczyć, mój drogi. Bez znajomości wielu nauk nie rozumiałbyś znaczenia dziedziczności cech, przystosowania się do warunków zewnętrznych i tym podobnych rzeczy; powiem ci tylko, że to są niewątpliwe, choć cudowne zjawiska.

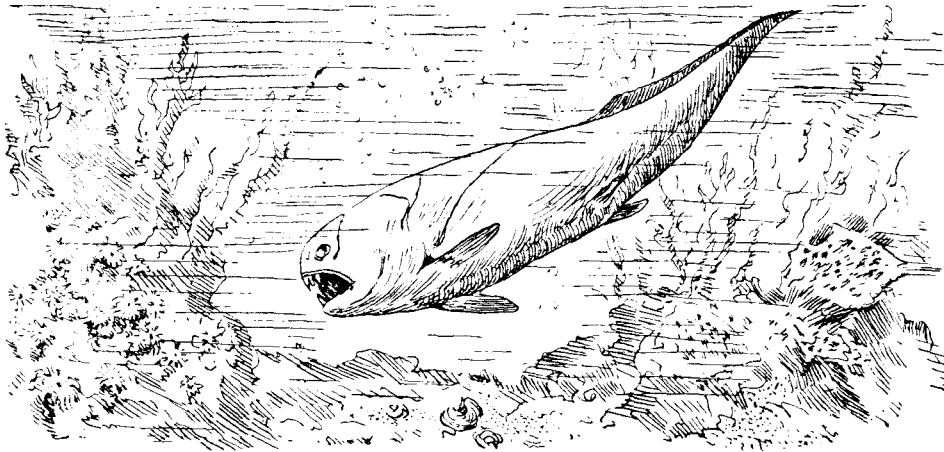
— Dlaczegoż nie wszystkie zwierzęta posiadają władzę wpływania na zmiany we własnej postaci?

— Wszystkie je posiadają.

— Mój Boże, obdarzyłeś je hojniej od człowieka! — westchnął żalostnie Stanisław.

— Dlaczego wyłączasz człowieka? Przecież i on podlega tym samym prawom.

— Wcale nie, proszę pana, przecież człowiek nie może dysponować



podobnie jak pterichtys: potrzebne mi są tarcze na tylnej części ciała — i zjawiają się zaraz tarcze. O! gdyby tak było, jestem pewny, że nie byłoby na świecie głupich, słabych i brzydkich. Jeden by sobie powiedział: potrzebny mi rozum — i nabrałby rozumu; brzydki: przydałaby mi się uroda, słabemu zachciałoby się siły i miałoby ile trzeba... A tu tymczasem nic z tego!

— Na krótką metę rozważając, masz słuszność; człowiek choćby z najtęższą wolą nic nie zmieni w sobie, ale na daleką metę łatwo dostrzec, że i człowiek radzi sobie podobnie jak pterichtys, o którym mówiliśmy. Tylko zapamiętaj, że rezultaty nie przychodzą natychmiast. Zarówno człowiek, jak każdy ptak i zwierz takim, jakim jest, urobił się nieznacznie w ciągu tysięcy pokoleń...

— Przerwijcie już raz gawędę o rybach — zawołał lord — bo jesteśmy za daleko od morza, aby złowić i usmażyć jakąkolwiek. Jeśli upewniasz, że jesteśmy w lesie dewonskim, to już wołałbym skosztować dewońskiej zwierzyny.

— Musisz, zacny gastronomie, obejść się smakiem — odezwał się Przedpotopowicz z uśmiechem. — Nie zrodziła się jeszcze w lasach dewońskich żadna zwierzyna. Są tu zaledwie pierwsze wije, najniższe owady prostoskrzydłe (*Orthoptera*) i skorpiony (*Scorpionida*), te istne raki lądowe. Kręgowych zwierząt nie zna jeszcze sucha ziemia*.

— Czyż to podobna? — zawołał Stanisław.

— Bezwarunkowo. Wprawdzie niektórzy utrzymują, że trafia się w nich mała jaszczurka, telerpatonem zwana, ale nie ma co do tego żadnej pewności**. W każdym razie, choćby żyła, wątpię, czy przy najstaranniejszych poszukiwaniach znaleźlibyśmy ten rzadki gatunek.

— Więc cóż my jeść będziemy? — zapytał Stanisław.

— ■ Nic. Położymy się spać na czczo.

— Jutro zaspokoimy głód — odezwał się Anglik tajemniczo — jeśli przypuszczenia moje są prawdziwe. Właściwie nie jutro, ale za lat tysiące będziemy mogli się pożywić — dodał spoglądając znacząco na profesora — ale to podobno na jedno wychodzi.

— Miła perspektywa! — mruknął zafrasowany Stanisław. — Wątpię, czy ja wytrzymam tak długo.

— Spróbujemy, może nam się uda zaćmić sławę Tannera i Succich***.

* Obecnie wiadomo, że w okresie dewonskim żyły już prymitywne płazy.

** Przypuszczenie, jakoby w okresie dewonskim występowały gady, jest błędne. Według ostatnich danych — telerpatony pojawiły się w triasie.

*** Mowa o słynnych w końcu XIX wieku „głodomorach”, którzy dla celów badawczych przeprowadzali długotrwałe głodówki.

*Dziwne przypuszczenia Anglika — Skrzekogady *
węglowej epoki*

Skoro tylko świt przez grube chmury rozproszył nocne ciemności, profesor Przedpotopowicz, pomimo mroku i dżdżystej pogody, był już na nogach i wśród soczystych kalamitów, karliszcz i łuszczydeł w gorączkowym nastroju rozpatrywał znoszone przez Stanisława okazy zielonego drobiazgu, ścielącego się u stóp. Lord Puckins, choć przemokły, pozostał jeszcze w objęciach Morfeusza.

Czoło paleontologa faldowało się w coraz głębsze bruzdy. Chmurzył się, zżymał nie odpowiadając na różne uwagi służącego, aż wreszcie wybuchnął.

Uderzył z całej siły o ziemię pękiem przyniesionego dopiero zielska.

— Sapristi, węglowa! — zaklął.

Okrzyk ten zbudził Anglika. Uchylił on jedno oko i ziewając zapytał, co się stało.

— Nic się nie stało, proszę pana, to mój pan powiedział tylko: „Sapristi, węglowa!”

— Dopiero węglowa? — zapytał żywo Anglik, na dobre zbudzony.

— Oczom własnym nie chce się wierzyć! — zawołał profesor z gestem rozpaczliwym —■ a jednak...

— Niedobrze — przemówił Anglik przeciągając się.

— Dlaczego niedobrze? — odezwał się zaniepokojony Stanisław.

— Nie idziemy tak prędko w górę, jak się zaczęło. Myślałem, że lepiej nam pójdzie.

— Nie rozumiem cię, lordzie — odrzekł geolog.

— Dziwna rzecz, proszę pana — zauważył Stanisław — nie znalazłem dotąd ani jednego kwiatka! Same jakieś mchy, paprocie i Bóg wie jakie, nieznane zupełnie, twarde zielska.

— Do kwiatków jeszcze daleko, skoro jesteśmy dopiero w węglowym lesie — odparł na to Anglik, a zwracając się do uczzonego wpatrzył się weń znacząco:

— Cóż ty na to, profesorze?

— W głowie mi się mąci! — odrzekł tenże załamując ręce rozpaczliwie,

— Mnie się rozjaśnia — odparł krótko Anglik.

—■ Jak mam to rozumieć?

— Od wczoraj rozmyślałem nad naszym zagadkowym położeniem

Skrzekogady — nazwa ta nie istnieje w terminologii przyrodniczej. Dawniej skrzekami nazywano płazy, a więc autor ma tu na myśli formy przejściowe, które posiadają charakterystyczne cechy płazów i gadów.



i przyszła mi pewna idea do głowy. Nie mówiłem nic z tobą, bo chciałem być pewnym tego, co myślę. Teraz jednak...

— Cóż teraz?

— Mam rozwiązanie — odezwał się. — Jeśli tylko nie mylisz się dziś, nie myliłeś się wczoraj i onegdaj, tedy stała się z nami istotnie rzecz nienaturalna.

— A toś mi nowinę powiedział! — odparł z ironią Przedpotopowicz.

■— Szukam słów, jakimi mógłbym ci, profesorze, wyrazić swe myśli. Nie chciałbym, abyś pomyślał, że mi się klepki w głowie rozluźniły. A może lepiej zostawię to do jutra. Czas wszystko wyjaśni.

•— Mów, lordzie, bez ogródek! Mnie już niczym nie zdołasz zadziwić.

— Skoroś przygotowany, zatem słuchaj. Zdaje mi się, że wpadliśmy w niezgłębioną przepaść czasu.

— W przepaść czasu!? — wykrzyknął mimo woli geolog.

—■ Nie inaczej: czasu — cierpko odrzekł syn Wielkiej Brytanii.

Geolog, mimo niedawnego zapewnienia, nie umiał ukryć podziwu. Zmierzył Anglika długim i baczным spojrzeniem, pokręcił głową i jakiś czas szedł w milczeniu.

— Zawile nieco będą me objaśnienia, biedny profesorze — odezwał się wreszcie Anglik — ale racz mię posłuchać. Przyznasz zapewne, że

czas i przestrzeń na licznych punktach są podobne do siebie. Są nieskończone, nie mają granic...

— Rzeczywiście, przyznaję to.

— Jeśli więc można w przestrzeni spadać z wysokości na dół, jeśli można w tej samej przestrzeni wznosić się z dołu do góry, pytam: dlaczegożby to samo prawo posuwania się to na dół, to do góry nie mogło stosować się do czasu? Dlaczego miałyby pozostawać przywilejem tylko przestrzeni?

— Niezupełnie cię rozumiem, lordzie — zauważył profesor oksfordzki.

— Dlaczegożby czas — ciągnął spokojnie Anglik — dał się przemierzać zawsze tylko ku przyszłości, a nigdy w kierunku przeszłości?

— Jeszcze mniej rozumiem, do czego to ma prowadzić — mruknął po raz trzeci geolog.

— Przyjmijmy, że w czasie można się cofnąć, podobnie jak to ma miejsce z przestrzenią...

— A wtedy? — zapytał paleontolog sucho.

— Wtedy mam objaśnienie dręczącej cię zagadki...

— Mianowicie?

— Oto po prostu zapadliśmy się nagle w otchłań przeszłości i w tej przepaści, nie doleciawszy do samych jej głębin, oparliśmy się na epoce kambryjskiej.

— Zapadliśmy w przeszłość? To zdaje się rzecz poważna — odezwał się nagle Stanisław, który z całej rozmowy zrozumiał najlepiej zdanie ostatnie.

— Masz rację! Bardzo poważna — odparł lord Puckins, a zwracając się do Przedpotopowicza dodał: — Wiesz, profesorze, twój pomocnik umie myśleć. I on przyznaje, że to rzecz poważna. Odkrycie moje — ciągnął dalej — zaskoczyło mię tak nagle, że nie mogę zebrać nawet myśli, aby zrozumieć, dlaczego oparliśmy się właśnie na kambryjskiej epoce. Dlaczego wpadliśmy aż tak daleko? Albo odwrotnie: dlaczego nie przelecieliśmy głębiej jeszcze, do czasów przedkambryjskich, albo jeszcze głębiej, do czasów, gdy ziemia była rozpaloną kulą... albo dopiero pierścieniem oderwanym od słońca? Tłumaczę to sobie prostym trafem. Musieliśmy przecież gdzieś się zatrzymać i zatrzymaliśmy się w kambryjskich czasach.

— Cóż teraz z nami będzie? — zapytał marszcząc poważnie czoło » Stanisław.

— Rozmyślać nad tym rzecz daremna — zawyrokował Anglik. — Położenie nasze niezwykle, wyjątkowe, a nawet, o ile mię pamięć nie myli, bezprzykładne... Nie słyszałem jeszcze nigdy, aby ktoś wpadł w/ otchłań czasu...

— Oj, prawda — wyrzekł Stanisław. — Wpadałem i ja w rozmaite

rzeczy, ale żeby kto wpadł w otchłań czasu, o tym nie słyszałem. Sądzę, że trzeba znowu *się* przygotować na śmierć.

— I ja tak myślę — odrzekł Puckins. — Nie ręczyłbym nawet za to, czy już nie umarliśmy, ale jeśli żyjemy, zdaje mi się, że dostrzegam słaby promyk nadziei. Wszak Dante był w samym dnie piekła, w samym środku ziemi, a jednak i stamtąd powrócił.

— Zapominasz, lordzie, że on był w szczęśliwszych warunkach — odezwał się roztargniony geolog, który od ostatniego odezwania się, pogrążony w myślach własnych, zdawał się nic nie widzieć i nie słyszeć.

— Jak to: w szczęśliwszych? — zapytał Anglik.

— Jemu przewodniczył Wergiliusz, a my...

— Skoro o przewodnika chodzi — podjął Anglik — to i my nie jesteśmy sami. Nas wtrąciła tu wiedza, ona nam też powinna przewodniczyć dalej!

— Na kruchej podstawie gruntujesz *swe* nadzieje — odparł z goryczą profesor Przedpotopowicz nie budząc się z półodrętwienia.

— I ty to śmiesz mówić? Ty, jej kapłan?!...

— Niestety! Chciałbym być kapłanem wiedzy, ale to niedostępna wyżyna. Jesteśmy bezsilni!

— Mimo wszystko powtarzam, że widzę zbawczy promyk — odezwał się Puckins. — Opieram go na twojej, profesorze, obserwacji. Zdaje mi się nawet, że zdobył niejakie podstawy, ale czyż można być cokolwiek pewnym w odmęcie przeszłości? Jesteśmy niby wątła łódka na niezmiernym oceanie czasów dzielących nas od terażniejszości.

— Jeśli chcesz być w zgodzie z tym, coś nam wygłosił, to daj pokój „terażniejszości” — poprawił go cierpko geolog. — To, co nazywałeś onegdaj jej imieniem u wejścia do podziemnej czeluści, już dla nas trzech nie istnieje, jest to odległa przyszłość.

— Słusznie! Słusznie! — zawołał Puckins. — Otóż sądę, że spadek nasz w dół czasu, czyli w przeszłość, odbył się z błyskawiczną szybkością. Oparliśmy się od razu na kambryjskich czasach. Od tej chwili jednak powracamy dość raptownymi skokami w górę.

—■ Pojmuję już twoją hipotezę! — zaczął geolog po długiej chwili —• ale daruj, że ją nazwę szaloną. To wszystko, co przypuszczasz, jest wprost niemożliwe.

— Dlaczego? — sucho zagadnął Anglik.

—■ Ależ opamiętaj się, człowieku, i nie pytaj nawet, dlaczego...

—• Bardzo proszę!...

— *Nie* obrażaj się, ale wierzaj, lordzie, tu nie ma nawet nad czym rozprawiać.

— Mam dowody! — zawołał Anglik szorstko.

— Ach, masz zapewne na myśli spotkanego onegdaj olenusa kamhryjskiego, a wczoraj już azafusa sylurskiego... Przez jedną pozorną według ciebie noc posuwamy się o całą geologiczną epokę.

— Naturalnie! Nic prostszego nad to.

— Dziś zatem ten smutny las kalamitów i paproci podsuwa ci myśl, że nie jesteśmy już w sylurskiej epoce! — ciągnął paleontolog ze złe ukrytym ironicznym uśmiechem.

— Nie inaczej!

— Ale czy wolno choćby na chwilę pomyśleć, aby wieki miały jak sekundy?

— To jest niezawodnym — odparł Anglik. — Fakty za tym przemawiają. Zresztą, czymże w otchłaniach czasu różni się wiek od sekundy? Niczym. Zarówno wiek, jak tysiące lat nie wyczerpują ani cząstki czasu, wieczności, bo gdyby wyczerpywały, wtedy nieskończoność byłaby skończoną. Wszak prawda, że w sylurskiej epoce nie było jeszcze roślin lądowych?

— W istocie, nie było ani roślin, ani zwierząt lądowych, ale mimo to nie ośmieliłbym się prawić, że byliśmy onegdaj w sylurskim świecie.

— ■ Pozwól! Teraz otaczają nas rośliny lądowe, zatem wznieśliśmy się już znacznie ku dawnej naszej „teraźniejszości”.

— Ależ dowodu! Proszę o dowód, że tak jest! — wołał rozpaczliwie geolog.

Anglik podniósł w górę prawicę zakreślając nią szerokie półkole.

— • Spójrzj dokoła, profesorze, a znajdziesz ich tyle, ile zechcesz. Przedpotopowicz wzruszył ramionami.

— Nawet świadectwo zmysłów nie wystarcza mi w tym razie.

— Więc czym to wszystko objaśniasz? — podjął Anglik i wpatrzył się z uporem w geologa.

— Tu jest w istocie coś, czego nie mogę pojąć, ale na twoje przypuszczenie nie mogę się w żaden sposób zgodzić.

— Poczekajmy więc, może się to wyjaśni.

— To się wyjaśni! — mruknął gniewnie uczony. — Ale nie na korzyść twego przypuszczenia.

Więc lepiej nie mówmy już o tym ■ — odezwał się Anglik. — Nie pizekonasz mię, podobnie jak ja ciebie.

Masz słuszość, lordzie, nie mówmy wcale!

— I nie myślmy!

I nie myślmy nawet. Lepiej zastanowić się, czy nie ma wyjścia z tego zaczarowanego koła... Przecież musi się znaleźć jakaś rada, skorośmy wydobyli się z podziemnej czeluści.

I nie było już mowy ani o tym, ani o czym innym między poróżnionymi przyjaciółmi.

Ruszono w dalszą drogę. Geolog od czasu do czasu -wpadał w głębokie zamyślenie. Kroczył niby automat, pozbawiony wzroku i słuchu. Lord Puckins tymczasem odzyskał spokój, a wkrótce potem powrócił mu humor.

Często zaczepiał sługę różnymi zapytaniami, wyciągał go na dysputy i dowcipkował nawet.

Stanisław, ośmielony dobrym nastrojem lorda, zagadnął go o powód gorącej sprzeczki z profesorem.

— Ty tego nie zrozumiesz, mój kochany — zbył go Anglik. — Nam szło o bardzo ważne rzeczy, mianowicie o to, ile lat ubiegło przez noc ostatnią.

— Ile lat przez noc jedną? Jakże to być może? — zagadnął Stanisław wytrzeszczając oczy.

— Tak jest, ile czasu ubiegło od dewońskiej epoki do węglowej.

— Alboż to jedno i to samo? — odezwał się Stanisław.

— Widzisz, lordzie! — wybuchnął geolog. — Nawet tak prosty umysł daje ci lekcję logiki...

Puckins zaciął usta.

— Mieliśmy nie rozmawiać w tej kwestii — odrzekł lodowato — ja odpowiadałem tylko na zapytanie Stanisława.

— Pomieszasz mu w głowie! — przekładał profesor. — On powinien wiedzieć, że dewon od węglowej dzieli otchłań czasu, a ty go będziesz przekonywał, że tylko dwadzieścia cztery godzin.

— Proszę pana, ja wiem bardzo dobrze o tym.

— Skądże ty wiesz o tym? — zapytał Puckins nagle ubawiony tonem głębokiego przekonania.

Stanisław wyprostował się i poprawił kołnierz.

— Widzieliśmy już niejedno — odrzekł z godnością. Przebijała też lekka uraza w jego głosie i spojrzeniu.

— Tak?

— U nas w muzeum w każdej sali namalowany jest obraz z podpisem epoki, jaką przedstawia. Przyglądałem się nieraz tym malowidłom i rozmawiałem o nich ze studentami. Widziało się i rozumie niejedno.

— Proszę! — odparł Anglik i umilkł.

— Więc pan myśli, że naprawdę przechadzamy się po lesie węglowym? — zagadnął Stanisław profesora.

— Przykro mi, że nieprawdopodobną rzecz przyznaję za prawdziwą, ale muszę to niestety potwierdzić. Świadectwo zmysłów także coś znaczy i choć rozum woła: złudzenie! — powiadam ci, jesteśmy w tej samej puszczy, która dostarczy kiedyś ludziom cieniuchłej warstewki węgla kamiennego. Może z zielonych pni, na które spoglądam w tej chwili, będzie się węgiel kamienny palić pod kotłem lokomotywy, która

as zabierze z Bośni, jeśli tylko żywi wrócimy do czasów naszych — rzekł profesor.

— Jeżeli przed naszym przyjazdem do Bośni nie został dawno -pa-j_o_n_y — wtrącił lord Puckins, a potem dodał z żywością: — Nie ręczyłbym nawet, czy twój krawat w zielone prążki nie jest zabarwiony farbą anilinową, wydobytą z węgla tego właśnie lasu.

— Jakże by to być mogło? — zawołał Stanisław z niedowierzaniem.

— Wszak jednocześnie nie może być jedna i ta sama rzecz w dwóch miejscach.

— Mój kochany, to jest zupełnie w naszym położeniu możliwe. My sami jesteśmy w tej puszczy anachronizmem, boć dopiero po milionach lat od obecnej chwili narodził się na ziemi.

— To za mądre dla mnie! — odezwał się sługa. — Jakże się możemy dopiero narodzić, skoro już jesteśmy to uczynili? Albo jak możemy być tutaj i rozmawiać ze sobą, jeżeliśmy się jeszcze nie urodzili?

— W istocie, to trudne do pojęcia, a przecież prawdziwe. Jeśli mi nie wierzysz, zapytaj profesora.

Ale geolog nie odezwał się ani słowa. Oparty nogą o powalony pień kalamitu, zapatrzony, błędził myślą daleko.

— Nad czym dumasz, profesorze?

— Nie mogę zgłębić, co to wszystko znaczy.

— Daj już pokój, trzeba się godzić z faktami. Dziękujemy zresztą Bogu i za to, że dosięgliśmy węglowej epoki — przekładał Anglik.

Geolog spojrział nań zdziwiony.

— Ja nie o tym wcale myślę — odparł z naciskiem.

— A więc?

— O twoim przypuszczeniu.

— Nieprawdaż, że się potwierdza znakomicie?

— ■ Nie wiem! Jestem w chaosie, dotąd nie rozumiem, co się z nami dzieje.

— Więc powtarzam, daj pokój rozmyślaniom. Wyjaśni się to prędzej czy później. Nie mogąc nic odmienić, lepiej przyjmij fakt, jakim jest, i nie traćmy czasu.

Cóż zamierzasz czynić?

— Przede wszystkim pójść stąd. Lubię ruch, lubię nowe widoki, a przyznasz sam, że to nie lada osobliwość przechadzać się po prawdziwym węglowym lesie. Szczególniej tobie, jako przyrodnikowi, powinno się to diabło uśmiechać. Ręczę, że niejeden z twych kolegów oddałby pół życia za podobną przyjemność, a ty kwasisz się, nie wiem po co.

— Głową muru nie przebije — zawyrokował z przekonaniem Stanisław.

— Ile też lat upłynąć mogło od syluru do dewonu? — zapytał po chwili Anglik.

Profesor zapomniał od razu o swym kłopotcie. Uśmiech nawet błady przewinął się po jego wargach.

— Nie jesteś nic a nic ciekawym, lordzie — odezwał się.

— Albo co?

— Zadajesz jedno z najtrudniejszych zapytań w geologii tak lekko, jakbyś pytał, która też w tej chwili godzina.

— Zależy mi bardzo na możliwie dokładnej odpowiedzi, a zresztą od czegoż jesteście, moi panowie. Czyż może tylko od tego, aby wam składano hołdy i podziwiano mądrość tak doskonałą, że na cztery zapytania, trzy razy odpowiadacie: „To jest zbyt ciemne” albo: „Co do tego, nie ma jeszcze zgody”.

— ■ Za co mnie dręczysz, lordzie?

— • Właśnie za tę waszą wstrzemięźliwość w zdaniach, jeśli nie za coś... gorszego.

Geolog spowaźniał.

— Za coś gorszego?... — powtórzył. — Prawdę rzekłeś. Nauka nie ma na twe pytania odpowiedzi. Może tylko zapewnić, że czas ten jest długi.

Anglika rozbroiła rezygnacja uczonego.

— Jeśli nie możesz, profesorze, podać cyfry lat zupełnie ściślej, wymień przybliżoną albo podaj jakąś, inaczej wypadnie mi uznać waszą geologię w samej rzeczy za niemowlę.

— Niestety, nie mogę, za mało mamy w tym względzie pewnych danych. Biorąc za podstawę grubość warstw geologicznych, mogę określić tylko stosunek trzech okresów, na jakie dzielimy przeszłość ziemskiej skorupy. Najstarszy okres, paleozoiczny, był cztery razy dłuższym od mezozoicznego, ten zaś trwał znowu dłużej od najmłodszego, kenozoicznego.

Jest i to rzeczą pewną, że starsza część okresu paleozoicznego, sylurska doba, była co najmniej trzy razy dłuższa od młodszej części, dewońskiej. Istotna wszakże długość tych okresów nieznaną jest nam nawet w przybliżeniu...*

* W końcu zeszłego stulecia, gdy książka ta po raz pierwszy ukazała się w druku, geologowie nie znali istotnie ściśłych metod obliczania wieku warstw skorupy ziemskiej. Dlatego też dane liczbowe w tekście odnoszące się do wieku ziemi w poszczególnych erach nie są zgodne z dzisiejszym stanem wiedzy. Patrz tablica: „Kronika życia minionych epok”.

Obecnie przy badaniach w tej dziedzinie bierze się pod uwagę przede wszystkim pierwiastki promieniotwórcze, czyli takie, w których zachodzi samorzutny rozpad jądra atomowego powodując przemianę pierwiastka. Szybkość rozpadu danego pierwiastka promieniotwórczego jest stała i — według wyników dotychczasowych badań — niezależna od warunków zewnętrznych. Fakt ten stanowi podstawę prostej i niezawodnej metody określania wieku minerałów i skał.



«:Sj*! *^,J»

J^O

Lord tymczasem w oryginalny sposób i z właściwą sobie zimną krwią przebrnął grzaskie bagno. (str. 99)

— Ale przecież musisz podejrzewać, choć w szerokich ramach, jakąś ilość lat...

— Podobnych okresów w latach się nie wyraża — odciał *i-A* geolog. — Mówić o latach trwania okresu kambryjskiego, sylurskiego albo choćby i dewońskiego byłoby to samo, co obliczać odległości między dalekimi krajami na łokcie zamiast na mile.

— Przesada! Nie chodzi tu chyba o tak wielkie cyfry.

— O większe jeszcze, milordzie. Podobnie jak tysiąc tysięcy łokci * nie podsunie naszej wyobraźni rzeczywistej odległości, jaką określają te wyrazy, tak samo mało nam uplastyczni ogrom geologicznej epoki, rachowany na miliony lat. A tu w grę wchodzi miliony lat. Pojęcie licznych milionów lat trwania nie może się pogodzić w naszej myśli z przyzwyczajeniem rachowania na lata albo na wieki i wydaje się mocno przesadzonym. A jednak geologiczna przeszłość ziemi musi być obliczana na takie „przesadne” liczby.

Kwestia czasu geologicznego zajmuje żywo i od dawna umysły geologów i astronomów. Wiele gruntownych, genialnie obmyślonych podstaw użyto już do obrachunku. Wyniki jednak różnych badaczy nie zgadzają się z sobą, co najlepiej dowodzi niedostateczności tych podstaw. Mimo to zawdzięczamy już podobnym usiłowaniom znajomość granic, w których mieścić się może rzeczywiście długość okresów geologicznych. Obliczenia na przykład oparte na stopniowym ochładzaniu się ziemi wskazują, że od początku tworzenia się skorupy ziemskiej upłynęło najmniej 10 milionów lat, a najwięcej 100 milionów.

Według Geikego tworzenie się skał osadowych rozpoczęło się najwcześniej przed 680 milionami lat, a najpóźniej przed 73 milionami.

Mnie się zdaje, że cyfra 150 lub 200 milionów lat, rachowanych od czasu zjawienia się życia organicznego ziemi, jest najbliższą prawdy.

— Półtora miliona wieków! — wykrzyknął lord Puckins. — Niech was nie znam! Sypiecie cyframi jak astronomowie.

— Od czasów kambryjskich upłynęło, według obliczeń Geego, 70 tysięcy wieków.

— Dość już!

— A co najmniej 30 tysięcy wieków, zanim jałowe lądy sylurskiej epoki okryły się nie znaną dotąd na ziemi roślinnością.

— Ależ dość, bo mi się w głowie kręci! — wołał Anglik i zatkał uszy.

— Mój panie, chciałeś cyfr, więc je masz! Nie są przesadzone, raczej może za małe.

— O nieba! Temu jeszcze dziesiątki tysięcy wieków wydają się za małe.

* Łokiec — 0,58 m.

^r — F!of. Pi!ec:pe!opowie2

— Rozważ sam, milordzie, a poznasz, że to są bagatele. Wszak od środka syluru do środka dewonu miały czas kambryjskie góry w proch się rozsypać, a powoli dźwignęły się na równinach nowe. Bądź pewny, że zmiany takich dekoracji, jak góry, wymagają nieco więcej czasu aniżeli teatralne...

— Powstrzymajże już raz potok swej wymowy, profesorze, bo twoje daty nerwy mi rozdzierają — wołał Anglik. — Już wiem, co mi trzeba wiedzieć, i zajmę się rozważaniem mej teorii.

Zapanowało milczenie.

Nasza trójka znikła niebawem w mroku sigillarii, kordaitów, kalarni-tów olbrzymich i kałamodendronów.

Powoli, pod wpływem oryginalnego na wskroś wdzięku puszczy, obudziła się w paleontologu żyłka przyrodnika. Zapomniał o swych kłopotach, nic sobie nie robił z ciepłego deszczu, jaki z pochmurnego nieba przez rzadkie konary różnych paproci i wyniosłych nagonasiennych kordaitów spadał rzęsiстыми kroplami, i z wzrastającą ciekawością rozglądał się po puszczy.

Zdawałoby się, że pogodził się z teorią lorda.

Skrzekogady czasów węglowych

Podczas gdy geolog zatopił się w myślach, lord Puckins niechęć pozostał w tyle.

Niebawem rozległ się o kilkadziesiąt kroków głos Anglika. Z całej siły płuc nawoływał on towarzyszków. Gdy przebrnęli ku niemu, po kolana zapadając się w cuchnące bagnisko pełne przegniłych pni, ujrzeli Puckinsa stojącego niby na grzbiecie obrzydliwego jakiegoś i olbrzymiego zwierzęcia. Dwie czy trzy podobne choć mniejsze istoty, nierucliomie zanurzone w czarnym błocie, ukazywały nad poziom tylko szerokie i wydłużone paszcze. Jedna siedziała nieporuszenie, oparta o pochyły pień kalamitu. Przypominała trochę żabę, bardziej zaś małego krokodyla. Najroślejszy, pogrążony nierucliomie w bagnie, zdawał się nie odczuwać ciężaru Anglika. Tuż przy nim sterczała z bagna potężna głowa, większa aniżeli u wołu. Profesor wpatrzył się w tę głowę nie zwracając uwagi na śmieszny pozycję lorda.

— Antrakozaur! Król węglowej epoki! — zawołał zdumiony.

— Niech pan ucieka! — krzyczał znowu Stanisław i wdrapał się ze zrećznością majtka okrętowego na pień, okryty tabliczkowatymi bliznami po odpadłych listowiacach.

—■ Co ci się stało?

—Nadeptałem na ogromnego węża.

—Wstydz się, tu nie ma węży, skoro jesteśmy w węglowym lesie —
uspokajał go geolog.

— Ależ doskonale widziałem! Cienki jest, ale bardzo długi i straszny...

— Widziałeś zapewne wysmukłą dolichożomę, podobną z kształtu do
węża, ale tylko z kształtu.

Lord tymczasem w oryginalny sposób i z właściwą sobie zimną
krwią przebrnął grząskie bagno. Otoczony gromadą skrzekogadów,
przeskakiwał po ich cielskach niby po wielkich kamieniach i tak zbli-
żył się do uczonego.

— Powiedz mi, profesorze — zapytał pośpiesznie wskazując na ocię-
żale potwory — czy smaczną byłaby z nich pieczeń? Cóż to są za
zwierzęta? Dobrze jest wiedzieć, na jaką się zapoluje zwierzynę.

— Są to przodki gadów i płazów, skrzekogady (*Stegocephala*).

— Więc gady — zakonkludował Stanisław ze skrzypu. — Brr! Kto
by to jadł!

— Nie są to jeszcze gady — przerwał mu profesor. — Są to potomki
ryb słodkowodnych, pierwsze zwierzęta kręgowie mogące część życia
spędzać poza obrębem wody. Najwłaściwszym dla nich mianem byłoby;
ryby lądowe, rybo-płazy albo płazy pancerne.

— Tak czy owak zawsze to gady! —■ bronił się Stanisław.

— Jeszcze ci raz powtarzam, że zbyt lekkomyślnie określasz te
przejściowe stworzenia. Są one tylko prarodzicami gadów, które
kiedyś, kiedyś z ich rodów się rozwiną. Gruba zachodzi różnica między
stegocefalami a gadami. To, co mówisz, brzmi tak samo, jakbyś nazwał
antrakozaura rybą dlatego jedynie, że z rodu ryb pochodzi.

— To co innego. Ryba pływa w wodzie, oddycha skrzelami...

— A widzisz! Teraz się złapałeś. Skrzekogady przez całą młodość
swoją są jeszcze jak gdyby rybami. Pływają w wodzie i oddychają
skrzelami. Każdy zginąłby wyjęty z wody na powietrze. Gad tymcza-
sem prawdziwy, na przykład jaszczurka albo wąż, od wyjścia z jaja
oddycha płucami i żyje na lądzie.

Stanisław zamilkł, a uznając zapewne, że w porównaniu do umiar-
kowanej wiedzy zajmuje chwilowo zbyt wysokie stanowisko, zszedł
2 mokrego kalamitu na wilgotniejszą jeszcze ziemię i stał się bardzo
pokorny.

Lord Puckins wyjął długi, składany niby ostra brzytwa nóż my-
śliwski i z ukosa, okiem znawcy mierzył nie poruszające się nawet
w bagnie potwory.

Wybierał najsmaczniejszy kąsek. Stanisław zauważył przygotowa-
na Anglika i skrzywił się niemiłosiernie. Był między młotem a kowa-

dłem. Głód kazał mu godzić się z planem Puckinsa, "zakorzeniony zaś wstręt do zwierząt zimnokrwistych zmuszał do protestów.

— Czym można sobie wyjaśnić wytworzenie się tych zwierząt? — zapytał lord Puckins. — Chyba nie przeludnieniem, a raczej przerybieniem oceanów, bo wody nie brakowało jeszcze.

— Zapewne, że w morzach wody nie brak — odrzekł Przedpotopowicz — ale ryby prócz oceanów zamieszkiwały także od dawna rzeki i jeziora, a tam życie im upływało w innych warunkach. Pewne moczary śródlądowe mogły być nawet, skutkiem wielkiej mnożności ryb, przerybione, więc małe gatunki skutkiem głodu, a także uchodząc przed drapieżnikami, zapędzały się na bardzo płytkie miejsca. Tej okoliczności zawdzięcza ród skrzekogadów swoje powstanie. Obecnie jest on już bardzo rozrodzony i stary. Obejmuje mnóstwo typów zgoła do siebie niepodobnych, zarówno pod względem kształtów jak obyczajów, ale początki jego są skromne. Kolebką tych stworzeń musiały być właśnie rozległe płytkie trzęsawiska, zarosłe wodną roślinnością. Tutaj lęły się miliardy drobnych stworzonek wodnych, na które ryby są bardzo chciwe. Podwodne owe gąszcze dawały tedy przytułek i obfity żer chmarom ryb i rybek przeróżnych. Przy niestałości poziomu wód zdarzały się wypadki, że znaczne obszary tych wodnych przytułków zostawały w pewnych okresach na długo odosobnione. Z braku dostatecznego dopływu świeżej wody w znacznej części wysychały one, przynosząc nieuniknioną zagładę miliardom rybek, które w porę nie zdążyły przenieść się na głębsze miejsca. Gdy większość załapanych



marnie ginęła, wytrzymalsze gatunki czołgały się wytrwale po błocie, wyszukiwały głębsze dołki i bagna i czekały, póki deszcz nie zasili nonownie wodą wysychających trzęsawisk.

podobny stan rzeczy mógł się tu i ówdzie ciągnąć i powtarzać długo. Ryby owe wiodły nadzwyczaj męczący żywot, ale za to oswajały się pomału z nadmiarem powietrza.

Te wytrwale gatunki oraz ich potomstwo wygrywały na borykaniu się z losem. Coraz lepiej i dłużej mogły znosić zabójcze dla innych ryb przebywanie w nadmiarze powietrza, Powoli przekształcały się ich organy oddechowe, a z nimi i ustrój ciała, i z istot czysto wodnych przerobiły się ich potomki zwolna w bardzo niedoskonałe jeszcze, ale już ziemnowodne zwierzęta.

Lord Puckins przytakiwał głową i co chwila spoglądał na Stanisława. Badał wrażenie, jakie na nim czyni wymowa profesora. Oblicze jednak Stanisława było sfinksowe.

Paleontolog zamilkł na chwilę, po czym, korzystając z niezakłóconego spokoju, słuchaczów, kończył myśl swoją:

— Z biegiem czasu setne pokolenia żyjące w podobnych warunkach coraz lepiej przystosowywały się do życia w dwóch żywiołach, a nawet do konieczności porzucenia sposobu życia w miarę dojrzewania.

Ciało ich, skutkiem stałego przebywania wśród płytkich moczarów, musiało nagiąć się do potrzeb. W młodości wody im nie brakło. Zopatrzone na sposób ryb w skrzele, nawet pod względem kształtów zupełnie zbliżone do ryb, mogły zaliczać się do stałych mieszkańców wód. Ale w miarę wzrostu coraz trudniej było im mieścić się i żywić w płytkich wodach. Nie tracąc tedy skrzeli, dostawały płuc. Płetwy dziecinne przetwarzały się im w kończyny zdatne od biedy do czołgania się i odtąd dawne małe niby-rybki mogły wypęłzać nawet na suchy grunt i bawić na nim tak długo, jak im się podobało...

— Pozwól, profesorze, abym uzupełnił twoją teorię praktycznym wywoдем — odezwał się nagle Anglik.

— Słucham, twoje uwagi zawsze wnoszą niemało światła do najciemniejszych i najzawilszych kwestii.

— Dzięki za komplement — przerwał mu skromnie Puckins, przekonany w duszy, że profesor nie przesadził nic a nic. — Moja uwaga będzie krótka. Skoro jadamy ryby i smakują one nam niezgorzej, byłoby całkiem nielogicznym uważać skrzekogady za niejadalne. Wszak to w gruncie rzeczy tylko dawne, stare ryby, które wyszły na ląd i tam już zostały.

■— Stare ryby — przerwał Stanisław — i to takie, co wyszły na suchą ziemię i tam już zostały?

— Tak jest!

— O, to ślicznie dziękuję! Ja wolę świeże i o' ile można prosto ; z wody.

Uśmiechnął się paleontolog na takie *qui pro quo*.

— Powiedz, lordzie, raczej: udoskonalone ryby — poprawił — to będzie ładniej brzmiało. W istocie udoskonalenie się owo organizacji ryb przyniosło niesłychanie ważne następstwa. Odtąd zwierzęta kręgowce nie poprzestawały na wodnym żywiole i objęły w posiadanie niezmierne, dotychczas nie wyzyskane, obszary lądów i wysp, obfite j w niedostępny dla nich i dotąd marnujący się żer. Śródlądowe kręgowce nie potrzebowały już odtąd trzymać się wyłącznie rzek i strumieni. : Napełniły się ich potomstwem prawie wszystkie wilgotne lasy, głucho f puszcze i rozległe bagna od bieguna do bieguna. A trzeba przyznać, że wtedy na lądach więcej było bagnisk niżeli suchej ziemi. Rozmaitość 'a zaś pożywienia i warunków życia wytworzyła z biegiem tysiącleci nadzwyczajną różnorodność typów.

— Jak mogły być lasy od bieguna do bieguna? — zagadnął Stanisław z miną wyzywającą. Co dzień lepiej przypominał on sobie zasłyszane urywki dysput w gabinecie pana. — Wszak dokoła biegunów jest 60 tysięcy mil kwadratowych lodów i śniegów? !

— Daj go katu — mruknął lord — ten chłopak mi się podoba. Sypie cyframi jak z rogu obfitości i nic a nic nie troszczy się o zera.

Uwagi tej na szczęście nie dosłyszał Stanisław, więc napuszony spoglądał w oczy profesora. Ten z pobłażliwym uśmiechem położył rękę na ramieniu oponenta.

— „Wieczne lody" nie są wiecznymi. Dawniej, gdy nas, a nawet i naszych protoplastów nie było, panował na całej ziemi jednakowy klimat i na biegunach było tak samo ciepło jak przy równiku. Później działało się rozmaicie. Raz jeden biegun, to znowu drugi okrywały się • lodami przynosząc gruntowne przewroty w świecie ożywionym. Ale ; kiedy ziemia zapoznała się pierwszy raz z lodami — tego nie wiemy. Domyślamy się tylko, że znacznie wcześniej, aniżeli to jeszcze przed 'a : lata kilkunastu przypuszczano. Być może, że już w węglowej epoce , lody gdzieś były na ziemi. Bądź co bądź w samej pełni trwania węglowej epoki ród skrzekogadów podzielił się już na nie bardzo podobne - do siebie wzajem pokolenia. Jedne grupy przypominały dzisiejsze salamandry, należały do nich branchiozaury. Inne podobne były do jaszczurek; archegozaurus łudząco przypominał naszego krokodyla itd.

— ■ Ale chyba nie wszystkie ryby węglowej epoki prz przemieniały się na skrzekogady? — zapytał z nietajonym niepokojem Stanisław.

— Naturalnie! Słyszałeś przecież, że los ten spotkał jedynie ryby bagien i wód bardzo płytkich. Morskie i głębokowodne pozostały i nadał rybami.

— Więc w rzekach tutejszych nie brak ich?

— Nawet w strumieniach!

— ■ Ciesz mi to — zawołał Stanisław. — Niech pan zamknie swój „ó” — odezwał się do lorda — ja biorę już na siebie dostarczenie czegoś lepszego od pańskiego przysmaku.

Nagle spochmurniał i spojrzał na paleontologa.

— Czy skrzekogady mają zęby? — zapytał nieśmiało.

— Bardzo ostre nawet, chociaż niektóre gatunki, zdaje mi się, są bezzębne, a wszystkie czynią z nich bardzo umiarkowany użytek.

— O, to pięknie z ich strony! —• szepnął Stanisław rozjaśniając oblicze.

— Wolą połykać zdobycz bez przegryzania — dokończył profesor. — Są to zwierzęta niesłychanie żarłoczne i obżarte.

Uwagi ostatnie wcale się nie podobały słudze, więc też, jak przystało na prawdziwie męznego i chciwego wiedzy człowieka, zapragnął poznać, gdzie te potwory lubią najlepiej prócz błot przebywać.

— Jedne żyją w rzekach i jeziorach, inne na moczarach i w lasach. Jedne prowadzą życie nocne, inne żerują w dzień albo o zmroku. Jedne żywią się wyłącznie rybami, owadami albo ślimakami, inne wszelkim robactwem. Pewna ilość smakuje wprawdzie w roślinnych pokarmach, ale są i takie, co pożerają słabsze osobniki swego własnego rodu, a nawet gatunku. Co najzabawniejsze w dziejach tych zwierząt, to powrót ich do żywiołu, z którego wyszły.

Nie dosyć było stegocefalom łądów. Gdy się tu dobrze rozpanoszyły, zapragnęły lub musiały znowu zakosztować życia morskiego, choć już wcale nie były do niego przystosowane.

Z biegiem czasu pewne gatunki, przewyciężając naturę łądową oraz wrodzony wstręt do wody, nauczyły się wpływać z rzek do morza i w końcu tak dalece w nowym życiu zasmakowały, że potomki ich nie chciały wcale na łąd wracać i przerobiły się na stałych morskich mieszkańców. Odtąd nawet w oceanach ryby przestały już królować. Skrzekogady objęły berło pierwszeństwa na całej ziemi.

— O, panie, ja bym je wszystkie wytępił! Zasługują na to w zupełności!

— Za późno się wybrał. Dziś istot tych wcale nie ma. Wyrodziły się już bardzo dawno, a potomkowie ich dzielą się, jak to ci już wspominałem, na dwa całkiem odrębne rody. Jeden znany pod nazwą skrzeków (*Amphibia*), obejmuje ziemnowodne pokolenie żab i salamander, drugi jako gady, gady prawdziwe (*Reptilia*) dzieli się na pokolenia: żółwiów, krokodylów, jaszczurek i węzów. Pierwsze stale podlegają

„przemianom” jeszcze na wzór skrzekogadów, ostatnie są już od wyjścia z jajka podobne do rodziców swoich.

— Co to znaczy: podlegają przemianom? — zapytał Stanisław.

— To znaczy, że wylęgają się z ikry, czyli jajeczek złożonych na wodzie i usposobione są w pierwszej młodości do życia w wodzie na wzór ryb. Wcale niepodobne do rodziców, spędzają całe dzieciństwo w wodnym żywiole. Dopiero skoro zbliża się epoka dojrzałości, organizm ich zaczyna podlegać szybkiemu przekształcaniu się. Znikają skrzele, dotąd niezbędne do oddychania, a wytwarzają się płuca. Parzyste płetwy przekształcają się w krótkie nóżki. Po takiej dopiero przemianie stają się podobne do rodziców, wychodzą na ląd i odtąd mogą żyć poza obrębem wody, nigdy jednak całkiem od niej nie lubią się oddalać.

Pomimo wszystkiego Stanisław nie dał się nakłonić do zakosztowania pieczeni ani z wielkiego archegoz-aura, ani nawet z mniejszego stego-cefała i poty przekonywał towarzyszków o swoich zdolnościach rybackich, aż zgodzono się na towarzyszenie mu do strumienia, który toczył przejrzystą jak kryształ wodę po czystym żwirze. Tu podjął się rękoma, bez wędki, zdobyć „uczciwe” pożywienie. Jakoż po niezliczonych zawodach dokazał swego. Przed wieczorem trójka nasza, siedząc przy roznieconym z wielką trudnością i dymiącym ognisku, piekła wodne zwierzęta wprost na węglach lub na patyczkach, w taki sam sposób, jak to czynią do dziś dnia „dzicy” mieszkańcy puszczy brazylijskich. Ukończono biesiadę dobrze już po północy. Tym razem, dzięki zapobiegliwości Stanisława, nikomu Cyganie się nie śnili.

Epoka permu — Protorozaur

Znikła bez śladu bujna puszcza węglowa.

W wielu miejscach dawne lądy pokryły się morskimi osadami grubymi na kilkaset, a nawet parę tysięcy metrów.

Nową powierzchnię pokrywały nowe bagna, pustynie i lasy.

Nasza trójka znalazła się w ponurym nad wyraz pustkowiu. Biade, duże słońce dziwnie martwą i jakby spłowiałą jasnością oblewało piaski i kamienie nagie.

— Jedna noc i taka zmiana! — szeptał Stanisław przerażony.

— Niecała nawet! — mruknął Puckins. — Z powodu przemoknięcia długo oka zmrużyć nie mogłem. Zdrzemnąłem się najwyżej na dwie godziny, mimo to nie zauważyłem przewrotu.

Geolog zachowywał uporczywe milczenie. Nie zdawał sobie sprawy, gdzie się znajduje. To tylko spostrzegął, że w słowach Anglika, z któ-



rych wczoraj szydził jeszcze, mieściła się część prawdy. Nie było rady. Wypadło pogodzić się z niewytłumaczonymi przeskokami. Tymczasem niepokój owładnął naszą trójką. Od rana już można było przeczuć, że dzień będzie okropny. Nie było ruchu w powietrzu, najmniejszego obłoczka na widnokręgu.

Zdawało się, że lekkie piórko spadłoby prostopadle do ziemi. Czuć było na ciele jakieś szczypanie, a kroplisty pot obficie spływał po skroniach.

Cisza taka przykrzejsza od grzmotu huraganów.

Strasznie było ponuro.

— Co teraz czynić? Dokąd iść, aby się wydobyć z tego okropnego miejsca? — pytał sługa ocierając kroplisty pot z twarzy.

— Nie wiem — rzekł Puckins. — Tyle tylko czuję, że jutro możemy, a nawet powinniśmy się znaleźć w naszym świecie.

— Skąd pan wie o tym?

— Nie pytaj! Niech ci wystarczy samo zapewnienie. Obliczyłem to, ^a jutro się przekonamy. Teraz naprzód! Może znajdziemy trochę cienia.

Ruszone. Jednostajność nużącego wleczenia się po dzikiej równinie otoczonej skałami dała się już mocno we znaki. Łatwo też wystawić

sobie radość naszych biedaków, gdy po trzech godzinach marszu w otoczeniu nagich skał, wznoszących nad ziemią spróchniałe wierzchołki, usłyszeli szum głuchy.

Choć droga była usiana skalistymi odłamami, na przemian ostrymi, te znów ogładzonymi od wiekowego działania wód, sił im nagle przybyło, bo tak tylko woda huczy, gdy ze stromej skały spada i rozbija się o ściany przepaści.

Nie omylił ten grzmiący zwiastun oazy. Po półgodzinnej drodze najezonej kamieniami, po przejściu dwóch wyschłych łożysk dawnych potoków ujrzano pod stopami rozkoszną dolinę.

O kilkaset kroków dwoma szerokimi pasmami przelewał się, grzmiał i pienił wodospad rosząc okolicę tumanem drobnych kropelek wody.

Otoczony zielenią olbrzymich stepów, natrafiał w połowie spadku na próg skalny, odbijał się od niego, kłębił cały w pianach po dzikim urwisku, aby zniknąć w niedostrzegalnej jeszcze dla oka widzów przepaści.

Srebrna struga połyskiwała brylantami rozbitych cząstek wody na tle ciemnej zieloności, towarzyszącej jej aż na dół. Zeszli nasi podróżni po ostrych, omszałych zwaliskach w nizinę i ujrzeni się w cieniu skrzypów, kalamitów i paproci, urozmaiconych tu i ówdzie mizernym lepidodendronem. Skąpy to był cień, bo paproci było niewiele, a jednak podróżnym zdawało się, że są chyba w raj, gdy spoczęli na miękkim z mchów posłaniu.

W pobliżu na słońcu wygrzewało się kilka uśpionych gadów. Zwierzęta owe były okryte grubą i szorstką skórą, a właściwie skorupą, popękaną od starości w nierówne tabliczki. Przypominały wielkie jaszczurki, choć podobne były po części do krokodylów.

Apatyczne i wstrętne, rozciągały się w niedbałych a niemal wyszukanych pozach.

— Niedługo znajdziemy się w naszych okolicach! Oto jakieś sosny czy jodły! — zawołał Stanisław.

Profesor popatrzył uważnie na przepyszną grupę dziwnych drzew iglastych.

— Daleko nam jeszcze! — rzekł z niechęcią. — Nie są to wcale sosny ani jodły, lecz walchie i ulmanie. Dzięki tym drzewom dowiedziałem się nareszcie, gdzie jesteśmy. Otacza nas dopiero świat permu. Ziemia od wczoraj zestarzała się znowu niezgorzej. Popatrz tylko na tę fantastyczną grupę skał. To są szczątki jednolitego niegdyś szeregu warstw osadowych. Tam, gdzie sięgają wierzchołki tych skał — tam dopiero była dawniej powierzchnia gruntu. Z czasem wody rozmyły i zniwelowały ten grunt do dzisiejszego poziomu. Otóż czas potrzebny

na dokonanie podobnego dzieła jest drobnostką w porównaniu do czasu, jaki nas oddziela od wczoraj widzianego świata.

Stanisław chwycił się za głowę.

— I mimo to pan powiedział, że ziemia „trochę tylko” się zestarzała?

— Naturalnie! W życiu ziemi podobny okres nie stanowi wiele. Wszak nawet szata roślinna, jak widzisz, nie zmieniła się zbyt wiele. Wprawdzie na próżno byś teraz szukał sigillarii i większości roślin węglowej ery, ale skrzypy są jeszcze piękniejsze niż dawniej, a i lepidodendrony oraz stare kalamity niezupełnie jeszcze wyginęły*. Skrzekogady także dotąd rej wiodą. Wprawdzie nie ma już połowy dawnych gatunków, a panowanie ich na ziemi ma się ku schyłkowi, ale jeszcze dużo czasu upłynie, zanim ustąpią pierwszeństwa nowym rodzajom zwierząt.

W tej chwili jeden z gadów dotąd nieruchomych podniósł długi łeb w górę, leniwie obejrzał się w lewo, obrócił z wolna oczyma, potem skierował głowę na prawo i pozostał tak długą chwilę jak skamieniały. Ziewnął wreszcie przeciągle, a tak szeroko, że można było przez ten czas dokładnie obejrzeć białe, z lekka tylko zaróżowione wnętrze paszczy, i nie zmieniawszy bynajmniej niewygodnej pozycji powrócił do przerwanej drzemki. Nie zdjął nawet łapy, którą trzymał opartą na łbie sąsiada. Można to było wziąć za pouiałość albo pieszczołę, do jakich są zdolne nawet najdziksze zwierzęta ssące, ale tutaj był to prosty przypadek.

Gad nie troszczył się bynajmniej o sąsiada, łeb jego był dlań taką samą obojętną podporą, jaką byłby pierwszy lepszy kamień lub konar łuszczydła.

— Patrzaj na tego łuską okrytego zwierza — rzekł tymczasem paleontolog dostrzegając innego drzemającego gada. — Jest to najmłodszy syn ziemi, świetna latorośl, wykwitła na obumierającym pniu skrzekogadów. Gdy pień z każdym tysiącem lat chyli się ku upadkowi, latorośl, przeciwnie, rozrasta się i zajmie niebawem naczelne miejsce w łańcuchu zwierząt kręgowych.

— Cóż to za jegomość? — zapytał lord Puckins.

— Jest to protorozaur, prawdziwy dygnitarz ziemi. Jako prawy gad, łączy w sobie cechy znanych ci, lordzie, jaszczurek, żółwiów i krokodyłów, które, zjawiają się później. Z jego rodu wyjdzie znaczna ilość ważnych w historii ziemi gatunków gadzin, a kiedyś, w bardzo dalekiej przyszłości, z potomków jego potomków w prostej linii rozrodzi się barwny, świergotliwy ród ptasi.

— Ho, ho! — zauważył lord Puckins — to nie lada figura. O jaszczur-

Patrz tablica II: „Etapy ewolucji świata roślinnego

ki i krokodyle mniejsza; ale gdy pomyślę, że mam przed' sobą praszcza cudownego słowika, miluchnych jaskółek, wspaniałych orłów...

— Smacznych bażantów, tłustych gęsi... — dodał Stanisław.

— ...to przyznać muszę, że w żyłach tego potworka płynie krew szlachetna.

— Proszę pana profesora — przerwał nagle Stanisław — jeżeli się nie mylę, to żaby są także bliskimi krewniakami tego pro... pro... tazo...

— Protorozaura.

— Właśnie!

— Nie należą one wcale do jego rodu. O tyle tylko mogą się poczytywać za krewniaków, o ile nadaje im do tego prawo wspólne pochodzenie od skrzekogadów —■ odrzekł geolog.

— A więc miałem słusność — podjął Stanisław. — A węże? To także krewniaki?

— Te w znacznie bliższym będą zostawać pokrewieństwie.

— Dlaczego będą dopiero?

— Bo ich jeszcze nie ma. Powiedz mi jednak, czemu zaprzątasz sobie głowę podobnymi rzeczami?

— Ech, tak sobie. Przyszedł mi na myśl bocian.

— Bocian? Z jakiejże to racji przypomniał ci się właśnie teraz bocian?

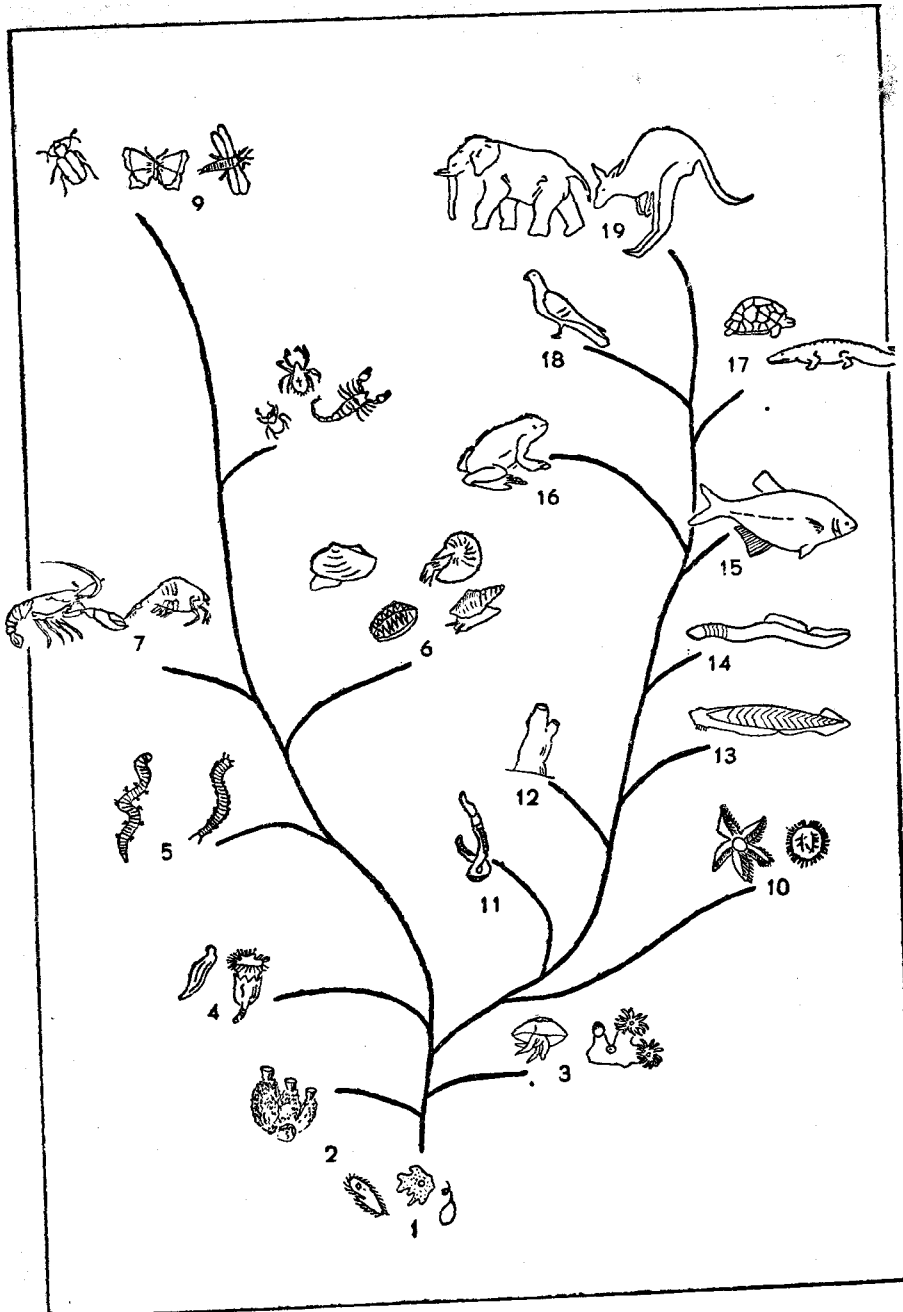
— Zły z niego, jak widzę, familiant — odrzekł Stanisław. — Zamiast uszanować, przesiaduje krewniaków na każdym kroku.

Profesor nie mógł się powstrzymać od ironicznego uśmiechu.

—• Jesteś wymagającym, mój drogi! Jeśli ptak godzi na ptaka, owad na owada, co więcej, jeżeli człowiek nawet otacza aureolą bohaterstwa mordowanie równych sobie ludzi — dlaczegożby bocian miał oszczędzać żabę...

Refleksje te przerwało zjawienie się ogromnego skrzekogaca.

Wstrętny, połyskujący od wilgoci wydzielającej się ze skóry, zmierzzał on z właściwą swemu rodowi powolnością ku mizernej kępce zieleni. Światło odbijało się, jakby od szmaragdów, od oczu, ożywiających brzydki łeb tego zwierza. Próżno by było zgadywać po tych oczach bez wyrazu, co pędzi ich właściciela: głód czy chęć spoczynku po sutej biesiadzie. Zwierz miał chód nienaturalny. Gdy zbliżył się dostatecznie, podróżni nasi dostrzegli, że wlecze się na trzech tylko łapach. Nie dlatego jednak, aby nie posiadał czwartej, ale że jedna była miniaturką. Wypadek, o jaki nawet w świecie gadów nietrudno, pozbawił gada jednej nogi. Gdyby był on istotą wyższą, na przykład ptakiem lub zwierzem ssącym, zostałby już na zawsze kaleką. Ale u ziemnowodnych uszkodzone organa odnawiają się łatwo.



DRZEWO RODOWE ŚWIATA ZWIERZĘCEGO

1- Pierwotniaki 2. Gąbki 3. Jamochłony 4. Robaki 5. Pieścienice 6. Mięczaki 7. Skorupiaki 8. Pa-
 jęczaki 9. Owady 10. Szkarłupnie 11. Jelitodyszne 12. Osionice 13. Bezczaszkowe 14. Bezzuchwocce
 15. Ryby 16. Piazy 17. Gaciz 18. Ptaki 19. Ssaki.

Mała łapka była właśnie odradzającą się kończyną, która po pewnym czasie dorosłnie wielkości utraconego członka.

Lord Puckins, stały miłośnik osobliwości, zapragnął dokładnie obejrzeć bądź co bądź ciekawą nóżkę. W tym celu okrążył potwora i zbliżył się doń poufale. Profesor już go miał ostrzec, aby się nie narażał, ale w tej samej chwili Anglik wydał okrzyk zdumienia.

Zaprawdę, miał się czemu dziwić nawet zimny syn Albionu*. Cały bok zwierzęcia był okrwawiony i poszarpany, a przez okropną ranę z jednej strony bulgotało powietrze uchodzące przez uszkodzone płuca, z drugiej wypływały wnętrzności. Rana nie była wcale świeżą ani w stanie gojenia się. Bez uczucia zgrozy trudno było patrzeć na pokaleczone stworzenie.

— Skąd on jeszcze ma siły wlec się! ■— zauważył Stanisław i odwrócił oczy od zwierza.

— Jak na gadzią wytrzymałość, rana nie jest ciężką i może się zgoić — zawyrokował uczony paleontolog.

— Nie podobna!

— Nasze żaby i salamandry wychodzą cało z gorszych oparów; jakże możesz posądzać ich prototyp o mniejszą wytrzymałość? — odparł uczony. — Nerwy tych zwierząt nie są czułe, maleńki i nie wykształcony mózg grube tylko przyjmuje wrażenia, więc cierpią bez porównania mniej, aniżeli nam się zdaje sądząc po własnej wrażliwości. U gadów nawet ciężkie rany nie są zdolne wywołać groźnych zaburzeń w organizmie. Ten potwór, mimo że jego jelitami nakarmił się już inny, gdyby tylko znalazł właściwą sobie zdobycz, jestem pewny, że jeszcze nie darowałby jej.

Gdy tak rozmawiano, niebo powlekło się sinoołowianą barwą i przeciągłe drżenie wstrząsnęło ziemią. Gdyby to było w mieście, mogłoby się zdawać, że przejechał wóz ładowny po kostkowym bruku. Po kilku sekundach wstrząśnienie w połączeniu z grzmotem — który był niczym więcej, jak szybką wibracją gruntu ■— powtórzyło się z ogromną siłą. Nieruchomo nasłuchujący geolog zbladł, ale się prędko opamiętał.

— Będziemy mieli niespodziankę — wyrzekł siląc się na spokój.

— Oby tylko nie ostatnią w życiu — dodał Anglik.

—■ O ile mi się zdaje, skorupa ziemi jest o parę mil cieńszą aniżeli za czasów człowieka. Gotowa jeszcze rozpruć się i pochłonąć nas.

■■ Trzęsienie ziemi! ■■ krzyknął Stanisław, który dopiero teraz pojął grozę położenia.

Słowa jego zagłuszył przewlekły grzmot.

* Albion — stara celtycka nazwa Anglii.

Nasza trójka zatoczyła się. Stanisław padł na ziemię i zakrył oczy rękoma.

Po krótkiej przerwie nastąpiło kilka potężnych wstrząśnień. Jedno z nich powaliło na ziemię profesora.

Jedynie ten, kto przeszedł podobną katastrofę, może mieć pojęcie o grozie zjawiska.

Mimo to geolog zachował dużo zimnej krwi. Nie omieszkał on pocieszać Stanisława twierdzeniem, że nie stało się nic nadzwyczajnego.

—■ Dziwne to jednak — odezwał się lord Puckins — że tak pospolite na ziemi zjawisko działa zawsze jednakowo silnie na nerwy ludzkie. Jeśli nikt nie dziwi się, gdy pioruny biją lub grad pada, tak samo nikogo nie powinno zbytnio przerażać, gdy w skorupie ziemskiej zachodzą od czasu do czasu maleńkie a nieuniknione, jak powiadasz, profesorze, rujnacje...

Obrachować już trudno, ile ziemia przetrwała tego rodzaju wypadków i przetrwała szczęśliwie. Czytałem niedawno statystykę trzęsień. Kluge naliczył w ciągu lat czterech* w samej Francji, Hiszpanii i Włoszech 4 620 trzęsień, to jest średnio 577 na rok. Heim przyjmuje średnio dwa „przyzwoite” trzęsienia ziemi na każdy dzień. W Grecji w ciągu dwudziestu lat (1858—78) było 1100 trzęsień, w Niemczech zaś i w Austrii od 1865 do 1880 — blisko 400. A ileż zaszło w krajach nie ucywilizowanych? Choćby jednak było tylko jedno znaczniejsze na rok, to już wypadnie, że powierzchnia ziemi milion razy uległa większym wstrząśnieniom. Powinniśmy się tedy już przyzwyczaić!

— Jak raki do gotowania! — szepnął chmurno Stanisław.

* Od 1850 do 1854 r. (przyp. aut.)

ŚWIAT MEZOZOICZNY

Biedny ten świat triasu!

Lilote promienie wschodzącego słońca oblały purpurą niebo, a puszcza zaświeciła weselem swych błoń, lasów i wodnych zwierciadeł.

Niebotyczne drzewa iglaste kołysane wiatrem podawały sobie wiecznie zielone konary niby do uścisku bratniego. Obok grubopienne sagowce (cykasy) poważnie chwiały swymi pióropuszami.

Coś szczególnego mają w sobie te dziwaczne rośliny, będące połączeniem trzech całkiem różnych typów. Jest w nich *coś* z natury paproci, *coś* z drzew iglastych, a dużo z prawdziwych palm, jakie później ziemia wydać miała.

Owoce w postaci szyszek o nasionach nagich, pojawiających się między łuskami szyszkowymi, zbliżają te palmy do sosen i araukarii. Od paproci przejęły znów pierzaste listowie, wystrzelające z wierzchołka pnia grubego. Choć nie tak smukły, jak u palm, słupkowaty i ociężały, ma jednak ogromne do nich podobieństwo. Sagowce obok drzew iglastych nadawały ton całemu obrazowi, całej epoce, były to najdoskonalsze dzieci świata roślinnego. U ich stóp cisnęły się krzewy, trawy, a gdzieś i zbita gęstwina najprzeróżniejszych roślin triasowych.

Otworzyły oczy nieliczne dzienne stworzenia, zapóźnione zaś nocne śpieszyły ukryć się w mrocznych zaułkach.

Rozbudzeni wędrowcy zdumieni się nad pięknnością krajobrazu.

Brakło jedynie kipiącego życiem, lekkoskrzydłego tłumu wyższych owadów i gwarnego ptactwa, aby sprawić złudzenie współczesnych borów podzwrotnikowych.

Świat czworonogów, ostrożny i podejrzliwy, krył się w mrokach zieleni tak dobrze, iż można było mniemać, iż go brak zupełnie.

Zamożność roślinnej przyrody, odznaczającej się bujnością młodego życia, przedstawiała się tu w całej okazałości.

Wprawdzie drzewa, co przez wieki urągały śmierci, padły, a na ich cielska rzuciły się wnet grzyby, pleśnie, mchy i porosty, aby co



Atlantozai we własnej osobie! — zawołał... (str. 129)

prędzej zrujnować twarde komórki. Spośród konarów, sterczących z ziemi niby widma, wystrzelają świeże latorośle i pośpiesznie zacierają ślady śmierci, jaką upadłe kolosy przypominały. Lecz i ich byt nie jest całkiem pewny. Gdy huragany się rozszałęją, gdy puszcza pochwycona zostanie w wiru objęcia, niejednen z tych młodych dumnych zuchów podzieli los poprzedników i wyrzucony z korzeniem da świadectwo, że w tej dzikiej, wolnej przyrodzie śmierć jest wszechwładną panią i choć odradza, ale bezlitośnie także niszczy. Podróźni nasi błakali się czas jakiś po cudnych gajach i zaroślach, aż natrafili na malowniczy brzeg rzeki, leniwo toczącej mętne swe wody.

Tu i owdzie z nurtów wyrastały gęste kępy roślin i szuwarów. Uroczystą ciszę przerywał tylko nikły szelest sztywnych skrzydełek ważki, najdawniejszego reprezentanta skrzydlatego świata, albo innych przedstawicieli drobnego światka sześcionożnego, ukrytego wśród liści i gałęzi. Nie spotkano ani jednego zwierza. Dopiero nad samą wodą przekonano się naocznie, że puszcza drga ukrytym życiem. Gdy zbliżono się do brzegu, obił się o uszy naszych wędrowców niezwykle szelest. Mimo woli gromadka nasza stanęła i nieruchomie badała przyczynę szelestu.

W poprzek drogi, którą właśnie miano przebyć, dążył do wody posuwistymi i szybkimi rzutami okazały krokodyl, wobec którego największy amerykański (*Crocodylus americanus*) byłby jeszcze karłem.

Za każdym rzutem w kierunku prostym szeroki i płaski olbrzym przebiegał w mgnieniu oka najmniej dwieście kroków, potem przez parę sekund pozostawał nieruchomym i znowu zbaczając zygzakowato od pierwotnego kierunku sunął jak strzała dwieście kroków. W ten sposób dwa tylko razy podróźni mogli dokładnie objąć wzrokiem olbrzyma, zanim znikł w nadwodnej gęstwinie. Jeszcze sekunda — i rozległ się gwałtowny plusk wody. Płaskogłowy i krótkoszyjny potwór rzucił się w nurty i jeszcze trzy razy rozbił falę potężnym ogonem z taką mocą, że obfita piana wytrysła przynajmniej na dwadzieścia łokci w górę. Nastąpiła znowu cisza.

— Wspaniała sztuka! — zauważył Stanisław.

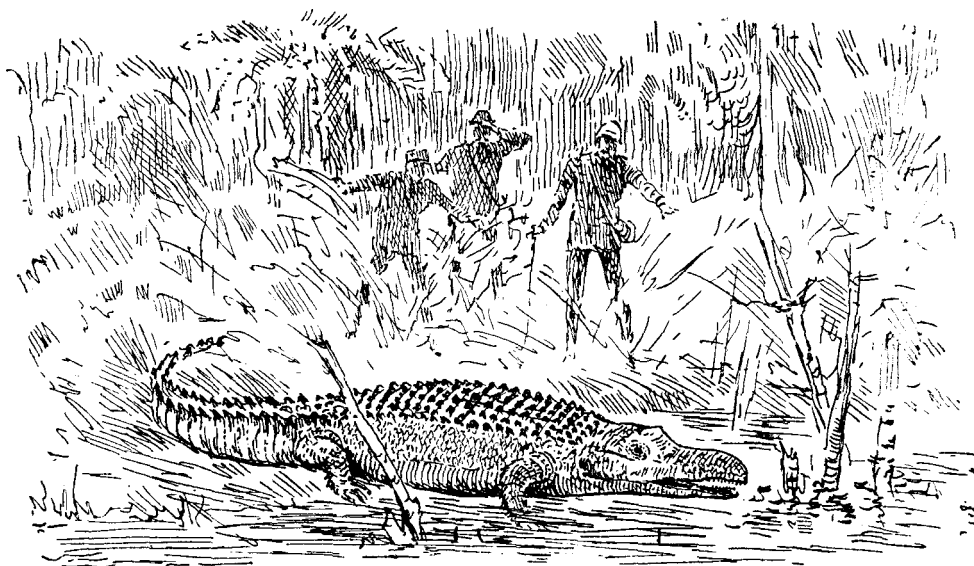
— O, tak! — mruknął Anglik. — Sara Bernhard* byłaby u szczytu swych marzeń, gdyby mogła podobnego wodzić za sobą na obroży.

— Mają się z pyszna jaszczury, wśród których taki nieustraszony wilk wodny grasuje — zauważył profesor.

— Cóż to za jeden?

— Belodon. Sieje on postrach i zniszczenie nad rzekami i żaden

Sara Bernhard (1844—1923) — aktorka francuska, jedna z najslawniejszych tragiczek świata.



mniejszy gad nie może się bezkarnie zbliżyć do wody, w której on obrał siedlisko.

— A na łądzie nie jest groźnym? — zapytał sługa.

— Rzecz prosta! Godzinami nieruchomy, czatuje zanurzony, z nozdrzami jedynie wysuniętymi na powietrze, ale na zdobycz rzuca się jak błyskawica, ostrymi zębami chwyta i wciąga do wody, gdzie powoli na dnie rozszarpuje szponami potężnych łap przednich i połyka. Choć zwinny i nieustraszony w swoim żywiole, potwór ten na suchym gruncie staje się bojaźliwym, niezgrabnym i ociężałym. Tylko strach zmusi go mcze do żwawych ruchów, a wtedy ucieka szybko.

— Po cóż wyłazi z wody, kiedy mu w niej najlepiej?

— Najprzód lubi się wygrzewać na słońcu, a zresztą ma naturę cygańską. Nudzi mu się w jednej okolicy. Wędruje od wody do wody. Gdzie kilka belodonów przebywa, tam wkrótce zabraknie im żeru, więc zgłodniałe dążą przez zarośla szukając nowych wód i mniej ostrożnej zdobyczy. Na łądzie tak dalece nie umieją sobie radzić, że się stają często pastwą innych większych gadów.

— Więc są tu jeszcze potężniejsze gady? — wykrzyknął przerażony Stanisław.

— Mój drogi, jesteśmy w puszczy triasowej. Jest to raj gadów. Pozornie spokojna, ukrywa ich legion nieprzeliczony. A cóż za różnorodność kształtów i obyczajów! Od małych aż do olbrzymów. Są tu jaszczury, o których znane ci jaszczurki najślabszego nie dają wyobrażenia. Za-

ledwie chyba nosorożce, bawoły i słonie mogą dać o ich sile i wroście jakie takie pojęcie. Są dinozaury i pterozaurowy, a niektóre z nich przewyższają ogromem wszystkie zwierzęce olbrzymy, jakie wydają¹ ?dy ziemskie. Prócz gadów lęgną się jeszcze w dziewiczych bagnistych ostępach olbrzymie skrzeki. Flegmatyczne labiryntodony wiodą wśród nich rej.

— I moglibyśmy się spotkać z takimi potworami? — zapytał sługa.

— Nic łatwiejszego! — odrzekł profesor — ale nie lękaj się nawet drapieżnych. Nasze postacie będą dla nich nowe i nieznane, więc przez wrodzoną ostrożność będą nas omijać.

— A gdybyśmy spotkali bardzo wygłodniałego gada?

— Hrn... wtedy nie ręczę, czy nie wzięłyby się do naszej skóry.

Stanisław umilkł, bynajmniej nie uspokojony.

Nie było po co pozostawać tu dłużej. Ruszono z wolna na północny zachód. Anglik, przekonany, że się omylił w rachubach o dzień jeden, nie przypominał nikomu wczorajszych swoich zapewnień. Pocieszał się, że wobec tysięcy wieków, o jakie chodzi, dzień jeden niewielkiego jest znaczenia.

Podróżni przez cały dzień prawie błąkali się po wymarłej na pozór okolicy. Mimo że w Angliku obudził się turysta, a przyrodnik gotów był do obserwacji, nad wyraz pusto i duszno było im w tym świecie.

Pierwszy Anglik zwierzył się Przedpotopowiczowi ze swego wrażenia.

— Nie dziwię się temu — odparł uczony. — Dla nas, istot o krwi cieplej, żwawych i wrażliwych, świat to ponury. Żywot tych gadów, przeważnie nocnych lub zmierzchowych, w porównaniu z naszym, lubującym się w promieniach słońca, to półzycia, to ćwierćzycia zaledwie.

— Zresztą wszystko tu jakieś leniwe, obojętne, milczące — zauważył Puckins.

■— Młoda przyroda! Ot i wszystko! — wyrzekł uroczyście profesor.

— Ładnie mi młoda! — zawołał Anglik.

— Ależ tak. Typ kręgowych w stosunku do czasu, jaki pozostaje mu do przeżycia, jest tu jeszcze młodocianym i mimo imponujących rozmiarów ciała — nie rozwiniętym. Wspomnij, lordzie, na gwarną, ruchliwą i nerwową rzeszę naszej epoki i popatrz okiem filozofa na tę drętwą i jakby zaspaną galerię, a ocenisz dopiero, co za przepaść dzieli naszą od tej... Świat to na przełomie — i nie można go sądzić surowo. Zrodził się w ciężkim ośrodku, pod ciśnieniem fal oceanu, wśród wiecznego mroku! Cóż dziwnego, że pierwsze kroki w lżejszym żywiole stawia niezgrabnie, że blask słońca jest mu przykrym, oddychanie samym powietrzem zbyt upajającym, coś dziwnego, że ród, nawykły ślizgać się lekko wśród wody, porusza się z trudnością po chro-

powatym a twardym gruncie stałym, że kończyn nie Umie używać, że pełza dopiero po błocie i chętnie wraca do dawnego żywiołu.

— Masz słuszność, profesorze! Zapomniałem, a raczej nie pomyślałem, jak biednym jest ten świat.

— Że biedny on, to biedny! Tyle już istot powołała do życia płodna przyroda, dała im dużo, wyposażyła je w cały niemal cudowny aparat, pozwalający w pełni korzystać z rozkoszy życia, ale nie dała im jeszcze władzy odczuwania żywo takowych. I te nieprzeliczone miliardy istnień przeminęły jakby zastygłe, półmartwe, nieświadome. Kręciły się one po świecie, działały, mnożyły, ulepszały, ale jak automaty. Szły one bezświadomie, niby karne hufce wielkiej armii, kierowane niewidzialną, a żelazną wolą, ku nieznanym i nieprzeczuwanym celom... J Ale szły w milczeniu i obojętności bezgranicznej...

Z wyjątkiem niewyszukanego hukania lub monotonnego rzechotania skrzeków, jedynych zwierząt obdarzonych przemijającą zdolnością wydawania jednostajnego dźwięku, ani jeden prawdziwy krzyk zwierzęcy nie zakłócił milczenia ziemi.

Z gardła istot żyjących, jak ziemia ziemią, nie wyrwał się jeszcze głos radości lub strachu. Jedynymi dotąd dźwiękami są szmery, szepty i szelesty roślin, kołysanych od wiatru, plusk deszczu, szum potoków i wodospadów oraz grzmoty piorunów, urozmaicane niekiedy podziemną kanonadą...

Na twardych niby nieruchome maski obliczach mieszkańców ziemi nie zaigrał jeszcze wyraz zadowolenia lub radości...

Zdaje się rzeczą nie do wiary, gdy się pomyśli, że żaden z tych kręgowców nie poczuł się choćby raz smutnym lub wesołym. Nawet w mękach konania nie odczuwał on tyle smutku, ile smutnym jest pies głodny, gdy waruje przed jadem...

Czy widział kto mimikę ryb? Tych stworzeń, które nie tylko twarzą, ale całą postacią niezdolne są nic zgoła wyrazić? Otóż każdy ich gadzi potomek, choć nabył dużo giętkości w ciele, nosi jeszcze maskę, której nie zdejmuje aż do śmierci.

Stwardniała skorupa, często pancierz rogowy niby przyłbica skrywają wewnętrzne poruszenia. Tylko maskarady ludzkie dają podobny obraz zgiełku przy zupełnej nieruchomości rysów. Pod maskami jednak balowymi drgają zasłonięte oblicza obszerną skalą uczuć subtelnych, a tu martwota rysów sięga aż do ostatnich skrytek mózgu i serca!...

Choćby tym istotom zmiękły nawet rysy i stały się zdolne do wyrażenia gniewu, smutku lub radości, jeszcze by one pozostały martwymi, bo ponad to, co ukazują, nie mają biedne nic więcej do oddawania...

Urwał profesor i zamyślił się.

Lord Puckins żywo zaoponował.

— „Biedne” powiadasz? Ależ one godne zazdrości! Ten świat bez uczucia stokroć jest szczęśliwszym od naszego. Nie odczuwa on, co prawda, szczęścia, którego zbyt mało jest na ziemi, ale za te nie obchodzą go cierpienia ani własne, ani cudze. Wygrywa więc na czysto.

— Jeśli komu, to tobie, milordzie, nie godzi się chyba sarkać na brak szczęścia na ziemi — odrzekł geolog.

Anglik wybuchnął.

— Cóż, żem szczęśliw od zbytku? Cóż stąd, że mogę się weselić? Sądzisz, żem ślepy i głuchy? Mnie nie obalamucą hymny krótkowzrocznych idealistów o wspaniałej równowadze świata! Zbyt dobrze rozumiem, że gdy ja się śmieję, dziesięciu płacze, a stu cierpi w milczeniu. I już szczęście moje jest u źródła zatrute.

Nastąpiła chwila długiej zadumy.

Nie przerywał jej profesor, a nawet Stanisław oblókł się w powagę.

— Biedny ten świat ryb i gadów! — powtórzył wreszcie profesor z serdecznym współczuciem.

Nagle nowy potok myśli przepłynął przez głowę Anglika.

— Gdyby jakiś filozof z innej planety zstąpił teraz na ziemię, tę ziemię, która przecież wypiastruje ludzkość, która stanie się widownią niezliczonych jej bohaterstw, subtelnych uczuć i głębokich pomysłów, to wcale nieszczególnie powziąłby wyobrażenie o ziemskich istotach, obdarzonych przecież sercem i rozumem.

— To prawda — roześmiał się gorzko paleontolog. — W niewielu rysach mógłby dobrze scharakteryzować świat ziemski.

„Najszlachetniejsze istoty zamieszkujące glob ziemski zrodzone są w bagnie, zajęte wyłącznie funkcją połykania i trawienia, żyją i giną w bagnie. Kryją się one przed jasnymi promieniami słońca, śpią przez dwadzieścia godzin na dobę oczekując zmierzchu jako hasła do krótkiego półsennego czuwania. Księżyc jest ich słońcem, noc dniem, a razem — moczary.

Drapieżne, choć leniwe, nie znają, co smak. Obżarte aż do obrzydliwości, nie rozróżniają lepszego od gorszego. Pozbawione uczuć zadowolenia lub wstrętu, cierpliwe do ostateczności w wyczekiwaniu, aż zdołącz sama się nawinie... Oto ziemskie ideały.

Na poły głuche, bez węchu, nie znają, co to gniew lub jakiegokolwiek uczucia żywsze, nie znają słodczy macierzyństwa, nie troszczą się zgoła o nic. Nie wchodzi nigdy w przyjazny, a choćby poufały stosunek ani między sobą, ani między innymi gatunkami.

Tylko raz na lat parę może budzi się w nich bezwiedne pożądanie, ^a wtedy tak dalece absorbuje ono niedojrzałe władze mózgowe, że przez tygodnie całe, ślepe i głuche na wszystko, mogą się stać ofiarą znaczne słabszego napastnika.

Nie mają pamięci, nie korzystają też z doświadczeń życiowych, są jednak ograniczone w pierwszym zaraniu życia, jak w pełni i u schyłku długich dni swoich.

Włoką marny żywot z dnia na dzień, dopóki nie przyjdzie skończyć w gardle lub pod pazurami mocniejszego..."

— Dość, profesorze, bo mnie zimno przenika do kości — jęknął Puckins. — Jesteś nieubłaganym naturalistą, ani cienia nie zostawiasz złudzeń!

— Przecież to nie ja mówię. To ktoś z innej planety. Co do mnie, rzekłbym, że w porównaniu do dawniejszych typów i to już, co żyło w triasie, było arcydziełem, cudem ziemi i kwiatem jej najdoskonalszym! Co zaś najważniejsze, obiecującą zapowiedzią doskonalszej przyszłości...

— Biedny ten świat triasu! — powtórzył Puckins w zadumie, ale nagle otrząsnął się.

— Bawimy się spokojnie gawędką tak zupełnie, jakbyśmy byli u siebie — zauważył — a tu tymczasem nie jesteśmy pewni jutra.

Geolog westchnął. Dręcząca go od kilku dni, nierozwikłana zagadka znowu jaskrawo stanęła mu w umyśle. Już miał poruszyć kwestię jutra, ale się wstrzymał. Wstyd go zdjął przyznać przed Anglikiem, że mimo woli kieruje się wskazówkami „niedorzecznej” hipotezy jego.

Lord Puckins czuł to i przez delikatność ani słówkiem nie dotknął nadziei, jakie żywił. Dla odwrócenia kierunku myśli przerzucił się całkiem na inny przedmiot.

cv)

—■ Ciekawym bardzo — rzekł lord — czy nauka może odpowiedzieć na pytanie, jak będzie wyglądała Europa jutro, to jest za jurskich zapewne czasów?

— Europy, w tym znaczeniu geograficznym, jakie u ludzi posiada, nie będzie jeszcze wcale jutro, jeśli istotnie osiągniemy jurskiej epoki — odrzekł paleontolog.

—■ Domyślałem się tego, będzie zapewne mniejszą lub większą, ale jaką ona być może?

— Jeśli chodzi o powierzchnię ziemi, którą nazywamy Europą, to częśćka jej wystawać będzie nad powierzchnię oceanu, ale jeżeli o granice, tedy wówczas wcale jej nie będzie, podobnie jak nie będzie jeszcze ani Azji, ani pozostałych części świata.

— Żadnej części świata? Więc cóż na ich miejscu było za jurskich czasów?

— Były lądy i morza ukształtowane całkiem inaczej aniżeli za panowania rodu ludzkiego.

— Szkoda, że nie było wówczas geografów... — szepnął z ^alem Anglik.

— Jurskich geografów zastąpili dzisiejsi geologowie — odparł profesor. — Dzięki ich niezmordowanej pracy znany jest nam **już** wcale niegorzej układ ówczesnych lądów.

Na północnej półkuli mieściła się jedna tylko, ale ogromna część świata, dwie zaś na południowej*.

Pierwsza, niearktyczna, ciągnęła się od bieguna aż do równika, w tym miejscu, gdzie dziś leży północna Ameryka wraz z Grenlandią. Była ona tak wielką, że wschodnimi brzegami dotykałaby niemal Europy, gdyby ona istniała, ale wówczas na miejscu Europy wznosiło się z oceanu zaledwie kilka wysepek (Irlandzka, Czeska, Tracka, Urańska) oraz dwie rozległe wyspy: Skandynawska ** i Turańska.

—• Jakże wyglądało to, co dziś Azją nazywamy?

— Właściwej Azji, jak już powiedziałem, nie było. Syberia i Azja Środkowa, aż po granicę Chin i Japonii, leżały jeszcze na dnie ogromnego Oceanu Północnego. Ocean ten był przez to większym od dzisiejszego Spokojnego. Reszta zaś Azji stanowiła całość z nie istniejącymi teraz lądami na południowej półkuli, całą tę jurską część świata można by nazwać Lądem Chińsko-Australskim.

O rozległości jego mówi sama nazwa. Dodam tylko, że zaczynał się od Nowej Zelandii, obejmował całą Australię, dzisiejsze wyspy wschodnio-azjatyckie i całą dzisiejszą Azję, o ile nie była zalana.

Poza granicami Chin i Japonii rozciągał się już do samego bieguna Wielki Ocean Północny. Na południu znowu leżała największa część świata (oddzielona od niearktycznego szerokim Morzem Środkowym, czyli Śródziemnym), tak zwany Kontynent Brazylijsko-Etiopski. Ogromny ten obszar mieścił w sobie całą dzisiejszą Afrykę, Amerykę Południową i dno Oceanu Atlantyckiego, który dzieli dziś te dwa lądy. Do kontynentu owego należała jeszcze Arabia wraz ze znaczną częścią dna dzisiejszego Oceanu Indyjskiego, poczynając od Madagaskaru aż do Cejlonu i Półwyspu Indyjskiego.

— Ależ to kolosalny musiał być ląd!

— Większy od Azji dzisiejszej wziętej razem z Europą. W ten ląd wrzynała się od północy głęboka zatoka, dwakroć większa od dzisiejszej

* Nowsze badania wykazały, że układ ówczesnych lądów jest w rzeczywistości nieco inny, niż to przedstawia powyższy opis. Patrz mapa: „Rozmieszczenie lądów i mórz jury górnej” (str. 121).

* Wyspa Skandynawska obejmowała dzisiejszą Skandynawię, dno Morza Bałtyckiego, Finlandię, (przyp. aut.)

szego Morza Śródziemnego, sięgająca aż do wyżyn obecnego dna morskigo między Madagaskarem i cyplem Południowej Afryki.

Z tego pobieżnego szkicu możesz, lordzie, wnosić, że cała przyroda w odmiennych rozwijała się niż dzisiaj granicach i stosunki klimatyczne oraz sąsiedzkie były całkiem inne.

— Jakże wyglądała Europa? Choć miała postać archipelagu, jednak egzystowała i winieneś mi być, profesorze, objaśnienie.

— Kilka wysepek sterczących na miejscu Europy nie posiadało z sobą przez liczne tysiącolecia żadnej komunikacji.

Małe wysepki angielsko-francuskie oddzielone były od hiszpańskiej przez morskie obszary, zalewające całą niemal dzisiejszą Francję i większą część Hiszpanii. Między hiszpańską wysepką a czeską iub tracką leżało morze, pokrywające także obecne Włochy, Grecję i całą środkową Europę.

Cały Kaukaz także, zarówno jak Azja Mniejsza, wyżyny Armenii, Mezopotamia itd. za jedynych mieszkańców miały morskie potwory, uwijające się nad ich powierzchnią właśnie w tej wysokości, gdzie dziś szybują orły.

Pomyśl tylko, jak wszystko było inaczej: afrykańskie zwierzęta suchą nogą mogły docierać do krańców Brazylii i Patagonii, podobnie jak chińskie do krańców Nowej Zelandii.

Taką jest stałość rzeczy, które przywykliśmy uważać w swym krótkowidztwie za wieczne...

— Tam do licha! Ależ to nie został kamień na kamieniu! Postać lądów i mórz od owego czasu zmieniła się gruntownie!

— Muszę ci dodać, lordzie, że od jurskich czasów do dzisiejszych nastąpił niejeden przewrót, pomimo że te czasy można zaliczać do nowszych. W naturze pod żadnym względem nie ma spoczynku!

Podobnymi gawędami skracali sobie nasi tułacze czas wędrówki. Nie usiłowałiby zapewne dążyć naprzód, bo dla nich „naprzód” nie istniało, a właściwie równało się bezowocnemu kręceniu się w kółko.

— Czybyśmy szli ciągle na wschód, czy na zachód, jeden byłby skutek, zarówno dalecy będziemy od celu swej podróży, od powrotu na łono naszej epoki — rozumował geolog. — Jedyne noc zbliża nas do tego kresu i to bez jakiego bądź naszego udziału.

Praktyczny jednak lord Puckins inaczej się na rzecz zapatrywał.

— Szkoda tracić na próżno czasu — mówił. — Powinniśmy wciąż dążyć na północo-zachód, ku Anglii, bo choć w ciągu dnia zrobimy niewielki kawałek drogi, to jednak idąc co dzień, możemy w sumie zyskać paręset mil odległości.

Zresztą i bez tego, niewytłumaczonym sposobem, co raneTe czuli się bliższymi terażniejszości. Błogosławili też, zamiast złorzeczyć, zachodzącemu słońcu, a mroku pożądali z większym zapewne upragnieniem aniżeli nocne zwierzęta.

Jura. *Dinozaury — Szkoda, że Baedeker* nie wydał przewodnika po państwie kredowym*

I znaleźli się wędrowcy na nowej ziemi. Ta sama ona była w rzeczywistości, opisywała dokoła słońca tę samą niezmiennie drogę, ani krótszą ani dłuższą, zestarzała się tylko niepoślednio, skoro ząb czasu poorał tak już niegładką jej fizjonomię nowymi zmarszczkami.

Niewinne na pozór psoty nieubłaganego bożka Saturna fatalnie się odbiły na postaci łądów. Jedne źródła i jeziora wyschły, inne się potworzyły. Rzeki podwracały swój bieg i płynęły nowymi korytami. Dawne bruzdy, cierpliwie złobione przez lat tysiące, skryły się pod grubymi naniesionymi osadami piasku i mułu, wiele nawet mórz porzuciło dawne brzegi.

Wolno byłoby zaprawdę zdumiewać się nad zastojem czy skamieniałością przyrody ożywionej, gdyby ściśle te same typy zwierzęce przetrwały na nowym z gruntu tle i wśród odmiennych warunków.

Wszak nawet w drobnym cyklu dwunastu miesięcy innym kobiercem ziemia okrywa się na wiosnę, innym w lecie i w jesieni. Wszak inny zwierzostan tulą lasy, inny bagna i stepy.

Nic dziwnego więc, że posunięta ku starości ziemia wypiastowała w ciągu setek tysiącoleci nowe typy zwierzęce i zdobyła się na nieznane dawniej kreacje. Łądowa fauna przewyższyła o wiele triasową zarówno pod względem liczby, jak i różnaitości gatunków.

W odwiecznych wilgotnych ostępach kryły się tłumy gadów, cierpliwie i w pozornym odrętwieniu oczekujących zmierzchu. Postrachem tych flegmatycznych stworzeń nie był atoli inny jaki zwierz, ale znowu gad, często mocniejszy i bardziej nienasycony od później mających się zjawić niedźwiedzi i tygrysów.

Trzej nasi towarzysze, znużeni bezustanną, kilkudniową tułaczką w dusznej, jakby cieplarnianej atmosferze, jednomyślnie postanowili dać za wygraną na czas jakiś męczącej wędrowce i w chłodzie zarośli zebrać skołatane ciągłymi niespodziankami myśli.

Miejscowość ku temu obrali precudną. Na malowniczym wzgórzu,

* Baedeker (1801—1859) — słynny wydawca niemiecki, założyciel firmy wydawniczej znanej na całym świecie z przewodników podróźnych zwanych „bedekerami”.

ponad spokojną rzeką, toczącą kryształowe nurty, nęcił cieniem gąszcz palm szyszkowych.

Czuły na piękno przyrody paleontolog zdumiewał się nad wspaniałością tych drzew. Zaćmiły one stanowczo dawniejsze paprocie, dla których minęły już czasy świetności i które zbiedniałe kryły się pokornie w cieniu nowych znakomitości. Tuż obok nich skrzydłolist (*Pteiophyllus*) o pysznych szpilkach pierzastych sąsiedował z wdzięcznym maczugowcem (*Zamites*) strojnym w szerokie listowie i szyszkowate u wierzchołka korony owoce. Obok niego, na szczudłatych korzeniach nadziemnych, wspinały się wysmukłe pochutniki (*Pandaneae*).

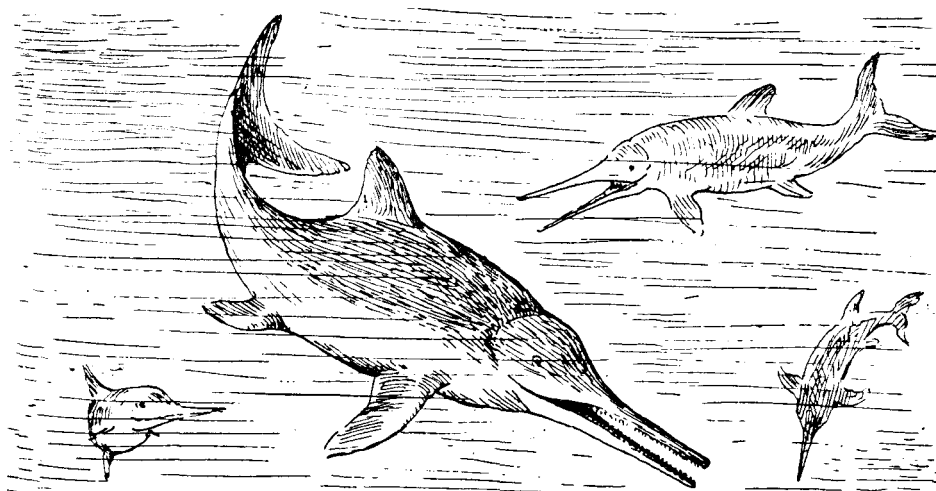
Kalamity, do których przywykło już przez dni parę oko wędrowców, wymarły do szczętu, a los ich podzieliło mnóstwo innych roślin.

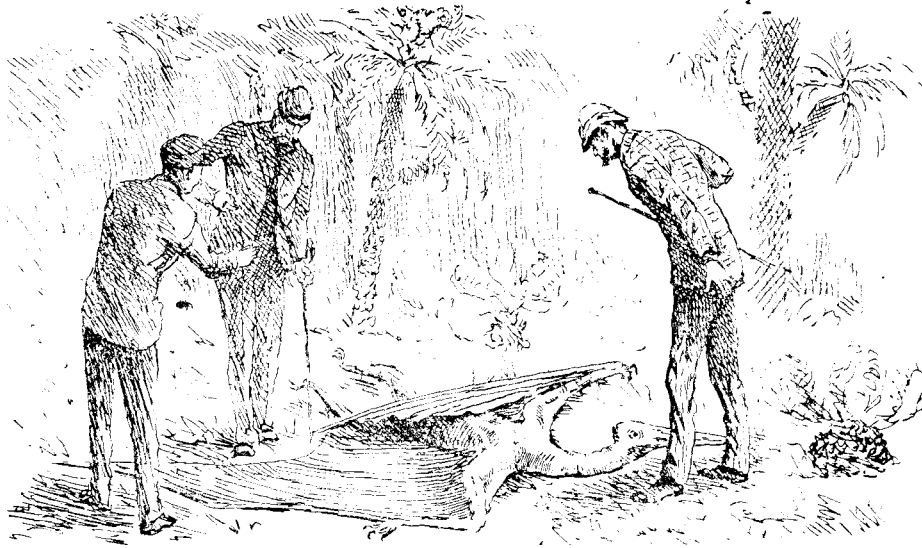
Stanisław godził się z położeniem, Anglik tylko, gdy upewnił się, że jeszcze nie powrócił do „teraźniejszości”, zagniewany na swoje złudne obrachowanie, rozciągnął się w cieniu i nie zdradzał chętki ani do przechadzki, ani do wymiany myśli. Dopiero geolog mimo woli wyrwał go z odrętwienia.

— Chwilami zdaje mi się, że to, czego doświadczamy, jest tylko snem dziwacznym — przemówił do Anglika.

— A jednak bujamy w otchłaniach przeszłości globu naszego — odparł Puckins kwaśno.

— Trwasz, widzę, przy swoim przypuszczeniu — odrzekł — choć ono pozbawione wszelkiego prawdopodobieństwa.





— Więc przekonaj mię, że się mylę! — rzekł Anglik, ale nie do-
kończył rozpoczętego zdania, bo nagle rozległ się gwałtowny łoskot
nad głowami rozmawiających i nasi wędrowcy spostrzegli spadają-
cego pterozaura. Latający jaszczur runął ciężko tuż u nóg lorda
Puckinsa.

Stanisław na widok powietrznej poczwary zbladł. I nic dziwnego.
Istny szatan wcielony tłukł się po ziemi.

Pterozaurowy odgrywały w ówczesnej przyrodzie rolę ptactwa, a za-
razem jakby nietoperzy. Mogły one tylko wtedy wydawać się pięknymi,
gdy ziemia nie znała jeszcze ruchliwej rzeszy prawdziwych ptaków
o wdzięcznej postaci i nieskończonej różnorodności kombinacji
barw i tęczy blasków, współzawodniczących z kwiatami i motylami.
Dziś byłyby to gnuśne poczwary budzące wokół bojaźń i odrazę.
Przy tym w niczym do ptaków nie były podobne. Darować by im
można brak barwnego pierza, wesołego świergotu i innych cech
ptasich. Ale nawet anatomiczna budowa ciała, nie wyłączając skrzydeł,
różniła się zasadniczo od ptasiego. I nie tylko od ptasiego, od
nietoperzowych także.

Lotna błona pterozaura jest rozpięta od biodra przez całą długość
ciała aż do końca czteropalcowej ręki. Trzy palce jednak drobne
spoczywają tu wolne, a jeden tylko, ostatni, dorasta niesłychanych
rozmiarów i dźwiga główną i najważniejszą część błony. Takiej
proporcji palców nie posiada żadne inne zwierzę. Nawet nietoperze,
do których

pteroaktyle pozornie się zbliżają, zdradzają zgoła odmienną budowę skrzydeł, a raczej spadochronów, bo u nich błona rozpięta jest nie na jednym, ale na czterech olbrzymio wydłużonych palcach ręki, a jeden tylko palec, opatrzony mocnym szponem, pozostaje mały i wo! y. Same skrzydła ptaków i nietoperzy wskazują, że ani jedne, ani drugie nie pochodzą od pterozaurów. Ogromna głowa, o bardzo długiej, na kształt dzioba szczęce, powiększa osobliwość tych stworzeń.

Jakże nie miał zadrzeć biedny Stanisław ze zgrozy, gdy wijący się potworny niby-nietoperz mierzył przy rozpostartych skrzydłach co najmniej cztery metry szerokości. Wprawdzie później, za kredowej epoki, ich potomki dosięgły jeszcze większych, bo siedmiometrowych rozmiarów, ale i czterometrowej średnicy niby-nietoperze dostateczną mogły budzić obawę, połączoną z odrazą. Te same uczucia żywił lord Puckins. Uczucie obawy wszakże nie było usprawiedliwione i profesor go nie podzielał.

Gdy Stanisław, przejęty obrzydzeniem, nie taił odrazy, on bolał tylko nad potworem. Był pierwszą istotą ziemską, która współczuła z niedolą, choć zmniejszyć jej nie była w stanie.

— Ten biedny jaszczur mniej wstrętnym jest od niejednej gołąbki o lisim sercu... — rzekł smutnie.

— Co on przeszedł, tego nikt się nie dowie. Nie masz, kto by go zrozumiał. Nędzarz to, biedniejszy od Hioba! — myślał ze ściśniętym sercem. — Jedyne jego szczęście, że nie zna swej niedoli.

Wy, bezimienne tłumy przedludzkich epok, nie macie nikogo, kto by wam okazał iskrę współczucia, wytoczył choć jedną łzę nad twardą i nędzną dolą waszą.

Miliony lat upłynęły i jeszcze upłyną, a żadne serce nie drgnęło dla was, nie uzaliło się nad wami. Może dopiero w odległej przyszłości, gdy sprawiedliwiej pojęta zostanie wasza rola, oddadzą wam przynajmniej honory wojskowe, jako awangardzie padłej na pobojujowisku postępu.

Oddalili się co prędzej nasi towarzysze z tego przykrego miejsca i w znacznej odległości nad brzegiem rzeki złożyli strudzone członki u stóp niewielkiego okrągłego wzgórka, otoczonego zielenią. Tym razem spokój panował w puszczy niewzruszony.

Zupełna nagość ciemnobrązowego wzgórka czy skały stanowiła tak silny kontrast z otoczeniem, że zwróciła na chwilę uwagę podróżnych, ale zbyt wiele było dokoła zajmujących przedmiotów, aby jeden mógł na dłużej przykuć wzrok, przy tym powrócono do wielce palącej kwestii jutra. Postanowiono czuwać tej nocy, aby raz przekonać się nareszcie, w jaki to sposób następuje tajemniczy przeskok z jednej

epoki do drugiej,; czy zmiana dokonywa się w mgnieniu" oka, czy też dostrzegalnie.

Profesor cieszył się nadzieją, że obali niemożliwe do przyjęcia przypuszczenie lorda, ten ostatni przeczuwał swój triumf.

Miarkowany cieniem i wilgocią powietrza upał południowy nie dawał się we znaki, więc też na przemiany na ożywionej rozmowie lub lekkiej drzemce spływały wędrowcom godziny dzielące ich od bliższych czasów i upragnionego wybawienia. Nie sądzono im jednak i dziś zaznać spokoju.

Szelest gałęzi zwiastował zbliżanie się grubego zwierza. Jakoż w samej rzeczy po chwili wynurzył się z nadbrzeżnych zarośli i ociężałe sunął ku wodzie olbrzym, którego widok powtórnie zmroził krew naszym podróżnym. Wysoki jak słoń, ale trzy razy od słonia dłuższy zwierz o bardzo długiej szyi a mocnym, grubym ogonie — przypominał jaszczurkę. Na końcu długiej, giętkiej szyi tkwiła głowa. Pożał się, Boże, co to była za głowa! Taka zabawnie mała, że potwór tracił na powadze. Koń z łebkiem lisa albo wilk z kurzą głową nie wyglądałby gorzej od tego olbrzyma, ważącego przynajmniej 50 tysięcy funtów*. Za chwilę wyłonił się z wody drugi zwierz podobny, następnie trzeci i wszystkie zatrzymały się spokojnie o paręset kroków od naszej grupy.

Stanisław szczekał zębami. Zdawało mu się, że olbrzymy naradzały się, który ma na przekąskę schrupać jego mizerną osobę.

Tymczasem paleontolog jaśniał od zachwyty i radości.

— Co to za szkoda, że choć jednego z tych kolosów nie mogę dostać do naszego muzeum! Nie żał by było wystawić dla niego najwspanialszego pawilonu.

— Ile lat ten drobiazg liczyć może? — zapytał lord Puckins.

— Trudno mi o tym wyrokować — odezwał się uczony — jednakże biorąc pod uwagę długowieczność gadów, a także powolny ich wzrost, myślę, że oglądał on co najmniej kilka wieków.

— Wcale poważny staruszek! Nie wygląda na swoje lata — odezwał się Anglik.

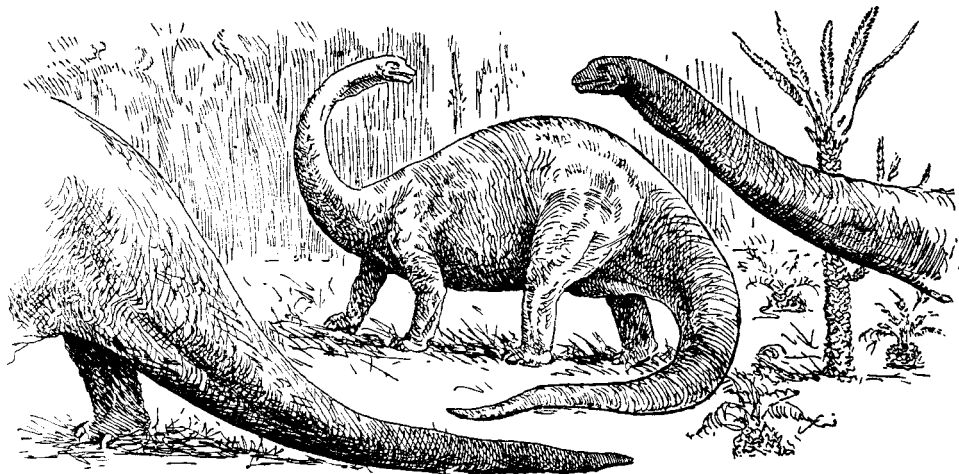
Brontozaury tymczasem połyskiwały od ociekającej po ich skórze wody i wlokły się z niezmierną powolnością, zatrzymując się za każdym prawie krokiem.

Geolog uderzył się nagle w czoło.

■— Że mi też od razu do głowy nie przyszło! — zawołał.

— Co takiego?

* F u n t — 0,5 kg.



— Sprawa się wikła! Raz jesteśmy w Europie, to znowu w Ameryce!

— Skądże znowu?

— Z pewnością! Brontozaury żyły przecież w Ameryce.

Lord Puckins, mimo zdziwienia, wprędce odzyskał rezon.

—■ Tyle już nas spotyka niespodzianek — odezwał się —■ że jedna więcej nie sprawia żadnej różnicy. Polubiłem to nawet. Wczoraj w triasie, dziś w jurze, wczoraj w Europie, dziś w Ameryce, jutro całkiem niepewne, to mi zabawa!

Rezygnacja Anglika udzieliła się paleontologowi. Przestał trapić się widokiem amerykańskiej fauny jurskiej, przestał łamać głowę nad zbadaniem piętrzących się zagadek i sprzeczności.

Z okazji ociężałych matuzalów* geolog wdał się w szerokie opowiadanie o brontozaurach i innych jeszcze rodzinach gadów jurskich. Tematu nie zbrakłoby mu prędko. Nie tylko bowiem bagna i lasy, nie tylko jeziora, ale nawet oceany roiły się od tych olbrzymów.

Właśnie zaczął mówić o potwornym diplodokusie, co ma walcowate²Qby, rzadkie jak kołeczki w grabiach, gdy niewinne i roślinożerne brontozaury, bawiące się nad wodą, niespokojnie zwróciły głowy w pewnym kierunku, a potem poczęły zbierać się do ucieczki. Zaledwie znikły, ukazał się na widowni potężny allozaur** na dwóch łapach. %ł on mniejszym od brontozaurów, a jednak taka dzikość i stosunkowo jak na gada zwinność malowała się w jego postaci, że od pierw-

* M a t u z a l — patriarcha biblijny, dziad Noego, słynny z długowieczności; ^{1u}: przenośnie.

Allozaur żył w Ameryce. Pokrewny mu megalozaur — w Europie, (przyp. aut.)



szego rzutu oka można było poznać w nim zwierza gotowego porwać się nawet na większego dinozaura.

Znali go widać z tej strony mniemani królowie puszczy, skoro bez namysłu drapnęli w gąszcz, o ile im pozwoliła wrodzona powolność.

Miał ich jednak na oku prześladowca, skoro bez wahania, nie śpiesząc się zbytnio, podążył za nimi. W Angliku obudził się srogi myśliwy.

— Co za szkoda, że olbrzymy nie dały nam przedstawienia. Byłoby bez wątpienia godne rzymskich cesarów... Chodźmy co prędzej, dogonimy z łatwością potwory!

— Gdzie walczą takie kolosy, tam mogłoby się przypadkiem i nam co dostać. Lepiej, że spotkanie dalej nastąpi — odezwał się geolog i radził pozostać.

Poparł go Stanisław gorącymi narzekaniami na zbyt denerwujące niespodzianki.

— Ani chwili człek spokojnej nie ma — skarżył się mocno przejęty. — Ciągłe drzyj przed niewidzialnym wrogiem! ■;

■— Wrogiem? - - odezwał się z prawdziwą gadzią flegmą lord Puckins. — Nie przesadzajże swej wartości. Nie jesteś w tym świecie znakomitością,

— Cóż ma jedno do drugiego? — odciął się urażony sługa.

— Zaraz ci wytłumaczę. Aby jakieś stworzenie mogło ci być wrogiem, trzeba przede wszystkim, abyś mu był znanym. A tymczasem sądzę, że poczciwe kolosy ani domyślają się egzystencji takiego napszonego jak ty robaczka.

— Mimo to, gdy mię zobaczą, mogą choćby przez pomyłkę powziąć złe zamiary.

— Dlatego dam ci dobrą radę — odrzekł lord.

— Słucham pana.

— Jeśli ci życie miłe, nie radzę przedrzeźniać dinozaurów i megalozaurów. Twoja postawa może się im łatwo nie podobać.

— Przecież od urodzenia tak chodzę! — tłumaczył się Stanisław.

— Chętnie w to wierzę, bo sam podzielam twój system chodzenia, ale dinozaury dawniej od ciebie chodzą na dwóch łapach.

— Więc może dlatego mam poniżyć się do chodu zwierząt? — wybuchnął Stanisław z oburzeniem. — Tego nie uczynię!

— Jeśli tak, to już chyba spróbuj chodzić na głowie, bo nie znam innego sposobu lokomocji nie używanego przez zwierzęta. Pomyśl sam nad tą kwestią. Przecież i chód na dwóch kończynach nie jest wyłącznie ludzkim przywilejem. Prócz przedwiekowych dinozaurów i ptaki to samo czynią.

Stanisław zamierzał rozgniewać się na najwyraźniejsze drwiny, gdy nagle tuż za plecami jego rozległo się potężne sapanie, podobne do głuchego steku lokomotywy, z towarzyszeniem trzasku druzgotanych drzew.

Jednocześnie zagrzmiął podniesiony głos profesora:

■— Ratujcie się! Żwawo do wody!

Nie miał czasu więcej powiedzieć. Przyskoczył do Anglika, pociągnął go o kilkanaście kroków z taką gwałtownością na bok, że biedak padł jak długi. Stanisław bez namysłu rzucił się jak krokodyl do wody.

Wszystko to było dziełem dziesięciu sekund. Gdy poturbowany i gniewny Puckins podniósł się, oblicze jego stało się nagle bielsze od kredy.

Przez zielony kobierzec, na którym przed pół minutą nasza trójka spoczywała, o cztery kroki od zdumionego Anglika przesunął się z towarzyszeniem trzasku gniecionych roślin ów nagi pagórek, w którego sąsiedztwie używano wywczasu. Geolog ujął za rękę towarzysza i ścisnął ją mocno. Na zbladłej twarzy widniało jeszcze przerażenie, ale z każdą sekundą ustępowało. Nagle oblicze paleontologa oblało się szkarłatem.

— Atlantozaur we własnej osobie! — zawołał, a oczy jego jaśniały zachwytem. Dzięki ci, Boże, żeś mnie dozwolił oglądać ten cud natury! — wyszeptał.

Anglik skamieniał na widok króla gadów. To, na co zdobyć by się mogła bujna wyobraźnia, ujrzał ucieleśnione w żywej istocie. Jeżeli brontozaury, długie na 16 metrów, mogły słusznie uchodzić za olbrzymów, nad jakich trudno było sobie większych wyobrazić; jeżeli zdumiewał się, że pod takim ciężarem nie złamie się grzbiet lub puste

wewnątrz kości nóg potężnych, to obecnie **ujrzał** stokroć godniejszą podziwu postać. Mierzyła ona nie 16, ale całe 36 metrów długości, budową zaś ciała prócz głowy przypominała brontozaura.

Stosowny do długości wzrost czynił z tego lądowego jaszczura istny pagórek żywy wsparty na brzuchu i czterech potwornej grubości nogach. Waga atlantozaura, gdy wiadomo, że brontozaur ważył 50 tysięcy funtów, była osiem razy większą, więc wynosiła 4 tysiące cetnarów*.

cv)

Ciszę, jaka zaległa po przejściu tego największego olbrzyma, jakiego kiedykolwiek planeta nasza wyhodowała — przerwał Anglik.

— Ciekaw jestem, gdzie padniemy jutro, gdzie nas zły czy dobry geniusz przerzuci. Ja już straciłem wszelką nadzieję obliczenia. Okresy czasu, jaki przesypiamy, co dzień maleją i wątpię, czy pojutrze wrócimy do naszego świata...

— Wiem tylko — odrzekł geolog — że przed nami rozpościera się jeszcze kredowa epoka, a po niej czasy kenozoiczne, świat zwierząt ssących i ptaków. Geologowie dzielą go na czasy: eocenu, oligocenu, miocenu i pliocenu. Wszystkie one razem jednak nie mają tej rozległości, co którakolwiek z epok, któreśmy już przeżyli.

— A co dalej poza pliocenem?

— Dalej to już krótka epoka człowieka.

— Więc można się spodziewać, że jutro znajdziemy się już w kredzie, a pojutrze wrócimy do naszych czasów, do świata cywilizowanego?

— Tak i mnie się zdaje! — odrzekł geolog. ■— Ale czy uwierzysz, lordzie, że gdy o tym myślę, żal mi już wracać do naszego świata. Wędrowka przez otchłanie czasu nabrała dla mnie powabu i nie gniewałbym się, gdyby się przedłużyła.

— I mnie nic nie ciągnie do dziewiętnastego wieku! Przepadam za oryginalnością, a tu jej mam do syta. Za powrotem będę się znowu nudzić. Szkoda nawet, że dotąd nie umiał jej dostatecznie ocenić i korzystać.

— Jeszcześmy nie w domu! Nie wywołuj wilka z lasu, milordzie — zauważył chmurno Stanisław.

— Więc jutro w kredzie! Szkoda, że Baedeker nie wydał jeszcze przewodnika po państwie kredowym. Lubię przed przybyciem do nieznanego kraju wiedzieć, co o nim pisze.

* Jeśli przypomnimy sobie, że średniej wielkości wieloryb grenlandzki mierzy tylko niecałe 20 metrów i waży 2 000 cetnarów, to pojmiemy, co to musiał być za jaszczur bez mała dwa razy dłuższy od wieloryba, (przyp. aut.)



Marzenia kredowe

Ciemna noc zapadła nad pasem ziemi, odwracającym się od słońca. Rozpostarła ona swą władzę i w duszy geologa. Znużony zasnął twardo i bez marzeń. Wreszcie na tle bezwiedzy poczęły przed jego ruchliwą wyobraźnią przepływać obrazy.

Zrazu chaotyczne, z każdą chwilą stawały się wyraźniejszymi i wkrótce przed wzrokiem geologa ukazały się dziwne postacie.

Najprzód belemnity i liczne gatunki amonitów, które doszły w kredowej epoce do rozkwitu i wraz z nią wygasły. Potem pierwsze kraby i raki krótkoogonowe, a także nowe ryby, obdarzone szkieletem kostnym.

Następnie ujrzał geolog morskie jeżowce, rozgwiazdy (*Echinoidea* i *Asteroidea*), które w kredzie doszły do szczytu swego rozwoju. Dalej ujrzał coraz bardziej ustępujące z oblicza naszej planety paprocie, sagowce i szyszkowe klimatu gorącego *. Zobaczył następnie, jak ubywało w morzach ryb chrząstkowatych, jak ustępowały miejsca rybom

* Patrz tablica II: „Etapy ewolucji świata roślinnego”.

kościwym, a wreszcie jak i te ostatnie zmały przed'majestatem dogorywającego tutaj rodu ichtiozaurów.

I tak przewinał się przed oczyma geologa wielce urozmaicony świat zwierząt zimnokrwistych, ustępujących z widowni wraz ze schyłkiem epoki kredowej. A świat to jeszcze był fizycznie bardzo okazały. Jaszczury na przykład skrzydlate dorastały potwornych rozmiarów. Jeden z tych pterozaurów, pteranodon, dochodził do ośmiu metrów przy rozpiętych skrzydłach*.

Iguanodony i inne dinozaury kroczyły ociężale w gąszczach krednerii i cykasów płosząc bezmyślne ptaki zębate, hesperonisami zwane.

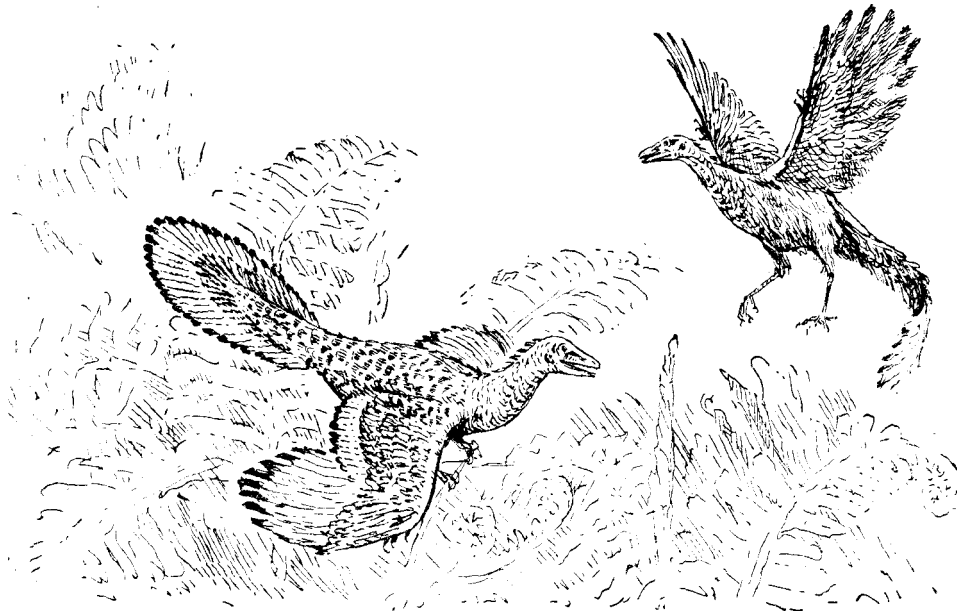
Nowe gady słonowodne, istne „węże morskie" z baśni marynarzy, mozozaury dorastały do 25 metrów długości!

Następnie nasz uczonej ujrzał ziemię okrywającą się zielenią prawdziwych palm i pierwszych roślin okrytonasiennych. Obok wymierających rodzajów rozpoznał dotąd żyjące wierzby, klony, dęby, wiązy, figi, aralie i wiele innych drzew znanych dobrze podróżnikom po krajach podzwrotnikowych. W cieniu jednak tych drzew i zarośli roila się jeszcze fauna całkiem niepodobna do naszej. Na gałęziach siadały dopiero ichtiornisy i apatornisy, czyli ptaki zębate, oraz mała ilość prawdziwych ptaków, odznaczających się, jak to każdemu wiadomo, brakiem zębów.

Wreszcie ukazała się gromadka małych i nędznych zwierzątek z rodziny zupełnie już wygasłej na ziemi (*Trituberculata*), a potem znikło wszystko. Na próżno profesor przecierał oczy i zastanawiał się, co by te widziadła znaczyły. Otaczała go ciemnia. Nic już nie widział i nie słyszał. Tylko została mu świadomość siebie. Myśl uparcie powracała do ostatnio dostrzeżonych krewniaków naszych kangurów. Były to przecież pierwsze ssaki, bardzo jeszcze niedoskonałe i nędzne w porównaniu z późniejszymi, ale już wyższe od dotychczasowego świata jajorodnych kręgowców. Ich ród, dzięki zwiększającej się suchości atmosfery, szedł dopiero do życia, gdy zimnokrwistym krewniakom, stworzonym do wilgoci i jednostajnego gorąca, każda nieznaczna nawet zmiana przybliżała nieuchronną zagładę. Osobliwie gatunki okazałe wymierały szybko. Zostawały tylko najwytrwalsze, choć i te karłowaciały bez przerwy.

Wiele rodów, dzięki niespożytej sile żywotnej, jaka w nich tkwiła, przystosowało się jeszcze znacznie wcześniej do nowych warunków i przeobraziło się w lotne ptactwo.

* Siąg skrzydeł albatrosa, który ma dziś najdłuższe skrzydła w rodzie ptasim, wynosi zaledwie 4 metry, (przyp. aut.)



Nikt też nie poznaje w dzisiejszej barwnej i pierzastej rzeszy potomków najstarszego ptaka o dziwnym ogonie, archeopteryksem zwanego.

A jednak pochodzi on od poziomego pterozaura, najstarszego gada z permu, i jest spokrewniony z kampsognatusem, drapieżnym dinozaurom z epoki jurskiej.

Nawet one same, gdyby rozumowanie dostępnym było dla ich niewykształconych mózgów, nie uwierzyłyby w swe niskie pochodzenie, zapierałyby się gorąco wszelkiego z gadami pokrewieństwa.

Tak samo trudno by uwierzyć, że jednym z prapradziadów wszystkich ssaków był mikrolestes, rówieśnik afrykańskiego tritylodona, prawego potomka gadów oraz innego drobnego prassaka dromaterium, jednego z najdawniejszych ciepłokrwistych kręgowców na ziemi.

Musiały już bez wątpienia w kredzie żyć i inne zwierzątka ssące oprócz workowatych — dowodzi bowiem tego duża różnorodność w postaciach ssących typów eocenu (którym rozpoczął się świat trzeciorzędowych) — ale geolog nie widział ich wcale, a pamiętał, iż nikt jeszcze nie znalazł innych ssaków w pokładach przedtrzeciorzędowych. Wreszcie pierzchły marzenia i profesor, który zamierzał czuwać w traisie, a prześnił całą kredę, wrócił do rzeczywistości.

ŚWIAT KENOZOICZNY

Schylek eocenu — Rozmaitość ssącej fauny — Upadek świata stworzonego do jednostajnej, ciepłej temperatury

Ujrzał się w gąszczu magnolii, drzew kamforowych i cynamonowych. Dzikie wino wspinało się girlandami na palmy i topole. Wspinała dracena ukrywała się w cieniu dębu, a ten sąsiadował z szyszko-watą widdringtonią, jałowcem i akacją.

Trudniej chyba o większe pomieszanie roślin właściwych dzisiaj zupełnie odrębnym klimatom.

Te same prawie gatunki rosły i w Grenlandii, a zapewne i dalej w niedostępnej dziś krainie podbiegunowej.

Słońce dopiekało ogniście, w powietrzu była suchość nadzwyczajna. Ani jednej chmurki na niebie.

— A gdzie lord Puckins? — zapytał nagle profesor.

— Zmartwiony poszedł do lasu.

— Zmartwiony?

— Obudziła się w nim żyłka myśliwska. Wyśledził jakieś stado pasących się zwierząt, których nie umiem nazwać, i ubolewa, że nie ma broni.

— Nie dziwię mu się wcale — odparł pobłaźliwie paleontolog. — Zwierzyna tutejsza znakomicie nadaje się do mordowania. Nie tylko wytrawny jak lord Puckins myśliwiec, ale nawet zwykły „pudlarz” miaiby tutaj pole do popisów triumfalnych.

— Dlaczegoż to, proszę pana?

— Bo tutejsza zwierzyna nie zna jeszcze człowieka, nie unikałaby go tedy i wobec znanej przebiegłości myśliwców pozostałaby bezsilną i niemal bezbronną.

•— A przecież mówił pan sam, że tepe gady znikają już szybko, a miejsce ich zastępują doskonalsze i mądrzejsze ssące zwierzęta.

— Tak jest. Świat ziemski w całym znaczeniu tego słowa odmłodził się i udoskonalił, ale mimo to ssakom tutejszym daleko jeszcze do naszych.

Wprawdzie dzięki powolnym zmianom dobrze się już przystosowały do nowych warunków i otoczenia, wprawdzie dużo zyskały na prze-

kształceniu swej natury gadziej, bo choć skarłowaciały cieleśnie, to przecież z nowymi uzdolnieniami wiodą żywot bez porównania pełniejszy i ruchliwszy aniżeli ograniczone ich praszczury — ale nie zapominaj, że te pierwsze ssaki nie o wiele więcej miały mózgu od jądów i wobec przebiegłości podobnie doskonałego jak lord Puckins dżentelmena pozostają po dawnemu bezradne.

Miał zupełną słuszność profesor sądząc surowo uzdolnienia pierwszych ciepłokrwistych mieszkańców ziemi.

Były to bardzo biedne, w porównaniu do dzisiejszych, zwierzęta, ale sprawiedliwość każe wyznaczyć, że i one kroczyły, lubo żółwim krokiem, ku postępowi. Z każdym tysiącleciem, z każdym nowym gatunkiem mózgi powiększały się w ich czaszkach i, co ważniejsza, rosła ich część najlepsza. Rósł mózg właściwy, dotąd upośledzony i znacznie mniejszy od mózdzku.

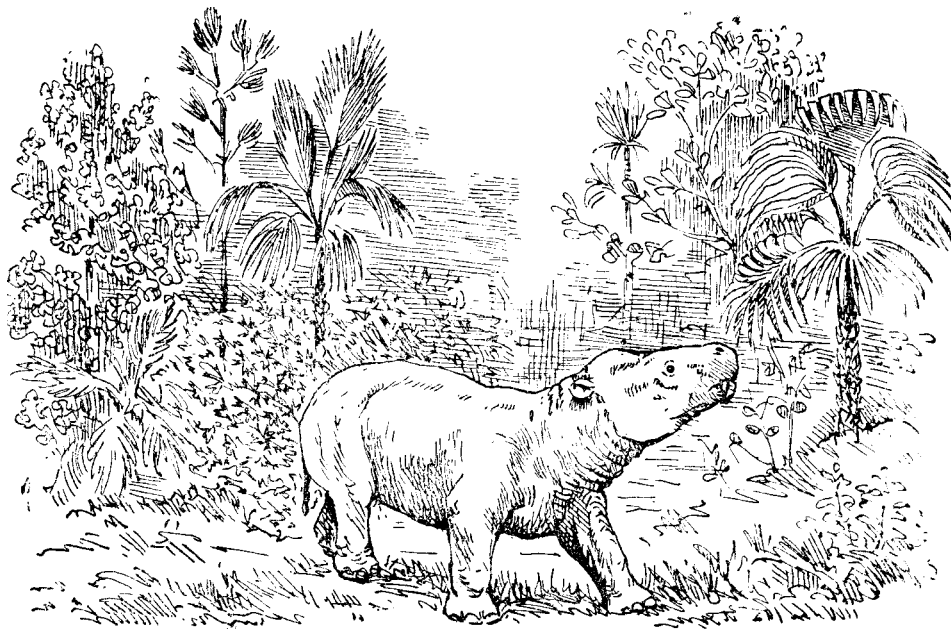
U niektórych zwierząt zaczynał on nawet dorównywać objętością mózdzkowi i te właśnie okazywały najwięcej zmyślności, te wzrastały w^r siły fizyczne i górowały wszelkimi przymiotami nad przodkami o mniejszych mózgach. Już w początkowych tysiącleciach eocenu zwierzęta workowate grały podrzędną rolę. Zaćmiły je gryzonie, a także kondylartra, to jest przodki kopytnych, nietoperze, a w Ameryce bezzębne (*Edentata*) i nieparzystokopytne (*Perissodactyla*). Większość wszakże tych ssaków tak mało różniła się między sobą, że gdyby dziś ożyły, każdy zoolog poczytałby je za bliskich krewniaków. A przecież te zwierzęta są przodkami coraz bardziej różniczkujących się grup. Grupy te, o ile nie zaginęły, rozpadły się w późniejszych czasach na niezmiernie do siebie niepodobne rodziny oraz rodzaje.

Któż by dzisiaj uwierzył, że na przykład przodki małp, tapirów i koni były dość podobne do siebie, a jednak tak było. Pramałpy (*Prosimiae*) i kondylartra, do których stary fenakodus należy, w bardzo licznych szczegółach są do siebie podobne.

Obfitością rodzajów i osobników zaimponowały także światu nieparzystokopytne (*Perissodactyla*). Odgrywały one w ówczesnej przyrodzie bez wątpienia rolę dzisiejszych przeżuwiających. Więc stada hy^rakotenów, niezgrabnych propaleoteriów i ciężkich lofiodonów pasły s.e. jedne na stepach, inne po cienistych gąszczach leśnych*.

Niektóre z tych nieparzystokopytnych były nadzwyczaj małe, tak iriałe, że podobnych im w tej grupie dziś nie ma, wiele jednak dorastało "wielkości wołów, a były gatunki znacznie nawet większe. Obyczajami i postacią przypominały one naszego tapira, którego śmiało uważać można za ostatniego nieodrodnego przedstawiciela rodu paleoteriów.

* I tapiry unikają miejsc odkrytych i światła, (przyp. aut.)



Wielki jak wół inny kopytowiec, koryfodon (*Amblypoda*), z kształtu przypominał niedźwiedzia, z nóg zaś słonia. Z paszczy błyskały mocne kły. Mimo postaci nie wzbudzającej zaufania zwierzę to niewinny i roślinożerny. Gdyby chodziło o jego rodowód, to słuszność każe wyznaczyć, że choć wcale niby niepodobny do trąbowców, był on wszakże dość bliskim ich krewniakiem. Zgrabne anoploterie o końskiej głowie, osadzonej na kształtnej i długiej szyi, harcowały niby dwukopytne dwuogoniaste osły po bagnistych nizinach.

Wśród tych zwierząt siały postrach pierwsze drapieżniki ssące, kreodonty, jak na przykład oksyhiena, paleoniktis, prowiwerra.

W średnich czasach eocenu niekorzystne dla ssaków warunki powstrzymują ich rozwój w Europie, choć w Ameryce, połączonej jeszcze wówczas (Przesmykiem Islandzkim) z Europą, wielka powstaje ich obfitość.

Ciekawszą jeszcze od naszej części świata była wówczas Ameryka Północna. Najosobliwsze bodaj zwierzęta, jakie kiedykolwiek żyły na ziemi, mieszkaly tam wówczas. Były to dinocerasy. Zwierzęta wielkością mało ustępujące słoniowi, ale niższe z powodu krótkości nóg.

Odnaczają się one bardzo szczególnymi i wyjątkowymi wśród wszystkich kręgowców kształtami czaszki.

Przy małym nadzwyczaj mózgu dziwnie uzbrojone dinocerasy musiały być wcieleniem głupoty, dzikości i niezgrabności.

Dopiero schyłek eocenu sprzyja mnożeniu się na naszych łądach ssaków. Kopytne grają tu główną rolę, a wśród nich wyróżniają się parzystokopytne (*Artiodactyla*).

Drapieżne kreodonty chylą się ku upadkowi, choć hienodon i pterodon należą do najpospolitszych i najsilniejszych drapieżców. Ród znanych nam drapieżnych pojawia się już, ale pierwotni przedstawiciele rodu psów (*Canidae*), smukłych kun (*Mustelidae*) i cuchnących łasy (*Viverridae*) złączeni są jeszcze bliskim pokrewieństwem w jedną grupę.

I koty, a nawet gruboskórne są już, ale wszystko to wątle i bez znaczenia. Przodki lemurów i małp z rzadka dopiero i lekliwie zakłócają nocny spoczynek mieszkańcom puszczy. Tylko parzystokopytne obejmują panowanie na łądach, a wśród licznych rodzajów i gatunków przynajmniej połowa przypada na anoploterie, które łączą w sobie cechy kopytnych i mięsożernych zarówno w szczękach, jak i budowie całego szkieletu.

W bujnej i pięknej puszczy, wśród takiego to świata, paleontolog nie zlorzeczył już okolicznościom, które pozwoliły oglądać prototypy fauny i flory znanej naszym przyrodnikom.

Dzień cały upłynął wcale znośnie. W miłym cieniu lasu nie czuć nawet było upału, pod wieczór zaś, idąc ciągle ku północy, wydobyto się nad kręto płynącą rzekę, zdobną po brzegach w kępy palm i paproci.

Z wyniosłego wzgórza roztoczył się przed nimi obraz godny pędzla artysty.

Wielkie paleoterie z krótkimi trąbami tapirów po społu z anoploteriami dążyły do rzeki po ochłodę.

Poważny jakiś ptak brodzący udawał drzemkę, aby tym pilniej i skuteczniej czatować na ryby, a przez płytką łąkę dwa wielkie żółwie śpieszyły wcale żwawo ku brzegowi. Znaleziono wkrótce kącik zaciszny od wiatru i przy zapalonym dla bezpieczeństwa od drapieżników ognisku spędzono resztę wieczoru przed spoczynkiem wśród wesołej gawędy, ani się spodziewając, co za straszne nastąpi przebudzenie.

*Przedpotopowicz opuszcza ziemią — Epoka miocenu — Trąbowce
księżętami ziemi — Mastodon*

Zaledwie geolog przymknął oczy, zaledwie srebrne światło księżycy oblało krajobraz, ziemia zadrżała i posypały się na głowy uspiionych kamienie oderwane z sąsiedniego urwiska.

Z rozwalin buchnęły z rykiem kłęby pary i zasłoniły nie tylko księżyc, ale i ruinę świeżą, po czym rozplynęły się chmurą gęstego deszczu.

W jednej chwili woda zrujnowała pokłady, nad których tworzeniem pracowała szczęśliwie przez tysiącolecia.

Widać, że burzenie się i burzenie nie jest wyłącznym przywilejem krwi, tej krwi gorącej, która często w jednej chwili niszczy dzieło całego żywota. I woda to potrafi. Ta ciecz, którą mamy za symbol bierności i spokoju.

Skądże się wzięły te białe chmury, uchodzące niby z otwartej klapy kotła parowego? Skąd one się wzięły w głębi ziemi. Co je nagle wyгнаło z zacisznej i głębokiej kryjówki?

Wypędziło je po prostu zmniejszone nagle ciśnienie.

Wiemy, czym jest woda dla ziemi, jak niesłychanie urozmaiconym jest jej oddziaływanie na skorupę ziemską. Ona przesiąka przez najtrwalsze skały, rozpuszcza je, spływa na coraz niższe warstwy i tworzy rzeki oraz zbiorniki podziemne. Na wspólnie z gorącem i ciśnieniem przeobraża wszystkie minerały, stwarza niewyczerpane kombinacje, a zmienia je tym gruntowniej, im w głębszych działa warstwach. Powiększa objętość zaatakowanych pokładów, rozpiera i rujnuje sąsiednie, trudniej ulegające jej chemicznej energii i wszędy krąży siejąc po drodze zniszczenie. Tu wypłukuje olbrzymie pieczary, tam napełnia i rozkrusza podziemne szczeliny. Tu zabiera, tam osadza rozpuszczone w swym jestestwie minerały. Im głębiej zaś przenika, tym się silniej rozgrzewa i potężniejszy stanowi czynnik rozrywający. Tam, gdzie skorupa stawia jej stosowny opór, może ona, choćby rozgrzana do setek atmosfer prężności, pozostawać w pozornym spokoju. Ale jeśli wytrzymałość górnych warstw ziemi osłabnie na moment, wtedy następuje wybuch udzielając wstrząśnienia okolicznym warstwom. Natenczas zrywa się równowaga ciśnienia i jeden wybuch powoduje inne w sąsiednich zbiornikach, jeżeli się takowe znajdują w obrębie pierwszego wstrząśnienia, a wtedy wszystko to, siejąc na znacznych obszarach spustoszenia podziemne, ujawni się na powierzchni pod postacią tak pospolitych trzęsień ziemi. Więc też skorupa ziemską wewnątrz jest okropną ruiną, pełną kanałów, w których woda, niby krew w żyłach, w nieustannym znajduje się obiegu i pracuje nad dziełem zniszczenia.

Zgubna działalność wód bynajmniej nie ustała, a ustać może dopiero wtedy, gdy zabraknie oceanów, gdy znikną one całkiem z oblicza ziemi kryjąc się w głębiach pokładów geologicznych, w szczelinach podziemnych, połączone chemicznie z minerałami skorupy ziemskiej. Ale zanim to nastąpi, skorupa stokroć gorszym stać się musi rumowiskiem, a każdy cal powierzchni ulegać będzie nieraz wstrząśnieniom niemniej groźnym, jak to, które wysadziło skały w powietrze i przygniotło profesora.



Niezmierzalny ciężar i dotkliwy ból w głowie i piersiach ustąpił po chwili błogiej świadomości wyzwolenia. Okiem duszy objął geolog dokładnie miejsce katastrofy, a gdy rozwiały się białe chmury, wpatrzył się w powiewny obłoczek, który nagle wzniósł się ponad szare skały strzaskane i migotał w świetle księżycu.

— To ja — wyszeptał w skupieniu — jak mi jest dobrze!...

Obłoczek przybrał postać ludzką i unióśł się w górę. Przedpotopowicz, uwolniony z objęć materii, pomknął w przestworza. Płynął niby wątku iskierka w górę, w etery, nie zdając sobie sprawy z niezwykłości położenia. Najobojętniej patrzył, jak Ziemia, otulona płaszczem chmur, niby ogromna, ciemna tarcza okolona „lisią czapką” jasności słonecznej, malała, aż odsłoniła Słońce i w jego pełnym blasku utonęła. Zrazu oddychał profesor z łatwością, niebawem płucom zabrakło atmosfery, a jednocześnie zapanowało dotkliwe zimno, potem mróz, który z każdą potęgował się chwilą. Mimo że kula słoneczna oślepiającym blaskiem świeciła, ciemno było w przestworzu, a mróz nastał tak wielki, jakiego nigdy zapewne człowiek nie doświadczał.

Ziemia zapadała się w przepaście wszechświata. Malała zdumiewająco szybko.

Gdy profesor zdołał zebrać myśli, już zeszła do rozmiarów balonu, potem niby ogromny, szary globus majaczyła chwil kilka, dopóki nie zmalała do wielkości jabłka. Wreszcie ta szara kulebka istot mieniających się panami świata zgubiła się w przestworzach.

Olbrzymie cielsko Ziemi znikło już przed wzrokiem jego. Geolog przymknął oczy, a gdy je otworzył, Słońce błyszczało w całej swej pełni, ale rzecz dziwna; było nie większe od dukata, a świeciło nie nad

głową geologa, ale w dole. Czyniło to wrażenie, jakby zapadło się gdzieś w przepaści.

Na niebie wystąpiły blade gwiazdki, a w miarę jak Słońce kurczyło swą tarczę, liczba gwiazd z każdą chwilą rosła. Jeszcze chwil kilka i geolog zdumiał się na widok innej, pozornie większej od Słońca, szarej tarczy na niebie. Był to Saturn, łatwy do odróżnienia po pierścieniach, które go otaczają.

Przedpotopowicz czuł, że płynie z szybkością światła ku tej planecie. Niebawem też zasłoniła mu ona ćwierć nieba. Już zdawało mu się, że spadnie na jej powierzchnię, ale ciemna kula niebieska pozostała na boku, poczęła zmniejszać się i znikła w tumanie jasnych punkcików.

Przedpotopowicz minął planetę, odległą na 1420 milionów kilometrów od Słońca.

W podobny sposób dostrzegł rosnącą, a wkrótce znowu ginącą, najdalszą planetę, Neptuna.

Teraz już Słońce, dwa tysiące razy mniejsze niż widziane z Ziemi, mało różniło się od gwiazd, które otaczały geologa.

Na aksamitnym tle ciemności błyszczały przed geologiem tajemnicze słońca Kassjopei, Woźnicy, Wielkiej Niedźwiedzicy i Gwiazda Polania. Za sobą odróżnił profesor cztery jasne Gwiazdy Krzyża, widzialne tylko dla mieszkańców południowej półkuli ziemskiej.

Zwolna Kapella, świecąca w samym zenicie, poczęła zwiększać swój blask, wreszcie zaćmiła zarówno pobliskich Kastora i Polluksa, jak Aldebarana w Byku oraz gwiazdy Wozu Niebieskiego*. Oślepiony blaskiem tej bryły, która jest słońcem dwieście pięćdziesiąt razy jaśniejszym, a czterysta razy większym od ziemskiego, mknął paleontolog, nic już widzieć dokoła niezdolny. Już sądził, że spadnie w to bezmierne ognisko atomów i energii, gdy zostało ono na boku, poczęło zmniejszać się, zeszło do rozmiarów gwiazdy pierwszej, potem drugiej wielkości, aż wreszcie przepadło niby pyłek na ciemnym tle nieba.

Geolog tymczasem, pogrążony w ekstazie, nieświadom czasu, unosił się niepowstrzymanie naprzód ku dalszym jeszcze białym, żółtym, różowym i niebieskim gwiazdom, od których promień światła potrzebuje setek wieków, aby osiągnąć Ziemi. Kolejno i te gwiazdy stawały się dlań ośleniającymi słońcami, kolejno nikły w oddali.

—■ Jestem w niebie! —• myślał geolog i popadł w głęboką zadumę. — Ależ czyż kiedykolwiek byłem gdzie indziej? — rozumował dalej. — Czy nawet na Ziemi nie byłem z nią razem w niebie? Niebo. Ono jest mieszkaniem Boga. A więc gdzież Bóg?... Dlaczegoż go nie widzę?

* Wóz Niebieski — Wielka Niedźwiedzica, (przyp. aut.)

Gdym był chłopięciem, uczyła mię matka, że jest w Niebie, na Ziemi i na każdym miejscu...

Niebo jest wszędzie, więc i Bóg musi być wszędzie. Na Ziemi, na Arkturze, na Wedze, na najdalszych słońcach i na mgławicach.

On napełnia świat... Gdzież on?

A może Go nie ma?

Może wiedzą lepiej ci, którzy Go zaprzeczają?

Może jest świat tylko, a poza nim nic więcej?

Ale cóż to jest świat? Czy pojął kto istotę jego? Naprawdę świat tak samo mało rozumiemy, jak Boga!...

Cóż więc zyskują ci, którzy mówią: „Bóg jest urojeniem!” Skąd wiedzą, że i świat nie jest urojeniem!...

Zagadki! Same zagadki!...

Chyba już i świata nie ma, nas nie ma, nic nie ma!...

I pogrążył się nasz filozof w przykrym i długotrwałym odrętwieniu. Znowu kilka słońc rozjaśniło niebiosa, kilka komet napełniło całą sferę swym ogonem, a roje meteorytów niby zwinne jaskółki przecinały ttery, przez które szybował rozkołysaną wyobraźnią myślący pyłek ziemski.

— Przecież świat nie da się zaprzeczyć — rozumował. — On żyje życiem niezliczonych swoich mieszkańców, czuje bilionami serc, przeżywa nieskończoną ilość istot myślących, wyciąga błagalnie lub dziękczynnie miliony rąk do Nieba! Więc coś nad tym światem koniecznie być musi. Coś wielkiego, wspanialszego nad wszystkie nasze wyobrażenia. Jakaś Dobroć, większa nad wszystkie dobroci, jakaś Myśl nad myślami, Mądrość, jakaś Prawda, która przenika nieskończoność, która rządzi atomami i energią świata, której wszystkie duchy łakną, podobnie jak kwiaty łakną światła słonecznego.

Ale czy mizerne atomy, czołgające się po jakimś tam większym pyłku, zwanym przez nie Ziemią, mogą posiadać dość mocy do wyrokowania o wszechzagadce świata? Czy skończone może objąć nieograniczoność? Alboż robak, zrodzony wewnątrz jabłka, zdolnym jest wiedzieć, co jest poza jabłkiem, z którego nie wyrzał? Czy wolno mu twierdzić na podstawie własnej nieświadomości, że nie ma nic poza jabłkiem? Że nie ma jabłoni, nie ma sadu, ani ogrodnika?!

O, nie! Nami władają niewidzialne promienie tej niewysłowionej Potęgi, tego Ducha, który jest w niebie, na Ziemi i na każdym miejscu!...

Gdy umysł Przedpotopowicza, zanurzony w otchłaniach wszechświata, rozbijał się o najwyższe tajemnice, na ciemnym ziarenku, oddalonym od niego o tysiące lat drogi światła, na ziemi, zagubionej gdzieś w niedostrzeżonym tumanie słońc i planet, nie zrodziła się jeszcze nawet słaba ludzka świadomość.

Posiew pański był jeszcze zielony.

Nieprzerwanym ciągiem doskonalily się pyłki, raz ożywione w archaicznej epoce z martwoty.

Życie, zaszczepione na ziemi, oblekało się przez śmierć i narodziny w coraz nowe formy i coraz pełniejszą harmonię dostrajało się do wszechharmonii świata. Daleko tam jeszcze było do rozkwitu, ale panowała już w całej pełni era miocenu.

W tej stronie globu, którą człowiek później nazwał Europą, z dotychczasowego archipelagu utworzył się i trwał w eocenie rozległy ląd. Na nim nieprzerwanym kobiercem rozpostarły się stepy, moczary i puszcze leśne. Ten obszerny ląd, złączony z Afryką śródziemnomorską niziną, który obejmował aż trzy morza wewnętrzne, nie ostał się długo. Ocean wtargnął w nizinę i oddzielił znowu naszą część świata od Afryki*. Dużo jeszcze zresztą nowego lądu miało przybyć, podobnie jak dużo starego ubyło.

Jeszcze nad obecną Bawarią, połową Hiszpanii oraz Francji lśniły się fale nowopowstałego morza, które ponownie oddzieliło Afrykę od Europy. Na tym morzu rozpościerała się śliczna wyspa szwajcarska**.

Wyspa ta, podobnie jak jej sąsiadka, karpacka wysepka, była w fazie stałego wynoszenia się. Resztki tego morza pod nazwą Śródziemnego trwają do czasów ludzkich.

Drugie, obszerne choć płytkie, morze wewnątrzlądowe, dziś nie istniejące i znane tylko wśród geologów pod mianem Sarmackiego, pokrywało niemal wszystkie ziemie Słowiańszczyzną zwane.

Od miejsca, gdzie stanie Wiedeń, sięgało ono aż do środkowej Azji. Ciągnęło się nieprzerwanym pasmem przez morza Czarne, Kaspijskie, Aralskie, aż do Ust'-Urtu i nawet gdzieś dalej w głąb Mongolii. Cała Bośnia, Siedmiogród, Sławonia, Węgry, Styria, doliny włoskie, Malta i Sycylia były pod morzem. Nad brzegiem tych wód i w głębi lasów Europy figi, akacje, palmy i dęby rosły po społu z cyprysami, wawrzynami i drzewami mamutowymi (*Sequoia*). Wiązy i olsze sąsiadowały z mirtami i drzewem ambrowym. Obfitość gatunków była

* Patrz mapka: „Rozmieszczenie lądów i mórz świata w trzeciorzędzie” (str. 143)
Naturalnie bez Szwajcarów, śnieżnych szczytów, lodowców, hoteli, turystów, (przyp. aut.)

niezmierna i większa bez porównania aniżeli w epokach dawniejszych.

Znikła jednostajność klimatu i poczęły się łagodnie zarysowywać pory roku.

W cieniach puszczy trzepotała się niemniej urozmaicona pierzasta rzesza.

Rodzaje dziś nie znane w Europie, jak papugi na przykład, przelatywały obok przedstawicieli ptactwa do dziś zamieszkującego naszą część świata.

Wśród zwierząt nie tylko tu, ale na całej ziemi zapanowały nowe rody o mózgu obfitszym. Po oligoceńskim zastoju zubożała fauna wzbogaciła się szybko i odrodziła w nowych przedstawicielach. Piękna nastąpiła chwila w życiu ziemi. Teraz dopiero świat ssaków zajaśniał bogactwem postaci i uzdolnień i zapanował wszechwładnie na ziemi. Świat to jednak nieznanym zupełnie naszym zoologom. Ani jeden gatunek już nie tylko z eocenu albo choćby z oligocenu, ale nawet z początków miocenu nie utrzymał się dotąd niezmieniony*. Pomimo to jednak żadnej nie ma tu postaci, która by prototypu lub krewniaka nie miała już w eocenie.

Drapieżne kreodonty, niezdolne do przyswojenia sobie nowych warunków, ustąpiły miejsca dzielniejszym typom: mięsożercom.

Zastąpiła je świeżej krwi chciwa rodzina zdradliwych kotów, a także nowa grupa drapieżnych przodków niedźwiedzi, środkująca budowę^T pomiędzy psem, hieną i niedźwiedziem (*Amphicyon*). Pojawiają się też zwierzęta podobne do kuny i wydry. Ociężały aceraterium, przodek nosorożca bez rogu, pasł się obok tapira i drobnych jeleni bezrogich, a na obszernych stepach używały życia jak umiały pierwsze antylopy, lekkonogie wygasające anchiterie, przodki prakonia, czyli hippariona, a nawet już i same hippariony. Doskonale na swój czas gryzonie i owadożerne ustąpiły stanowczo pierwszeństwa wciąż doskonalącym się i różnicującym się kopytnym, wśród których zakrólowały trąbowce. Mastodon angustidens i dinoterium stanowiły najwybitniejsze zjawisko ówczesnej przyrody.

Jeszcze jeden ród ciekawy przybył ziemi.

Były to wybornie przystosowane do życia na drzewach, nie schodzące prawie na samo dno puszczy, czwororęczne driopitekusy i plio-pitekusy. Na wielkim i tajemniczym dla nas dziś kontynencie Azji oraz w Ameryce powstają inne ssaki, zdumiewające kształtami ciała.

* Łatwo to zrozumieć, gdy się zauważy, iż między mioceniem starszym a młodszym miały miejsce w Europie rozległe zalewy morskie, które zapewne zmieniły dużo warunków i wiele gatunków życia pozbawiły, (przyj. aut.)

Jedne odznaczają się taką fantastycznością głowy, że podobnych im próżno by już dziś szukał na ziemi.

Były to Sivatherium giganteum i Titanoterium.

Profesor Przedpotopowicz, zawieszony dotąd w przestworzach, ujrzał nagle, jak wszystkie gwiazdy ruszyły z miejsc swoich i poczęły bezładny taniec. Łagodne te światełka przemieniły się nagle w błyszczące ślepia potwornych straszyleł, które z rykiem uganiały się za sobą i walczyły w śmiertelnych zapasach.

Smok ział z paszczy ogniem na Herkulesa, ten zaś ciskał nań planety i księżyce. Lew skradał się do Wielkiej Niedźwiedzicy, która stawiała zacięty opór zgrai Ogarów. Potworne Węże oplatały Centaurów, Skorpiony zatapiały w ich ciała zatrute jadem kolce. Niebo oblało się purpurą krwi i drżało od łoskotu uderzających na siebie słońc i planet, które rozbite staczały się jedne po drugich w przepaście.

Profesorowi włosy dębem stanęły, oczy wyszły ze swych orbit, a usta szeptały: koniec świata!

Wtem nagle dostrzegł pędzący ku sobie z szybkością pioruna jakiś glob ciemny.

Na olbrzymiej tarczy tego ciała niebieskiego zarysowały się w świetle pękających niby rakiety gwiazd i komet wyraźne linie mórz i lądów. Jedno spojrzenie przerażonych oczu starczyło geologowi do określenia, że to Ziemia.

— Jestem zgubiony! — krzyknął przeraźliwie.

Leśne idylle — Mastodon longirostris, król pliocenu

— ■ Co się z tobą dzieje, profesorze? — zabrzmiał mu wesóły głos Puckinsa nad uchem. — Rzucasz się i krzyczysz, jakby cię kto mordował.

Paleontolog otworzył oczy i spostrzegł, że podróż w przestrzeni była zwykłym nocnym marzeniem. W rzeczywistości spoczywał obok lorda Puckinsa na miękkim kobiercu leśnym.

— Miałem sen okropny! — odrzekł uspokojony i jął spowiadać się Anglikowi ze swych wrażeń niebieskich. Potem obydwaj, pogrążeni w cieniach i milczeniu nocy, na próżno usiłowali zrozumieć niepojętą dla obu zmianę otoczenia. Nagle wstrząsnął powietrzem dźwięczny ton basowy. Echo poniosło go w głąb boru coraz dalej i dalej, aż zgubiło gdzieś na krańcach.

Wkrótce ten sam niski, przeciągły ryk stał się głośniejszym i urywanym, wreszcie silny plusk wody, chrapanie i rżenie potężnych płuc napełniły puszcę i zbudziły Stanisława.

Zgiełku podobnego oddać słowami trudno. Geolog nie umiał zdać sobie z niego sprawy.

Zdawało się, że zwarty kłęb bawołów, tygrysów, a może i słoni walczy na falach rzeki lub pasuje się ze śmiercią.

Anglik wsłuchał się w tumult piekielny, spojrzął na poważne miny profesora i Stanisława i uśmiechnął się lekko.

Uśmiech był tak szczery i serdeczny, że równał się głośnemu wybuchowi wesołości u nie Anglika.

— Niewinna sielanka w rodzinnym kółku — rzekł Puckins w formie objaśnienia.

— Co takiego? Sielanka?

— Przecież i hipopotamy mają prawo do chwili słodkiej igraszki.

— ■ Ależ to ryki zażerających się bestii! — zauważył Stanisław.

— Zdaje ci się tylko, boś nie przyzwyczajony do głosów natury na swobodzie. Zresztą możesz się łatwo przekonać...

— ■ Już wierz!

— Znam ja hipopotamy osobiście — ciągnął Puckins. — Na wybrzeżach Azraku przez dwie noce polowałem na tego „syna piekiel i szatana”, jak go Arabowie grzecznie zowią.

Pierwszej nocy z lekkiej łódki wpakowaliśmy kilka kul w łeb potwornego gruboskórca, ale, jak się potem okazało, utkwiły one w skórze i rozjątrzyły tylko potwora czterometrowej długości. Dopiero drugiej nocy mieliśmy wspaniałą zabawę.

Szukaliśmy konia rzeczno zapamiętałe, nie wiedząc, że i on rad był się z nami zobaczyć. Obie też strony wielce się ucieszyły ze spotkania. Hipopotam rzucił się ku naszej łódce z większą żywością, aniżeli tego po ciężkim cielsku jego można się spodziewać, my zaś posłaliśmy kule w sam łeb potwora. Raniony dosięgnął w mgnieniu oka naszej łupinki i zgrabnym ruchem szczęk zgruchotał pięć desek w boku łodzi. Zanim łódka zatonięła, plunęliśmy mu jeszcze na pożegnanie w oczy parę nabożów, następnie znaleźliśmy się w wodzie. O, bardzo dobrze te chwile pamiętam! Rzadko kiedy się tak dobrze bawiłem jak wówczas. My do brzegu, a świnia rzeczna z chrapaniem za nami. My przez ciernie i kolące gałęzie mimozy — i ona za nami. Tak w ciemnościach bawiliśmy się w chowanego może z pięć minut, a może z dziesięć, zanim dopadłem bezpiecznego schronienia.

Tam dopiero zrozumiałem, że łatwiej gruboskórnemu hipopotamowi przedzierać się przez mimozy i haczykowate ciernie nabaku, aniżeli człowiekowi. Z mego ubrania zostały tylko malownicze strzępy, uiar-

bowane na czerwono, a ręce i odkryte części mej cielesnej powłoki pozbawione były skóry. Wesoła to była zabawa!

— Nie zazdroszczę — odezwał się Stanisław. — A zabił pan przynajmniej zuchwalca?

— Nie miałem nawet tej przyjemności. Nicponia, osłabłego z wpływu krwi, dobił dopiero mój gospodarz, Nubijczyk, zawołany myśliwy. Podarował mi potem cztery potężne kły potwora na pamiątkę polowania. Ale że pamięć mam dobrą, przeto trzy zęby oddałem mu na powrót. Z jednego tylko, krzywego jak u dzika, a ważącego pięć kilogramów, kazałem zrobić wieszadło do szlafroka. Ile razy zawieszam na tym haku ubranie, tyle razy przypominam sobie, że o mało nie zawisły na nim mięśnie mego ciała. W parę lat potem miałem szczęście widzieć całą rodzinę hipopotamów na łądzie. Rzadki to traf, bo koń rzeczny jedynie w bezludnych puszczech pozwala sobie na drzemkę dzienną w lesie, zwykle zaś przesypia cały dzień w rzece pływając machinalnie z nozdrzami jedynie wystawionymi nad wodę. Przodem kroczył wtedy stary samiec. Na wzór dzika podnosił co chwila łeb monsturalny i beżmyślnymi oczkami wodził po gałęziach drzew.

Wśród myśliwskiej gawędy ani opatrzone się, jak purpurowe blaski wschodzącego słońca zajaśniały przez konary.

Paleontolog zabrał się do określenia epoki. Chwila była niezdecydowana. Hipopotamy do dziś dnia żyją. Łatwo też było przypuścić, że nadszedł kres wędrówki z przeszłości ku teraźniejszości.

Należało jednak przekonać się, czy hipopotamy, których ryk rozlegał się po lesie, były współczesne z człowiekiem, czy jeszcze trzeciorzędowe.

Roślinność nie dawała rozstrzygających wskazówek. Mało ona była różną od współczesnej flory południowej Europy. Jeden tylko świat zwierzęcy mógł dać objaśnienie, ale oprócz owadów oraz kosmopolitycznego ptactwa nie zauważono zwierza, który by wyraźnie scharakteryzował swą obecnością miejscowość i epokę. Przedzierano się przez moczary i sieć szeroko rozlanych małych rzeczek i strumyków. Wreszcie napotkano kilka powalonych pni drzewnych. Nie obalił ich wichry, nie padły od starości, bo zdrowe pniaki sterczały jeszcze spośród mchów i paproci, białe zaś drewno nie miało czasu czernieć od grzybków i porostów. Boczne konary były poobcinane tak gładko, jakby, je kto oddzielił piłą lub siekierą.

— Nareszcie jesteśmy wśród ludzi! — zawołał Stanisław.

Geolog oglądał kłody.

— Świeży budulec! — prawił uradowany sługa. — Gdzie zaś jest budulec, tam muszą być ludzie.

— Muszą być cieśle — poprawił Przedpotopowicz.

— Wszystko jedno!

—■ Niekoniecznie! Twoi cieśle mają po cztery nogi.

•—Cóż znowu?

— Tak, tak, mój drogi. Drzewa te podciął jeden z najmądrzejszych obecnie na ziemi ssaków. Nie umie on porządnie nawet chodzić, a mimo to jest panem życia każdego drzewa w pobliżu wód. Pływa jak ryba, mieszkanie ma podwodne, żywi się jednak roślinnością lądową, a co dziwniejsze nie tą, którą mu nastreczają zioła i trawy, ale sięga właśnie po młodą korę, gałązki, pączki i liście drzew wysokich.

— Jakże to może być, aby zwierzę, nie umiejące chodzić po ziemi, włąziło na drzewa i objadało liście i pączki?

— Radzi ono sobie inaczej. Podgryza drzewa, a wtedy smaczne gałązki same się doń zbliżają.

— Bobry! — zawołał domyślny sługa.

— Tak, bobry.

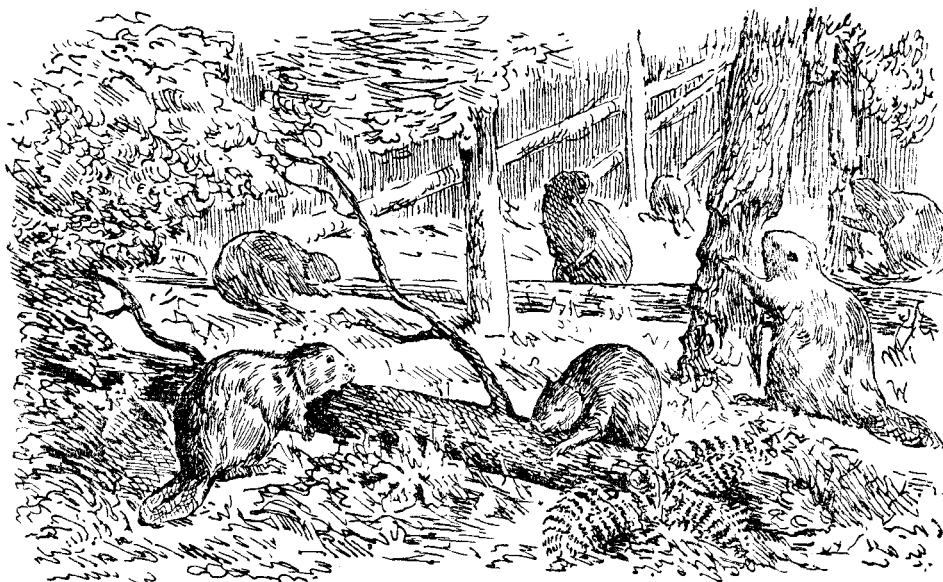
Zdobyto nowy fakt, ale i ten nie był w stanie rozjaśnić wątpliwości. Bobry, zarówno jak i hipopotamy, żyją do dziś dnia, ale żyły także na długo przed człowiekiem w pliocenie, a nawet wcześniej, bo przodek bobra, steneofiber, mało różny, tylko mniejszy od dzisiejszego, zamieszkiwał jeszcze mioceńskie wody.

Nie mylił się wcale paleontolog. Nie dalej jak o kilkaset kroków od miejsca, gdzie leżały podcięte kłody, nad szeroko rozlaną rzeczką, było więcej drzew powalonych. Wszystkie leżały czubkami zwrócone w kierunku! wody, bo przewidujące bobry tak mądrze podgryzają pale, że podcinają głębiej od strony rzeki, przez co przewrócone drzewo dostępniejszym się staje do dalszego rozczłonkowania i transportu okrągłaków oraz gałęzi.

Wśród płytkich moczarów na samym korycie rzeki stał zamek bobrów ochroniony przez tamę, zbudowaną przez całą szerokość rzeczki. Zdumieć by się można na widok olbrzymiej, jak na siły drobnego zwierzęcia, budowli, trzymającej się przez wieki pomimo ciągłego naporu wód bieżących. Wysoka na 3 metry tama posiadała około 200 metrów długości. Szerokość tego mocnego wału u dna wynosiła 6 metrów, u samej zaś góry nie mniej nad 2 metry.

Składał się on z tysięcy zdrowych jeszcze, grubych, długich i równo przyciętych kłoców drzewa, wstawionych pionowo w dno i połączonych mniejszymi gałęzmi, gliną, piaskiem oraz ziemią.

Z mniejszych okrągłaków i gałęzi zbudowane były powyżej tamy wysokie na 2 metry zamki o średnicy 4 do 5 metrów. Każdy taki kopic zamieszkiwała osobna rodzina, złożona z dorosłej pary i kilkorga dzieci. Chat podobnych stało tam kilkadziesiąt. Wszystkie miały z wierzchu pozór pięknych kopców, a wejście do nich było podwodne.



Prócz tych chat wodnych każda rodzina posiadała w ziemi wybrzeża wygrzebaną obszerną jamę. Prowadziła do tych schronisk od strony rzeki podwodna wąska galeria na kilka niekiedy metrów długa.

Te gniazda podziemne, bardzo schludnie utrzymane i wysłane suchym mchem, trawą i sitowiem, są sypialnią pary, w niej także młode na świat przychodzą oraz przechowują się zapasy żywności na zimową porę. Zoolog, wtajemniczony w stosunki bobrów, wie, jaką nadzwyczajną odznaczają się te zwierzątka solidarnością, jak nad budową chaty pracuje wprawdzie tylko rodzina, która ma w niej zamieszkać, inne zaś bobry nigdy jej nie pomagają, jak za to wszelkie prace około podwyższania albo naprawiania tamy dokonywają się wspólnymi siłami całej osady, a gorliwość i liczba robotników wzrasta w miarę rzeczywistej potrzeby. W nagłych wypadkach, gdy zagraża powódź albo niepożądany spadek wody, wszystkie pracują bez wytchnienia przez całą noc i dokonywają dzieł iście zdumiewających.

Lubią bowiem, aby woda zawsze stała w osadzie na jednym poziomie, a przyroda kapryśna darzy ich na przemian to zbyt wielką ilością* wody, to znów niespodziewaną suszą. Raz tedy trzeba otwierać śluzy, drugi raz zatykać wyłomy, sprawione przez rwące fale. A ileż to jeszcze trudów pokonywać trzeba przy sprowadzaniu budulca! Podcięte drzewo upadło zbyt daleko od rzeki. Trzeba ciężkie kłoce ciągnąć po ziemi albo zalewać, celem spławienia takowych. Gdy nie

można zalać, zaprzęga się kilka bobrów do jednego klocka i zgodnie spychają ciężar na niższe miejsca. Gdzie można sprowadzić wodę, kopią poprzeczne kanały, aby budulec lekko spławić do miejsca przeznaczenia. Czasami, gdy brakuje już drzewa w bliskości, bobry płyną o pół mili w górę lub w dół rzeczki, tam ścinają pień, członkują go i spuściwszy na wodę holują zrzęcznie do osady.

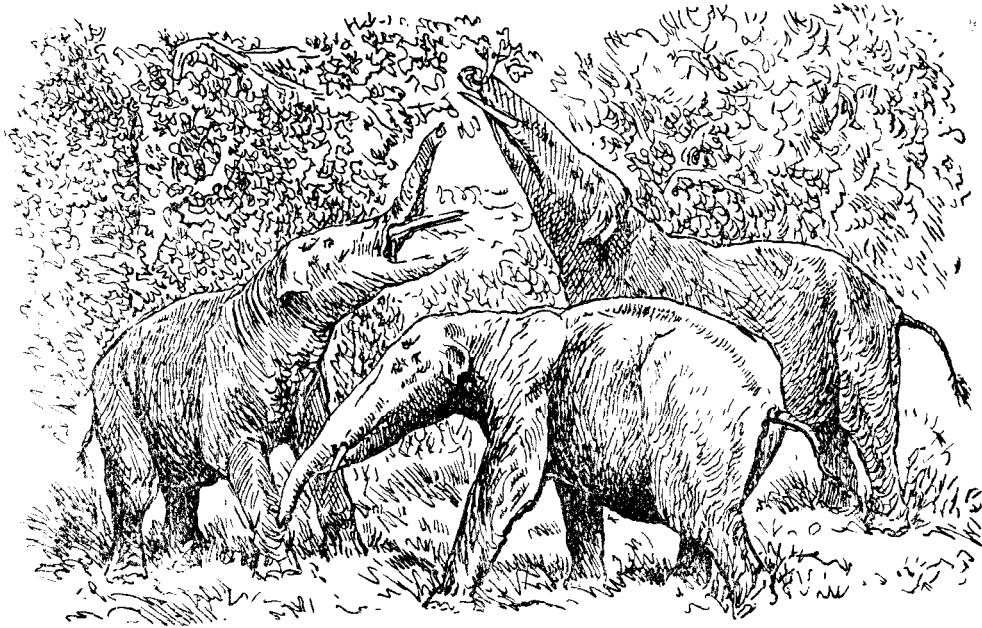
Do całej tej roboty używają potężnych siekaczy (zębów) i przednich łapek. Do pływania bowiem wystarczają im tylne nogi i łopatkowaty ogon, zastępujący ster.

Mimo tylu i tak ciężkich zajęć czujne są nadzwyczajnie i najbystrzszemu zwierzowi nie dadzą się podejść. O zbliżającym się zwierzu wiedzą, gdy jest jeszcze daleko, bo rozproszeni po okolicy mieszkańcy osady świstem ostrzegają z daleka towarzyszków o każdym podejrzanym szeleście, a sygnały takie, udzielane z odległości, w mgnieniu oka dochodzą do wioski i mieszkańcy mają się już na ostrożności. Za najmniejszym niebezpieczeństwem zawieszają najbardziej gorączkową czynność i wszystkie bobry bez szmeru kryją się pod wodę.

Osada nie daje znaku życia, a okolica pogrążona jest w głuchym milczeniu. Nie lubią bobry okolic obfitych w innego zwierza, na osady wybierają też głuche i niedostępne puszcze, a raz założywszy siedziby opuszczają je tylko w ostatecznej konieczności. Dlatego to jedna wioska służy nieraz kilkudziesięciu pokoleniom, a iżby się nie przeludniła, rodzice wypędzają dorosłe dzieci z wioski zmuszając do zakładania własnych nowych siedzib w dalszych okolicach, gdzie jest żywności i budulca pod dostatkiem.

Zresztą wysiedlone bobry nie szukają długo dogodnego miejsca na mieszkanie. Nawet na ubóstwo wody radzą sobie jak inżynierowie. Przez zbudowanie szeregu tam umieją najskromniejszą strugę przetworzyć w szereg bagien i stawów. Nawet suche łąki i szmaty puszczy zalewają, aby drzewa, do których dostęp był trudny, wygodniej było spławiać aż do chat. Niebawem przychodzą im w pomoc mchy i zielsko wodne. One przy poległych pniach tworzą splątane gąszcze tamujące odpływ wód i bobry mają niekiedy aż za dużo wody tam, gdzie jej przedtem wcale nie było. Muszą wtedy znowu kopać rowy, podnosić tamy w jednym miejscu, rozrywać w innym, aby szczyty kopców górowały stałe nad najwyższym poziomem przyboru. Przy tak ciężkich zatrudnieniach znajdują te dziwne istoty czas na czule pieszczoty i bez wątpienia, kto nie widział pary bobrów igrających miłośnie na brzegu strumienia, ten nie ma pojęcia, jakie wdzięczne idylle kryją głuche na pozór i ponure puszcze leśne.

Długo by wypadło oczekiwać na upragnione wskazówki, gdyby po wyjściu na suchą część puszczy baczne oko i myśliwska wprawa lorda



nie przyszły z pomocą. Dzięki kilku złamanym gałązkom, na które geolog nie zwrócił uwagi, Anglik skierował kroki towarzyszków na prawo i ukazał im szeroki szlak, wygnieciony przez bardzo grubego zwierza. Mnóstwo gałęzi świeżo połamanych lub przygniecionych do ziemi zaścielało wydeptaną przez jakieś potężne stopy drogę.

— Tędy przeszło w nocy stado słoni — zawyrokował Anglik i wzrok mu się zaiskrzył.

— Czy pan jest tego pewnym? — zagadnął żywo Stanisław. — Czy to znowu nie jaki atlantozaur albo inny wielki jaszczur?

— Tych już dawno nie ma. Wstydź się mówić nawet o jaszczurach, gdyś widział już bobry i słyszał hipopotamy.

— Jestem pewny, że to słonie — powtórzył Puckins. — Znam dobrze ich obyczaje.

— W takim razie bylibyśmy w naszych czasach i wcale nie w Europie — ■ rzekł profesor.

Stanisław nie posiadał się z radości. Przewyciężył on nawet wstręt do myśliwskich wycieczek i sam zaproponował, aby podejść do pasących się zapewne w pobliżu „trąbatych” olbrzymów i przekonać się co prędzej, jak rzeczy stoją. Życzenie jego spełniło się rychło, choć **nie** tak, jak pragnął.

Z oddali doleciał chrzęst gruchotanych lub odchyłanych gałęzi.

— Baczość! Słonie! — szepnął Anglik.

—■ Zejdźmy im z drogi! — zawołał Stanisław, ale Puckins bez ceremonii położył mu dłoń na ustach.

— Sprawuj się ciszej! Od tego zależy całość twoich członków.

Za chwilę mignęły w gąszczu żółtawe kły* i brunatne kosmate cielska rzędem wyciągniętych gruboskórców.

Słychać było nawet ciężkie ich oddechy i szelest liści ocierających się o boki zwierząt.

Geolog z zapartym tchem pożerał wzrokiem olbrzymy, które dysząc mijały naszą trójkę z majestatycznym spokojem i poczuciem siły oraz bezpieczeństwa.

Na twarzy Anglika odbił się wyraz zdumienia.

— Te słonie są jakieś niepodobne do siebie — szepnął.

— Bo to mastodony!

— Jak to? Gatunek zaginiony?

— Zwierz pliocencki! — wyrzekł niemniej zdziwiony paleontolog.

— Zlituj się, profesorze, czy to podobna?

— Nie ma wątpliwości!

Tymczasem rozgorączkowany Stanisław rachował przechodzące olbrzymy.

—■ Szesnaście, siedemnaście, małe słońtako... dziewiętnaście...

Rachunek przerwał stłumiony ryk. Zanim przebrzmiał, powstał w gromadzie trąbowców zgiełk nie do opisanego. Mastodony rozsypały się bez ładu po lesie.

Trzask łamanych trąbami gałęzi zlewał się z chrzęstem gniecionych i przeżuwanych pomiędzy trzonowymi zębami. Ciężkie oddechy, potężne kruczenie powietrza we wnętrzościach olbrzymów, kłapanie uszami, tarcie ciał o wielkie drzewa, głuche mrużenie i urywane ryki potężnych gardzieli złączyły się w jedną wrzawę, od której drżał las cały. Stado, dotąd w porządku kroczące, ucztowało bez troski. Pomimo pokojowego nastroju trąbowców nie można było uważać sąsiedztwa ich za zbyt bezpieczne, zwrócono się tedy w głąb puszczy i starano się zachowywać jak najciszej. Znowu jednak jakiś potężny i odmiennie brzmiący ryk wodza, przenikliwy i w połowie urwany, rozdarł powietrze i ustał nagle gwar biesiady. Potem zajęczała tylko ziemia od łoskotu zbijających się w ścisłą gromadę olbrzymów. Trudno było na razie zrozumieć, co się stało.

Przeraźliwe ryki wydarły się z kilkunastu na raz gardzieli i nie usta-

* Prawidłowa nazwa brzmi „siekacze”, a myśliwska „ciosy”.

wały już ani na chwilę. Trzask pękających nagle gałęzi mieszał się w jeden koncert, daleko straszniejszy od pierwszego, wówczas gdy stado rozsypało się swobodnie po lesie. Teraz łatwo było zroz /mieć, że jakaś walka zawrzała w gromadzie.

W głosach zwierząt rozróżnić było można odcienie przerażenia, gniewu i bólu. Trwało to najwyżej pięć minut, po czym stado spieszenie się oddaliło. Wróciła cisza. Tylko ptactwo, umilkłe z trwogi, ożywiło ją ponownie świergotem bez troski. Nagle doleciał ucha geologa głuchy, świszczący oddech i szamotanie się w krzakach. Zbliżono się z należytą ostrożnością do miejsca, które przed chwilą musiało być widownią tajemniczego jakiegoś dramatu, i ujrzano rosłego mastodona, który wsparty na przednich nogach i dwóch kłach, na próżno usiłował powstać. Siły go już opuszczały, śmierć szła doń szybkim krokiem. Z rozdartej szyi sączyła się obfitą strugą ciemna posoka. Okrwawiona trąba zwijała się niby wąż boa dokoła rany.

Może rozumny olbrzym pragnął ją zatkać. W oczach konającego zwierza tyle się bólu cichego skupiło, że geolog odwrócił głowę. Małe oczy mastodona patrzyły wciąż w stronę oddalającego się stada, tylko głowa, jakby coraz cięższa, skłaniała się zwolna ku dołowi. Próżno ją dźwigał, kły długie co chwila wspierały się na ziemi. Stęknął wreszcie mastodon raz ostatni, wyciągnął trąbę nad głową i osunął się bezwładnie na ziemię.

Teraz dostrzegł Stanisław o kilkanaście kroków przewieszzonego przez leżący pień na pół zgniły innego, stosunkowo niewielkiego zwierza. Trudno go było na razie odróżnić od ciemnej kory, więc zbliżyli się nasi wędrowcy i paleontolog ze zgrozą rozpoznał w krwawych szczątkach drugiego króla puszczy, machaerodusa. Wspaniały ten kot o groźnej paszczy, w której błyskały potwornie długie kły, krzywe i ostre jak szabla, był literalnie zmiażdżony i podobny do krwawego kawała mięsa. Gdzieniedzie sterczały z tego mięsa ostrza pogruchootanych i bladuróżowych kości. Odegrała się tu jedna z niezliczonych tragedii świata.

Największy kot ziemi, ufny w swą zwinność i stalową siłę mięśni, zaatakował któregoś mastodona, ale przerachował się może w skoku i nie zdołał już ujść zemsty rozgniewanych olbrzymów. Po krótkiej i zacieklej walce legł zmiażdżony przez łagodnych zwykle, ale wobec wroga mężnych i nie znających co to litość roślinożerców. Machaerodus zamordował wprawdzie jednego z tych majestatycznych i mądrych czworonogów kłami, przystosowanymi do walki z największymi zwierzętami ziemi, ale ostatnie to zwycięstwo zbyt drogo przypłacił, bo życiem.

Geolog stał zamyślony nad szczątkami zwierzęcych herkulesów. Czoło

okryło się fałdami, oko posmutniało. Któż zgadnie, 'co"mu się po głowie snuło, gdy patrzył na dwie ziemskie potęgi, które się w jednej chwili unicestwiły. Nie widział ich wcale. Wzrokiem duszy błędził daleko, potykał się o nierozwikłaną zagadkę, jaką stanowi ten świat zjadających i zjadanych. Snuły mu się w duszy nieokreślone jakieś pytania i porównania, a serce ścisnął żal, jak kleszczami. Tymczasem Anglik mierzył już ze spokojem myśliwca długość plioceńskiego słonia, Stanisław zaś oglądał z brutalną ciekawością okrutnie pogruchotane cielsko kota.

— Dobrze mu tak, zbrodniarzowi! — odezwał się z błyszczącym od oburzenia wzrokiem.

Geolog z wolna się odwrócił i popatrzył mu w zaiskrzone oczy.

— Źle mówisz! Cóż ten kot wspaniały winien naprawdę, że natura wypiaستowała go na krwi cieplej? Czy winien, że żołądek jego trawi i upomina się ciągle o krew nową? Czym gorszym jest ten krwiożerca od spokojnego mastodona?

— O, panie! Różnica ogromna. Tamten nikomu krzywdy nie uczynił...

— Tak, zwierząt nie zabijał. I ja o tym myślałem. Ale przyszło mi także na myśl, że my nasze sympatie i antypatie bardzo stronnie rozdzielamy między zwierzęła. Ścisłe biorąc, ten mastodon ma na sumieniu swoim więcej jeszcze przeciętych żywotów ziemskich aniżeli krwiożerca, który zabija co dzień jedną tylko rośliną istotę. Wszak on co dzień zjada miliony roślin i ciężką nogą depta całe kobierce ziół wonnych.

— To co innego, roślina nie czuje...

— Ale żyje. Czyż przez to, że nie umie się bronić, utraciła już prawo do życia? A zresztą, czyż stopa tego kolosa razem z ziołami nie rozgniała liczny tłum ślimaków, owadów i drobnych zwierzątek?

Czymże on wobec natury niewinniejszy od tego sponiewieranego kota? Czyż ten zwierz sprężysty winien, że posilna dla przeżuwających trawa byłaby dlań trucizną, że jego jelita zdolne są przerabiać tylko krew na krew? Przecież on jest tylko dziecięciem posłusznym tajemniczej sile, która świat ziemski ustosunkowała do wzajemnego tępienia się i wyznaczyła mu rolę okrutnika. Właśnie ten srogi porządek świata przejmuje mię grozą i każe pytać, dlaczego tak jest. Dlaczego, chce czy nie chce, wszystko na ziemi żyje krzywdą innych?!... Czyżby nie mogło wszystko, co żyje — żyć w zgodzie, nie czynić sobie krzywd i bólów? Czy tak zawsze będzie? Czy tak wszędzie na świecie? Do czego potrzebny ten piekielny łańcuch mąk i okrucieństw?

Stanisław tego wszystkiego nie słuchał prawie. Niezdolny współczuć z profesorem, zaprzątnięty był daleko ważniejszą i aktualniejszą sprawą.

Nie myślał nawet o zwierzęciu minionych czasów, tylko że swoim ukazaniem się rozwiało i zburzyło nadzieję ukończenia dziś wędrówki.

Biadania na ten temat oprzytomniły wreszcie paleontologa.

— Tu można zmysły stracić! — wołał Stanisław. — Juzem się cieszył, że szczęśliwie dobiliśmy do portu, aż tu nagle mamut!

— Mastodon — poprawił lord Puckins.

— Wszystko jedno! — zapewniał sługa.

— Wcale nie jedno! — odrzekł przyrodnik. — W pliocenie mastodony dopiero i dinoterie panują. Wprawdzie jeden gatunek mamuta (*Elephas meiidionalis*), najstarszy, pojawia się już w południowej Europie, ale to zwierzę rzadki i bez znaczenia.

— Zapewniam pana, że to mi zupełnie wszystko jedno. Najgorsze tylko, że nie możemy wybrnąć z otchłani czasu.

Lord Puckins nawet i z tym się pogodził i rad był tylko usłyszeć, jak jeszcze daleko do XIX wieku.

— Wiesz dobrze, lordzie, jak trudno wyrokować w materii, o którą pytasz — odrzekł mu na to profesor. — Mimo to mogę cię pocieszyć. Nie popełnię dużej omyłki, przypuszczając, że od świata ludzkiego dzieli nas jakie pół miliona lat,

— Pół miliona?... — wybełkotał przerażony Stanisław.

— Tylko tyle? — wycedził lord Puckins z lekka kiwając głową.

Stanisław się oburzył.

— Pan sądzi, że tak łatwo przeżyć pół miliona lat?

— Mój kochany, przebyliśmy już dziesiątki milionów, nie widzę więc dobrej racji, dla której mielibyśmy lękać się i tej bagatelki.

— Piękna bagatelka! Ja już wolałbym siedzieć w wagonie i powtarzać sobie: „Jedziemy do domu”. A przecież nawet i na ostatniej stacji nie można być pewnym, czy się cało do domu dojedzie...

— Najzupełniejszą masz słuszność — odezwał się Przedpotopowicz suchym i uroczystym tonem profesora. — Zanim ujrzymy oblicza naszych przyjaciół i znajomych, pierwaj ród mastodonów i dinoteriów musi się przeżyć. Pierwej ulegną się lwy i pantery, których nie ma jeszcze teraz, pierwaj wypiją morze krwi nie istniejących dotąd gatunków antylop, żyraf, jeleni i gazeli. Pierwej mamuty rozmnożą się, nazyją i wymrą wszystkie. Pierwej przybędą tu z Azji niedźwiedzie, bawoły i konie, pierwaj pojawi się majestatyczny jeleń irlandzki (*Megaceios eurycerus*). Pierwej w Ameryce zrodzą się dziwne panochtusy...

— Dość! — zawołał Anglik. Ale profesora uniósł już zapal paleontologiczny. Nie słyszał nic dokoła.

— ...W tej chwili ssaki przeżywają epokę najwyższego fizycznego rozwoju — ciągnął. — Wspaniałe ciałem, górują one bezspornie nad

całym stworzeniem... Żaden jednak z tutejszych gatunków nie dotrwa do naszych czasów. Rodzaje tylko zostaną... i to nie wszystkie!

— Pół miliona lat... ■— biadał Stanisław, głuchy ze swej strony na wszystko, co mówił profesor. — Pół miliona!...

— Uspokójże się i przestań narzekać — przerwał mu z pogardą Anglik. — Pół miliona, to może tylko doba! Wiesz przecież, że dla nas wieki mijają niby sekundy.

Robakożerca — Królewska poczwarka

Minęło znowu trzysta tysięcy lat.

Jedne słońca i planety rozżarzały się dopiero z mgławic, inne pociemniały. Na niektórych poczynało się życie, na innych zdołało dobiec do swego kresu. W puszczech ziemi niewiele mogło się przez ten krótki czas zmienić. Ubyło i przybyło trochę gatunków zwierząt i roślin, ot i wszystko. Własne ciepło ziemi nie dopuszczało tej wybitnej różnicy klimatów i pór roku, jaka dziś ma miejsce na naszej planecie. W każdym razie i te różnice, zwiększając się stale, wywoływały pewne zmiany. Klimat Europy niewiele się jeszcze różnił od północno-afrykańskiego, więc i przyroda mniej więcej była jednakowa. Wprawdzie Europa nie obfitowała już w stada trąbowców, ale nosorożce i hipopotamy licznie trafiały się nie tylko na lądzie, ale nawet i na wyspach. Machaerodus z rzadka już tylko zakłócał spokój mamutom. Wraz ze stałym uszczuplaniem się liczby tych trąbowców, krwawym królom puszczy coraz trudniej było o godną potwornych kłów zdobycz. Lęły się jeszcze w krajach zwrotnikowych, tu zaś ostatnie niedobitki musiały się zniżyć do zadowalania pragnienia krwią marnych nosorożców, koni, nawet antylop.

Na niedźwiedzie przyszły złote czasy. Pogodne, spasione i pewne siebie, gospodarowały wszechwładnie na ziemi żyjąc zależnie od kaprysu zarówno roślinną, jak i zwierzęcą zdobyczą.

Z tej puszczy pełnej tajemniczych mroków wydobyli się wędrowcy na pasma żółtych piasków, nad szmaragdową zatokę morską. Radzi, że ich nie przytłaczał chaos splątanych konarów i zieleni, skąpani w świetle promieni słonecznych, rozjaśnili oblicza. Lord Puckins rozważał już szanse ujrzenia w oddali latarni morskiej lub wieżyc, zwiastujących ludne miasto, gdy Przedpotopowicz dokonał drobnego odkrycia. Zwrócił on uwagę na nagromadzone w jednym miejscu skorupy po mięczakach, przeważnie po ostrygach. Gdzieś tam zauważono też resztki

krabów. Większość tych resztek wypłowiła już od leżenia na słońcu. Przyjrzawszy się bacznie zauważył między nimi jeszcze świeże okazy, a co więcej, podniósł ze żwiru niewielki kamień, na którego widok nie był w stanie powstrzymać okrzyku zdziwienia. Dla niewtajemniczonego oka kamień ten o kształtach olbrzymiego migdału byłby obojętnym, jak tysiące innych, zalegających wybrzeże. Ale dla geologa nie był to zwykły gładzik.

Krzemień ten, ważący nie więcej jak dwa funty, dla niego ważył więcej niż wszystkie razem na całym wybrzeżu. Miał on doniosłość dokumentu. Na powierzchni był ze wszystkich stron pokryty płaszczynami, powstałymi od mocnych i z celem jakowymś dokonanych uderzeń. Jednym słowem był starannie otłuczony i łagodnie na jednym końcu zaostrowany. Geolog przypatrzył mu się uważnie. Nie rzekł nawet słowa, tylko rozglądał się po ziemi. Zwróciło to uwagę Anglika.

— Co tam ciekawego upatrujesz w tym śmietniku? Jest to zapewne miejsce żerowania jakiegoś ostrygo jada?

— Prawda — rzekł profesor — ale śmietnik ten wart tyle, co jadalnia Lukullusa". Jesteśmy u królewskiego stołu, a właściwie u biesiadnego stołu królewskiego niemowlęcia.

— Cóż to za zwierz nowy? Wiem przecież, że ani młody machaerodus, ani mamucięta ostryg nie jadają.

— Nie o nich myślałem. Wieki ich królowania policzone. Inne stworzenie wstępuje teraz na tron ziemi.

— ■ Niewybredne jakoś wymyślasz dynastie. I ów królewicz tu się posila?

— Posila się wszędzie, gdzie znajdzie coś zdatnego do zaspokojenia głodu.

— ■ Głodu? Czyż król może być głodny?

— To przyszedł król, dziś jeszcze zero. To poczwarka dopiero, z której wywinie się wspaniały motyl, jakiego ziemia nie oglądała. Zaćmi on wkrótce wszystkie dynastie ziemi.

Żaden z dotychczasowych dygnitarzy, czy to był bóbr, czy mamut, nie spoglądał nigdy zadumany w twarz księżycy, nie pytał, dlaczego słońce wschodzi, albo skąd się wiatr bierze, żaden nie pytał, co złe, a co dobre. Ten zaś wszystkiego ciekawy i wiele się dowie.

W niewidzialnych pyłkach dociekać będzie praw życia, pozna zawile; drogi planet i gwiazd odległości, myślą wybiegnie poza drogę mleczną, sercem obejmie świat cały...

— To człowiek! — zawołał naiwnie Stanisław.

* L u k u ! I u s — bogacz w starożytnym Rzymie, słynny z urzędowania niezwykle wystających.

Głuszę leśną wypełnił niespodziewany majestat. * -
Przyjaciele nie śmieli wyrzec słowa.
— Więc człowiek! — szepnął nareszcie zadumany Anglik.
W tych dwóch krótkich wyrazach ileż mieściło się treści!
Stanisław ucieszył się. Pojął, że nastąpił upragniony kres przygód.
Zapewne lada chwila jakiś litościwy wieśniak lub wędrowiec wskaże drogę do najbliższej siedziby ludzkiej, a może napoi, nakarmi i odeśle do miasta.
— Jesteśmy tedy wśród ludzi? — zagadnął rozpromieniony.
— Tak, mój drogi, ważna to chwila w życiu ziemi — odrzekł paleontolog.
— W naszym, panie, większa, znaleźć się po tylu niepokojach u kresu.
— Radość twoja przedwczesna. Nie jesteśmy jeszcze w swoim świecie.
— Przecież jesteśmy wśród ludzi!
— Ci ludzie to jak dzieci, z postaci są dopiero do nas podobni. Stoiemy u kolebki rodu naszego. Człowiek, który porzucił ten krzemień, należy jeszcze w znacznym stopniu do świata, na którego łonie wypiastowała go siła twórcza.
Tymczasem i Anglik otrząsnął się z pierwszego wrażenia.
— A więc możemy oglądać nie zepsute arcydzieło boże! — zawołał z przejęciem.
Profesor uśmiechnął się gorzko
— Wiesz, lordzie, jak gorąco pragnąłem poznać człowieka czwartorzędowego z epoki szeleńskiej*, a jednak ze względu na twe złudzenia lękam się teraz tego spotkania!
Stanisław struchlał. Wierzył w odwagę profesora i nagle z ust jego własnych usłyszał wyznanie bojaźni. To go objaśniło, że spotkanie z człowiekiem tych lasów było niebezpieczne.
— I gdzież się teraz obrócimy, aby uniknąć straszego spotkania?
— Czemu straszego?
— Pan jeszcze pyta? Żyć cały dzień pod grozą, lękać się zasadzek, oskalpowania, a może grobu w żołądkach ludożerców...
— Skąd ci przychodzą takie obawy?
— Nasłuchałem się przecie niemało o Indianach, o ich zuchwalstwie, przebiegłości. To ród gorszy od tygrysów!
— Ależ tu nie ma Indian!
— Wszystko jedno! Skoro są dzikusy...
— Więc o to ci chodzi? Uspokój się. Nie ma tu wcale biednych In-

* S z c l e ń s k i — -v obecnej terminologii: szelski.

dian, zwanych przez rasę białą „dzikimi” dlatego, że bronią rozpaczliwie swego bytu i swych prerii przed rajezdnikami, którzy w imię cywilizacji przede wszystkim wywłaszczają ich, grabią i mordują ze sztuką i zaciętością prawdziwie cywilizowanych ludzi!

Tu nie ma wcale „dzikich” szczepów, o których nasłuchałeś się. Jest tylko człowiek, człowiek epoki czwartorzędowej!

— Mniejsza o epokę, dość dla mnie, że jest niebezpiecznym.

— Opacznie zrozumiałeś me słowa. Ja się nie boję pięści tutejszego przedstawiciela rodu ludzkiego. Nie śmiem tylko spojrzeć na jego nędzę. Istota, którą możemy tu spotkać, nie jest wcale straszną, ale tylko niezmiernego podziwu i litości godną.

— Ja tam nie wiem, co to znaczy, tylko ostrzegam. Małoż to razy trzeba było pana pilnować i ratować z biedy?

— Nie bądźże śmiesznym! — przerwał mu geolog. — Nikomu tu jeszcze nic nie grozi. — A zwracając się do Puckinsa dokończył rozpoczętej myśli.

— Ta istota przejściowa stokroć ciekawszą jest niż cała historia starożytna, średniowieczna i nowożytna razem wzięte, a nie znana nam jest prawie wcale. To klucz do zrozumienia dziejów ludzkości!

Stanisław wzruszył obojętnie ramionami, uspokojony co do bezpieczeństwa swej skóry.

Oblicze Puckinsa ożywiło się zapalem.

— Jednak co za wspaniała sposobność poznania zakresu myśli pierwotnego człowieka! Szukajmy go, profesorze! Nie uwierzysz, jak wiele dałbym za możliwość spotkania się z tutejszym mieszkańcem...

— Mogło by to być bardzo ciekawym, ale wierzaj mi, że nie skorzystałbyś z tego wiele.

— Czemu?

— Pytasz, czemu? Wdaj się wprzód w rozprawę z niemowlęciem, obgadaj z nim najbardziej palące kwestie społeczne, dowiedz się, co sądzi o filozofii Nietzschego, o spirytyzmie, o sprawie kierowania balonami, dokonaj tej sztuki, a wtedy przyznam, że porozumiałbyś się łatwo z właścicielem tego krzemienia.

— Przesada! Człowieka zawsze zrozumieć można, choćby to był Buszmen.

— Człowiek, którego możemy tu spotkać, nie jest może nawet Buszmenem, jest tylko w całym znaczeniu tego wyrazu pełnoletnim niemowlęciem. To mąż o umyśle trzyletniego dziecka, o instynktach i przyzwyczajeniach...

— Nie kończ!

— To rozbitek, zawieszony między dwoma światy. Kajdany pierwszego skruszył, do drugiego jeszcze nie dorósł.

Istota, która ziemię sobą kiedyś wypełni, złe i dobre spotęguje do nieznanych dotąd rozmiarów, tuła się gromadkami po puszczy w ciągłym niebezpieczeństwie życia, bezsilna, z głową pełną zarodków myśli, zalękniona, prześladowana, tępiona przez zwierzęta i żywioly.

W pogodnych momentach życia uśmiecha się niby dziecię z kołyski do całego świata; huk znowu piorunów, wycie wichru, ciemności nocy, ryk drapieżnych bestii, błyskawice i piorunowe pożary przygniatają go, dręczą i onieśmiałają... O, nie do zazdrości to położenie!

— Skądże on się wziął tutaj? — zapytał Stanisław.

— Nie wiem — odrzekł geolog.

— Pan nie wie? Pan, który tyle książek przeczytał?

— Właśnie może dlatego milczę.

— Dziwi mię to, bo ja nie tak wiele znam książek, a wiem przecież, że człowiek pochodzi z raju, że znał wszystkie zwierzęta po imieniu i one go znały, był szczęśliwym, rozmawiał z Bogiem, a dopiero za grzech został wypędzony i skazany na nędzę i poniewierkę.

— Trzymajże się tej wiary, bo nauka nie zna dotąd najpierwszego człowieka i milczy o nim*. Co więcej, stwierdza ona niezmierną przepaść, dzielącą świat znanych (żywych i kopalnych) zwierząt od człowieka, ale wyjaśnić jej nie umie. Nie ma dość podstaw do wyrokowania o jego uzdolnieniach i inteligencji. Rozprawiać dopiero zaczyna o człowieku późniejszym, którego niewątpliwe ślady i resztki znalazła w głębi ziemi i w jaskiniach odwiecznych. Ale skąd się on wziął, nie wiemy. Czy przybył wraz z trąbowcami z dalekich a nie istniejących już lądów południowej półkuli, czy jest dziecięciem bliższych nam krain, na przykład źródlowisk Eufratu, o tym różne są tylko przypuszczenia. Jakim był pierwotnie, powtarzam, nie wiemy także.

— O tym uczy nas Objawienie — wtrącił Puckins.

— Zgoda! Ale nie zapominaj, lordzie, że nawet zasada interwencji nadprzyrodzonej nie narzuca przekonania, by cywilizacja pierwotna była wysoką.

Wyznawcy tej zasady przyjmują bardzo różne stopnie owej kultury. Nawet arcybiskup Whately** przypuszcza stan nieco tylko wyższy od barbarzyństwa. Trudno o tym zresztą w dzisiejszym stanie wiedzy poważnie rozprawiać. Oto dlaczego o najpierwszym człowieku mało

* Pogląd, że człowiek powstał dzięki interwencji sił nadprzyrodzonych, był bardzo popularny w czasach, gdy nie umiano w sposób naukowy wytłumaczyć tego zagadnienia. Dziś potrafimy już wyjaśnić rodowód człowieka powołując się na fakty znane z licznych wykopalisk.

** Whately: „Essays on the Origin of Civilisation”, (przyp, aut.)



Największy kot ziemi, ufny w swą zwinność i stalową siłę muskulów, zaatakował któregoś mastodona... (str. 153)

mówimy. Dość nam wiedzieć, że czwartorzędowy człowiek, mimo nędzy swojej, przerasta dostojnością znany nam świat ziemski, że piastuje w łonie iskrę, która zapłonie kiedyś w pochodnię i powiedzie go wysoko ponad poziomy...

Tymczasem potrzeb i wymagań ma mało. Jest ciepło, więc chodzi nago. Otaczają go nieprzebyte puszcze, więc obiera siedlisko nie w głębi borów, ale po ich krawędziach, na wybrzeżach wód, gdzie łatwiej się wyżywić i ustrzec od napaści dzikich bestii.

Nie boi się go jeszcze żaden zwierz. Stale też ustępuje z drogi mocarzom tego świata.

Nie poprzestał jednak wyłącznie na sile swych mięśni, na twardości pięści — i nosi stale gruby kij, niekiedy groźną pałkę. Prócz niej posiada narzędzie przy pomocy którego zaspokaja wszystkie potrzeby swoje.

Z początku owo narzędzie zastępował mu naturalny, ostry odłam krzemienia. Potem zaczął nadawać użytecznemu krzemieniowi dogodniejsze do ujęcia w dłoń i do pracy kształty. Tym sposobem wytworzył sobie nieocenione narzędzie, z którym nie rozstaje się dniem i nocą. Tym narzędziem rozszerza on w spróchniałym pniu dziuplę na nocne schronienie, tym samym odrywa korę, aby zaspokoić głód tłustym robactwem drzewnym, rozłupuje owoce i orzechy, otwiera muszle, ono służy mu do oskrobania maczugi z kory i gałązek, ono stanowi w obrobie prócz kija jedyny oręż zdolny ranić przeciwnika. Przy otłukiwaniu tego narzędzia baczniejsi robili nieraz odkrycie, którego doniosłości ocenić jeszcze nie byli zdolni. W ciemnościach dostrzegali iskry syjące się pod uderzeniami krzemienia. Traf niekiedy sprawiał, że zapalały się od nich wyschły mech lub próchno.

Wypadek podobny i jego nadzwyczajne skutki przerażać tylko musiały pierwszych wynalazców ognia, ale to pewna, że niejeden ochłonawszy próbował powtórnie swej sztuki.

Jakiś wyjątkowo przedsiębiorczy na swój czas śmiałość mógł nawet oswoić się ze złośliwym i żarłocznym „zwierzęciem”. Być może nawet, że gdzieś tam gromadki, sąsiadujące z czynnym wulkanem, umiały już wtedy wyciągać korzyści z tego dziwnego „żywołu”, a po niejednej głowie snuły się mętne przeczucia i porównania na temat blasku, ciepła, ognia, pioruna i słońca.

Już gdzieś tam jaśniały czasem nocami łuny pożarów przypadkowych, a wtedy cała okolica drżała w panicznej trwodze, dymy zaś gryzące nosły postrach daleko, płosząc sen z powiek wszystkiego, co żyło, nie wyłączając nawet tych jednostek ludzkich, które nie widziały jeszcze nigdy ognia.

Tu zamilkł profesor i dumiał o tym pierwotnym' stanie, o jakim trudno mieć wyobrażenie.

Stanisław już od dłuższego czasu oddalił się i na własną rękę prowadził obserwacje.

*W cztery oczy z niedźwiedziem jaskiniowym — Zmierch
świata czworonogów*

Lord Puckins nie mógł się jakoś pogodzić z dziesiątkami tysięcy lat, o jakich prawil geolog.

Jako członek społeczeństwa przedsiębiorczego, przywykły do wynalazków i ulepszeń, sypiących się jak z rogu obfitości, instynktowo brocił się przed myślą, że tak nie zawsze bywało. Nie chciał uznać, aby mogły mijać całe tysiącolecia w zastoju.

— Coś mi wasza nauka bruździ, kochani profesorowie — mów^ł obracając machinalnie brelok z lampką elektryczną, od dawna już bezczynną. — Musicie się mylić co do dawności waszych warstw archeologicznych. Gdybym miał wierzyć w waszą chronologię, wydałby mi się ród ludzki jakimś tępym kłosem, niezdolnym do żadnego postępu. A przecież wszyscyśmy świadkami dzielności naszego rodu. Jakież mamy prawo do odmawiania naszym przodkom, do których zupełnie przecież jesteście podobni, tych zdolności, które sami posiadamy?

— Zdolności nie odmawiam, ale te się powoli wyrabiają! — przerwał zniecierpliwiony Przedpotopowicz. — Nawet i dziś nie wszystko przecież możemy, do czegośmy zdolni.

Ciemny chłop zdolny byłby zostać bez wątpienia uczonym i filozofem, gdyby miał możność i wytrwałość uczyć się przez całe życie. Ty, lordzie, zdolny zapewne byłbyś nawet do zostania wirtuozem czy baletmistrzem, gdybyś się ćwiczył lata całe w muzyce lub tańcu...

— Ale tu chodzi o nieprawdopodobną powolność postępu człowieka.

— Właśnie! Wydaje ci się ona nieprawdopodobną dlatego tylko, że nie oceniasz, z ilu drobnych a bardzo drobnych triumfów składa się to, co krótko nazywamy „cywilizacją”.

Patrzysz na magnacką fortunę dzisiejszych pokoleń obojętnym okiem urodzonego bogacza. Uważasz swój spadek po minionych pokoleniach za nabytek łatwy, boś go w istocie darmo odziedziczył. Nie chcesz nawet trudzić swej myśli dochodzeniem historii każdego grosza z tego milionowego majątku zwanego „cywilizacją”. Ale przypomnij sobie, że początkiem każdej fortuny musiały być marne, mizerne grosze.

powinieneś wiedzieć i o tym, że biedakowi, który nic nie ma i nic nie umie, trudniej jest zarobić szylinga niż bogaczowi tysiące!

Ludzkość pierwotna była owym nic nie umiejącym, a w dodatku z konieczności leniwym biedakiem, który grosz z wysiłkiem zdobywa, a z jeszcze większym grosz do grosza ciuła.

Nie, lordzie, ludzkość od początku kroczy naprzód, ale przy nie rozwiniętej jeszcze woli drogę miała niezmiernie trudną i długą. Tylko nam, bogaczom ducha i spadkobiercom uzbieranych z trudem milionów, wydaje się ów dawny groszowy postęp zastojem. Wszelkie przecież początki są takie. Wszak wiesz chyba, co to za straszny hamulec: poprzestawanie na małym i odosobnienie? Co poczęłoby dziecię nawet twojej cywilizacji, zbrojne w legion zdobywczy, gdyby je rzucić samotne między dzikie zwierzęta!

Zapomniałeś chyba o tym, że obecnie na całej ziemi nie ma tylu ludzi, ilu ich liczyć będzie jedna większa stolica, że cała ludność obecna Europy pomieściłaby się zapewne w byle miasteczku naszym.

Dziś na obszarze, który kiedyś zdoła z łatwością wyżywić pięćdziesiąt tysięcy ludności rolniczej, utrzymuje się zaledwie dziesięciu ludzi, bo na dwudziestu nie starczyłoby już żywności. Człowiek czwartorzędowy przy swoim trybie życia musi mieć przynajmniej tysiąc mórg puszczy*. Łatwo możesz sobie wyobrazić, co za obszar zajmuje w takich warunkach jedna gromadka z kilkunastu osobników złożona! Dlatego właśnie nawet dzieci nie zawsze mogą pozostawać długo razem z rodzicami, dlatego gromady muszą mieszkać z dala od siebie, dlatego wreszcie sąsiedzi i krewni zamiast pomagać sobie, zazdrośni o szmat puszczy, o mizerną żywność, nie chcą się znać nawet, unikają się, a przy spotkaniu walczą i tępią z zawziętością jastrzębi i tygrysów.

Człowiek czwartorzędowy obraca się w otoczeniu co najwyżej kilkunastu równie jak on surowych, biernych i ograniczonych współplemieńców, niezmiernie rzadko spotyka obce gromadki, a nigdy zapewne nie widział stu ludzi razem zebranych.

Człowiek tutejszy, otoczony legionem zwierzęcych wrogów, połowę swych sił zużywa na to, aby się im nie dać pożyć, a drugą na to, aby nie umrzeć z głodu.

Gdy bywa syty, o nic już się nie troszczy i odpoczywając gromadzi bezwiednie nowe zapasy energii, potrzebnej mu nadal. Energii tej nie umie oszczędnie, jak my, zużywać i przy pierwszej potrzebie, walce, polowaniu lub uciesze, wyczerpuje ją marnotrawnie do dna.

Jak można w takich warunkach prędko się rozwijać?!

* Do tego, aby człowiek wyżywił się z samego polowania, musi przypadać na każdą głowę kilkaset różnych zwierząt, a każde ze swej strony potrzebuje 7—15 mórg puszczy, (przyp. aut.)

— Rzeczywiście, jeśli jest tak, jak mówisz...

— Jest gorzej jeszcze! Trzeba by prawdziwych wysiłków umysłu, aby wystawić sobie w całej prawdzie wszystkie ujemne warunki, wśród których rozwija się tutaj człowiek. Wiemy na przykład, co to za wielkie dobrodziejstwo doświadczenie. I z tego dobrodziejstwa tutejszy człowiek niewiele albo wcale nie korzysta. Najprzód bezsilna i rozproszona ludzkość nadzwyczaj wolno wzrasta w liczbę, po wtóre jednostka rzadko dochodzi do starości. Zwykle wcześniej, bo jeszcze w pełni sił, ginie od kłów, pazurów albo w utarczce z obcymi gromadami, a już niechybnie zguba ją czeka z chwilą, gdy oko straci bystrość, słuch stepieje, a mięśnie dawną sprawność.

Wtedy, jeśli nie zginie z rąk silniejszych mężczyzn własnego szczepu, to pada ofiarą opuszczenia i bezsilności. W takim trybie życia dziewięć dziesiątych doświadczenia ludzkiego ginie jeszcze marnie w niepamięci.

Mimo to wszystko nie może być nawet mowy o zastoju! Porównaj, lordzie, najędźniejszego syna tej puszczy z pozostałym światem ożywionym, a przekonasz się, o ile on już wyższym od niego. Czyś się kiedy zastanawiał nad słoniem, bobrem, małpą lub wilkiem? Gdybyś wszystkie z całego świata wziął pod obserwację, będą one zawsze jednakie w charakterze i uzdolnieniach, działają one w zamkniętym ściśle kole jednostronnych praktyk. Różnice osobiste prowadzą się wśród nich do drobnostek. A tymczasem człowiek czwartorzędowy pomimo całej nędzy, pomimo że mądrości osobistej nie umie jeszcze prawie przekazywać bliskim, przedstawia już teraz niewyczerpaną różnorodność uzdolnień. Już te i owe grupy, a nawet w jednej grupie osobniki różnią się bardzo znacznie między sobą. Mimo jednakich pozorów niejeden już wznosi się wysoko ponad rówieśników, ale niestety, ani sam o tym nie wie, ani otoczenie tego nie dostrzega. A jeśli dostrzega, wtedy biada jej. Jako nienormalna jednostka podlega najczęściej pogardzie lub prześladowaniu. W najlepszym razie wywołuje bojaźń i niedowierzanie. W takim stanie rzeczy mijają liczne pokolenia pozornie jednakie, ale tylko pozornie.

Jest w tej okrutnej walce o byt, niesprawiedliwej w pojedynczych wypadkach, jedna dobra i ważna dla postępu strona. Oto giną najczęściej mniej zdolne i słabsze osobniki. Dzielniejsze i mądrzejsze lepiej się bronią, dłużej żyją, mnożą się i opanowują puszcze. To samo odnosi się do gromad i szczepów całych. Mnóstwo mniej uposażonych wyginęło bez śladu, ustępując miejsca dzielniejszym. Z tych dzielniejszych, w miarę mnożenia się, znowu dzielniejsze tylko i mędrsze ostają się — i tak zwolna doskonaląc się zepchną one cały świat ożywiony do nóg swoich.



Ale do tego jeszcze daleko, daleko!...

Słowa przyrodnika przerwały nawoływania Stanisława, dochodzące z głębi lasu. Odpowiedziano mu i w kilka minut nadbiegł zdyszany, w podartym odzieniu. Ręce jego broczyły we krwi. Twarz była podrapana.

Obaj towarzysze zajęli się obejrzeniem skaleczeń i Wreszcie dowiedzieli się, że tylko dzięki przypadkowi zdołał się ocalić od niechybnej śmierci.

Właśnie znalazł był wejście do jakiejś jaskini. Ucieszony, że będzie mógł zaprosić do niej profesora, zapalił gałąź i wszedł śmiało, ale za ledwie wstąpił i przekonał się, że jaskinia jest bardzo obszerna, gdy z głębi doszło go złowrogie mruczenie. Spojrzał i struchlał. W ciemnym kącie majaczyło olbrzymie kudłate cielsko.

Był to niedźwiedź, ale dwa razy większy od największych, jakie kiedykolwiek widział w British Museum lub zoologicznym ogrodzie*.

—■ Poczułem, że nadeszła moja ostatnia godzina — prawil Stanisław. — Byłem zupełnie bezbronny, a zresztą wobec tak strasznego wroga, choćbym miał rewolwer, albo nawet strzelbę, nie na wiele by się one zdały.

* Niedźwiedź jaskiniowy był w rzeczywistości wiele razy większy od dzisiejszego.

Błysnęła mi na chwilę myśl szybkiej ucieczki. Był to jedyny sposób ratunku, ale niepewny, bo wiedziałem, że zwierz, zanim dopadnę drzewa, dogoni mnie, a nawet i na drzewo wdrapie się za mną. Rozwazałem przez chwilę, co czynić, tymczasem niedźwiedź srożył się coraz bardziej i ukazywał mi już spod drgających warg białe, potężne kły. Gotował się do napadu. Wreszcie ryknął, aż zatrzęsło się sklepienie jaskini. Nie wiem już, jak się stało, dość że rzuciłem się do wyjścia, ale w oka mgnieniu zwierz dopędził mnie. Wtedy nie pamiętam już dobrze, czy zasłoniłem się płonąca gałęzią, czy może uderzyłem nią po łbie napastnika. Co się stało dalej, nie wiem. Padłem nieprzytomny na ziemię raniąc ręce i kalecząc nogi. Już tylko czekałem, rychło kości moje zaczną trzeszczeć, ale śmiertelna cisza, jaka zapanowała po moim upadku, ośmieliła mnie do poruszenia się. W jaskini byłem sam. Zwierz gdzieś przepadł.

— Ogień cię ocalił, bratku! — zawołał Przedpotopowicz. — Niedźwiedź musiał być nie mniej od ciebie przerażony zjawieniem się „jasnego gościa” w jego schronieniu i skorzystał z chwili twego wahania, aby ratować się ucieczką. Drżeliście wzajemnie przed sobą.

—• Paradna przygoda! — rzekł Puckins.

— Nie bardzo, proszę pana. Przekonałem się wprawdzie, że nie ma bestii w jaskini, ale cóż z tego. Nie mogłem wyjść w obawie napadu zaczajonego zewnątrz skał potwora. Zostać również nie mogłem. Szukałem jakiś czas innego wyjścia, ale na próżno, więc wziąłem na odwagę i przeżegnawszy się wyskoczyłem. Biegłem, póki sił starczyło. Gałęzie smagały mnie po twarzy i rękach, nogi grzęzły, a jam pędził jak na skrzydłach, aż padłem wyczerpany. Wtedy spostrzegłem, że uciekam w złym kierunku. Oddaliłem się od panów. Znowu wyteżyłem resztę sił, a upewnisz się, że nie jestem ścigany, zwolniłem kroku i oto przywlokłem się półżywy.

— Paradna przygoda! — powtórzył z zadowoleniem Puckins i poklepał przyjaźnie Stanisława. ■— A mógłbyś mię zaprowadzić do jaskini?

— Co? Do jaskini? — zapytał z przestachem sługa.

— Tak, do tej samej, z której wracasz!

— A to po co? Dzięki Bogu, żem raz wrócił szczęśliwie.

— To wrócisz i drugi. I ja chciałbym, widzisz, odwiedzić niedźwiedzia jaskiniowego i wypędzić go zapaloną głownią. To bardzo zabawne.

— Oryginalne — dorzucił z ironią Przedpotopowicz.

— Idziesz, profesorze?

— Nie bardzo mi się to wydaje zabawnym, ale idę!

— A ja nie pójdę. Mam już dosyć niedźwiedzia i strachu.

— Jak wolisz. W takim razie poczekaj tu na nas.

Stanisław zamyślił się na chwilę, potem roześmiał się z goryczą i pokręcił głową.

— Już teraz nigdzie nie będę miał spokoju. Tam niedźwiedź, tu może inny jaki zwierz gorszy. Wolę już z panami! Mamy zginąć — gińmy razem!

I poszli. Otoczył ich znowu las pełen życia i gwaru. Z oddali rozległo się parę grzmotów zwiastujących burzę, ale zapowiedzi te nie uczyniły na zahartowanych do niewygód wędrowcach żadnego wrażenia. Po drodze bystry wzrok geologa nie spoczywał i wciskał się wszędzie, gdzie można się było czegoś nauczyć. Jakoż zrobił on jeszcze jedno odkrycie dotyczące człowieka. Wśród szczytowych konarów dwóch dębów, rosnących w odosobnieniu wśród grupy cienkopiennych palm, geolog wskazał towarzyszom dwa olbrzymie gniazda, usłane na sposób ptasi z suchych i niezgrabnie splecionych gałęzi chrustu.

— Oto masz, lordzie, napowietrzną chatę. Rodzina, las ten zamieszkująca, czuje się tu w nocy bezpieczniejszą aniżeli na ziemi i może spokojnie sypiać. Tu jej nie zaskoczy zwierz drapieżny, bo gdyby nawet zakradł się jaki kot, znęcony zapachem żywego mięsa, zdradzi go wcześniej szelest liści i ostrzeże mieszkańca dębu o niebezpieczeństwie. Wtedy pozostaje napadniętemu rozpaczliwa walka, a w niej syn puszczy w potrzebie zdradza już wiele męstwa i zęczności.

Ten mieszkaniec dębu nie potrzebuje czekać na odpływ morski, aby się pożywić. Jemu służą leśne owoce, korzonki i owady, drobne zwierzątka żywe lub martwe, stosownie do pory i przypadku.

Nadmorski zjadacz ostryg może cały dzień drzemać w swej kryjówce, dopóki nie nadejdzie chwila odpływu fal, ten prowadzi bardziej pełny i urozmaicony tryb życia. Raz głodem przymiera, za to innym razem używa aż do przesytu. I obie gromady są zadowolone ze swego żywota, bo nie zakosztowały innego.

Odchodząc wzdrygnęli się podróżni nasi. Uszu ich doszedł ledwie dosłyszalny, bolesny jęk ludzki. Nie wiadomo było, skąd wyszedł, dopiero gdy się powtórzył, poznano, że dochodzi z napowietrznego barłogu. Prócz wzmagającego się jęku rozległo się kwilenie małego dziecka. Po chwili zachręściły suche liście i gwałtownym ruchem wyrzała z barłogu strasznie wychudła postać kobiety. Uniosła się i chwiejąc broniła się przed niewidzialnym wrogiem. Dziko błyszczące oczy szeroko były rozwarte, ale widziały zapewne mary, nie rzeczywistość. Zasłaniała je gorączka. Mieszkanka barłogu umierała z ran i głodu, a z nią skazane było na śmierć kilkotygodniowe niemowlę. Chwiała się przez moment wydając ostre, chrapliwe okrzyki przerażenia, wreszcie osunęła się na twarde posłanie i znikła z oczu naszym podróżnym. Zapewne zwierz zaszedł ją niespodzianie i poszarpał, a ona

zdołała po to ujść szponów, aby potem ginąć w powolnych mękach niemocy i głodu. Litość zdjęła naszych towarzyszków nad tą nieszczęśliwą nędzarką. Już Puckins gotów był szukać wody i drapać się na drzewo, gdy zwyciężył rozsądek zimny.

— Nic tu nie pomożemy! — westchnął geolog. — Biedaczka skazana jest na śmierć.

— I nikt się o nią nie troszczy? ■— zagadnął sługa.

— W surowych sercach nie ma jeszcze miejsca na współczucie. Jeśli silny organizm zwycięży, to dobrze, gdy ulegnie, nikt nawet nie zauważy braku jednostki ludzkiej.

— Okropny świat! •— mruknął Stanisław.

— Jesteś bardzo wymagającym! Pomimo stu pięćdziesięciu tysięcy lat postępu umierają przecież ludzie z głodu i opuszczenia wśród murów miast ludnych i bogatych...

Ze ściśniętym sercem oddalono się od konającej nędzarki.

Posuwano się przez las dziewiczy w ponurym milczeniu. Potem jedni przed drugimi jęli udawać swobodę dla odwrócenia myśli od przykrego wspomnienia. Anglik przedstawiał naukowe korzyści płynące dla geologa z tej dziwacznej wędrówki. Obiecywał nawet znaleźć w jaskini kopalne szczątki nieznanymi geologowi zwierząt, ale ani wierzył w możliwość tego, co mówi, ani go to zachwycało. Profesor dał się złapać na przynętę i jął biadać na brak narzędzi i czasu, potrzebnych na dokonanie podobnie ważnych poszukiwań.

— Powiedz mi jeszcze prawdę, profesorze — zagadnął Puckins — czy dużo jeszcze mogło się dochować w ziemi nieznanymi wam zupełnie resztek dawnych zwierząt? Przy zaciekłości, jaką zdradzacie od lat tyłu w gonitwie za starymi kośćmi, zdaje mi się, że niedługo ich zupełnie zabraknie i skończą się wasze rozkosze.

— O profani! Jakże dalekimi od prawdy są wasze wyobrażenia o bogactwie świata zaginionego! — zawołał Przedpotopowicz. — Nie zdajecie sobie nawet sprawy z ilości zwierząt, które przeżyły już swe dni i przyłączyły prochy swe do prochów poprzedników. A toż gdyby ożyły czworonogi jednej tylko epoki, ręczę, że nie pomieściłyby się na wszystkich łąkach. A gdzież są ich szkielety? Rozsypały się dawno, zostały w roślinnych pokarmach, spożyte przez następne pokolenia, a wreszcie weszły jako drobny proch w skład głęboko dziś leżących warstw skorupy ziemskiej. Jedna na tysiąc, co mówię, jedna kość na milion zaledwie ocalała od zupełnej zagłady i przechowała się przypadkiem jako tako w łonie ziemi!

— I zrabowaliście już te skarby zapewne doszczętnie! — wtrącił Anglik.

— Jeszcześmy nawet bilionowej cząstki tych ocalałych skarbów

przeszłości nie dobyli z ziemi! Nie wyobrazisz sobie, lordzie, ile niespodzianek kryje jeszcze grunt, po którym ludzkość depta, a który jest niczym innym tylko bezbrzeżnym cementem. Nie ma już p^oku takiego, który by nie należał niegdyś do żywej istoty, to prawda, ale też nie ma piędzi ziemi, aby nie kryła dotąd pod sobą niezłe przechowanych resztek. Co się tyczy tej jaskini, zawartość jej nie doczeka czasów cywilizacji. Ściany jej rozniosą zapewne żywioły, zanim się jeszcze pojawi pierwszy geolog na ziemi.

Tak gawędząc znaleziono się z zachowaniem wszelkich ostrożności u wejścia do podziemia. Przygotowano zapas łączywa. Wkrótce okazało się, że przerażony niedźwiedź jeszcze nie powrócił, ale za to jaskinia nawet pod względem estetycznym zasługiwała w zupełności na uwagę. Za główną komnatą ukazał się kręty i długi korytarz. Wspiął się nieco w górę i niespodziewanie wprowadził podróżników na próg czarownie pięknej i białej groty, ozdobionej mnóstwem przejrzystych jak alabaster stalaktytów i stalagmitów.

Stalaktyty zwisały się ze sklepienia w postaci najfantastyczniejszych sopli lodowych, stalagmity sterczały z powierzchni groty niby małe figurki, niby jakieś skamieniałe postacie o ludzkich zarysach, a wiele z nich wystrzelało w wysokie zaostrzone słupy albo łączyło się ze stalaktytami, tworząc lekkie gotyckie kolumny, o które mimo woli rodziła się obawa, aby ich nie zgmiotło ciężkie sklepienie. Widok był czarodziejski. Żał było stąpać po drobnych i kruchych soplach, z których najmniejszy był starszym jeszcze od człowieka. A jednak trzeba było przejść po nich łamiąc i gniotąc nie tknięte dotychczas niczyją stopą utwory, albowiem w południowej ścianie groty czerniała nisza, mogąca być dalszym ciągiem podziemia.

W samej rzeczy, z białą grota graniczyła znacznie obszerniejsza sala, wysoka blisko na 40 metrów, długa na 70 metrów. U sklepienia wisiały znowu stalaktyty, zupełnie przypominające skłębione chmury na firmamencie. Pod jedną ze ścian stało kilka wielkich stalagmitów, zupełnie przypominających klęczących olbrzymów, a nad nimi wznosił się żółtawej barwy baldachim, obwieszony delikatną koronką drobnutkich stalaktytów. W pośrodku dominowała ogromna owalna wanna alabastrowa, a w niej po brzegi było czystej i zimnej wody.

W sali tej zabawiono dość długo. Była akustyczną. Każdy wyraz powracał do uszu mówiącego jeszcze dźwięczniejszy i głośniejszy, niż wyszedł.

Stanisław osobliwie nie mógł się nagadać z echem. Geolog był zachwycony, lord zapewniał, że chętnie wróciłby tu raz jeszcze. Ruszono jednak dalej, zachowując ostrożność, aby nie zbłądzić. Turyści ostrożnie przeszli w najodleglejszy i na dół opuszczający się kraniec pie-

czary. Tu dno stało się mocno nierównym. Góry i doły, miniaturowe przepaści i urwiska utrudniały krok każdy. W pośrodku wznosiła się biała piramida, przypominająca hełm średniowieczny. Olbrzymi ten stalagmit miał 4 metry wysokości i 3,5 metra obwodu. Zasłaniał on swoim cielskiem wejście do nowej groty, najdziwaczniejszej z dotąd widzianych.

Dalej zwiedzili grootę z pięknymi stalagmitami, którą lord nazwał „salą statuetek”.

Rozkoszowano się tak, póki sił starczyło, a cudom podziemnego labiryntu końca nie było. Nareszcie znużeni podróżni wyciągnęli wygodnie na chwilę strudzone członki, a Morfeusz słodkim tchnieniem skleił im powieki...

Pierwszy ocknął się geolog. Przejmujący chłód wstrząsnął jego ciałem, zapomniał na razie, gdzie się znajduje, dopiero nieprzebite ciemności i szmer kropel wody, spadających z towarzyszeniem echa, przypomniał, że się znajduje w pieczarze. Dźwignął się, roztarł skostniałe dłonie i zapytał Anglika, czy czuwa. To było dostatecznym do zbudzenia zarówno syna Albionu, jak Stanisława.

— Chodźmy stąd. Zasiadzieliśmy się niepotrzebnie. Jest zbyt zimno i warto się rozgrzać w promieniach słonecznych.

Z tymi słowy geolog zapalił łuczywo i zwrócił się w kierunku wyjścia.

Księga trzecia

CZŁOWIEK

Zamurowani żywcem — Grota przedhistoryczna

Uord Puckins długą chwilę badał wzrokiem ściany groty.

— Niedobrze idziemy! — odezwał się.

— Jak najlepiej! Pamiętam doskonale kierunek. Chodź tylko za mną, lordzie, a zaraz się przekonasz.

Ruszono w milczeniu. Po chwili geolog odezwał się tonem pewnego siebie przewodnika.

— Na skrócie wstąpimy do groty statuetek, a stąd już poza hełmem znajdziemy się zaraz w „sali echa”.

Rzeczywiście znaleziono się w progach groty statuetek, ale tu geolog wzniosł pochodnię, jak mógł najwyżej, i począł się rozglądać z niepokojem.

— Gdzież, profesorze, twoje statuetki? Źle prowadzisz!

— Widzę to, a jednak przysięgłbym, że idziemy właściwą drogą.

Sala, w której znaleźli się nasi podróżni, nie była już podobną do sali statuetek. Wnętrze jej od sklepienia do podstawy naśladowało jakąś imponującą świątynię o setce potężnych kolumn, dźwigających strop ciężki. Nie było tu wcale stalagmitów. Las kolumn niezwyklej grubości wypełniał wnętrze, pozostawiając niewiele wolnych przejść.

■— Wracajmy! — odezwał się zwięźle Puckins.

— Jeszcze nie! Trudno mi uwierzyć w pomyłkę. Jestem pewny, że innego wyjścia stąd nie ma.

— Ależ pomyłka! Przecież te kolumny pierwszy raz widzimy — przekonywał Anglik.

— Prawda, ale może ich poprzednio nie dostrzegąłem. Zanim wrócimy, muszę rozpatrzeć się w tej sali. Statuetki pewno są na lewo.

Na lewo lita ściana zagroziła im drogę. Udano się w głąb, gdzie bieleły potężne kontury hełmu.

— Idziemy dobrze! — zawołał geolog z uradowaniem.

— Cóż więc znaczy ta sala kolumn? Dlaczego ominęliśmy statuetki — zapytał Anglik, nie mniej od geologa zdziwiony.

— Nie mogę zrozumieć! Ale czy uważasz, lordzie, jaki ten hełm duży?

— I mnie się poprzednio znacznie mniejszym wydawał, a przy tym jest nieforemny. Powiedziałbym, że to inny jakiś podobny do hełmu stalagmit.

Zacząto go obchodzić dokoła, a geolog krokami zmierzył go nawet.

— Stanowczo nie ten! — zawołał z podziwem. — Tamten miał 4 metry wysokości na 3,5 obwodu, ten kolos mierzy 6 metrów wysokości na 8 obwodu. Nie widziałem także tych bałwanów — dodał wskazując na dwa parometrowe słupy, podobne do niezgrabnie obciosanych pogańskich bóstw.

Nagle Anglik utkwiał wzrok w ciemnościach.

— Spójrzj na prawo, profesorze — wyrzekł.

Geolog zwrócił oczy we wskazanym kierunku.

Tam gdzie spodziewał się ujrzeć parę' wysmukłych stalagmitów, ustawionych przez kaprys przyrody niby lekkie figurki w różnych odstępach, stała jedna tylko gruba kolumna złączona ze sklepieniem. Druga, również ciężka, do połowy przełamana, leżała niby kłoda przymarzła do posadzki grubą warstwą materii wapiennej. Teraz spadło bielmo z oczu wędrowców. Zrozumieli nareszcie, że nie zblądzili, ale przyszli tu jak widma zza grobu. Zrozumieli, że przespali pod ziemią całą epokę. Nigdy jeszcze przerwienie do innego świata nie przeraziło ich równie mocno, jak obecnie, bo też nigdy z podobną jaskrawością nie uderzył ich zmysłów wpływ czasu na otoczenie. Ocknęli się w zimnym grobie, po którym wieki prześlizgują się prawie bez śladu i zaznaczają za ledwie dostrzegalnym zgrubieniem stalagmitów i stalaktytów. Ileż wieków musieli przedrzemać, skoro taki hełm zolbrzymiał do 8 metrów obwodu, a drobne stalagmity urosły w potężne kolumny. Jakże twardy był sen ich wiekowy, skoro ich nie zbudziło jakieś potężne trzęsienie ziemi, które z trzech kolumn dwie strąciło. Od tego wstrząśnienia na powierzchni z pewnością nie pozostał kamień na kamieniu!

I to wszystko przeminęło jak mgnienie oka!

Zbliżyli się ku sobie i wyciągnęli ręce do uścisku. Żaden nie śmiał ust otworzyć. Byli w obliczu dreszczem przejmującej prawdy.

Niby lunatycy szli wpatrzeni w alabastrowe ściany, obojętni już na architektoniczne piękno podziemnych obszarów, i znaleźli się w sali echa. Nie było tu wanny. Jej miejsce zajęły spiętrzone brudnożółte, nieforemne bryły. Cała grotą podzieliła się zapewne na dwie oddzielne pieczary.

Znikła akustyczność ścian i choć szmer jakiegoś podziemnego strumienia rozbrzmiewał w ciszy, nie miał on tej dźwięczności i pełni tonów, jaką niegdyś zadziwiał.



— Co za zmiany, jakie zmiany! — szeptał Stanisław.

Tymczasem geolog skierował się ku dawnemu wejściu. Po chwili wrócił zgnębiony.

— Tu było wejście — rzekł wskazując na ścianę stalaktytową o ludzkiej postaci zastygłego wodospadu. — Jesteśmy powtórnie żywcem zamurowani!

W ciszy podziemia słychać było wyraźnie szmer kropeł sączących się po ścianach.

Nagle zelektryzował geologa zaledwie dosłyszalny odgłos, niepodobny wcale do szmeru wody. Dochodził od ściany przeciwległej względem dawnego wejścia. Czuć było, że pochodzi od zewnątrz. Ściana utworzona z naciekowego wapienia musiała być cienką, skoro taki głos przepuszczała. Iskra nadziei zapaliła nową energię.

— Musimy rozwalić tę ścianę! — rzekł z mocą.

— Ale czym? — zagadnął Anglik.

Razem posiadano dwie laski trzciniowe i nóż składany.

Wtem Stanisław wpadł na genialny, bo prosty pomysł. Ułamał wysmukły stalaktyt i opukał ścianę. W jednym miejscu dźwięczała głucho jak nad próżnią.

— Damy sobie radę! — zawołał radośnie.

— Tu nawet młotem trudno by coś poradzić — zauważył" profesor.

— Obejdzie się bez młota! — mruknął pewny siebie sługa i zniknął w głębi grotu. Tam zabrał się żwawo do dzieła.

Małym stalaktytem strącił większy i grubszy. Potem przy pomocy cięższego taranu odłamał wierzchołek wielkiego stalaktytu i z tą bronią przystąpiono do ataku. Pracując ciężkim taranem po dwóch na zmianę i bijąc w jedno miejsce, więźniowie nasi wykruszyli skałę. Wyłom był drobny i nie przebijał skały na wylot. Był jednak dostateczny do pobudzenia energii. "Wreszcie wyleciał duży kawał ściany i ukazał się otwór, przez który człowiek mógł się przecisnąć. W otworze było zupełnie ciemno.

— Dostaliśmy się tylko do jakiejś głębszej komory! — wyrzekł zadowolony geolog.

Stanisław zniechęcony opuścił ręce. Puckins jeden nie utracił zimnej krwi.

I — Nie poznaję cię, profesorze — zauważył. — Skądże pewność, że komora jest bez wyjścia? Ciemności niczego jeszcze nie dowodzą. Może teraz noc panuje. Pierwej zbadajmy wyłom, a potem będzie czas na zmartwienie.

I Stanisław zapalił nową gałąź i lord Puckins wsunął głowę do otworu. i Wsunął bez namysłu i żwawo, ale cofnął jeszcze spieszniej.

— Co za wstrętny zaduch! — zawołał zdławionym głosem.

Stanisław sprawdził doświadczenie lorda z tym samym skutkiem.

— Tu nie można wcale oddychać!

— Więc przestrzeń zamknięta! — zawyrokował geolog.

Lord Puckins żywo zaprzeczył.

; — Przeciwnie! Skoro czuć gniliznę, więc grota musi być nie tylko r otwartą, ale nawet zamieszkaną.

Z kolei zajrzał do wnętrza geolog. Gdy wydobył głowę, twarz jego, oświetlona blaskiem płonącego łuczywa, wyrażała jednocześnie radość i zdumienie.

— Tam muszą być ludzie! Czuję dym wyraźnie!

Można sobie wystawić wrażenie sprawione podobnym odkryciem. Co teraz czynić? Jak wyjść, aby się nie narazić na całkiem usprawiedliwiony opór mieszkańców grotu? W jaskini było w tej chwili jak w grobie. Albo za wyłomem było w istocie pusto, albo czekała tam intruzów zasadzka.

Niełatwa to ani bezpieczna była sprawa przekonać się o tym; nie pozostawało nic innego, jak wstąpić do tajemniczego wnętrza. O ile zdołano naprędce wysondować, poziom odkrytej grotu okazał się o jakieś trzy łokcie niższym od otworu. Wypadło spuszczać się niby przez okienko do piwnicy pod grozą zdradzieckiego napadu. W dodatku dawał

J

M

I



Stalaktyty zwisały się ze sklepitima w postaci najfantastyczniejszych sopli lodowych, stalagmity sterczały z powierzchni grotty niby małe figurka... (str. 169)

się mocno we znaki nieopisany zaduch w niższej grocie. Wykształcony zmysł powonienia odróżniał cały bukiet wstrętnych zapachów. Było w nim wszystko: gnilizna, amoniakalne wyziewy, dym, silna woń siarkowodoru, potu i starego tłuszczu. Jak przystało na specjalistę od grot, geolog poświęcił się pierwszy i wstąpił w nieobiecującą otchłań. Za nim wszedł skrzywiony Anglik, wreszcie odważył się i Stanisław.

Gdy już oczy przywykły do grubego mroku, pokazało się, że do jaskini dochodzi jakieś światło, ale tak słabe, że pomimo jego promieni dostrzeżono jaskrawo czerwone gwiazdki, błyszczące w zasłonionym dotąd kącie pieczary.

W gorącym popiele tlały jeszcze iskry niewygasłego ogniska.

— Żle! Jesteśmy w zamieszkałej grocie — mruknął profesor. — Pewno właściciele obserwują nas i przemyślają, aby nie wypuścić żywcem.

— Co prawda mają słuszny powód do gniewu. Włamaliśmy się przez ścianę do cudzego mieszkania. Nawet kodeks przewiduje ciężką karę za takie bezprawie.

— Niefortunna wypadła nam droga, to prawda, ale nie czas już na skrupuły. Musimy stąd wyjść przecie. Idźmy za światłem!

Lord Puckins objął teraz komendę.

— Przede wszystkim nie rozpałać światła, aby mieszkańcy groty nie mogli nas policzyć ani wziąć na cel. Stanisław niech jeden dotrze do wyjścia i stanie na straży, my zaś powinniśmy się uzbroić. Przecież ludzie mieszkający po jaskiniach muszą mieć broń jakąś. Może nie wszystką unieśli ze sobą. W ostateczności znajdziemy choćby 'kamienie.

W głębokim mroku rozpoczęto poszukiwania. Wstrętny zaduch odbierał przytomność, a niepewność i obawa sprawiały, że minuty wydawały się kwadransami.

— Mam coś kosmatego pod ręką — szepnął Puckins — jakąś skórą. Jest druga i trzecia. Pod nimi mech i liście.

— Niezawodnie łoże! — odrzekł geolog.

— A tu kość wilgotna jeszcze. Teraz coś miękkiego i zimnego — prawił Anglik.

W jaskini tymczasem stawało się nie wiadomo skąd coraz jaśniej... Rozpoznano już bez trudu, że jaskinia była niemal próżną. Po kątach leżało kilka ugniecionych kup mchu i traw, a na nich rozrzucone twarde i cuchnące skóry wilków, hien i mniejszych zwierząt. Tu zapas gałęzi snadź przeznaczonych na opał. Pod nogami trzeszczały kości ze szczątkami żył i mięsa. Wreszcie geolog zaczął nogą o długi kij. Podjął go i namacał na jednym końcu grot krzemienny.

Teraz nie mógł powstrzymać się od okrzyku.

— Jesteśmy chyba w jaskini przedhistorycznej!

— Jest dzida! — zawołał z triumfem lord Puckins i oglądał niezgrabnie odłupany szeroki i płaski krzemień. Grot przykrąpowany był skręconą kiszka do drążka i u nasady grubo oblepiony jakąś twardą żywicą.

— Teraz możemy się bronić, a nawet wyjść bezpiecznie!

Jednocześnie powrócił Stanisław.

— Co słyhać?

— Brzask! Niedługo słońce się pokaże.

— Nic więcej?

— Nic, dokoła głucho. Mizerne tylko świerki, brzozy i zarośla jałowcowe. Ale za to zimno piekielne. Na wskroś mię już przejęło. Warto by rozdmuchać ognisko i ogrzać się trflchę.

— Nie teraz i nie tutaj! — zaprotestował Anglik. — Ja już omdle-wam. Muszę odetchnąć świeżym powietrzem. Możemy wyjść. Jesteś-my przecież uzbrojeni.

— Tylko ostrożnie! — rzekł geolog. — Posiadamy wprawdzie włócz-nię, ale wrogów może być gromada.

— Najlepiej tedy zrobimy, gdy zapalimy ogień przed jaskinią nie oddalając się od niej. Ogrzejemy się, a w razie jakiegoś niebezpieczeń-stwa łatwo będzie cofnąć się do wnętrza i bronić się. Wejście szczupłe. Nie dopuścimy nawet licznego wroga.

— Zgoda!

*Nosorożec kosmaty — Wielka epoka lodowa — Ognisko
Musterieńscy* mieszkańcy jaskini*

Stanisław wykonał plan ułożony, ale niezadowolony mrucał nie-chętnie.

— Odkąd mamy broń, zaczyna mi się słabo robić z głodu. Warto by coś upolować.

— Sądzisz, że to łatwo? Krzemienną bronią trzeba się nauczyć władać.

— Więc inaczej zrobię. Przeszukam jaskinię. Może znajdę spiżarnię przedhistorycznej gosposi, a w niej jaki nieogryziony przysmak.

— Biedny chłopiec... On marzy o gosposi... i przysmakach! — szepnął profesor.

Stanisław jednak znikł w grotcie z zapalonym łuczywem. Znalazł

* M u s t e r i e Ń s k i — w obecnej terminologii: mustierski.

tam sterty ogryzionych i potrzaskanych kości i kosteczek, dosyć pierza i ^{no}9 ptasich, łby węzów i jaszczurek, skorupy jaj ptasich, czaszki rogate i nierogate, z których mózg wyjedzono. Pod nogami brząkały mu liczne wióry krzemienne oraz nieudatne i w stanie półwykończonym porzucone ostrza dzid. Były i duże bryły krzemienia, owego najcenniejszego niegdyś dla ludzi minerału. Do spożycia nic nie znalazł. Wtem wzrok jego padł na bryłę kudłatą, od której zalatywał bardzo silny odór rozkładającego się mięsa. Zbliżył się ciekaw, co to było, ale opuścił zatęchłą jaskinię. Na jego twarzy malowało się ogromne zdumienie.

— Cóż tam znalazł nowego?

— Panie! Takiego potwora nie spodziewały się oczy moje ujrzeć — zawołał sługa.

— Mówże wyraźnie, coś widział!

— Łeb nosorożca!

— Nosorożec... tutaj? — wykrzyknął Puckins.

— Doprawdy! Wielki a kosmaty... jak niedźwiedź.

— Pleciesz i kwita!

— Widziałem dobrze! Nie trudno go przecież poznać po dwóch rogach na nosie. Zgنیła już bestia i do połowy objedzona.

Anglik wpatrzył się w profesora. Ten, zdumiony usłyszanaą wieścią, ochłonał pod pytającym spojrzeniem i wyrzekł jedno słowo.

— Możliwe!

— Nosorożec?... Wśród tych świerków i jałowców?

— Możliwy! — powtórzył z naciskiem.

— W tym zimnym klimacie?

Paleontolog przymrużył oczy, pogładził sumiastego węża, zamyślił się chwilkę i klasnął w ręce.

— Wiem już, co nam wiedzieć potrzeba! Tutaj możliwym jest nie tylko nosorożec, ale także jego stary towarzysz, mamut (*Elephas primigenius*) o wielkich kłach* szeroko rozwartych. I nie tylko mamut! Nawet lew jaskiniowy (*Leo spelaeus*) pobiera jeszcze w tej puszczy haracz z krwi żubrów i turów.

— I lew nawet? Przy takim zimnie?

— Jeszcze i niedźwiedź jaskiniowy po dawnemu gruchoce kości koni, dzikich świń, oraz jeleni olbrzymich (*Megaceros*)!

— Lwy i łosie, mamuty i konie, żubry i nosorożec! Ładna kolekcja ze wszystkich czasów i części świata! — zawołał Anglik.

— Gdzież znowu dostaliśmy się? — pytał żałośnie Stanisław.

* Patrz przypis do str. 152.

— Gdzież mamy być? Jesteśmy zapewne w Bośni lub* gdzieś niedaleko.

— Koniec świata!

— Nie, to jeszcze przeszłość — odparł profesor. — Widzę, że sto tysięcy lat dzieli nas od wczoraj.

— Ciągłe setki tysięcy! Kiedyż się to skończy nareszcie?

— Uspokój się!

— Więc jakże daleko mamy do naszej cywilizacji? — wtrącił lord Puckins.

— Najwyżej siedemdziesiąt — odrzekł zamyślony geolog.

— Wieków?

— Nie, tysiącoleci!...

— Ładna jeszcze porcja, nie ma co mówić! — szepnął Puckins — ale mimo to jutro już zajdziemy niezawodnie do naszych czasów!

— Wątpię! Jakoś coraz wolniej wychodzimy z przepaści czasu. Obawiam się, abyśmy tu nie zostali na wieki...

— I mnie się to wszystko zaczyna nie podobać — potwierdził Stanisław. — Czasami przychodzi mi do głowy pytanie, czyśmy się już nie upiekli w szczelinie i czy nie wędrujemy po „tamnym” świecie. Dziwi mnie tylko, że od czasu do czasu uczuwam wyraźny głód i znużenie. Nieboszcykom się to przecież nie zdarza.

— Więc porzuć domysły — przerwał mu profesor — i raz już postaraj się zaspokoić swe poziome uczucie. To ci z pewnością rozstrojone nerwy uspokoi.

Tymczasem deszcz począł padać zimny i przejmujący.

Tułacze zasiedli w milczeniu u ogniska. Stanisław wahał się, czy nie pójść za radą profesora, wreszcie kwaśny i niezdecydowany przysiadł się u ognia. Pod wpływem ożywczego ciepła minęło przykre wrażenie i wywiązała się gawęda.

cv>

Pozostawmy teraz naszą trójkę, aby spojrzeć, co się dzieje z prawnymi właścicielami zacisznej kryjówki. Właśnie spoczywało w niej snem twardym kilka kobiet, kilkoro dzieci i wychudły, żylasty starzec. Broda jego i długie siwe włosy miały kolor popielatobrazowy od brudu i tłuszczu w nich osiadłego, brwi krzaczaste, złączone nad nosem, nadawały twarzy wyraz bardzo groźny i surowy. Jedna tylko z kobiet czuwała nad ogniskiem i karmiła je drzewem, aby nie umarło.

Jaskinia była ich stałą od pradziadów siedzibą. Wszyscy porodzili się tutaj i tu przez wszystkie dni żywota znajdowali kąć bezpieczny. Tu znajdowali ochłodę przed skwarem letnim, tu w zimie dobroczynne

ciepło nie dawało im zmarznąć, tu w nocy bezpieczni byli od napadu zwierząt, tu upływały długie chwile beczynności **lub** ciężkiej pracy przy wyrobie narzędzi myśliwskich lub odzieży. Znużeni odpoczywali, ranni i chorzy przychodzili do sił albo zasypiali snem zimnym, nieprzespanym. Dokoła wszystko ulegało zmianom. Drzewa łamały wichry, ziemię okrywał śnieg, drugi raz zioła i kwiaty, jedna tylko jaskinia zawsze trwała niezmienna, zaciszna i pewna. Szalejące huragany nie miały dostępu za próg jaskini.

I nagle dozorczyńni ognia usłyszała głuche łaskoty w sklepieniu. Zrazu nie dowierzała swym uszom, ale gdy parę czujniej śpiących zbudziło się kobiet, skoro pokazało się, że niespodziany odgłos dochodził naprawdę z góry, stąd gdzie nawet w czasie burzy panuje niezmacona cisza, zdjął wszystkie niezmierny przestrasz. Przypomniały sobie wieczorne opowieści starców przy ognisku. Mówili oni o nadzwyczajnych zwierzętach, które mieszkają w głębi wód, skał i pod ziemią. Wprawdzie nigdy nie widziano tych ogromnych, mocnych i złośliwych potworów, ale wierzono, że być muszą. Wszak i na niebie nikomu się nie udało dostrzec istot piorunowładnych, a przecież pociski ich wstrząsały puszcza, druzgotały skały i drzewa, a ryk ich głużył ryk mamutów i lwów tak samo, jak blask słońca gasi światło księżyca.

Dobijanie się do jaskini tajemniczych zwierząt podziemnych zbudziło i starca ze snu krzepiącego. Zerwał się na równe nogi, instynktownym ruchem porwał za broń krzemioną i wsłuchał się w miarowe uderzenia. Kobiety, zbite w kupkę, patrzyły mu w oczy i nie śmiały głośno oddychać.

Nagle dziad, który nie bał się niczego, który dużo widział, a wiedział więcej niż one wszystkie razem, osunął się na ziemię, skurczył jak dziecię i zakrył dłońmi oczy. Wydał jęk chrapliwy i począł drzeć jak w napadzie febry. Teraz podniósł się okropny lament. Kobiety wydawały okrzyki przestachu, płakały i darły włosy, opadające w splątanych pasmach na ramiona, dzieci krzyczały, stary ścisnął tylko dłońmi siwą głowę i jęczał głucho.

A łaskot nie ustawał. Stary przypomniał sobie straszną chwilę, gdy raz jednego istoty podziemne chciały wydobyć się na wierzch i ryczały. Drżała wówczas przed nimi ziemia i skały. Ale to była krótka chwila. Ziemia zwyciężyła i potwory nie wyszły. Starzec był wtedy dzieckiem, a od owego czasu nigdy już olbrzymy podziemne nie potwórzyły swych prób bezowocnych.

Nagle teraz szturmują do ich siedziby. I po co? Zapewne, aby pochłonać mieszkańców. Bo po cóż by innego przychodziły? Pomarszczony, wyschły, półnagi, o zapadłych oczach, ale o krzepkich jeszcze musku-

łach dziad podniósł się nagle i krzyknął przeraźliwie.. Uciszyło się natychmiast w jaskini. A on, pełen grozy w spojrzeniu i energii, gardłowym, chrapliwym głosem krótkie wydawał rozkazy.

— Biada! Uciekajcie daleko, a schować się na drzewa!

Mowa to była pierwotna, wyrazy jednosylabowe, z których każdy miał wiele znaczeń, wymagających objaśnień za pomocą odpowiednich gestów. Tym razem zrozumiano ją w jednej chwili.

W mgnieniu oka jaskinia się opróżniła. Został sam starzec, któremu powróciła już zachwiana odwaga. Spojrzał z żalem na ognisko i podniósł opuszczoną w pierwszym strachu dźbę.

— Ty, ciepły, jasny, nie umieraj! — rzekł głucho. — Zabrać cię nie mogę, ale bądź cierpliwy i żyj, bo jeśli powrócimy, a ciebie nie stanie, pomrzemy także. Nie umieraj! A jeśli możesz, pożryj napastników.

Dorzucił chrustu na ogień i wyszedł'. Mimo ósmego krzyżyka na karku i ciemności bezksiężycowej nocy, podążył krokiem żwawym za kobietami niosącymi dzieci i znikł w czarnej puszczy.

Na jednym drzewie ze starcem znalazła się młoda* matka z rocznym dziecieniem uczepionym u piersi.

— Co będzie z nami? — pytała szcękając białymi jak śnieg zębami, a starzec, półzdrętwiały ze zgrozy, mruknął tylko:

— Biada!

Zaległa w lesie zwykła cisza, poprzedzająca zachód słońca. Wygnani ze swego zakątka ludzie oddech nawet tłumili i zęby zacięli mocno, aby nie szcękaly z zimna i bojaźni.

Drżał nawet starzec, choć nosił przecież naszyjnik z kłów wilków i hien oraz własną ręką pokonanego niegdyś niedźwiedzia. Drżał, choć liczne blizny na zeschniętej skórze świadczyły, że bywał mężny i umiał stawiać czoło wszelkiemu wrogowi. Przez głowy kobiet, a nawet i tego starca przepływały myśli ponure. Co będzie, jeżeli mężowie powrócą i niebacznie wstąpią do jaskini? Co będzie, gdy spotkają się tam z podziemnymi napastnikami? Choćby walczyli, nie wyjdą cało, bo jakież oręż zdoła osłonić człowieka od wrogich żywiołów, co wstrząsają skałami? Ta myśl okropna wlewała nowe fale zgrozy do serc przelękłych. Kobiety gryzły wargi do krwi. Pełne obawy, aby ich tu strachy nie odszukały i razem z drzewami nie pochłonęły, siedziały nieporuszone, póki słońce, które spało za górami i rzekami, się nie przebudziło. Teraz dopiero dzienna gwiazda, zwyciężając zdradne ciemności, dodała otuchy starcowi. Zgrzytnął i zamruczał gniewnie.

— Pójdę, zobaczę — rzekł do kobiety — a potem stanę na tropach, którymi męże będą powracali z polowania. Ostrzeżę, niech się nawet nie zbliżają do jaskini. Wy siedźcie tu, póki nie dam hasła.

Znawca puszczy i jej szlaków zbliżył się bez szmeru i pełen obaw do



naszej trójki. Nie postrzeżony przyglądał się długo. Trwoga i zdumienie miały nim na przemiany.

— Podobni są do ludzi — myślał kombinując ciężko. — Brzydcy i futer nie noszą! A może to nie strachy, może to naprawdę ludzie tylko? Może słabsi od naszego plemienia? Może uda się ich wypędzić z jaskini?

Wtedy właśnie Stanisław zapalił zapałkę i przytknął ją do suchego drzewa. Po chwili buchnął jasny płomień. Starzec na ten widok padł przestraszony na ziemię.

— O, moje oczy! Żle mi służycie! To nie ludzie, to jakieś podziemne i straszne istoty, co ludzki tylko kształt przybrały. One ogień nawet stwarzają w mgnieniu oka. Biada nam, biada!

I wrócił przerażony donieść na drzewach córom i wnukom, co widział.

Mowa tych ludzi liczyła tylko paręset bardzo prostych dźwięków, ale mimo to wystarczała im zupełnie. Nie odczuwano wówczas potrzeby obfitszego słownika. Uboga myśl miała i w tym zapasie dostateczne narzędzie, zresztą nieliczną ilość wyrazów, a właściwie krzyków, wynagradzano sobie sownie „wymownymi” gestami, a także wyborem naśladowaniem głosów zwierząt i natury.

Przy pomocy tych łatwych i naturalnych środków jeden i ten sam dźwięk, czyli wyraz pierwotny, mógł zmieniać w potrzebie po stokroć swoje znaczenie. Choćby na przykład lisa, wilka, szakala, niedźwiedzia, a nawet wszelkiego zwierza wyjącego, mrużącego lub ryczącego nazywano jednakowym dźwiękiem, to reszty dopełniano intonacją, a gestami wskazywano bez trudu, czy zwierze jest rogaty lub bez rogów,

duży czy mały, czy ma trąbę albo róg na nosie itd. Każdego- na przykład ptaka kraczącego mieszkańcy jaskini zwali po prostu „kraa”, ale w potrzebie znając różne ich odmiany i obyczaje umieli dokładnie określić nawet gatunek.

Grzmot, piorun, burza i huk nazywały się jednakowo, ale mimika wyjaśniała w potrzebie, o czym mowa.

Mógłby się ten język arcyubogi i niestały śmiało zwać po naszymu międzynarodowym, bo tam chwiejne dźwięki grały podrzędną rolę. Choć każda gromadka innych używała dźwięków, choć tyle było prawie narzeczy, ile gromad rozproszonych po puszczy, to jednak w przypadkowych zbliżeniach nawet pierwszy raz spotykających się gromad, gestykulacja i naśladowanie głosów natury główną odgrywały rolę i ułatwiały wyśmienie porozumienie się między najdalszymi nawet sąsiadami. Co więcej, w owych czasach wyrazy i narzecza, nie ujęte w karby żadne, niby mowa dzieci, krótki miewały żywot. Powstawały zwykle wraz z gromadą, przetwarzały się, wzbogacały lub ubożały, zależnie od uzdolnień i potrzeb jednostek żyjących w gromadzie albo opuszczających ją i zakładających nowe ognisko. Nikły one wraz z pokoleniem, które w latach klęsk żywiołowych łatwo wymierało lub zdziesiątkowane rozpraszało się po szerokiej puszczy. Mimika tylko oraz naśladowanie głosów przyrody nie podlegały zmianom i jako naturalna, wiekowa własność człowieka, one jedne trwały przez niezliczone pokolenia. Wobec znikomych i kapryśnych wyrazów dodatki owe były tym, czym są konary wobec liści i żołądzi, które co rok opadają i co rok odnawiają się na tym samym pniu.

Mężny dziad gromadki objaśnił więc, co widział, i wrócił jeszcze raz patrzeć na dziwnych a strasznych gości, wreszcie znikł w puszczy głębokiej, w której znał każde drzewo, każdy strumyk, pagórek i kamień.

Nasi nie domyślili się nawet, że byli przedmiotem podziwu ludzkiego i rozmawiali swobodnie przy ciepłym ognisku.

I znowu Stanisław gorszył się powolnością postępu, zastojem cywilizacji ludzkiej, której obraz i przedsmak dała mu ponura jaskinia. Przysomniał sobie człowieka wczorajszego, który siał gniazda niby ptak ia drzewach, żywił się robakami, ostrygami, padliną i leśnymi jagodami — i dziwno mu było, że człowiek dotąd nie nauczył się lepiej eść i mieszkać.

Sekundował mu w tym gorąco lord Puckins. I on, choć patrzył, nie nógł się zgodzić na fakt naturalny.

— Sto tysięcy lat! Toż to dwadzieścia razy tyle, ile wynoszą całe historyczne dzieje ludzkości... Czyż podobna, aby rozum tyłu niezliczonych pokoleń nie zdobył się na polepszenie bytu potomków?...

Profesor przyznawał, że czasu upłynęło w istocie niemało, jeśli będziemy mierzyć na ludzką niecierpliwość albo na krótkość dziejów historycznych, ale przypomniał, że przecież taki sam przeciąg czasu, *póki* nie było człowieka, przynosił w życiu ziemi daleko mniejsze zmiany, a przecież wydawał się naturalnym. Więc o zastoju i tu mowy być nie może.

W rzeczywistości człowiek nie tracił czasu. O ile on już wspaniałszym i rozumniejszym, aniżeli był sto tysięcy lat temu! Grube pozory pozostawały wprawdzie, ale co za różnica w myślach i pojęciach! Ile już potrzeb duchowych przybyło, ile zarodków nowych myśli kielkuje w tych kudłatych, nigdy nie czesanych głowach! Człowiek już potrafi rachować przy pomocy palców swych rąk i nóg. Tej czynności nie praktykowała żadna istota na ziemi! Mimo nagości skóry stawia czoło nieznanej dawniej zimie, mimo tysięcznych niebezpieczeństw umie przeżyć tę niegościnną porę roku, straszną dla wszystkiego, co żyje. Prawda, że nieraz gromadka uszczupła się do połowy, zanim przyjdzie upragniona wiosna, ale czyż i po siedemdziesięciu tysiącach lat, przy całym postępie rozumu ludzkiego nie bywa zbyt często zima klęską śmiertelną dla miejskich i wiejskich biedaków? Mimo pozornej słabości jest już człowiek mocniejszym od mamuta, chytrzejszym od lisa, ostrożniejszym od bobra, zamożniejszym od wiewiórki. Można śmiało powiedzieć, że obecna epoka jest już początkiem panowania człowieka. Wspaniałe czworonogi, niedawna chluba ziemi, to już tłum skazany na rychłą zagładę, podobnie jak ongi jaszczury i skrzekogady. Nieświadom on nawet rosnącej potęgi jednego gatunku, któremu niebawem zacznie być ciasno na ziemi.

Prawda, że człowiek tutejszy mieszka latem, gdzie go noc zaskoczy, że zimą głodny i skostniały kryje się pokornie po jaskiniach; prawda, że przypisuje duszę nawet martwym tworom i żywiołom, prawda, że nie zna jeszcze widelca, że nie ma pojęcia o sztuce pisania, że nie tęskni za dziennikarskimi nowinami. Trzeba mu to wybaczyć. Nie można żądać nadzwyczajności. Nie ma on jeszcze czasu na to, czym my się lubimy zabawiać. Żyje jeszcze na łonie surowej i bardzo macoszkiej natury. Musi przecie wszystko, co ma, zdobywać, wyrabiać i bronić własnymi rękoma, musi codziennie głód zaspokajać, a nie przychodzi to wcale z łatwością.

Zwinny tygrys może sięgnąć po antylopę, bawół zadowala się trawą, ale nogi człowieka nie sprostają w biegu ani tygrysowi, ani antylopie, instynkty zresztą ma inne. Należy on do bezbronного rodu wszystkożernych. Zadowalał się dawniej owocem, jagodą, jajkiem, a przy okazji mięsem drobnych lub padłych zwierząt. Dopiero broń krzemienna dała mu więcej przewagi. Mimo to w porze zimowej, gdy nie ma owoców,

' a czujne zwierzęta albo się pochowały, albo padły ofiarą drapieżników, cierpi nieraz głód srogi pomimo całej swej wyższości! Wtedy, w ostatniej potrzebie, staje się kanibalem *, a nawet Kainem. Wtedy, gdy trudno nawet o padlinę, silniejszy człowiek musi żyć kosztem życia słabszych członków w gromadzie!

O, na okrutne sceny, jakie się rozgrywały po jaskiniach, lepiej rzucić dyskretną zasłonę! Tam nawet ciało zmarłego nie zmarnowało się w głodowej porze roku, ale przeciwnie, zapewniało gromadzie na kilka dni dobrobyt i spokój **. Oto przyczyny główne, dla których, zamiast szukać towarzystwa i skupić się w liczne gromady, i teraz jeszcze musi człowiek unikać podobnych sobie. W ciężkiej pogoni za żywnością widzi on w obcym współzawodnika tylko i wroga. Żle uzbrojony, musi dniem i nocą mieć się na baczności przed głodnym a przebiegłym zwierzem. Przechodzi on twardą szkołę i dużo się już nauczył. Póki nie znał zimy, był stworzeniem potulnym i mało wymagającym. Głodu nie cierpiał często, więc nie zabijał. Ognia także nie potrzebował.

| Teraz, odkąd warunki klimatyczne poczęły się zmieniać na niekorzyść, j musiał nabrać zgoła nowych uzdolnień. Potrafi już nawet być srogim! Zresztą oddaje tylko pięknym za nadobne. Jest prześladowany, więc gdy może, prześladowuje także. Przyznać trzeba, że ostatnimi czasy przyroda uwzięła się na zgubę jego. Pomijając zawsze jednakowo zuchwałę i mocne zwierzęta, nawet klimat od dawna począł się zaostrzać zdra- [dziecko, nieznacznie, aż zapoznał człowieka ze śniegiem. Ten jednak, | cierpliwy, zahartował się stopniowo i mało dbał zrazu o płatki, które i się niekiedy pojawiały. Bawiły go bardziej, niż niepokoiły. Ale płatki i wracały co rok obfitsze. Rozproszony po wielkich obszarach cofał się z wolna, instynktowo wraz ze zwierzętami na południe, ale śnieżyce zimowe szły za nim i niosły coraz większe kłęski, Nie tylko północ, niby wielka lodownia, odpychała wszystko, co żyje, i zaostrzała swe zimy, ale jeszcze i góry, dawniej zielone, poczęły się ukrywać pod całunem zimnych białych kryształów.

— Cóż za powód tego oziębienia się? — zagadnął ciekawie Stanisław.

" — Nie wiadomo. Nagłe oziębienie się klimatu ziemi jest zjawiskiem dotąd nie objaśnionym głównie dlatego, że epoka lodowa, jak przyszła tajemniczo, tak po pewnym czasie minęła. Nie stygnięcie więc ziemi było jej powodem.

— Więc bawimy w epoce lodowej! — rzekł Puckins.

* K a n i b a l — tu: ludożerca.

** Są to stwierdzone z całą pewnością naukową fakta. (przyp. aut.)

— W samej pełni trwania pierwszej, o ile mi się zdaje, epoki lodowej*.

— Alboż było takich epok więcej? — zapytał Stanisław.

— Wiemy na pewno o dwóch czy trzech, przegrodzonych krótką, cieplejszą. W czasie tej przejściowej epoki, która przyjdzie za kilkanaście tysięcy lat, gruby całun lodowy, który pokrywa w tej chwili północną Europę, cofnie się ku biegunowi, aby jeszcze raz potem po tysiącach lat zamrozić nowe życie na uwolnionych ziemiach.

Druga, a właściwie ostatnia epoka zimna trwać będzie krócej i nie dosięgnie już granic pierwszej. W tej chwili cała Europa północna po pięćdziesiąty i pięćdziesiąty pierwszy stopień szerokości geograficznej, niegdyś pełna życia i gwaru, jest martwą pustynią. Skandynawia, Rosja zachodnia aż po Ural i Wołgę leżą pod grubą skorupą lodową. Nie tylko Anglia i Dania, ale Bałtyk i Morze Niemieckie, północne Niemcy oraz prawie cały kraj nasz jest lodową krainą milczenia, podobnie jak za dni naszych Grenlandia. Skorupa lodów, niby groźna lawa, zbliżając się od bieguna, posuwała się z każdym tysiącem lat niżej, ku południowi, grubiała od śniegów, które padały na jej powierzchnię, ale już nie topniały prawie.

Na północy Europy skorupa stwardniałego śniegu, czyli lodu, dochodzi teraz do grubości tysiąca, a nawet dwóch tysięcy metrów. W Anglii i w naszym kraju mierzy z pewnością setki metrów grubości.

Człowiek środkowej Europy ani się opatrzył, jak został zlodowaciałymi górami odcięty od cieplejszych krajów. Biednych zwierząt z każdą sroższą zimą ubywało. Ginęły tłumnie. Człowieka, mimo dała jego wytrzymałość, spotkałby w Europie taki sam los, gdyby nie wyjątkowe urodziny. Zaostrzające się zimy wcześniej zmusiły go do szukania okrycia. Nauczył się więc najprzód zabijać zwierzęta, aby zdobyć futro. Surowsze warunki bytu zmusiły go także do sporządzania narzędzi, doskonalszych od używanych niegdyś migdałowatych krzemieni**. Łupał tedy szerokie wióry krzemienne i obtłukiwał je na krawędziach, aby mogły służyć do krajania i skrobienia skór z resztek żył i mięsa. Nauczył się rozbijać kości celem zdobycia szpiku do smarowania i zmiękczenia skóry. Musiał kolcem z krzemienia dziurawić te skóry, aby jelitami zwierząt łączyć je na odzież. Całych, wieków trzeba było, aby wydoskonalić to wszystko, ale też triumf był zupełny.

Zimno tedy stało się bodźcem do wielu wynalazków, bez których

* Rzeczywisty obraz zasięgu poszczególnych zlodowaceń dają mapy na str. 188 i 189,

** Patrz tablica III: „Główne etapy ewolucji człekokształtnych”.

dawniej żył w prostocie i szczęśliwej, ale mało ludzkiej "obojętności. A tymczasem stawało się coraz chłodniej.

Pod chmurnym niebem i mroźnymi wichrami marniały gwarne niegdyś puszcze leśne. Kwitnące wzgórza i góry stopniowo nikły pod śniegami. Coraz nowe i większe obszary okrywały się wiecznym lodem. Teraz dopiero zaprzyjaźnił się człowiek z „nienasyconą okrutną istotą”, która z trzaskiem trawi drzewo i z nocy dzień czyni. Złośliwą tę istotę człowiek uczynił stróżem, sługą i dobrodziejem swoim. Ogień go broni odtąd przed napadem zwierząt nocnych, ogień przy pewnej wprawie trawi mu mięso, zmiękcza dzikie płody świata roślinnego i czyni smaczniejszymi, aniżeli były surowe. Nie na tym jednak koniec dobrodziejstw ognia. Niegdyś zdobycz spożywał myśliwy na miejscu, gdzie ją upolował. Nie troszczył się o kobiety i dzieci, czy jadły. Kobieta sama musiała starać się, aby nie była głodna, a nie zawsze miała po temu siły i zdrowie. Instynkt macierzyński zmuszał ją często do lęklivego unikania brutalnych i bezlitosnych mężczyzn. Musiała opuszczać gromadę i szukać dla siebie i swego maleństwa w puszczy bezpiecznego schronienia. Ognisko dopiero przetworzyło sposób życia myśliwca i stało się dobrodziejstwem kobiety, starca i dziecka, a z nimi całego rodu ludzkiego.

Rozniecanie ognia było zadaniem trudnym. Nie wszyscy nawet posiadali tę sztukę. Trzeba więc było starannie skarb raz zdobyty przechowywać. Raz rozniecony płonął zwykle długo, czasem nie wygasiał przez lata w jaskini. Otóż żywienie gałęzmi i przechowywanie płomienia w popiele przez czas, gdy mężowie uganiają się za żywnością, powierzono kobietom, dzieciom i starcom.

Mężczyźni zziębli powracali już zimą stale do ogniska, aby upiec swoją zdobycz. U tego portu wypoczywali po trudach i pozostawiali resztki kobietom. W długich chwilach przymusowego spoczynku surowy włóczęga zżył się bliżej z kobietą, podzielił pracą i nareszcie uwolnił ją od troski zdobywania żywności na własną rękę.

Ognisko przedłużyło także żywot ludzki, bo pozwoliło zachować lekceważonych dawniej, bezsilnych fizycznie starców. Co więcej, pozwoliło korzystać z ich jedyne go, ale wielkiego i nieocenionego długo skarbu — z doświadczenia. Ognisko więc zespoliło ludzi, stworzyło pierwotną rodzinę, a potem pojęcie „plemienia”, to jest grupy gromadek przyjaznych sobie, bo pokrewnych. Ono da kiedyś kobiecie na długo przewagę nad rodem męskim...

— Panie, jakie to ciekawe! — zawołał Stanisław. — Dawniej nie pomyślałem nawet, czym mogło być zwyczajne ognisko.

— Tak, mój drogi. Ognisko było najdroższym żywym skarbem gromady i plemienia. Kto wtedy u jednego ogniska zasiadał, był już



„swojakiem”, „bliźnim” i „przyjacielem”. Kobiety, pielęgnujące ten skarb, stały się z biegiem tysiącleci uprzywilejowanymi w gromadzie. Kiedy zaś przyszła kolej na pojęcia religijne, osobnik żeński, zwolniony od obowiązku zaspokajania własnych potrzeb codziennych, przekształcił się na służebnicę ognia, a ten po słońcu stał się przedmiotem czci religijnej. Stał się bóstwem domowym.

Starzec doświadczony został wtedy w rodzinie i plemienu głową, „wiedziem” i wodzem, a potem jeszcze, w miarę postępu i uspołecznienia się ludzi, dźwignął godności mędrca i wieszca. Nie darmo do dni naszych przetrwało w mowie „ognisko” jako symbol rodziny i najdroższa jej własność. Co więcej, zostało ono uosobieniem władzy i własnością kobiety. Strzeżenie ogniska domowego uważamy jeszcze dotąd jako symbol szczytnego powołania kobiety.

— Mój Boże, jak to świat się zmienił — rzekł Stanisław. — Dziś nawet szanująca się kucharka uważa sobie za ujmę rozniecanie i podtrzymywanie ogniska domowego. Pod blachą to jeszcze pół biedy, ale w piecach!... Fe! to rzecz najniższej z najniższych, to nie przywilej, » ale upokorzenie.

— Bo też nawet wyrażenie, o którym mowa, utraciło dosłowne znaczenie, stało się niejasnym wspomnieniem stanu rzeczy dawno zapomnianego i trwa już tylko jako szczytna przenośnia w ustach rodu ludzkiego. Zresztą, jak długo jeszcze pielęgnowanie niewygasającego ogniska było ważnym czynnikiem życia, mamy dowód w niezbyt daw-

nej tradycji. Litwini do niedawna strzegli świętego z'nicza, a do dziś przecie żyją na ziemi czciciele ognia. Klasyczny świat poczytywał ogień za najcenniejszy dar niebios, za podarunek bogów. W obyczajach ludu żyją do dziś tysiące śladów czci, której ogień był przedmiotem. I słusznie.

Taki żywioł, któremu człowiek zawdzięcza niemal całe swe dzisiejsze stanowisko, nie mógł zostać zapomniany. Toż i dla nas, dzieci najnowszej cywilizacji, jest on niesłychanie ważnym czynnikiem. Z utratą jednego ognia — człowiek cofnąłby się bezwarunkowo do stanu dzikości.

To prawdziwy dar niebios, który człowiekowi pozwolił przetrwać złe godziny i rozwinął go prędzej niż cała przyroda!

Epoka musterieńsko-magdaleńska — Tarpeja końska
Bezbronny pogromca*

Mroźny klimat łagodniał stale, lecz ocieplenie się powierzchni przyniosło obok korzyści dla mieszkańców środkowej Europy dotkliwie kłęski. Wzgórza, okryte dawniej wiecznymi śniegami, porastały już odwiecznym lasem. Ziemi, zdatnej na mieszkanie, na wyżynach przybywało, ale za to niziny stały się niebezpiecznymi siedliskami i mrowia już ofiar zabrały. Dawne koryta rzek i strumieni nie mogły pomieścić zwiększonej masy wód, która spływała z topniejących śniegów oraz lodów nagromadzonych przez tysiące lat.

Powodzie i zalewy rozległych dolin stały się zwykłym, co rok niemal powtarzającym się zjawiskiem. Nieliczne garstki ludzkie ratując życie musiały się chronić na wyżyny. Kogo zaskoczyła niespodzianie powódź wiosenna, ten ginął bez ratunku. Stosunki takie panowały w całej niemal zamieszkaney Europie.

Leśne puszcze, na setki mil rozległe, napełniały wielkie niedźwiedzie, wielkie koty, hieny itd. Na porośniętych stepową roślinnością równinach pasły się niezliczone stada zwierząt przeżuujących i dzikich koni o dużych głowach.

cv)

Epoka musterieńsko-magdaleńska (od nazw francuskich miejscowości: Le Moustier i La Madeleine, gdzie znaleziono charakterystyczne formy narzędzi krzemienych) — w obecnej terminologii: solutreńska. Patrz tablica III: „Główne etapy ewolucji czelękkształtnych”.

W takiej epoce ocknęli się nasi tułacze. Otaczała ich mgła gęsta.

Rzecz prosta, że z jaskini nie pozostało już nawet śladu. Jedna może na sto ówczesnych ocalała, aby świadczyć później o stosunkach przeszłości.

Anglik przetarł oczy i wpatrzył się w profesora.

— Zdaje mi się, że zasnął na chwilę. Co to za hałas?

Powietrze pełne było łopotu skrzydeł i ptasiej wrzawy.

— Nie wiem, co się dzieje — odrzekł geolog — nic nie widać.

Wtem zerwał się ciepły wietrzyk i rozpędził mgłę, która zasłaniała dalsze plany.

— A to co nowego? — krzyknął zdumiony profesor.

W miejscu wczorajszego wzgórza kredowego o łagodnym spadku ujrzał prawie nad głową strome urwiska, a przed sobą, zamiast pożółkłych brzoź i jałowców, dostrzegł szmaragdową zieleń świeżej i bujnej łączki nad krętym strumykiem, wijącym się pośród wzgórz okrytych gęstym lasem.

Nad strumieniem, u stóp wysokiego i stromego klina skalnego, roilo się od czarnego ptactwa. Kracząca rzesza biesiadowała na trupach.

Żeru musiało być dużo, bo ptaki czuły się jak w swoim żywiole. Gromadami obsiadły padlinę, podlatywały, spychały się tak zwawo i wrzaskliwie, że nie można było dostrzec nic więcej prócz migocących skrzydeł czarnych.

I to wszystko działo się o kilkanaście kroków od naszej trójki, przytulonej do białej ściany skał.

Nagle trzy serca uderzyły jak młotem. Spoza wzgórza zasłaniającego naszych wędrowców wychyliła się postać ludzka.

Mężczyzna prawie nagi, niewielkiego wzrostu, barczysty, niby z brązu ulany, skradał się z ostrożnością kota, a błyszczącym wzrokiem śledził okoliczne drzewa i krzaki.

Kto raz ten wzrok i tę postać zobaczył, ten ich prędko zapomnieć nie zdoła.

Stanisław złodowaciał. Nawet lord Puckins, zimny w spotkaniu z grzechotnikiem, poczuł, że mu krew zbiega do serca. Nie był w stanie oderwać wzroku od ciemnej postaci, od głowy kudłatej, a nade wszystko od tych oczu wpadniętych głęboko i spod niskiego czoła spoglądających jakoś dziwnie, prawie nie po ludzku.

Pociemniało mu w oczach. Wszystkie uczucia i myśli zbiegły się w jednym głuchym zapytaniu:

— Człowiek-że to?

I nie śmiał sobie odpowiedzieć twierdząco.

Patrzył na porośniętą gęstym włosem atletyczną pierś i nogi leśne-

go mieszkańca, na czoło w tył cofnięte, na potężną szczękę dolną i ponure oczy. Patrzył i nie miał odpowiedzi.

— Boże, co za rysy! — szepnął mimo woli.

Tymczasem ostrożnie wychyliła się druga postać, obwinęta przez biodra w skórę lamparcią (*Felis pardus*). Pierwszy przybysz wydał gardłowy krótki dźwięk i obaj zwinnym krokiem zniknęli za drzewami. Jeszcze raz, gdy przechodzili przez strumyk, mignęły ich postacie, wreszcie zakryła ich gęstwina.

— Dobrze, że nas nie spostrzegli — szepnął Stanisław.

— Czyś tego jednak pewny?

— Tak i mnie się zdaje! — rzekł Anglik. — Tym razem ptactwo oddało nam usługę. Wrzeszczy i zachowuje się, zupełnie jakby nas tu nie było.

— Ale co za typy! Musimy być jeszcze daleko od teraźniejszości.

— W każdym razie lodowa epoka chyba już przeminęła? — zagadnął Puckins.

— Nie zauważyłem, czy mieli ci ludzie łuki — rzekł profesor.

— Byli tylko w dzidy uzbrojeni... — zapewniał Stanisław.

— Nie wiem już doprawdy, w jakiej jesteśmy epoce, ale nie wróżę nic dobrego...

— A to czemu?

— Dlatego właśnie, żeśmy łuków nie dostrzegli.

— Cóż mają łuki do epoki?

— Mają i wiele! Łuk jest wynalazkiem bardzo późnym.

— Jakże mogli myśliwi obywać się bez tak użytecznej i niemal koniecznej broni?

— Tak samo, jak się obywali później, i długo, bez broni palnej. Łuk jest w istocie narzędziem bardzo ważnym dla łowcy — poświadczył geolog — ale, aby go sporządzić, należało przedtem dokonać długiego szeregu wynalazków. Na to wszystko człowiek nie mógł się od razu zdobyć.

— Taki prosty wynalazek!

— Każdy po dokonaniu wydaje się prosty i niezbędny, a jednak poprzednio nikomu do głowy nie przyszedł. Wynalazek wymaga szczególnych uzdolnień i wysiłków umysłu, inaczej lada głupiec, co mówię, lada zwierz zdobywałby się na takowy. Ale ich myśl za słaba jest do podobnych wysiłków. Trwają też przy swych obyczajach i nic w nich nie zmieniają. Dla tego samego powodu ludzkie pokolenia przez tysiące lat nie domyślały się, że z giętkiej trzciny i kiszki zwierzęcej można by sporządzić cudowny przyrząd zabijający zwierzynę z odległości, bez dotknięcia jej ręką lub maczugą. Nie ma w tym nic dziwnego. Wszak nawet w wieku karabinów szybkostrzelnych i dział kartaczowych,

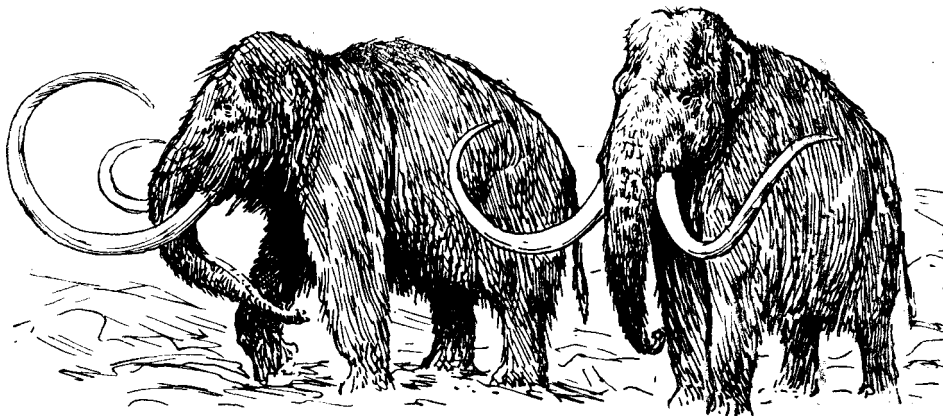
vr wieku, w którym rasa lepiej rozwinięta dokonywa co dzień setnych •wynalazków, żyją jeszcze i umierają plemiona nie znające nawet łaku i nie umiejące zliczyć więcej jak do pięciu.

W czasie tej krótkiej rozmowy na łączce po drugiej stronie strumyka ukazał się mamut z małymi kłami. Za nim szedł drugi, potem trzeci i czwarty. Wspaniałe zwierzęta stąpały tak cicho, że nie czyniły najmniejszego szmeru. Stały wreszcie nad wodą i długo nieruchomie nasłuchiwały, zanim przewodnik podniósł trąbę i dał znak. Wtedy pozbyły się ostrożności i szczęśliwe, swobodne, żwawo jęły wciągać wodę trąbami, polewać się po grzbietach, wreszcie pokładły się w ciasnym i gliniastym korycie na wzór wieprzów i tarzały się w mule porykując wesoło oraz wydając dźwięki podobne do metalicznego głosu trąb. Nagle przerwały kąpiel i w popłochu pierzchły.

Od szczytu urwiska doleciał oddalony tętent i rzenie koni (*Equus caballus*). Z każdą sekundą zgiełk stawał się wyraźniejszym, wreszcie zatrwożył naszą trójkę. Jeszcze chwila i tuż nad głowami tułaczów rozległ się głuchy łoskot ciała roztrzaskającego się o nierówności skały. Niedaleko profesora runął grzbietem o ziemię koń okrwawiony. Za ledwie odskoczył, ściana znowu zajęczała i drugi koń padł łbem u nóg paleontologa.

Konające zwierzę resztkami sił stanęło dęba, rozdeło krwawe chrapy i legło z ciężkim bolesnym westchnieniem.

Teraz poczęły spadać konie po dwa i po trzy od razu. Niektóre, dziwnym trafem nie zabite, zrywały się ogłuszone, rozszalałe i deptały po towarzyszach powiększając groźbę chwili. W tym samym momencie, dziki wrzask podniósł się w zaroślach poza strumieniem i odbił przeciągłym echem od kredowego urwiska. Zaległa znowu cisza, przery-



wana tylko stękanie pokrwawionych koni. Wędrowcy nasi nie umieli sobie zdać sprawy z tego, co zaszło. Instynktownie przytulili się pełni grozy do skały.

Tymczasem pod osłoną drzew i krzewów zbliżała się do strumienia gromada myśliwców, polujących na tabun koni dla mięsa, a bardziej dla zdobycia szpiku. Gdyby nie obce postacie, które już dostrzegli, przybyłaby tu ona z hałasem i okrzykami triumfu. Ale śmiałkowie, którzy poważyli się wejść im w drogę, a może zamierzali korzystać ze zdobyczy, obudzili ich nieufność i ciekawość. Była to dzika i groźna gromada. Każdy z pónagich myśliwców uzbrojony był w dwa lub trzy dziiryty, zakończone zgrabnymi krzemiennymi grotami. U każdego za pasem tkwił krzemień w kształcie niezgrabnej motyki, umocowanej żyłami zwierząt do drewnianego trzdńka, albo płaski szeroki sztylet krzemienny o dwóch ostrzach, arcydzieło roboty kamieniarskiej.

Żadna gałązka nie chrupnęła pod nogami rozsypanej w półkole i czającej się gromady. Tylko kudłate głowy, okryte wilczymi i lamparciami łbami, tylko błyszczące oczy i uchylone w dzikim zapale białe zęby ukazywały się chwilami spoza liści i gałęzi.

Zacieśniali oni koło i porozumiewali się zaledwie dostrzegalnymi ruchami dziiryta. Gdzie brakło osłony, pełzali bez szelestu po ziemi, łudząco podobni do zwierząt, których skórą okryli swe plecy i głowy. Umieili oni w ten sposób podchodzić płochliwą zwierzynę i wymierzać z bliska cios niezawodny. Niektórzy zuchwałstwo i krew zimną posuwali do tego stopnia, że schodzili na kilka kroków śpiącego lwa albo niedźwiedzia i kładli trupem, zatapiając nagle dziiryt w oku lub sercu zwierzęcia.

I ten konający tabun, mimo bajecznej czujności ogiera, dostał się w pułapkę tylko dzięki przebiegłości kilku, ludzi po tej stronie strumienia. Pełzali oni całymi może godzinami, cierpliwi i baczni na wszystko, póki nie otoczyli pasącego się stada, a potem nagłym ukazaniem się, krzykami i wyciem, postacią półzwierzęcą odebrali zaskoczonym zwierzętom przytomność i zagnali je rozmyślnie na cypel bez wyjścia, aby rozszalałe ze strachu wpędzić nad przepaść. To był także wynalazek morderczy, niegorszy od łuku. W takim polowaniu zasmakowali, bo przy obfitości tabunów, przy małym ryzyku, dawało stokroć obfitszy łup aniżeli uciążliwe, a często niebezpieczne uganianie się za pojedynczą, ostrożną i szybkonołą zwierzyną.

Lord Puckins, najbiegły w myśliwskich wybiegach, czas jakiś śledził zbliżających się myśliwych, ale prędko znikli mu z oczu. Wyteżonym wzrokiem ogarniał Anglik odkryty brzeg strumyka, pewny, że dostrzeże wcześniej napastników, gdyby się tu podejść ośmielili. Tymczasem łudzący spokój i cisza zapanowały dokoła. Lord Puckins

nie wiedział, że zza krawędzi skały wychyliły się dwa łby wilcze i dwie pary ludzkich oczu śledziły z góry bezbronną gromadkę. Synowie puszczy dokazywali bez trudu podobnej sztuki, którą schodzili śpiących lwów i płochliwe konie.

Trzech myśliwych, okrytych wilczurami, podpełzło z boku pod osłoną krzewów i kamieni na rzut dziryta do naszej trójki, **która** ani się domyślała bliskiego niebezpieczeństwa. Potem, pod osłoną cielsk końskich, ludzie ze schyłku epoki musterieńsko-magdaleńskiej zbliżyli się na kilka kroków, ale nie śpieszyli z napadem. Dopiero gdy cała gromada znalazła się w bliskości i obserwowała ciekawie niezwykłych gości, Puckins bezwiednie pociągnięty siłą ich wzroku, odwrócił się i ujrzał o kilkanaście kroków przed sobą wilczy łeb, oparty na rozciągniętym końskim kadłubie. Bezbronny — pojął w jednej chwili grozę położenia.

Musterieńsko-magdaleński Europejczyk wziął niezawodnie naszą gromadkę za nieznaną sąsiadów, którzy tu przyszli z dalekich stron z zamiarem osiedlenia się lub polowania na cudzej ziemi. Wiedział lord, że jeszcze w XIX wieku w głębiach Afryki płaci przybłęda podobne przewinienie życiem, a ciało jego spożywają z triumfem zwycięzcy. Skądże tu, wśród tych srogich myśliwców, mogłoby być lepiej?

— Zginęliśmy, profesorze! — zawołał. — Nie mamy się po co dłużej ukrywać.

W tej samej chwili wilk podniósł się nagle. Toż samo uczyniło kilka innych postaci i z podniesionymi do rzutu dzirydami czekali hasła przywódcy. Przedpotopowicz oniemiał, tymczasem Puckins wyprostował się także, z zimną krwią założył ręce po napoleońsku, potem z głową podniesioną i pewnym krokiem zbliżył się do pierwszego napastnika. Gdy stanął o trzy kroki przed nim, uroczystym ruchem sięgnął do ust własnych i nie spuszczać oczu z dzikiego wyciągnął ku niemu dłoń, na której bielili się szereg sztucznych zębów na kauczukowym podniebieniu.

Skutek nastąpił piorunujący. Myśliwiec jęknął chrapliwie, rzucił dzidę daleko od siebie i padł twarzą na ziemię. Lord Puckins wyniosły i sztywny szedł z dłonią wyciągniętą dalej, ale o dziwo, nikogo nie ujrzał. Dzicy pierzchli, jakby się zapadli pod ziemię. Można by sądzić, że byli marami, gdyby nie pozostał jeden, ów pierwszy, rozciągnięty nieruchomie na trawie.

Długogłowy syn puszczy drżał jak liść osiki.

Puckins pochylił się nad leżącym, ujął go z lekka za ramię i położył mu rękę na głowie.

Potem odwrócił się z zimną krwią i odszedł.

Obywatel boru spojrział nań wzrokiem pełnym obaw i uradowania i pełzając tyłem oddalił się pokorny, aż znikł w gęstwinie.

— No! Pozbyliśmy się nieproszonych gości — rzekł swobodnie Anglik.

— Podziwiam cię, lordzie! — wyszeptał zachwycony Przedpotopowicz.

— Nic wielkiego. Stara sztuka! Już raz ocaliła mi życie. Teraz nie trzeba tym zuchom przeszkadzać ani zbytnio dowierzać. Pilno im pewno płać konie.

*Druga epoka lodowa — Zdetronizowany król czworonogów
schodzi do grobu — Filozofia Magdalenczyków*

Nastał ranek zimny, prawie mroźny. Nagie gałęzie drzew, kamienie omszałe, wyschłe i szronem zwarzone trawy i zioła okrywał pierwszy i przedwczesny śnieg.

Puszcza szarobiała wydawała się zamarła lub uśpiona. Wschód słońca poprzedzała uroczysta cisza. Tylko lipy i buki żałobnie szeleściły resztkami liści roniąc je za najłżejszym powiewem. Na wschodzie, przez konary brzoź, sosen i jodeł, rumieniło się słońce, mające się dopiero z mgły rozpowić.

Para sów uszatyh (*Otus deminuta*) skrzypiącym głosem wabiła się do spoczynku w gnieździe zabrany sójce (*Garrulus glandarius*) wrzaskliwej. Dzielne ptactwo zaczynało się budzić wśród gałęzi i zrywało niespokojnie z kryjówek. W pośrodku doliny otoczonej wzgórzami porośniętymi lasem, pod wiekową wypróchniałą lipą paliło się ognisko, podsypane gałęzmi jałowcu i cisu.

Nagle zaszumiła puszcza. Uśpiona osika zatrzęsa nagimi gałązkami, zaszemrała brzoza. Spoza igiełek szronowyci wystrzelił promień jak snop złoty.

Odezwała się kukułka. Wyjrzał z gęstwiny łos (*Alces palmatus*), podniósł głowę, pociągnął chrapami powietrza, poskrobał się rosochami po grzbiecie i zwolna zawrócił w las.

Z drugiej strony boru z oddali przypląnął ryk żubra. Przedpotopowicz otworzył przymknięte na chwilę i znużone od czuwania powieki.

Dorzucił gałęzi i ogrzał skostniałe ręce nad ogniem. Na chwilę ożywiony widokiem wschodzącego słońca, lord Puckins skupił się w sobie. Stanisław strapiony, z posiniałym od zimna nosem, opuścił znużone dłonie i skarżył się w duszy na twardą dolę.

Ledwom się ognia dokrzesał! — myślał. — Nie dość, że pokrwawił ręce, teraz znowu nie czuję już palców od łamania tych przeklętych gałęzi. Palą się jak słoma. Nie można nastarczyć z dorzucaniem.

— Ładnej doczekaliśmy się pory! — przemówił do Anglika.

— Pewno zima teraz.

— Pomarzniemy pierwiej, zanim z tych przeklętych wydostaniemy się okolic.

— A może wpadliśmy gdzie na krańce Skandynawii? — przemówił profesor.

— W takim razie zginęliśmy na pewno — zawyrokował Puckins i bezwiednym ruchem sięgnął do zegarka.

— Kwadrans na szóstą — wyrzekł obojętnie.

Profesor zaprotestował.

— Musi być znacznie później.

— Mój chronometr nieomylny.

Geolog spojrział na swój zegarek.

— Prawda! — zawołał zdziwiony. — Nigdy się tego nie spodziewałem! Sądzić by można, że to październik, a tymczasem, jak widzę, mamy dopiero koniec sierpnia.

— Po czym to rozpoznajesz, profesorze? — zagadnął Anglik.

— W październiku słońce przecież wschodzi między szóstą a siódmą, dziś zaś ukazało się w kilka minut zaledwie po piątej.

— Twoje spostrzeżenie potwierdza mój smutny domysł — rzekł lord. — Musimy być gdzieś na dalekiej północy.

— To niemożliwe — rzekł profesor i wyciągnął rękę w kierunku lipy. — Ta staruszka sprzeciwia się twemu przypuszczeniu i te buki, choć nędzne, również dowodzą, że jesteśmy w środkowej Europie.

— I zapewne w naszych już czasach — dodał Anglik. — Las jest zupełnie taki jak nasze. Słyszałem nawet wycie wilka. t

Geolog zamyślił się na chwilę.

— Niestety! Obawiam się, że daleko nam jeszcze do domu.

Rozmowa się urwała.

Lord Puckins oddalił się po nowy zapas gałęzi na opał. Zaledwie rozejrzał się, dostrzegł jakieś ślady na pobielającym gruncie.

— Znowu tropy słońca! — krzyknął, bardziej zdziwiony niż przestraszony. — Ale cóż może tu robić słoń w tym klimacie?

Przedpotopowicz żywo pobiegł sprawdzić spostrzeżenia przyjaciela.

— Nie jestem myśliwym — odrzekł i nie poznałbym w tych niewyraźnych śladach trąbowca, ale jeśli tak jest, jak twierdzisz...

— Nie ma wątpliwości — przerwał mu Anglik.

— W takim razie mamy rozwiązanie sprzeczności.' Twój zegarek przed chwilą dał nam pierwszą wskazówkę, te tropy dopełniają ją w sposób nieomylny. Jesteśmy, gdzieśmy byli onegdaj i wczoraj, ale już w samej pełni trwania zimnej i suchej doby magdaleńskiej, zwanej także epoką renifera, a tropy należą jeszcze do mamuta.

— To znaczy, że bardzo jakoś powoli wydobywamy się z otchłani czasu — dorzucił Anglik.

— Przybliżyliśmy się do naszej epoki od wczoraj zaledwie o dwadzieścia tysięcy lat.

Ciepła epoka, na którą wczoraj patrzyliśmy, minęła dawno, a na świat europejski spadła nowa klęska.

Zimy od dawna poczęły stawać się znowu coraz mroźniejszymi, a lata chłodniejszymi. Można by rzec, iż wróciły czasy mustiereńskie. Temperatura obecnie średnio jest o kilka stopni niższa niż za czasów historycznych.

Całą Europę północną pokrywają znów tundry i śniegi Laponii i Syberii. W środkowej panuje klimat Skandynawii. Co mogło, ustąpiło stąd dawno szukając ocalenia w cieplejszym klimacie. Niedobitki lwów, łosie, tury i żubry schroniły się na południowe krańce Europy, ostatni tylko olbrzym Europy, mamut, został najdłużej, ale i on w końcu ulegnie pod zabójczym tchnieniem zimy. Konie, kozy, antylopy (*Rupicapra europaea*), daniela (*Cervus dama*) i saiga trzymają się wytrwale tu i ówdzie, ale głównym zwierzęciem, które ożywia teraz rozległe i smutne tundry oraz puszcze i czuje się tu w swoim żywiole, jest renifer w orszaku hien i wilków.

— Cóż się stało z człowiekiem zamieszkującym Europę?

— I teraz nie uląkł się srogości przyrody. Pozostał w ojczystych miejscach i wystąpił do skutecznej walki z przeciwnościami. Wszędzie gdzie pasą się stada reniferów, spotkać można nieliczne garstki ludzi

okrytych w skóry. Zaopatrzeni są oni dobrze w broń, wyrobioną z kamienia, kości i rogów reniferowych. Skąpe i mizerne płody świata roślinnego nie mogą już ich wyżywić. Zwrócili się tedy niemal wyłącznie do polowania i rybołówstwa. Twardy to żywot. Zwierzęta dla paszy zmieniają bezustannie miejsca pobytu. Skoro śnieg stwardniały pokryje mizerne mchy i porosty, jedyne ich pożywienie, uchodzą renifery ku południowi, gdzie zima jest łagodniejsza. Zapuszczają się one aż do Pirenejów i Apeninów, a dopiero, gdy wiosna stopi biały całun północy, wracają te zwierzęta na dawne siedziby. Gromady myśliwych chcąc nie chcąc muszą stosować się do wędrówek głównych żywicieli swoich i wiodą żywot koczujący.

Rzecz dziwna! Pomimo niewygód i niebezpieczeństw długogłowy ród myśliwców jest miłym, wesołym, czynnym i dobrodusznym. Nieustrudzeni koczownicy nie znają zazdrości ani waśni i pomagają sobie wzajemnie.

Czy to wiecznie pogodne niebo i gwiazdziste noce budzą w ich sercach jakieś jasne instynkta, czy jednostajność chłodnej temperatury przy trudach koczowniczego życia nie pozwala wybujać burzliwym namiętnościom, czy może łatwość i obfitość zwierzyny odstrasza widmo głodu, dość że gromadki zapamiętałych myśliwych czują się szczęśliwymi. Nie wyobrażają sobie zresztą innego życia nad to, jakie prowadzą. Kochają swą biedną puszcę rodzoną, szanują mamuta, dobrotliwie oszczędzają reny i inne dobre zwierzęta. Pełni sił, wyzywają niebezpieczeństwa, a zwycięstwo nad czworonożnym wrogiem upaja ich. Przyroda jest dla nich żywą, wiecznie otwartą księgą. Z niej czerpią mądrość, którą przetwarzają bezwiednie w swych pierwotnych sercach na dobro i piękno. Dobro to i piękno są dalekimi od naszego udoskonalonego dobra i piękna, od naszych ideałów, ale na owe odległe czasy wystarczają i są szczytem. Jedynym majątkiem człowieka jest licha broń, czyli garstka narzędzi z krzemienia i rogu, ale z tymi rzeczami przy zdrowiu osiąga on wszystko, o czym zamarzy. Nic tedy dziwnego, że całą ambicję i przyjemność stanowi wyrabianie i posiadanie tej broni jak najpiękniejszej. Więc też zręczniejsi i obdarzeni poczuciem artystycznym ozdabiają w wolnych chwilach rogowe i kościane narzędzia rzeźbionymi lub rytymi wizerunkami zwierząt, których udatność dziś nawet podziw nasz budzi...

— Wszystko to dobrze, ale zmarzniemy, jeśli zostaniemy tu dłużej w naszych lekkich kostiumach — odezwał się Anglik.

— Zapewne mogłoby to nastąpić — odrzekł profesor — ale widzę łatwą radę. Będziemy palić ognisko, póki nie doczekamy szczęśliwie jutra. Jutro powinniśmy się znaleźć już w naszym świecie. Wszak to już najwyżej piętnaście tysięcy lat dzieli nas od dobrodziejstw cywilizacji.

Gdy tak radzą nasi, o kilkaset kroków rozgrywała" się/inna scena.

Brodacz o ciemnobrązowej cerze, odziany na wzór Eskimosa w skórę zwierzęcą, na jakiej zbywało naszym biedakom, z głową okrytą futrzanym kapturem, z twarzą pomalowaną białymi i czerwonymi farbami ziemnymi, jak to czynią i dziś nie ucywilizowane ludy, spotkał się na skrócie oko w oko z potężnym niedźwiedziem. Jest to najstraszniejszy bez wątpienia zwierz miejscowy. Można było jeszcze uciekać, a choćby przygotować się do obrony, ale snadź ucieczka i walka nie obiecywały szans powodzenia, skoro ciemnoskóry, uzbrojony w dwa dziryty, łuk i maczugę nabijaną ostrymi odłamkami krzemiennymi, padł na kolana przed zwierzem i patrząc mu prosto w oczy począł szybko i donośnym głosem przemawiać w swoim języku do niego mniej więcej w następujący sposób:

„Dobry staruszk, mocny panie mój! Ty wiesz, że nic złego nigdy ci nie uczyniłem. Po coś mi wszedł w drogę, mocny staruszk! Nie gniewaj się i odejdz!”

Na brzydkiej, mocno zarośniętej twarzy jego, o nosie szerokim i spłaszczonym, o wargach grubych i wydatnych malował się wyraz przerażenia i rezygnacji.

Uderzył głową o ziemię, po czym wyciągnął się plackiem przed niedźwiedziem.

Dziwna rzecz. Srogi kudłaty olbrzym popatrzył przez chwilę na człowieka i snadź syty, minął go spokojnie.

Człowiek został przez długą chwilę nieporuszony. Podniósł potem głowę, aby śledzić kierunek, jaki obrał król ówczesnej Europy. Następnie wzrok jego zabłysł radością. Pochwycił amulety wiszące na piersiach i dotknął ich ustami. Gdy już straszny zwierz znikł za wzgórzem, zerwał się i roześmiał się szczerym, radosnym śmiechem dziecka. Nagle stanął jak wryty. Z oddali doleciał go krótki świst. Eskimos ujął w rękę kościaną piszczałkę wiszącą na cienkim rzemyku u pasa i odpowiedział donośnym świśnięciem. Potem szybkim, elastycznym krokiem podążył tam, gdzie znikł niedźwiedź. W pozornie bezludnym lesie zjawilo się w milczeniu, niby spod ziemi, kilka podobnych doń, dobrze uzbrojonych postaci. Były one dotąd ukryte wśród skał i poza pniami drzew. Równocześnie przeszył powietrze stłumiony ryk niedźwiedzia. Był to ryk gniewu i przestachu. Przed chwilą zatrzeszczały pod jego stopami gałęzie i olbrzym zapadł się w jamę ukrytą pod warstwą mchu i gałęzi i przyprószoną jeszcze świeżym śniegiem. Myśliwi wydali przeciągły okrzyk i pędem pobiegli w kierunku, w którym znikł największy po wymierającym mamucie olbrzym ich krainy. Na dnie głębokiej jamy miotał się zwierz mocny.

Myśliwi obstąpili pułapkę i zajrzeli do jej wnętrza. Najstarszy pod-

niósł głowę w górę i patrząc w niebo odezwał się w te słowa do niedźwiedzia:

„Wybacz, wielki niedźwiedziu, że zabiję twego sługę. Sam_ sobie winien. Po co biedak szedł tędy i wleciał w dół? Nie mścij się, bo ty wiesz, że zima się zbliża i człowiek podziękuje ci za ciepłe futro”.

Po tej przemowie wymierzył cios. Dziryt utkwiał w przedniej łopacie niedźwiedzia.

Każdy z myśliwych zagłębił swój pocisk i w oczekiwaniu na skutek ciosów wszyscy stanęli z nową bronią w pogotowiu. Ciężki olbrzym, sącząc posoką, ryczał i miotał się wściekle. Kudłate łapy, uzbrojone w straszliwe stalowe szpony, darły ziemię. Stojąc na tylnych łapach w ciasnej i głębokiej jamie, wyszczerzał spod drgających warg kły i zęby, osadzone w muskularnych szczękach. Usiłował wydobyć się z jamy, podstępnie wykopanej przez Eskimosów na zwykłej jego ścieżce.

Ale jama była szersza u dołu niż u góry, przeto próżne czynił wysiłki. Gdy połamał drzewca dzirytów i strzał ocierając się o ściany więzienia, nowe pociski zadały świeże rany. Wreszcie osłabły i dobity uderzeniami kamieni i maczug, legł potworny niedźwiedź na dnie pułapki.

Dopiero teraz myśliwy, który pierwszy zagłębił pocisk w ciele zwierza, pośpieszył co prędzej upokorzyć się przed jego zwłokami. Przypadł do ziemi i jęczał. Potem wskoczył lekko do dołu i pocałował stygnącą



mordę trupa. Przymknął mu następnie oczy, a zebrani nad-dołem zain-tonowali dziwnie jednostajną, smętną nieco pieśń bez słów.

Następnie rozpoczęły się skoki w rodzaju tańca. Zapanowała żywa i hałaśliwa radość. Myśliwi padali plackiem na ziemię, obejmowali się w przyjacielskim uścisku, nacierali na siebie, potrząsali groźnie dziry-tami i łukami, po prostu nie wiedzieli, co mają czynić, aby okazać radość z *tak* rzadkiego i pomyślnego rezultatu swej ciężkiej pracy nad wykopaniem dołu. Gdy już się pomęczyli, dopiero przystąpiono do zdzierania skóry.

Rozcięto ostrymi krzemykami skórę na brzuchu, a potem, nie tknąw-szy mięsa, przysypano niedźwiedzia ziemią, naznaczono dobrze miejsce i gromadka pijanych radością myśliwych żwawo oddaliła się do groty, którą obrała na chwilowe zamieszkanie, j do nor skleconych naprędce z ziemi, kamienia i gałęzi.

Nie był to koniec wybuchów radości. Wkrótce mieli tu powrócić liczniejszą gromadą, szczęśliwi, dumni, uzbrojeni w rtajlepszą broń, mieli obdrzeć straszną za życia zdobycz z cennej skóry, zabrać łeb zawierający kły, należące do najpotężniejszych amuletów, i oddać to wszystko temu, kto niedźwiedzia wytropił i pierwszy ugodził. Mięso zaś należało do całej gromady. Na kilka dni radość zapanowała w gro-madzie, bo srogi niedźwiedź niezmiernie rzadką bywał u tych bied-nych myśliwców zdobyczą.

cv)

Nasi tułacze tego wszystkiego nie widzieli. Zasiedli u ogniska i płą-ząc od dymu ogrzewali kostniejące członki. Byle by doczekać wie-zora! To była główna troska. Drugą stanowiło poczucie zupełnej bez->ronności.

— Nie mogę odżałować, zem nie wziął broni spuszczać się do zczeliny! — mówił Puckins.

— Któż się spodziewał, że będziemy mogli pod ziemią polować na fP/rysy, mamuty i niedźwiedzie — zauważył Stanisław.

— Najbardziej żałuję tego, że nie mam narzędzi potrzebnych do iezbędnych obserwacji naukowych — biadał geolog. — Sposobność do ażnych spostrzeżeń zupełnie zmarnowana! Nawet szerokości geo-•aficznej nie mogą oznaczyć ani ciśnienia atmosfery, ani tyłu najko-ecniejszych a niezmiernie ważnych szczegółów. Przy tym najgor-e, że nic stąd zabrać nie można. Tyle nieocenionych skarbów nauko-fch pod ręką i wszystko musi zostać!

— Moglibyśmy łatwo okazami napełnić całe twoje muzeum. Nie-

prawdą, profesorze? I jakimi jeszcze! Całymi, świeżymi, a co najważniejsze: niewątpliwej autentyczności.

— Nie rozdzieraj mi serca, lordzie.

— Inaczej byśmy się zwijali mając pewność, że co zdobędziemy, to już nasze! — rzekł Stanisław.

Lord Puckins pomyślał chwilą.

— Zabrać ze sobą nic nie możemy, to prawda — rzekł z powagą — ale za to nic nam nie przeszkadza zostawić po sobie trwałą pamiątki.

— Co przez to rozumiesz?

— Zaraz zobaczysz. Przystąpimy do dzieła, które na całe tysiącolecia uwieczni nasze imiona.

— Jak to? Unieśmiertelni nas aż na tysiącolecia?

— Tak mi się zdaje!

— Cóż zamierzasz uczynić? Pamiętaj, że nieśmiertelnością cieszą się tylko nieliczne i wyjątkowo szczęśliwe geniusze! Iluż najslawniejszych pamięć zatarła się po kilku, a nawet paru wiekach.

— Będziemy usiłowali, aby nasza dłużej przetrwała. Leży to w znacznej części w naszej mocy. Oby tylko czasu starczyło.

Przedpotopowicz spoglądał na Anglika z niedowierzaniem. Nie mógł pojąć, o co mu chodzi.

— Poczekaj, profesorze. Przede wszystkim potrzeba nam skały, i to nie byle jakiej. Takiej, co niełatwo ulega wpływom atmosferycznym. Twoja w tym głowa, aby mi taką wskazać. Resztę biorę już na siebie.

Geolog z łatwością spełnił życzenie Anglika, któremu do nieśmiertelności tak niewiele było potrzeba, i ze zdziwieniem patrzył, jak Puckins uderzeniem kamienia rozbił okładką jedyne go swego wielkiego noża, aby stalową klingę uwolnić od sprężyny i oprawy.

— Pozwalam ci, profesorze, oddać się swoim studiom, a my ze Stanisławem weźmiemy się do dzieła. Czas nagli, a ty nam nie jesteś potrzebny.

— Innymi słowy, chcesz się mnie pozbyć?

— Dziękuję za domyślność. Pragnę ci zrobić niespodziankę. Ale, ale, powiedz mi jeszcze, gdzie dziś właściwie jesteśmy?

— Niewątpliwie, że jeszcze w Alpach dynarskich w bliskości Dunaju.

— Wybornie, więc nad Dunajem, a ile lat do naszej ery?

— Trudno to przy braku instrumentów naukowych określić — rzekł po namyśle profesor — zawsze jednak najmniej z jakie 15 tysięcy lat.

— Dziękuję i nie przeszkadzam — rzekł krótko Anglik i ukłonił się na znak, że pragnie pozostać sam.

Profesor, naprawdę zaintrygowany, zwolna się oddalił.

Lord Puckins pracował do zmroku w pocie czoła.

Stanisław krzątał się jak umiał, wypełniając trudne nieraz polecenia

Puckinsa. Profesor, zatopiony w obserwacjach puszczy i notowaniu spostrzeżeń, nie przeszkadzał im i dopiero głośne nawoływania sprawdziły go do stóp skały: Tutaj ujrzał Anglika na niskim rusztowaniu z gałęzi i kamieni, wykończającego stalowym drutem ostatnie litery napisu na gładkiej powierzchni skały. Stanął i wyczytał następujące słowa:

KU WIECZNEJ SŁAWIE LESZKA PRZEDPOTOPOWICZA,
PIERWSZEGO PODRÓŻNIKA PO EUROPIE,
KTÓRY W STO PIĘCDZIESIĄTYM WIEKU PRZED CHRYSYSEM
ZWIEDZIŁ PORZECZE DUNAJU,
NAPIS TEN KLADZIE WIERNY TOWARZYSZ JEGO,
LORD PUCKINS NA PUCKINSTONE. ^x

#

Mimo woli uśmiechnął się z tego dowcipu.

— Pojmujesz teraz, profesorze, swoją wielkość? Jesteś nie tylko odkrywcą Dunaju, ale pierwszym uczonym, który dotknął stopą Europy, i to na sto pięćdziesiąt wieków przed Chrystusem!

Czyż te czyny niegodne ci zapewnić wiekuistej sławy? Czy nie zasługujesz w zupełności więcej niż na ten skromny pomnik? Wszak Kolumb ma ich kilka, a odkrył tylko Amerykę, i to wtedy, gdy już przed nim zwiedzali ją inni, mniej szczęśliwi podróżnicy. Ty zaś jesteś bezsprzecznie Kolumbem Europy, co mówię, nie tylko Europy, ale całego globu ziemskiego...

Przedpotopowicz roześmiał się szczerze i uściskał gorąco dłoń lorda.

— Szkoda twej pracy i wybornego noża, lordzie, bo mimo twego pomnika świat o naszym sławnym odkryciu nie dowie się wcale. Zanim się znajdzie na ziemi istota zdolna go przeczytać, już z napisu ślad nawet nie pozostanie. Choćbyś go nawet wyrył najgłębiej i w najtrwalszej skale, choćby i skała dotrwała!

— Jak to? I ty, paleontolog, ty, archeolog, śmiesz prawić podobne herezje? A czyjaż ręka nakreśliła rysunek mamuta i tylu innych zwierząt na kościach i rogach reniferów z epoki lodowej? Sam twierdzisz, że te rzeźby są dziełem artystów z epoki lodowej. Dlaczegoż więc mój pomnik nie ma przetrwać dwudziestu pięciu tysięcy lat, skoro krucha kość z delikatniejszą rzeźbą ten czas przetrwała?

— Warunki wyjątkowe... Traf jeden na tysiąc...

— Może i tu zajdzie coś wyjątkowego. Namuły jakieś zasłonią mój napis od zniszczenia, a kiedyś, kiedyś, gdy nas już nie stanie, odsłonią może i obwieszczą światu fakt nieznan...

— Bronisz dzielnie swego pomnika! — zaśmiał się profesor. — Niechcie więc dotrwa jak najdłużej. Dzięki ci serdeczne za nieśmiertelność, i teraz wracajmy do ogniska, bo coraz zimniej i noc się zbliża.

*Rodzaj ludzki obejmuje tron ziemi — Czasy kambińskie**
Skaih droższy nad wszystkie perty morza

Po wiekach dziwnie srogich zim nastały znów dobre czasy. Wróciło ciepło, a z nim tu i ówdzie napłynęła i odżyła południowa fauna. Wprawdzie nie przedarły się morzami oddzielone od Europy hipopotamy i nosorożce, nie stało wielu roślinożerców ani zgrai przemożnych kotów, które by dziesiątkowały ich nie dość ostrożne stada. Rozległe na setki mil puszcze leśne drżały jednak od ryku zwierza. Roje ptaków i owadów stały się bodaj liczniejszymi aniżeli przedtem. Nieprzeliczone gatunki o najprzeróżniejszych kształtach i barwach napełniły wody, powietrze, trawy i lasy. Mimo tę pełnię życia puszczy i stepów liczba ssaków znacznie była już mniejszą w porównaniu do minionych czasów miocenu i pliocenu, Królowanie czworonogów chyliło się już szybkim krokiem ku upadkowi. Nawet poważny mamut i niedźwiedź olbrzymi** podzieliły los mastodonów i machaerodusów o kłach straszliwych.

Renifery, wypastowane na mchach twardych, wyniosły się nieznacznie ku biegunowi, a za nimi poszła znaczna część Europejczyków, których byt wieki związały z tymi zwierzętami.

Nie wrócili już oni potem nigdy z dalekiej północy w te strony. Zostali wierni surowym zimom, naturze wędrownej i swym reniferom. Ci tylko, którzy zostali, żyli się z lepszymi warunkami. Ci wiedli łatwy żywot, bardziej jeszcze marzycielscy i wrażliwi na piękno przyrody*** Opuszczone przez własnych synów albo zbyt słabo jeszcze zaludnione przez myśliwców puszcze i sawany niedługo oczekiwały na ludzkich mieszkańców. Lud innego szczepu, wyższy w kulturze, powoli, ale stale rozchodził się ze swej nieznannej nam ojczyzny w różne strony. Znajdował on na zachodzie stepy i lasy wolne, prawie bezludne. Osiadał w nich, a każde nowe pokolenie zapuszczało się nieznacznie mimo woli coraz dalej a dalej w puszcze głucho, bogate w zwierza, w żywność i oczekujące tylko na przyjęcie człowieka.

Przybysze owi znacznie się różnili od pierwszych Europejczyków. Nic też dziwnego, że oba szczepy, spotykające się przypadkiem unikały, bliższych stosunków.

* Czasy kambińskie — w obecnej terminologii: kultura mezolityczna przechodząca ku neolitowi.

** Niedźwiedź olbrzymi — niedźwiedź jaskiniowy, (przyp. aut.)

*** Obecnie nauka inaczej komentuje poruszone tu zagadnienia. Patrz przypis do str 208.

Czwartorzędowcy, jako koczownicy, kochali tylko wolny step, więc bez oporu ustępowali i cofali się bezwiednie na północ i zachód przed falą przybyszów. Mała ich część zostawała i z uległością a podziwem przyjmowała wyższą kulturę.

Plemię noworozmnożone, którego siedzibę ujrzał geolog z Puckinsem, było już starym ludem. Nie licząc tysięcy lat żywota w pierwotnej cjeżyźnie, mieszkało już ono od wieków w nowoobjętej krainie. Byli to po dziesięćkroć prawnukowie pierwszych wychodźców. Zapomnieli już, skąd, z jak daleka przyszli, i uważali kraj długogłowców za swój własny. Prawych dziedziców tej ziemi mało znali.

Na pograniczach tylko zapuszczając się w nie znane sobie głusze, spotykali niekiedy długogłowców, a nawet nawiązywali z nimi wątłe stosunki.

Wtedy ta rasa miejscowa imponowała im siłą i zręcznością fizyczną. Mimo surowości i niższości imponowała jakimś majestatem pogody i szlachetnej prostoty.

Obyczaje, tryb życia i sposób myślenia tych dwóch ras ludzkich były całkiem sprzeczne.

Dawni Europejczycy byli koczownikami, ci prowadzili żywot osiadły; tamci utrzymywali się z polowania i nie mogliby nawet pojąć pożytku z grzebania się w ziemi, ci przynieśli z sobą pracowitą sztukę spulchniania ziemi motyką, czyli pierwotną „sochą”.*

Dawni Europejczycy mieli łupane tylko narzędzia krzemienne, gnieździł się po jaskiniach i czasowych kryjówkach, zresztą zahartowani i odważni koczowali w puszczy, gdzie się trafiło, ci prócz łupania umieli już pracować polerować kamień, wyrabiali z niego ostre siekierki, dłuta i młoty. Mieszkali stale w jaskiniach i po zacisznych chruściankach, a zasiewali w ziemię ziarna szlachetnych traw, które nieśli ze sobą.

Dawni tubylcy piekli tylko mięso lub suszyli. Nie mieli pojęcia o gotowaniu na ogniu, nie znali także sztuki garncarskiej. Gotowali wprawdzie i oni niekiedy strawę, ale w sposób bardzo niedogodny, przez wrzucanie kamieni rozpalonych do worków skórzanych z wodą. Przybysze rozgrzewali dawniej wodę nad ogniem w nietrwałych naczyniach

* Autor z przesadną ostrością przeciwstawia tu tubylców — przybyszom, łowców — rolnikom, „długogłowców” — „krótkogłowcom”. Pogląd ten wynika z rozpowszechnionej wówczas „teorii wędrówek”. Wedle tej teorii przechodzenie do wyższych form gospodarki spowodowane było zwykle przybyciem ludu wyróżniającego się m. in. odrębną budową ciała, wrodzonymi uzdolnieniami itp.

Dziś wiemy już — na podstawie licznych wykopalisk — że napływające z południa ludy rolnicze mieszały się ustawicznie z tubylcami, że łowieckie plemiona na wielu obszarach samorzutnie przechodziły na rolniczy tryb życia.



Teraz poczęły spadać konie po dwa i po trzy od razu. (str. 195)

1

«

ze skór zwierzęcych, kory lub plecionki, ale oblepiali ją gliną w celu zabezpieczenia od spalenia. Powoli wszakże przekonali się, że sama glina po wypaleniu staje się twarda jak kamień. Nauczyli się tedy ulepić z czystej gliny garnki i misy na potrzeby domowe i wypalać je dla nadania większej twardości. Wykruszone lub opalone z kłosów ziarna żyta i jęczmienia,* prażyli, gotowali, czynili z niego polewki, kruszyli na kaszę, ucierali na mąkę, ugniatali z wodą na podpłomyki.

U pierwszych pojęcia religijne były zupełnie inaczej rozwinięte, czcili głównie przyrodę. U krótkogłowych wiara w niewidzialne potęgi i w życie zagrobowe głęboko zapuściła swe korzenie. Na wskroś jeszcze dziecinna i ciemna, napełniła złymi i dobrymi duchami puszcę i ziemię. Powietrze i wody oplatały człowieka tysiącem więzów tajemniczych i zależnością od martwej i żywej przyrody. Dawni koczownicy mało troszczyli się o umarłych, ci zaś z wielkim mozolem zabezpieczali i wyposażali ciała zmarłych wierząc, że śmierć nie przerywa ludzkiego żywota, jeśli tylko ciało nie ulegnie zniszczeniu **. Wybitniejszym nieboszczykom wznosić już poczęli pracowite kopce z ziemi, a nawet pośmiertne mieszkania z ciężkich kamieni, zdolne przetrwać tysiące lat.

Wreszcie koczownicy, choć surowi, obdarzeni byli silnym poczuciem piękna, żywili w duszy poetyczne porywy. Przybysze, mimo innych zalet i wyższości, nie posiadali jakoś zmysłu artystycznego, nie odczuwali tak silnie piękna rozlanego w przyrodzie.

Żyli na ogół w większym dobrobycie.

Choć nie lubili wyłącznie uganiać się za zwierzem po kniejach, byli bogatsi od koczujących myśliwców. Nie znali chwil głodu, związariych z zawodnym bytem myśliwych. Przywykli do jadła roślinnego, nie tyle dbali o mięso, ale i tego mieli przecież dostatek.

Umieli bowiem w ogrodzeniach więzić najdziksze woły, a' co ważniejsza, bronić ich przed wilkiem i niedźwiedziem.

Nieukrócone zwierzęta tęskniły jeszcze za wolnością, niebezpiecznie było zbliżać się do nich, ale czujność ludzi udaremniała wszelkie próby wyzwolenia się i biedne, wolne dzieci stepu lub lasu, żywione przez ludzi, musiały drzeć kopytami ziemię więzienia, póki nie położyła ich strzała lub dzida samolubnego i nieproszonego opiekuna.

Wszystkich korzyści człowiek z nich jeszcze nie osiągnął. Nie używał jeszcze mleka ani sera, które później będą stanowić główny artykuł spożywczy szczepów pasterskich.

* Opalenie to, miasto młócenia, utrzymało się gdzieniegdzie do czasów starożytnych, a nawet średniowiecznych, (przyp. aut.)

** Obecnie wiemy, że człowiek wcześniej niż w mezolicie troskliwie chował zmarłych, gdyż znamy znacznie starsze groby wyposażone w ozdoby i broń.

I któż teraz był królem ziemi? Czy te pełne muskularnej siły rogate olbrzymy, czy niewielki ciałem, bezbronny ród dwunożny?

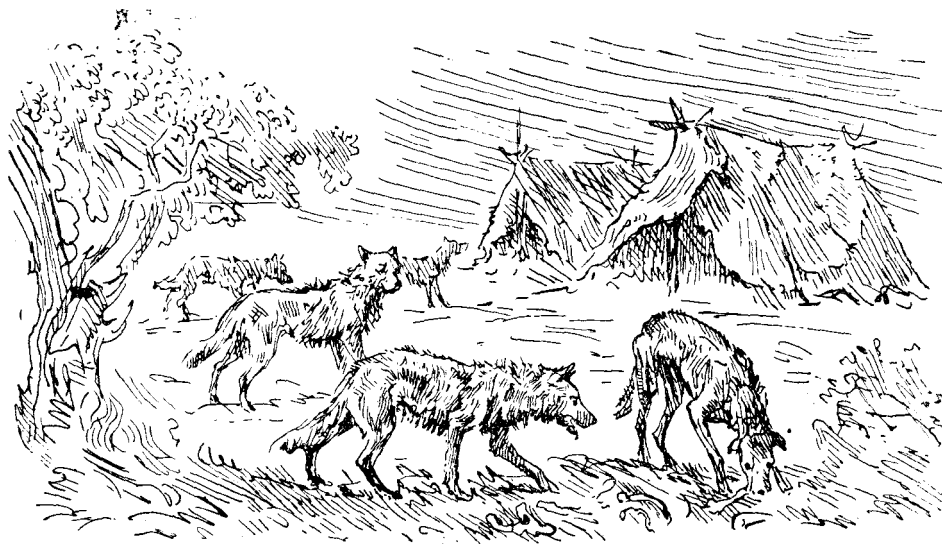
Zaprawdę, człowiek już panował, a właściwie rodzaj ludzki. On górował nad ożywionym światem. On znał najlepiej obyczaje współmieszkańców puszczy, najlepiej umiał ze swych wiadomości korzystać. Wszystko też, co żyło, lękało się już człowieka, wszystko ulegało jego mądrości i przemocy. Ptactwo i mniejsze zwierzęta chwycił w sidła, większe zabijał z zasadzki, a nawet w otwartym polu.

Sprawiedliwość każe wyznać, że wielce się do tego panowania przyczyniło pewne zwierzę, należące do drapieżnej rodziny wilków i szkali. Z tym zwierzęciem człowiek zawarł przyjaźń ścisłą i dobrze na niej wyszedł. Odkąd wstąpił w sojusz, dziwny, zyskał więcej, aniżeli gdyby posiadał wszystkie złoto ziemi, wszystkie perły morza albo brylanty piasków całego świata.

Posiadł bowiem przyjaciela i współtowarzysza najwierniejszego, o jakim można tylko zamarzyć. Gdyby też nie ów towarzysz czworonożny, człowiek nigdy by się może nie wzniosł na wyżyny, na jakich go widzimy, a przynajmniej nieprędko by się ucywilizował.

I ta ważna chwila w życiu człowieka otoczona jest dotąd mrokiem tajemnicy.

Jak się to stało i kiedy właściwie, trudno dziś zbadać. Zdaje się być pewnym, że krewniak wilka, pies wolny, musiał zbliżyć się z człowiekiem w ostatniej dobie kamienia łupanego. Długo niezależne gro-



mady psie towarzyszyły z dala i dyskretnie gromadom ludzkim. Żywiły się resztkami, jakie pozostawały zawsze po ucztach ludzkich. Nie napastowały człowieka, więc gdzie je tolerowano, tam chętnie szły za nim, omijały tylko gromady wrogo usposobione do wszelkiego zwierza.

Obecnością swoją oddawały niemałe usługi człowiekowi nawet wówczas, gdy się tego nie domyślał, gdy tych usług nie oceniał. Odpędzały mianowicie nocami wilki i inne drapieżniki wietrzące zdobycz. Czyniły to psy we własnym wprawdzie interesie, ale mimo to człowiek z tego najwięcej korzystał. Takie pożycie z daleka i na pół tylko przyjacielskie trwało bardzo długo. Zwolna człowiek poznał się na użyteczności swego satelity. Pies coraz bardziej podchodził do obozów i jaskiń, coraz mniej bał się niebezpiecznych żartów lub wybuchów gniewu człowieka. Wzajemna nieufność znikła, a po niej łatwo już przyszła kolej na przyjaźń. Połączone zalety fizyczne tych dwóch zupełnie odmiennych rodzajów istot dały obu stronom korzyści, przedtem nie znane. Człowiek jednak pozostał stroną, która zagarnęła wszystkie korzyści wspólki, nic prawie w zamian drugiej nie dając.

Dzięki tej wspólnie wybił się on szybko na wyżyny, a nie utrzymałby się na nich bez swego towarzysza. Pies uzupełnił człowieka. Zastąpił mu słuch, węch, szybkość nóg i wiele innych przymiotów. Strudzonemu pozwolił używać błogiego i bezpiecznego spoczynku, na polowaniu pomagał i osłaniał, niesforne stada w zagrodzie utrzymywał w karności, głośnym ujadaniem ostrzegał przed zbliżaniem się wroga i napastnika. Pies dokonał stokroć większego przewrotu w życiu ludzkości aniżeli w późniejszych epokach cywilizacji najważniejsze odkrycia, nie wyłączając zastosowania drukarstwa, pary i elektryczności.

Żadne zwierzę na ziemi, koń nawet, nie zasługuje na większy i niepodzielniejszy szacunek, przyjaźń i miłość ludzką, co pies. Zawsze szlachetny, zawsze wierny i uległy, on był przez tysiącolecia jakby jego częścią składową, warunkiem dobrobytu i postępu.

Odtąd człowiek i pies rozeszli się wspólnie po całej ziemi.

Cały rodzaj psi stał się naszą własnością. Każda jednostka psia należy zupełnie do człowieka, do swego „pana”, stosuje się do jego obyczajów, ochrania jego własność, zgaduje jego życzenia i oddaną mu jest do ostatniego tchnienia!

I wszystko to nie wypływa już tyle z potrzeby lub z postrachu, ile z czystego przywiązania i siły przyzwyczajenia.

Niby cienie przyglądali się geolog z Puckinsem z bliska gromadce osiadłej w puszczy dziewiczej, gromadce szczęśliwej, bo nie wstrząsanej ani setną częścią wątpliwości i zagadnień, a choćby pragnień, nurtującej jestestwo każdej czulszej jednostki wieków późniejszych. Szczę-

śliwi pełnią życia fizycznego, nadmiarem zdrowia, brakiem niezliczonych naszych trosk moralnych, szczęśliwi swą równością, dumni z drobnych triumfów nad otoczeniem, tych triumfów, które byśmy dziś za nic* ważyli, wiedli ci ludzie żywot szczęśliwy, choć i on był przeplatany smutkami i bólem. Snuli bezwiednie początki tych nici, które przez tysiącolecia miały się wikłać, rozplątywane daremnie.

W myśli ich młodej pełno było poezji, surowej jeszcze, ale płynącej z nadmiaru dziecięcej wrażliwości i żądzy wiedzy. W ciałach tętnił nadmiar sił fizycznych. Nie znając ksiąg, byli już filozofami. Rozmyślali niekiedy nad przyrodą: nad burzą, wichrem, nad ciemnościami nocy, nad różowym wschodem słońca i zachodem w purpurze, nad tęczę, chmurami i deszczem, nad szmerami drzew i strumieni, nad pączkiem, który w kwiat się rozwija i nad owocem, który z kwiatu powstaje.

Wszystko ich zajmowało, wszystko w samotnych rozmyślaniach i rubasznym gawędach umieli sobie objaśnić, a wierzyli w swe dziecinne wnioski tak samo niezachwianie, jak my w swoją wiedzę, ugruntowaną na pracy i doświadczeniach naszych mędrców. Zaludniali świat rojem swych marzeń, przyznawali żywiołom własne przymioty, wady i władze. Jasność i ciemność, drzewa i zwierzęta, rzeki i morze, chmury i pioruny, wszystko to żyło i działało na sposób ludzi i zwierząt i miało swój rozum, wolę, wady i przymioty.

*Sześć tysięcy lat temu — Epoka kamienia gładzonego**
Życie za życie

Zapatrzony w ciemną tafłę wód, pogrążony w przyjemnym jakimś odrętwieniu, kołysał się geolog w łódce na falach jeziora. Wzrok jego bezwiednie gubił się w dali, gdzie powierzchnia zlewała się z odległym, zaledwie dostrzegalnym brzegiem.

Na kraju widnokregu majaczyły niebieskie zarysy gór, nad nimi zaś wisiały szarobiałe kłęby chmur. Głębia panoramy przypominała geologowi znane widoki Szwajcarii.

Łódka, która unosiła Przedpotopowicza, była właściwie korytem, wyżłobionym pracowicie z grubej kłody drzewa. W tyle dwóch ludzi wiosłowało długimi żerdziami i niezgrabny stateczek nie tylko utrzymywał się w równowadze, ale dość szybko sunął wzdłuż wybrzeża.

* Epoka kamienia gładzonego — w obecnej terminologii: epoka nowokamienna (neolit).



Za cały ubiór wioślarze mieli przerzucone przez lewe ramię skóry kozie, przewiązane w pasie surowcem rzemiennym. Poza tym nic więcej. Twarze, ręce i piersi wysmarowane były tłuszczem zmieszany z farbą czarną, żółtą i czerwoną i błyszcząły niby brąz w promieniach słońca.

Przedpotopowicz objął jednym rzutem oka te szczegóły; nie zdawał sobie jeszcze sprawy, jakim cudem znalazł się w czółnie. Wzrok jego błędził po granatowych, lekko marszczących się falach, aż zatrzymał się na wybrzeżu.

Tam zieleniały łąki okolone ciemnym lasem, z przodu zaś spośród kępy bujniejszej zieleni wyłaniało się kilka chat drewnianych na palach. Były tak blisko, że geolog odróżnił wątle mosty łączące owe chaty z brzegiem.

Widok owych chat, do których koryto zwolna płynęło, tak był charakterystyczny, że profesor w jednej chwili oprzytomniał i zrozumiał, że patrzy na wioskę nadwodną z epoki kamienia gładzonego.

Nagle wzrok jego, przy niespodziewanym zwrocie czoła, padł na pstre twarze milczących wioślarzy.

Wpatrzył się i wydał lekki okrzyk zdziwienia. Jednym wioślarzem •" był lord Puckins, drugim Stanisław.

— Co znaczy ta maskarada? Coście z siebie porobili? — zawołał.

Po ceglastej twarzy niby-Anglika, pomalowanej na policzkach i czole w białe koła i linie faliste, przewinął się lekki uśmiech.

— Oto wdzięczność ludzka! Zamiast podziękować, bierzesz nas na indagacje — odezwał się z flegmą.

— Co my tu robimy na wodzie? — pytał geolog, * _
— Płyniemy do wioski. Trudno przecież, abyśmy występować mieli w swoich kostiumach.
— Szalony pomysł! Wyglądacie jak dzicy!
— Nie gorzej od ciebie, zacny profesorze.
Przedpotopowicz spojrzął po sobie i struchlał. Pomalowany był i odziany w strój podobny do ubioru towarzyszków.
— A to coś nowego!
— Ucharakteryzowaliśmy cię, profesorze, do kompletu. Przybywając do obcego kraju trzeba stosować się do panujących zwyczajów i mody.
— Twój koncept, lordzie, wcale mi się nie podoba.
— Sądziłem, że lepiej ocenisz nasze trudy. Wszak ta maskarada dla ciebie, abys mógł wystudiować swoich mieszkańców palafitowych*. Okazja wyjątkowa. Udało się nam zdoByć puste czółno, a w nim zdatne na naszą figurę kostiumy. Powiedzieliśmy sobie ze Stanisławem, że Opatrzność czuwa nad nami i zesłała środek do dopięcia twych celów. Przebraliśmy się tedy i płyniemy do wioski. Ponieważ twardo spałeś, przenieśliśmy cię do czółna. Oto wszystko. A teraz bacność. Ukryjemy się w pobliżu wioski i będziesz mógł do woli obserwować życie przed-historycznych Europejczyków.

Niebawem łódka przybiła do brzegu o kilkaset kroków od wioski, zasłonięta wystającym cyplem wybrzeża i zaroślami. Profesor już nie protestował. Pożerał wzrokiem chaty i łowił uchem gwar wioski. Lord Puckins wyskoczył na brzeg i znikł w zaroślach. Przedpotopowicz nie zauważył nawet jego nieobecności, zapatrzony i zasłuchany cały. Zdawało mu się, że śni raczej, i nie chciał się poruszać, aby nie spłoszyć marzenia.

Od środka jeziora mignęło się koryto, kierowane ku najbliższej chatce przez dwóch ludzi. Pólnadzy, okryci na biodrach futrami kozimi, z daleka już wyciągali ręce i śmiejąc się głośno poglądali w górę na pomost chaty. Białe zęby, oczy wesoło błyszczące, wydatne mięśnie oraz ruchy sprężyste znamionowały młodość i siłę, ale uderzający stanowiły kontrast z długimi brodami i obfitymi czuprynami, które grzebienia nie znały.

Z daleka wyglądaliby na starców brodatych, gdyby nie ruchy i postawa mężów w pełni sił. Nie można się było omylić, że wracali z polowania. Na spotkanie ich wyszły na pomost dwie młode kobiety. Jedna, półnaga, z dzieckiem na ręku, biała i pięknej budowy, z daleka już żywo ręką słała im powitanie z kokieterią, której by się nie powstydzily damy dziewiętnastego wieku. Chwila jeszcze i łódka, pchnięta

Palafity — osady nawodne, zbudowane na palach wbitych w dno jeziora.

żerdzią, uderzyła lekko o pal pomostu. Myśliwy dobył i zarzucił na pomost sznur grubo skręcony i umocował łódkę. Teraz wybiegło z chaty dwóch chłopców, wesoło klaszcząc w dłonie. Jeden z kocią zręcznością spuścił się po drabinie sporządzonej ze sznurów i cienkich gałęzi i jał odbierać trofea myśliwskie: młodą sarenkę i kaczki dzikie, uwiązane na poprzecznej żerdzi za nogi. Głowy ptaków nurzały się w wodzie po obu stronach łódki.

Patrzył na ten miły obrazek długo geolog, a potem wzrok przeniósł na inne chaty. Całe otoczenie olśniewało bogactwem i wyrazistością szczegółów. Cały nawał przedmiotów, których mizerne szczątki oglądamy w muzeach, zaledwie domyślając się ich znaczenia, cisnął mu się do oczu. Patrzył profesor na ludzkość z epoki kamienia. Nieświadoma jeszcze manowców, po których dążyć miała, była ona dopiero pączkiem dzisiejszej, ale w tym pączku tkwiło już wszystko, co kiedyś będzie.

Podziwiał ogrom pracy i znoju utopione w każdym pniu wbitym w dno jeziora, w każdym sprzęcie prostym, a jednak pracowitym i droższym od naszych zbyt kownych mebli, patrzył na wątle chaty i mosty z żerdzi i zaraz stanęła mu w myśli bogata Wenecja, także zbudowana na lagunach i obwarowana falami morza.

Z tej niemej kontemplacji wyrwało geologa nagłe wstrząśnienie czółna. Lord Puckins wskoczył w koryto wzburzony i w samo ucho profesora rzucił okrzyk:

— Zbrodniarze! Łotry!

— Co się stało? — zagadnął profesor.

— Pozabijam, a nie dopuszczę do tego!

— O cóż ci chodzi?

— Objaśnię cię po drodze, a teraz do wiosła! — krzyknął Puckins.

— Hola! Nie rozumiem, co chcesz czynić?

— Nie ma czasu do stracenia! Tu chodzi o życie ludzkie...

— Powoli! Jeśli odbijemy, zobaczą nas zaraz...

— A więc słuchaj! — zawołał Anglik i wyciągnął rękę w kierunku wioski.

Od wsi dolatywał przytłumiony gwar, a nad nim od czasu do czasu panował podniesiony silny krzyk męski niby komenda, na dźwięk której milkły na parę sekund zmieszane głosy, słyhać zaś było stuk siekier, młotów, uderzających w drzewo. "

— Słyszę, lecz nic nie widzę — szepnął po chwili profesor.

— Ja widziałem, to dosyć! W tej chwili niewinne życie ludzkie wisi na włosku. Nie możemy dopuścić do nędznego morderstwa. Musimy ją uratować.

— Ach, więc to o jakąś piękność chodzi?

— **O niewinność!**...

» * ■

— Uciśnioną? I cóż my poradzić możemy? **Jak tylko** się stąd wychylimy, sami będziemy zgubieni...

— Więc wyjdź z łódki, zostań, a ty, Stanisławie, odbijaj. Budują chatę- nową i kończą ceremonię wbijania pali.

Teraz geolog zrozumiał wszystko.

W dawnych czasach pal taki stawał zawsze na ciele ludzkiej ofiary. Musiał być koniecznie krwią ludzką zbryzgany. Bez takiej ofiary duchy ziemne szkodziłyby mieszkańcom. Przebłagane dopiero, stają się opiekunami domu w każdej przygodzie. Wiara ta była panująca w przedhistorycznych czasach. Przetrwała ona zresztą tysiąclecia, a u licznych ludów dochowała się do ostatnich czasów w pierwotnej srogiej formie. U większości złagodzona ją pod wpływem uczuć ludzkości. Jeszcze w roku 1843, gdy wznoszono" most w Halli, lud niemiecki utrzymywał, że trzeba wmurować dziecko w podwaliny, aby most był trwały.

Dla uczynienia zamku Liebenstein w Turyngii niezdobytym, kupiono dziecko od matki i zamurowano je żywcem. Raz runął mur wznoszony w Kopenhadze. Poradzono, aby poświęcić dziecko. Posadzono dziewczynkę, otoczoną jadłem i zabawkami, a gdy się bawiła, dwunastu mularzy wzniosło nad nią sklepienie. Potem przy dźwiękach muzyki postawiono na sklepieniu mur. Most budowany w Arta we Włoszech zawalał się ciągle, póki żywcem nie zamurowano żony starszego murarza.

Niegdyś przy budowie fortecy Skutari „wile" nocami niszczyły to, co murarze w dzień wzniesli. Trzeba było przebłagać duchy ofiarą ludzką. Przeznaczono na ten cel pierwszą z trzech kobiet, mających przynieść pożywienie dla robotników. Pierwszą, która przyszła, zamurowano żywcem. Uprosiła sobie tylko, aby jej zostawiono otwór, przez który by mogła karmić niemowlę swoje: Przynoszono je sumiennie przez rok do matki, póki nie odchowala, po czym zamurowano otwór*.

Takich wspomnień tysiące znają antropologowie i historycy. Obrzęd ten zachował się zresztą aż do naszych czasów w Afryce, Azji i Polinezji przy budowie mostów, bram miasta, większych budowli, przy zakładaniu wiosek, a nawet pojedynczych domów. Tu i ówdzie zastąpiono z czasem ludzkie ofiary zwierzętami. Grzebano na przykład żywego konia, jagnię, psa, kota lub koguta czarnego.

W Niemczech zamurowano pustą trumnę, później składano jakieś inne niekrwawe ofiary, jak pieniądze lub kosztowniejsze przedmioty. I dziś nawet pod węgiel domu niemal wszędzie zakłada się monety,

* E. Taylor „Cywilizacja pierwotna", I, 98. (przyp. aut.)

J
'l
ij
J
*
|
%
*

choć nikt z zakładających nie wie już, dlaczego to czyni. „Dobrze jest” * mówią albo: „Tak od dawna już w zwyczaju”, albo: „Nie za nas to powstało i nie za nas zginie”. O genezę obrzędu się nie troszczą. Ileż to murów do dziś stojących kryje zwłoki przymusowych, a nawet dobrowolnych ofiar. W Japonii jeszcze w XVII wieku zawsze znajdował się jakiś nieszczęśliwy, który poświęcał się dobrowolnie. Kładł się do rowu, aby być zmiądzonym przez ciężkie kamienie.

Niekiedy każdy pał stawał na ciele przestępcy lub jeńca, a duchy ich błędząc strzegły budowli.

Wszystkie te wspomnienia w jednym mgnieniu oka przewinęły się przez umysł profesora.

— Okropność! — szepnął i sam się wziął do wiosła.

Zaledwie odbili od brzegu, cała wioska, zbudowana amfiteatralnie, zarysowała się jak na dłoni przed oczyma podróżnych.

Większość chat, w długim szeregu, stała na łądzie w odległości kilkudziesięciu kroków od jeziora. W jednej części wioski zebrał się gwarny tłum wieśniaków. W postawach i gestach widać było oczekiwanie i nastroj uroczysty.

Ponad głowami tłumy wystawały dwa wysokie pale, wbite w odległości dziesięciu kroków jeden od drugiego.

Połączone były sznurem, na którym w pośrodku wisiał inny kłoc drewna, grubszy znacznie. Dolny koniec, czarny od opalenia, był przy pomocy ognia zaostrojony. Rozpoczynano budowę nowej chaty.

Na sznurze wisiał pierwszy pał, zapewne narożny, który miał być niebawem wpuszczony w ziemię.

Stanisław wiosłował zręcznie i z każdą chwilą wyraźniej rysowała się wioska, tłum ludzi, można było rozróżnić twarze. Wieśniacy, zajęci ceremonią, nie zwracali uwagi na zbliżającą się łódkę. Już tylko kilka sekund dzieliło naszą trójkę od brzegu. Niczyjej uwagi nie zwróciła. Wzięto ją za swojaków, spieszących, aby się połączyć z tłumem.

— Okropność — powtórzył Przedpotopowicz i mimo woli począł wzrokiem szukać ofiary.

Nietrudno ją było znaleźć. W pewnym oddaleniu od gwarnej gromady ujrzał dziewczynę, wspartą na ramieniu młodziana. Ocierała ona łzy dłonią i wyrzekała głośno. Rosły młodzian bez ruchu wpatrzony był w ziemię. Brwi tylko zsunięte, wyraz twarzy ponury i pięści zacisnięte świadczyły o bólu, który targał mu serce. Druga dłoń kurczowo ■•> ścisnęła trzon ciężkiego, granitowego młota.

Nad gwarem gromady i stukiem młotów drewnianych górował po dawnemu silny głos. Kilku ludzi znosiło żwawo na plac cienkie kłody ogołocone z gałęzi.

Koryto przybiło do brzegu w samym środku wioski.

— Cóż zamierzasz? — zapytał profesor głucho. " , " ~
— Nie wiem! O, gdybym miał broń palną! Przeraziłbym gromadę i ocaliłbym ofiarę.
— Na jej miejsce dałaby głowę jutro inna — zakończył geolog. — Czy to czasem nie donkiszoteria, milordzie?
— Nie, To obowiązek... Idziesz ze mną?
— Szaleństwo.
— Być może, cofnąć się już za późno. — Wskoczył z łódki kierując się wprost na tłum.

Przedpotopowicz ręce załamał. Stał chwilę w łodzi walcząc z sobą, wreszcie ruszył za Anglikiem. Za sobą usłyszał głos Stanisława.

— I ja z panami!

Nagle gwar ucichł. Wieśniacy dostrzegli przybyszów i poznali obce twarze. Lord Puckins przyskoczył żywo do dziewczyny i położył jej dłoń na głowie. Drugą ręką wskazał na pal i wymownymi gestami dawał do zrozumienia, że powinni zaniechać swego zamiaru. Chwila zdumienia — potem zapanowało ożywienie wśród gromadki. Ruchy stały się groźnymi i kilku mężczyzn rzuciło się na lorda. Przyskoczył mu z pomocą Stanisław, ale obu powalono i skrępowano sznurami. Ten sam los spotkał w mgnieniu oka profesora. Wściekłość albo dzika radość opanowała mieszkańców wioski.

Przyskakiwali oni kolejno do jeńców leżących na ziemi, pluli im w twarz i groźnymi wywijali toporami.

Wreszcie na komendę starszego odstąpiono od jeńców, a jeden barczysty chłop zarzucił lorda Puckinsa na plecy i lekkim krokiem zaniósł go pod fundament.

Wrócili następnie po Stanisława i wraz z geologiem odnieśli go na plac budowy, gdzie w siedzącej pozycji złożono ich o kilkadziesiąt kroków od złożonego w dole lorda Puckinsa.

Przy akompaniamencie okrzyków radości widział i musiał widzieć profesor, jak dziewczyna wraz z towarzyszem swoim padła do nóg starcowi, który jej obwieścił wolność i życie, jak potem pochwycił ją uradowany młodzian na ręce i niósł pośpiesznie ze straszego miejsca, wreszcie jak ten sam starzec krótką wygłosił do ludu przemowę. Milczenie panowało w czasie jego słów, potem dopiero zabrzmiały i zajęczały bębny, sporządzone z wydłubanych pni drzewnych, rozpoczęły się dzikie skoki dokoła pala, pod którym leżał skrępowany Anglik. Wreszcie zgiełk ucichł. Dwóch roślących chłopów zajęło się przecinaniem sznurów, które podtrzymywały ciężką belkę. W tej strasznej chwili geolog usłyszał dźwięk mowy angielskiej, dobywający się z wykopanego pod pal dołu.

— Hej, towarzysze!

— Jesteśmy! — odkrzyknął profesor Przedpotopowicz.

— Wrzaski się uciszyły, słuchajcie umierającego. Nie mamy czasu do stracenia. Za chwilę zginę. Nie żal mi życia, żal mi tylko was, których popchnąłem do zguby. W obliczu śmierci błagam o przebaczenie. Nie przeklinajcie mię!

— Jesteś niewinny! — krzyknął Przedpotopowicz.

— Dzięki wam, szlachetni ludzie! Niech Bóg ma was w swojej opiece. Mam do ciebie, drogi profesorze, ostatnią prośbę. Jeślibyście nie zginęli, proszę za powrotem zawiadomić Klub Ekscentryków, że ich prezes do ostatniego tchnienia został niedoścignionym. Jak daleko do naszych czasów?

— Sześć tysięcy lat pewno.

— Otóż, zaświadczenie, że dokonałem tego, czego żaden z Ekscentryków nie dokona nigdy. Żem umarł z honorem w obronie kobiety na 5950 lat przed własnym urodzeniem. Skończyłem! Niech żyje Wielka Brytania! Niech żyje obowiązek i honor! Niech Bóg was ratuje!

W tej chwili zatrzeszczały sznury podtrzymujące pal i niby dwa węże podskoczyły w górę. Jednocześnie zabrzmiał głuchy łoskot opadłej ciężko kłody. Ofiara się spełniła. Gdy jedni zajęli się zasypywaniem dołu i ubijaniem ziemi, dwóch „dzikich” zbliżyło się do geologa. Zbadali, czy więzy nie dadzą się zerwać. Wreszcie robotnicy i starszyzna odeszli, a za nią rozproszył się tłum gwarny.

Stanisław szlochał cicho. Geolog zapadł od nadmiaru wrażeń w odrętwienie. Zwolna nerwy się ukołysały i z dziwną obojętnością myślał o czekającej go niewątpliwie kaźni. Słońce piekło ogniście, głód i pragnienie odezwały się z mocą żywiołową, ale nikt z mieszkańców wioski nie troszczył się o potrzeby jeńców. Wioska przybrała prędko zwykły swój wygląd. Przedpotopowicz patrzył teraz szklanym, zobojętniałym wzrokiem na to, co by go dawniej żywo zajmowało. W samym środku wioski przedhistorycznej widział szeregi dusznych chruścianek, prototypy domostw wszystkich czasów i stylów. Widział skałę i drzewo święte na wzgórzu, a w pobliżu zaledwie z gruba ociosanego bałwana z drzewa, kielki majestatycznych świątyń i arcydzieł dłuta. Widział garncarza, którego następcami będą chińscy, etruscy ■ i greccy pracownicy, jak niemniej rzemieślnicy z Sevre i Saksonii, patrzył, jak ten artysta, pełen bezwiednego natchnienia i powagi, ozdobił swe wazy dziecinną dla nas ornamentacją, złożoną z kresek, kółek i linii falistych.

Widział starca cierpliwie sporządzającego gładkie szydła oraz igły z kości ptasich i przypomniał sobie kilkotysięczny tłum robotników, uczemiony węglem i żelazem, wysypujący się z fabryki maszyn do szycia. Widział półnagięgo herkulesowej postaci siwego brodacza, jak

mozolił się, może już drugi tydzień, nad polerowaniem jednej krzemiennej siekiery na szorstkim kwarcycie i pomimo woli spoza kruchego jego oręża wyrzały w perspektywie błyszczące działa stalowe, druzgocące ciężkimi kulami grube mury z milowej odległości. Widział na piersiach mężczyzn i kobiet gliniane i bursztynowe naszyjniki, noszone z tą samą próżnością, z jaką później będą obnoszone brylanty, perły i „bezcenne” kamee.

Dostrzegł nawet pożądlive spojrzenia rzucone na te klejnoty i poznał, że mimo całej ich bezwartościowości — niejedno już życie podstępnie za nie wydarte zostało.

Smutek ogarnął go głęboki. Zrozumiał, że patrzył już na świtanie I ery, w której się urodził. Wszystko to samo, tylko w zawiązku i mniej! wyrafinowane. Zrozumiał zarazem, że to już zachód świata, który mimo elementarnych kataklizmów niewzruszony przetrwał lat miliony.

Tłum czworonogi, długo niespożyty, długo chluba i korona ziemi, śpieszy już w przepaść grobu. Legnie wkrótce w zapomnieniu, zasłonięty chwałą najmłodszej latorośli ziemskiej, wątłej 'ciałem istoty, której w pierwocinach żaden zwierz się nie lękał...

Jakże daleko pozostały za człowiekiem te silne w zębach i pazurach istoty, przez miliony lat wszechwładne króle puszczy. I za sześć tysięcy lat zostaną tym samym, czym były przed sześćdziesięciu tysiącami.

Człowiek tylko jeden wciąż zmienia broń i dąży naprzód. Walczy i zwycięża.

Człowiek jeden, prócz zwykłego głodu i pragnienia, doznaje już innych głodów i pragnień, a te srogie i słodkie zarazem pożądanja otwierają mu coraz szerzej wrota świata nieznanego. Przeszedł on te wrota, wchłonął w siebie nową atmosferę i stała się ona potrzebą jego organizmu. Już jego głodu nie ukoji mineralny pokarm, dobry dla cedrów i dębów, ani organiczny, dostateczny dla wszystkich zwierzęcych mieszkańców ziemi. Jak tygrys dyszy do krwi ciepłej, tak człowiek instynktownie koi żądze nowe w tysiącnych odkryciach, wynalazkach, poglądach na przemiany błędnych, to prawdziwych, a nie spocznie, póki się nie wypełni rola jego na ziemi.

Niedługo już porzuci krzemień, który mu służył wiernie przez setki cieków i z rudy pocznie wyprażać błyszczącą miedź oraz żelazo. Odąd miecze, strzały i noże będą lepiej krajać, mniej się szczyrbić, t łatwiej naprawiać. Za sprawą kruszców i błyskotki będą coraz piękniejsze, sprzęty i narzędzia doskonalsze, domy wygodniejsze. Z nimi wolna wstąpi nieznaną gość, zbytek, pod dach człowieka, a także nie-ówność w uposażeniu jednostek, rodzin i szczepów.

Już tylko chwilę trzymać się będzie ta nieświadoma swej wielkości

murawa ludzka w stanie zielonym. Za kilkanaście wieków zakwitną pierwsze jej łany kwieciami, które zwiemy „wyższą cywilizacją”. A wtedy nowe kontrasty się zjawiają. Wtedy przepaść między człowiekiem a człowiekiem pogłębiać się zacznie do stopnia dawniej nie przeczuwanego.

Niejeden jeszcze szczerp zejdzie z właściwej drogi, popadnie w zastój, a nawet upadek. Wróci, skąd wyszedł. Niejeden ciemny sąsiad wyprzedzi go w cywilizacji. Mimo wszystkie jednak kroki wstecz i upadki — ogół ludzkości nie cofnie się już do stanu dawnego, tak samo, jak kwiat nie może przyjąć stanu pączka, z którego raz się już rozwinął. Może zwiędnąć i nie wydać owocu, ale pączkiem nie zostanie!

Niwa Egiptu jedna z najpierwszych dojrzeje i zabłyśnie swym kwiatem. Za nią pójdą kolejno coraz inne zakątki ziemi.

Noc zapadła straszna dla jeńców, pewnych że z nadejściem dnia skończą, jak skończył biedny Donkiszot, lord Puckins.

Nagle stało się coś niezwykłego. W uśpionej wiosce wszczął się hałas — bieżanina, ostre krzyki przedarły powietrze, a na samym końcu zajaśniała czerwona luna. Nie upłynęło pięć minut — pożar ogarnął drugą i trzecią chatę. Zgiełk doszedł do potęgi. Nieludzkie wrzaski krzyżowały się w powietrzu.



W tej samej chwili jakaś ciemna postać na jasnym tle pożaru wyrosła w pobliżu geologa. Zbliżał się ku niemu szybkim krokiem wysoki mężczyzna. Pochylił się nad geologiem — dotknął przyjaźnie ramienia i począł zręcznie rozwiązywać sznury wpijające się w ciało profesora.

Teraz w blasku pożogi poznał geolog młodziana, któremu lord uratował dziewczynę. Mówił coś wdzięczny syn natury, bełkotał przerażony wskazując na płomienie, ale geolog niewiele z tego zrozumiał. Uczuł się tylko wolnym wraz ze Stanisławem. Dziki młodzian wcisnął mu w dłoń własną siekiere, łuk ze strzałami Stanisławowi i nakazał gestami spieszłą ucieczkę. Za chwilę znikł jak cień, śpiesząc do pożaru. Geolog ze Stanisławem znaleźli się znowu sami, wolni, uzbrojeni i zdumieni wszystkim, co zaszło.

Stanisław pierwszy zorientował się w położeniu.

— Panie! Tam bitwa! — zawołał wskazując na mocujące się cienie i na postacie walczące w jaskrawym oświetleniu łuny.

W samej rzeczy. W cichej przed chwilą wiosce wrzał bój niespodziany. Na jeziorze poruszały się niespokojne łódki. Widział geolog wyciągnięte do ciosu ramiona i czające się z napiętym łukiem dzikie postacie.

— To napad niespodziewany na wioskę — zakończył.

— Kara boża za śmierć szlachetnego Puckinsa — dodał ponuro Stanisław.

Nowy pan ziemi — Jednostki obejmują władzę nad rodem

Odtąd nastają dziwne rzeczy na ziemi.

Nie trzeba już mijać tysięcy wieków, aby spostrzec ważne zmiany na lądach. O morzach nie ma co i wspominać. Ta kolebka życia spełniła dawno swoją rolę i odtąd trzyma w zastoju świat swój ożywiony.

Człowiek tylko, niedawno identyczny niemal z otoczeniem swoim, wystrzelił bujną łodygą i zaćmił wszystko dokoła.

Niedawno nie miał pojęcia o rachowaniu lub mierzeniu, wkrótce począł używać już w tym celu własnych członków, niebawem stworzył matematykę, fizykę, astronomię i chemię z ich cudami. Niedawno za ledwie z trudem umiał myśl swoją przekazać ustnie słuchaczowi, wkrótce pocznie przysyłać ją zamkniętą w milczącym wiórze lub papierusie, a niebawem zaprzęże do utrwalania swej myśli martwe maszyny, światło słoneczne, elektryczność — i rozsyłać będzie o tysiące mil od razu w cztery strony świata. Niedawno drżał przed każdym więk-

szym zwierzem, już dosiadł konia, uwięził bawoły i kazał psu wiernie służyć. Niedługo zaś zaprzęże do swego wozu parę wodną i moc piorunów.

Cały świat mijający trwa jeszcze dokoła tej istoty, wierny aż do ostatniego tchnienia swym obyczajom i jednolitemu zakresowi pojęć. Orzeł tak samo buduje tu gniazda, jak będzie budował za rzymskich cesarów i w wieku dziewiętnastym. Każdy zwierz tymi samymi chodzi ścieżkami, jakimi chodzić będą jego ostatnie potomki. Tylko człowiek, w początkach swych jednolity, z wolna rozsypuje się w tłum coraz mniej podobnych do siebie odmian duchowych. Śmiało rzec można, że w tym fizycznie jednolitym kierunku powtórzy się wszystko, czym wyposażona była cała fauna z dodatkiem jeszcze zgoła nie znanych tamtej uzdolnień.

Toteż zdumienie, a nawet lęk jakiś porywa myśliciela, który ma odwagę zajrzeć w oczy tej zagadce, jaką stanowi człowiek, który ma odwagę zmierzyć przepaść, jaką wykopał bardzo krótki okres geologiczny między światem mijającym a światem uspołecznionym człowieka.

Jak ziemia ziemią nie było przykładu, aby jeden lew był drugiego sługą, aby tysiąc lwów pełzało w prochu przed jednym lwem i dało się spokojnie rozszarpywać. Nie oglądało słońce na ziemi, aby jeden niedźwiedź był sto razy mędrzy od drugiego, jedna Wiewiórka tysiąc razy bogatszą od drugiej, aby jedna antylopa nosiła serce tygrysa, druga chytrość lisa, trzecia szlachetność i mądrość słonia. Nic podobnego ziemia nie widziała. Pojawił się dopiero człowiek i wnet zjednoczy wszystkie te sprzeczności i dziwy.

Przy tym to, co człowiek czyni, tak jest z każdym tysiącem lat inne, iż rzekłbyś, że działa nie ta sama istota...

Rozmaitość uzdolnień i dążeń osobników jednego gatunku wytworzyła większą nierówność wśród jednostek tego rodu, aniżeli była w całym świecie zwierząt, rozważanych jako jedna wielka całość.

Jeden gatunek przybył ziemi, ale starczył za tysiące.

cv)

Odtąd kronikarz ziemi nie ma już co pisać o zwierzętach. Dzieje ich bledną i chowają się w cień wobec człowieczej historii.

Ród ludzki czynami swymi wypełnia i znaczy historię ziemi. Żyją sobie jeszcze lwy, antylopy, hipopotamy, krokodyle i grzechotniki w swych kniejach i bagnach, spełniają czyny zgodne z naturą swoją; nic w nich nie ma niespodziewanego ani nowego. Żyją, jak żył długi szereg ich przodków przed milionami lat.

Człowiek jest teraz cudem i koroną ziemi!

Zasłonił sobą świat cały, jaki przed nim napelniał ziemię, i zepchnął i go do nóg swoich. Prześcignął wszystko, co dotąd było. Podniósł do - potęgi dodatnie i ujemne strony natury ziemskiej. Co więcej, jakby \ mu za ciasno było, począł jedno po drugim tępić współmieszkańców, a skończy zapewne dzieło zagłady dopiero, gdy nie stanie rywali...

On jest panem ziemi. Zaprzął do swej służby cały szereg drzemiących dotąd sił przyrody i czyni wszystko, do czego ma siły, a sił i pragnień zdradza więcej niż cały świat poprzedzający, więcej niż sam nawet przewidzieć zdoła!...

Gdybyż chciał być tak dobrym, jak został potężnym i mądrym!...

Już teraz, gdyby Przedpotopowicz mógł spojrzeć na brzegi Nilu, wtedy ujrzałby w tej wąskiej i żyznej dolinie, otoczonej pustyniami i nagimi skałami Mokkatamu, kwitnące od piętnastu wieków państwo egipskie. ; Już piramida Chufu* świadczyła od sześciu wieków o potędze i dumie I jednostki, która kolejno władała milionem innych jednostek. Już faraoni nowie dziewiątej, dziesiątej i jedenastej dynastii wybudowali w górnym Egipcie miasto wspanialsze od Memfis, już ów gród olbrzymi, ! zwany Teby, na nowe półtora tysiąca lat stał się siedzibą bogów i królów. Pośród licznych świątyń królowała tam świątynia Ammona w Karnaku z największą salą w świecie.** Już starym był Egipt, skoro nawet ; bogi dawnych faraonów ustąpiły miejsca nowym, skoro na gruzach świątyń wszechmocnego niegdyś Ptaha, upostaciowanego w chrząszczu***, porastało zielsko, a za to świetny Ammon i Ozyrys w postaci wołu odbierały cześć boską. Nawet pomniki budownictwa różniły się od dawniejszych. Wznoszenie piramid przestało zadowalać faraonów.

Toteż geolog nie mógł wyjść ze zdumienia oglądając niby z lotu ptaka ogromny zbiornik Meri****, przeznaczony dla wezbranych wód Nilu*****. Nowożytni jeszcze inżynierowie podziwiają genialny pomysł tego sztucznego jeziora, które nie tylko zapobiegało klęskom powodzi, ale w czasie suszy służyło do zraszania olbrzymich obszarów uprawnego gruntu.

Niedaleko zbiornika Meri stał pałac, wzniesiony i zamieszkiwany

* Piramida Chufu — bardziej znana jako piramida Cheopsa.

** Strop jej podtrzymywała z górą setka majestatycznych kolumn, (przyp. aut.)

*** Ptaha częściej przedstawiano w postaci byka.

**** Jezioro Meri albo M é r i s; odczytywanie wyrazów egipskich i asyryjskich jest sprawą sporną, stąd rozbieżności przy odtwarzaniu ich brzmienia, podobnie: Sumir albo Sumer.

***** Wykopany na rozkaz Amenemhe III z dwunastej dynastii, (przyp. aut.)



Przy akompaniamencie okrzyków radości widział i musiał widzieć **profesor** jak dziewczyna wraz z towarzyszem swoim padła do nóg starcowi... (str. 21».)

a

przez następnego faraona, a po śmierci zamieniony na grób jego i świątynię. Istnym cudem świata był ten pałac, liczący tysiąc sześćset kolumn na górze i tyleż na dole.

I czymże będą dzieła inżynierów nowożytnych wobec tych śmiałych arcydzieł wzniesionych w czasach, w których nie znano machin i dźwigni nowożytnych, gdy nie znano tego wszystkiego, z czego się chełpi wiek dziewiętnasty, gdy kolosalne głazy trzeba było wciągać w górę siłą mięśni ludzkich?

Czymże, jeśli nie igraszką dziecinną wobec tego bezmiaru wysiłków i znoju będzie praca przy stawianiu domów żelaznych i filligranów Eiffla, które rdza strawi najdalej za kilka wieków.

Działo się to zaś w tym samym czasie, gdy sławne później narody, jak starożytni Persowie, Grecy i Rzymianie, pozostawały jeszcze w stanie pierwotnej surowości, gdy na całej ziemi, w Europie nawet, albo rozciągały się bezludne puszcze, albo trwała epoka kamienia gładzonego; gdy po niedostępnych borach i stepach, tam, gdzie staną później Rzym, Paryż, Wiedeń i Warszawa, nieliczne gromadki dzikich myśliwców walczyły o prawo życia ze srogimi zwierzęty i jeszcze sroższymi żywiołami.

Byłaby może i tu ludzkość wiodła długo jeszcze żywot pierwotny, gdyby nie przysłała z nieznanych obszarów Azji zaborcza, a wyżej rozwinięta garstka Chamitów*. Z łatwością wzięła ona przewagę nad ciemnym i łagodnym ludem i zaprzęgała go w jarzmo ciężkiej pracy, owoce takowej obracając na swój pożytek. Naczelna kasta despotycznych przybyszów zawładnęła żyzną i zdrową krainą.

I wystrzeliła na tym gruncie niby smukła palma dziwna cywilizacja.

Wysoka i piękna, a jednak szczupła, bo zazdrośnie przed tłumem strzeżona, opromieniała nieliczną zaledwie garstkę kasty uprzywilejowanej.

Niedoskonałą ona jeszcze była, a jednak w niektórych objawach potężną, skoro szczątki jej budzą cześć i podziw w nowożytnych mędrkach ziemi...

A resztki te nie kończą się bynajmniej na rzeźbach i piramidach, na obeliskach, ani na Sfinksie. Większy jeszcze podziw i zaduma porывa człowieka, gdy odtworzy sobie w wyobraźni tysiące dobrodziejstw cywilizacji, z których ówczesna ludzkość już wtedy korzystała, gdy wsłucha się w słowa mądrości „wyrysowane” na starych papirusach i grobowcach.

* Pochodzenie Chamitów jest po dziś dzień sprawą sporną.

Czy to nie ułuda, aby już dostojnik z czasów króla Assa*, starze" Ptahhotep mógł nauczać tych samych zasad, jakie będą wpajać mędrcy bogatsi od niego o całe pięć tysięcy lat doświadczenia?!

„Nie pysznij się w sercu z mądrości swej! — woła Ptahhotep. Chociażes mądry, nie sądz, byś mógł czynić coś tak wielkiego, o cz} by pamiętały czasy następne. Wiedz, że wszystko jest zmienne!" Albtf; „Nauka niech będzie majątkiem twoim. Gdy na cię przyjdzie bied zasługa twoja więcej będzie znaczyć aniżeli stosunki twoje z bogatym^ Ona będzie większą od ich wspaniałości". „Nie gardź prostaczkiem,' albowiem przybytek mądrości dla nikogo nie jest zamkniętym".

A jednak to prawda! To na papirusie napisał Ptahhotep przed pięć-; cioma tysiącami lat.

Czyż ten papirus nie wspanialszym jest od świątyni w Karnaku?

Zaprawdę! Jeśli piramidy, świątynie, groby z ich niezliczonymi napisami i malowidłami zdradzają wielki rozkwit sztuk i nauk w Egipcie,' to z papirusu tego bije taka dojrzałość ducha i taki majestat mądrości, że chce się dziś wykrzyknąć do rodu ludzkiego:

— Żółwiu! Po pięciu tysiącach lat wędrówki tyś tutaj dopiero?!

Trzy tysiące lat temu — Tuklat-Pal-Asar, pan czterech stron świata

! Gorączkowym wrzał Elassar** ruchem, gdy profesor Przedpotopowicz, zamieszany w pieszym i konnym tłumie, wygodną, bitą drogą wstępował w jego bramy. Tłum nie zwracał nań żadnej uwagi, więc przeszedł sklepioną bramę miasta i porwany burzliwą falą, mijał mnóstwo jednopiętrowych domów o drzwiach wysokich, o jednym najwyżej,, oknie w jednostajnej gładkiej ścianie frontowej. Zamiast dachów wszędzie prawie widniały tarasy.

Po drodze miał sposobność zauważyć, że mężczyźni prawie wszyscy nosili w uszach złote lub srebrne kółka; ręce nawet odwiecznym zwyczajem zdobili w bransolety. Nieliczne na ulicach kobiety nosiły ubiór-zupełnie ukrywający kształty ciała.

Zapucił się w głąb ludnego miasta. Znalazł się wreszcie za długim imalem, gdzie ujrzał wysoki dom, zbudowany z cegły. Dwa smukłe na Aieżach maszty z chorągwiemi z daleka już znamionowały pałac.

Niebawem Przedpotopowicz ujrzał się u głównego wejścia do pałacu,

* Król Assa należał do trzeciej dynastii z r. 3800 przed Chr. (przyp. aut.)

** Elassar — wielki gród asyryjski, (przyp. aut.)

gdzie skrzydlate byki trzymały straż u podstawy dwóch wież, wznoszących się po obu stronach wejścia. Ściany zdobiły liczne płaskorzeźby i rysunki. Klinowe napisy, towarzyszące scenom przedstawiającym zwycięstwa wojenne, świadczyły o niemałym postępie w sztuce utrwalania myśli ludzkiej dla potomnych. One to upewniły profesora, że znajduje się w państwie ludu boga Assura. Panował tu dziewiętnasty z rzędu król, okrutny Tuklat-Pal-Asar, wsławiony wielkimi i szczęśliwymi podbojami.

Przywykły nie dziwić się już niczemu, dał się unieść tłumowi i po stromych, wąskich schodach wstąpił na taras pałacowy.

Setki niewolników, kobiet, dzieci i wolnych mężczyzn biegło, śpieszyło się i potraçało na ulicach i kwadratowym dziedzińcu pałacowym. Lud ogorzały, szorstki, o ponurym, a nawet dzikim wejrzeniu, niby rój pszczoł, huczał w oczekiwaniu jakiegoś radosnego widowiska. W istocie, zwycięskie wojska powracały z Syrii z bogatymi łupami i mnóstwem jeńców. Chociaż zwycięstwo nie było tu rzadkością, zawsze jednak gorączkowało tłumy. Paleontolog bezwiednie usiadł na szerokiej balustradzie i zadumał się głęboko. A więc znajdował się w górzystej krainie Azji zachodniej, zwanej przez Greków Mezopotamią.

Mrokiem tajemnic pokryta dotąd pierwotna historia Mezopotamii ukrywa tragiczne losy nieznanego nawet z nazwiska cywilizowanego ludu, który poprzedził właściwych Chaldejczyków, uważanych długo za twórców jej cywilizacji i tych miast wspaniałych, jakimi przez liczne wieki władali. A jednak ów dumny lud semicki nie był twórcą tej cywilizacji.

Jeszcze Asyryjczycy, nieznanymi w dziejach świata, wiedli w swych niedostępnych, jałowych górach nędzny, półdziki żywot, gdy zyzną Mezopotamię zamieszkiwała od kilkunastu wieków cywilizowana społeczność, niemal tak starożytna jak Egipt. Kraj ten posiadał dobrobyt, gęstą ludność i jedyne wówczas w świecie co do bogactwa wielkie miasta, jak Elassar, Sippara, Larsam i Bab-ilu.

W mieście Ur wznosiła się wspaniała, najdawniejsza świątynia księżycy. Kolosalną była, skoro po kilku tysiącach lat leży jeszcze po niej trzydzieści milionów cegieł pokrytych klinowymi napisami!

Koczownicze półdzikie plemię opanowało spokojny ten naród tu-rański i prędko zagarnęło jego dorobek na swoją własność. Zaborcze plemię przyszło do gotowego. Przyjęło skwapliwie od Akkadów wyższą cywilizację, bo im z nią było wygodniej, a narzuciło im w zamian twardą przemoc. Prawy właściciel, mimo wyższości, a może właśnie dlatego, upadł pod strasznym uciskiem, pod chłostą okrucieństw i bezprawii, za które najprzód nie chciał, a potem nie mógł już równą płacić monetą, aż wreszcie nie stało go zupełnie. O całej jego głuchej kilkun-

stowiekowej uporczywej walce nawet pamięć zaginęła w morzu czasu, który wszystko zaciera.

I kwitnący Sumir* z biegiem czasu, pomimo wielkiego dobrobytu, upadł, a wspaniałe grody jego, nie ustępujące pod względem znaczenia nowożytnym stolicom, utraciły swą świetność.

Wzniosło się bowiem niespodzianie w północnej części Mezopotamii zaborcze i dzikie państwo ludu boga Assura, zwane asyryjskim, ■ i stało się ogniskiem życia dziejowego oraz najpotężniejszym państwem owych czasów.

Tuklat-Pal-Asar był w całej pełni świadom swej potęgi, skoro sam tytułował się potężnym królem czterech stron świata, królem nad wszystkimi królami, panem nad panami, ojcem najszanowniejszym, pasterzem prawdziwym, sędzią najwyższym, olbrzymem w bitwach, któremu Assur obiecał zwycięstwo i panowanie nad całym światem!

W istocie! Panowanie jego było nieprzerwanym szeregiem wojen zwycięskich.

Splądrował kilkadziesiąt państw Azji Środkowej. Spustoszył kraje: Charia, Saranit, Ammanit, Chety, Muszkajów i Akharu, słowem — całe sąsiedztwo, poczynawszy od Armenii, brzegów Morza Kaspijskiego oraz Czarnego aż do Syrii i Morza Śródziemnego. Jego ciężkie wozy na kołach miedzianych niby ruchome twierdze przechodziły z równą łatwością przez dzikie wąwozy, jak przez gęste puszcze leśne. Przez rzeki budował naprędce mosty albo przeprowiał się na wydętych skórkach bawolich, zwyciężał po kilkadziesiąciu władców za jednym pochodem. Wszędzie, gdzie stąpił nogą zwycięzcy, niszczył ogniem i mieczem wsie oraz miasta i całe kraje pokrywał gruzami. Okrucieństwa przychodziły mu z łatwością, bo leżały w tradycjach ludu i dynastii. Królowie asyryjscy nie odznaczali się nigdy łagodnością. Wojen nie unikali, owszem, wszczynali je chętnie, one to bowiem głównie ich wzbogacały. Łupiestwo doprowadzili do ostatnich granic. Żaden naród nie miał prawa opierać im się ani prowadzić z nimi wojny. Sąsiadów, którzy stawiali im opór, uważali wprost za buntowników, dla których żadna kara nie może być zbyt surowa.

I Więc też wysilali mózgi na okrucieństwa i trzeba im oddać sprawiedliwość, że doszli do doskonałości. Pomimo trzydziestu wieków wszechstronnego postępu, ludzkość nie może się już zdobyć na nic więcej iv tym względzie krom.,, naśladownictwa.

Z marzeń i wspomnień o tym strasznym kraju, o dzikiej jego cywilizacji, wyrwał paleontologa zgiełk wielki dochodzący od strony wjazdu. Pociągnięty na przeciwległą stronę tarasu ujrzał długi orszak, nadcią-

Sumir albo Sumer.

gający do bram pałacu. Na czele toczyło się kilkadziesiąt wozów wojennych, zaprzężonych w trzy konie. Na każdym siedziało trzech ludzi: woźnica, hardy żołnierz w hełmie oraz pancerzu i giermek z okrągłą tarczą.

Za woźnicami maszerowali wytrwale w paradnym szyku kopijricy i łucznicy. Dalej toczyły się opylone wozy z bogatymi łupami i tłumy jeńców. Za jedną grupą jeńców maszerowały inne oddziały łuczników lub żołnierzy uzbrojonych w długie kopie. Dalej szły wielkie wielbłądy jednogarbne, objuczone sztabami brązu, cyny, srebra, żelaza, a nawet złota, potem stada wychudłych od długiego marszu wołów, kóz i owiec, i znów żołnierze, wozy, jeńcy wojenni i niewolnicy, niosący pod groźbą pałki kosztowne i ciężkie sprzęty. Całą masę ostatnich jeńców i łupu pozostawiono u bram miasta. Mieszkańcy Assuru szaleli z radości i wydawali okrzyki zapału na cześć wojsk zwyciężczych i króla.

Tymczasem czoło orszaku już weszło na dziedziniec pałacowy, gdzie oczekiwał nań Tuklat-Pal-Asar.

Żołnierze i wodzowie ucałowali ziemię przed stopami króla i na znak dany pozajmowali wyznaczone sobie miejsca. Teraz występowali jeńcy. Odzież ich, podobna do łachmanów i grubą warstwą pyłu pokryta, świadczyła o długiej i męczącej drodze. W tej gromadzie mężczyzn, kobiet i dzieci można było znaleźć wszystkie stany ludu pokonane. Zgarnięto ich nie z pola bitwy z orężem w rękę, ale niespodzianie wyrwano bezbronnych i nie opierających się ze zgliszcz wiosek i miast zrabowanych i zrównanych z ziemią. W tym tłumie wynędzniałych i skatowanych postaci nie brakło nawet starców o mlecznych włosach i szlachetnych, zmarszczkami pooranych obliczach, którym nie sądzono było w pokoju dokonać dni pracowitego żywota.

Na znękanych obliczach malowała się nie rozpacz, ale przeważnie obojętność i zupełna rezygnacja. Król królów, pan czterech stron świata, pasterz prawdziwy i ojciec najszanowniejszy skinął ręką i wydał rozkaz krótki.

Dla przypodobania się bogom polecił niedobitków odesłać przed świątynię Assura, aby tam, konając w powolnych mękach i na powolnym ogniu, odebrali zasłużoną nagrodę za opór.

Usunięto osądzonych.

Następny orszak obejmował starszyznę nieprzyjacielską z wybitnym wodzem na czele. Tych ludzi oblicza były pomimo fizycznego bólu i wyczerpania zuchwałe. Prowadzono ich przez całą drogę niby niedźwiedzia na sznurkach, przeciągniętych przez krew brozące języki lub wargi. Wiedzieli oni zbyt dobrze, jak srogie czekają ich tortury; wzdychali tajemnie w drodze do bóstw o śmierć natychmiastową, ale gdy nie wysłuchane zostały ich modły, więc teraz z zaciętością podnieśli czoła

i stanęli hardo przed tym, który wyda na nich okrutny' wyrok. Mówili mu wzrokiem zimnym i wzdurliwym, że nie zdoła wymyślić nic, czym by ich skruszył i zniewolił do błagania o litość. Nie omyliły ich **prze- czucia**. Ojciec **najszanowniejszy** obmyślił już dla nich odpowiednie przyjęcie. Zgodnie z tradycją raczył osobiście wziąć udział w wymiarze sprawiedliwości.

Kazał ich na początek stawiać przed sobą rzędem na klęczkach, a ujawszy w silną prawicę ostry dziurk brązowy i trzymając lewą za sznur obezwładniający jeńca, po kolei wydłubywał każdemu oczy. Lubował się wraz z ludem swym widokiem drgających z okrutnego bólu mięśni twarzy. Żadnym jednak jękiem nie dano mu było uradować serca swego. Spochmurniało też oblicze pana. Znudzony odrzucił krwawe narzędzie, a okaleczonych oddał w ręce otoczenia, zalecając szereg mąk, godnych uroczystej chwili i oddanie 'szczątków świniom na pożarcie. }

Ale już podczas królewskiej operacji geologowi zaszyły mgłą oczy. Z zastygłą krwią w żyłach odwrócił głowę od miejsca kaźni, nie widział już nic. Gdzie spojrzął, jaskrawa plama czerwona zasłaniała mu wzrok. J

Z okrzykiem boleści, półprzytomny, zbiegł na dół. Rozpychał tłum, promieniejący od wielkiej uciechy, nic i nikogo dobrze już nie widział. Krew zasłoniła mu świat cały.

Krótkie zdławione jęki i swąd palonego żywca ciała odbierały resztki przytomności. Pragnął znaleźć się jak najdalej od straszego dworca pałacowego. Wreszcie ogarnął go błogi spokój.

Nie czuł zmartwiały i w niepamięci przez wieki płynący, jak w krainie, w której władcy ludu boga Assura wycisnęli ocean łez gorzkich, gwarne rojowisko ludzkie milkło coraz bardziej. Kłde widział, jak pałace, domy i świątynie jedne po drugich w proch się rozsypywały, jak wreszcie na tych zapomnianych, krwią przesiąkniętych i milczących polach porastały już chwasty.

Dwadzieścia dwa wieki temu — Nowy król ziemi, syn Zeusa

W tym samym czasie, gdy dumny ród Kaina, niby Tydeusz, „kasał wściekle Menelipa głowę"*, gdy reszta ludzkości, nie wyłączając europejskiej, żyła jeszcze w kulturze kamienia gładzonego, spokojne plemię aryjskie rozmnażało się w borach i rozchodziło zwolna po Europie, sięgając aż do Azji.

Część jego wyemigrowała na południo-wschód i pod nazwą Indusów opanowała odwieczne siedziby Malajów, druga pozostała czas jakiś

* Dante: „Boska Komedia", pieśń 32. (przyp.aut.)

w ojczyźnie, a gdy nastąpiło przeludnienie, rozlała się szeroką **ławą** pó
Europie i Azji Mniejszej, dając tu początek późniejszym Celtom, Gre-
kom, Italom oraz wszystkim do dziś obecnym na niej ludom.

W Iranie pień aryjski dał początek Medom i wielkiemu **narodowi**
Persów, który podbił w krótkim czasie pół świata i zastąpił bitnością,
despotyzmem i bogactwami.

Wśród wszystkich dzieci tego rodu, bez względu na stan ich uspołecz-
nienia, nie ustawały boje. Zupełnie jakby wbrew dotychczasowym
prawom natury przeznaczeniem gatunku było mordowanie się wza-
jemne. Dawniej walczyły przeciw sobie zwykle odmienne **gatunki**;
one tylko niszczyły się zjadłe. Teraz jeden sprzysiął się na własną
zagładę i gdyby tylko miał siły po temu, z pewnością wytępiłby się do
szczętu. Osiem wieków upłynęło od czynów Tuklat-Pal-Asara, osiem
wieków wypełnionych bratobójstwem i czynami mniejszych lub zupeł-
nie małych Tuklat-Pal-Asarów i geologowi sądzonym było ocknąć się
w pełni blasku i działalności nowego geniusza wojny i nowego anioła
zniszczenia.

Wstąpił na widownię ziemi ambitny Macedończyk i jednostka
wstrząsnęła niemal całą ówczesną ludzkością. Na wzór faraonów
i władców asyryjskich uznał się Grek synem Zeusa i marzył o czynach
godnych bogów.

Jak meteor, jak niszczący piorun przeleciał „wielki” Aleksander po
świecie i jak piorun zostawił po sobie niezatarte ślady. Wzbił się wy-
soko, jeśli będziemy mierzyć na potęgę zbrojnego ramienia, marzył już
o podbiciu świata całego, gdy przedwczesna śmierć zaskoczyła go
w Babilonie.

Dziwnymi zaiste drogami ludzkość do postępu kroczy. Trudno obli-
czyć, ile milionów ludzi utraciło przez krwawego Aleksandra życie, ale
to pewna, że nigdy jeszcze cywilizacja podobnie szybkiego postępu nie
uczyniła.

Dokonał on w istocie więcej, niż kiedykolwiek przed nim jednostka
ludzka dokonać zdołała na ziemi. Zniszczył wiele, to prawda, ale i od-
świeżył ludzkość.

Upadł brutalny absolutyzm azjatycki, a to, co nazywamy oświatą
grecką, przeniknęło do dalekich krańców Azji. Na zapomnianych zglisz-
czach zajaśniały nowe kwiaty, dojrzały wspaniałe owoce.

Wzmógł się na ziemi ruch naukowy, zakwitła nieznana lub odrodzo-
na sztuka, handel i przemysł. Uruchomiły się niezmierne skarby, drze-
miące od wieków w skarbcach lub mocy królów perskich.

Wkrótce wzniesiona przez Macedończyka Aleksandria dzięki greckim
królom Egiptu (Ptolemeuszom) zajaśniała pełnym blaskiem.

Milionowy gród nad Nilem stał się królową oświaty, 'zbiegowiskiem / uczonych, pierwowzorem dotąd nie prześcignionym! Słynne Muzejon, gdzie nauczali mędrcy, gdzie zgromadzone z czterech stron świata siedemset tysięcy rękopisów zawarło całą mądrość, jaka była po owe czasy dorobkiem całej ludzkości. A nie były to wcale wątłe iskiereki, za jakie my je najczęściej uznajemy, zarozumiałe dzieci najnowszej cywilizacji.

Najrzadsze rękopisy nie znanych nawet z nazwiska uczonych i filozofów zgromadziły się tu w odpisach, przekładach lub unikatach. Na koszt monarchy setki podróżników badało odległe kraje i nie znane z imienia ludy. Przywozili nieocenione zbiory naukowe, nad którymi znów pracowały legiony uczonych, hojnie ze szkatuły królewskiej opłacanych.

Tu mędrcy nauczali spragnionych wiedzy słuchaczy, a tłumy ich i przybywały ze wszystkich stron świata.

| Krótko mówiąc, Aleksandria była pierwszym i jedynym skarbcem S dorobku umysłowego ówczesnej ludzkości.

|

i I co z niej zostało?

i Przemineła jak cień, jak tyle już wspaniałości ziemskich, jak mamuty, których kości gdzieś wykopujemy, a o których prostaczkowie ; naiwnie dziś pytają, czy naprawdę mogły żyć niegdyś tak wielkie zwierzęta... A jednak żyły, tylko pamięć o nich wyginęła.

| W tych skarbach umysłowych, zatraconych po większej części bez śladu, których bezdusznymi szczątkami całe średniowiecze się karmiło, ibyło i musiało być mnóstwo takich zdobyczy, które powtórnie wykrzesawszy z głów swoich uważamy niesłusznie za zupełnie nowy i oryginalny dorobek.

*W pomioce piętnastu wieków — Durocatalaunum**
Triumfy piekieł

W sąsiedztwie, na gruzach etruskich, pod promieniami konającej cywilizacji i potęgi greckiej, wzniosło się państwo rzymskie do szczytu świetności.

Niby słońce, zapanowało nad starożytnym światem, ale snadź był o znów meteor tylko, bo wybiła dlań przedwcześnie godzina zachodu... Jeśli się śmieją szatani w piekle, tedy z pewnością trzęsło się całe

* Durocatalanum albo Catalaunum.

piekło w potwornych konwulsjach ohydneho śmiechu, gdy spoglądało przez kilka wieków na ziemię. Osiem wieków to chwilka albo też bez- *¹miar radości i cierpień, rozkoszy i mąk najsroźszych.

Dobrze, iż choć tyle miał spokoju nasz tułacz, że nie widział i nie czuł, co się wówczas na ziemi działo. Serce by mu pękło z bólu, gdyby patrzył, jak znowu tonęły ogniki mądrości w bezbrzeźnych mrokach głupoty i przesądów, jak się przelewała czara przestępstw ludzkości, gdyby widział szalony zbytek jednostek, rozkiełznanie wszelkich namiętności, skażenie obyczajów, straszną nędzę tłumów, okrutny despotyzm i ucisk ludu, doprowadzonego do ostateczności!

A przecież świat mógłby się już raz odrodzić i uszlachetnić. Na krzyżu umarł Człowiek, który podeptał dotychczasową dewizę życia zwierzęcą i ogłosił... prawdziwie ludzką.

Snadź ludzkość daleką jeszcze była wówczas od człowieczeństwa, skoro nawet po dziewiętnastu wiekach hasło Jego, wypisane na sztandarze rodu Kainów, pozostaje martwą niemal literą! Przez całe dziewiętnaście wieków szły w ślady Chrystusa spośród milionów ludzi za ledwie jednostki i te, rzecz prosta, padały ofiarą starego porządku świata. Inaczej być nie mogło! Jak wśród głodnych wilków nie ostoi się owieczka, tak wobec bijącego nie ostoi się ten, kto miasto oddać nadstawia drugi policzek i miłuje nieprzyjacioły swoje! Świt nowej ery rozproszył co prawda i rozjaśnia dawne cienie, ale to świt dopiero.

Do południa jeszcze daleko!...

Ujrzał więc geolog okrutny wymiar sprawiedliwości dziejowej na krwawym rodzie, który sądził, że za mało jeszcze krwi wytoczył, bo wiecznie łaknął mordów i zbrodni. Niby skorpion wbijał w swe ciało, sztylet jadem zatruty i skonać samobójczą śmiercią nie mógł.

Dzieło samozagłady starożytnego świata przyspieszyła dopiero wzmagająca się nienawiść ciemieżonych bez miłosierdzia „barbarzyńców” północy, dokończyła zaś, niby bicz Boży, sfanatyzowana szarańcza Azjatów z żywiołową potęgą wylewająca się na zachód.

W chwili, gdy gwar okrzyków i chrzęst zbroi zbudził naszego tułacza ze snu wiekowego, a było to już w piątym stuleciu po Chrystusie *, państwo rzymskie i idee bogato uposażonego świata starożytnego konały pod ciosami wschodnich najeźdźców i w rozkładzie własnych sił żywotnych.

Stojąc na stromej skale wznoszącej się nad rozległą płaszczyzną rzeki Marny, pod rzymskim miastem Duocatalaunum (Chalons) w późniejszej Szampanii, ujrzał profesor u stóp swoich falujące morze głów ludzkich i końskich. Więcej niż pół miliona ludzi zbiegło się, aby dać

* W roku 451 po Chr. (przyp. aut.)

widowisko, jakiego przed zjawieniem się człowieka z femy nigdy nie oglądała.

Morderczy bój wrzał od rana, a stopy walczących brodziły we krwi. Wieczór się zbliżał, a jedna z najkrwawszych ziemskich bitew wrzała w pełni. Zgromadzone tu były w śmiertelnych zapasach wszystkie narody od stepów Mongolii aż do Oceanu Atlantyckiego. Był to zarazem ostatni akt ówczesnych zapasów śmiertelnych świata „cywilizowanego” ze wschodnią „dziczą”*

Już sto pięćdziesiąt tysięcy trupów zaległo okrwawioną równinę, mimo to jednak nowe zastępy mordujących się istot jednego gatunku padały pod wzajemnymi ciosami.

Wpatrzył się zdrętwiały od zgrozy i jakby ogłuszony profesor w ten obraz okropny, gdy naraz ciężka dłoń opadła szorstko na ramię jego. Obejrzał się. Stał przed nim zbryzgany krwią przedstawiciel rodu ludzkiego. Małego wzrostu, krępy, czoło niskie, nos spłaszczony, twarz szeroka, broda rzadka, oczy maleńkie, kosę i bystre, uszy odstające. Postać zgoła wstrętna i dreszczem przejmująca.

— Coś ty za jeden i co tu robisz? — wrzasnął nad uchem geologa.

— Nie wiem, gdzie jestem — odezwał się tułacz — nie wiem też, co znaczy ta walka.

— Dziwna rzecz! Można by sądzić, że spadłeś z księżyca. To pan mój zmywa obrazę swego majestatu.

— Cóż to za władca, że takie wyprawia widowisko?

— Jak to? Nie wiesz nic o Attyli, biczu bożym? Nie wiesz, o „młocie I świata”, przed którym drży dziś Europa? Nie wiesz, kto pobił Alanów, Gotów i sto innych narodów? Kto spustoszył Tessalię, Italię? Kto nad Dunajem zrównał z ziemią wszystkie miasta, wioski i fortece? Kto mieszkańców w pień wyciął? Kto kwitnące gaje, żyzne pola, wesołe i ludne siedziby w głucho zamienił pustynie, dymiące jeszcze krwią i pożogą? Nie wiesz wreszcie, kto obecnie zadaje śmiertelny cios sprzymierzonym wojskom Rzymian, Westgotów**, Franków, Alanów i Burgundów? Kto ukaże srogo zuchwalstwo Walentyniana, Aecjusza i Teodoryka? Skoro udajesz nieświadomego, giń, psie chrześcijański! — wrzasnął krwawy wojownik i ciężki miecz zabłysnął nad głową geologa.

*Ucichły jęki, zagasły płomienie
I martwe tylko nastąpiło milczenie ****

* Zapasy te ogółem przynajmniej piętnaście milionów ludzi pozbawiły życia, (przyp. aut.)

** Westgoti — Wizygoci, czyli Goci zachodni.

*** Ely (Adam Asnyk): Poezje, (przyp. aut.)

Czemu tyle kiwi i lez?

Wszystko, co wyższe jednostki zdobyły dla ludzkości dobrego przez szereg poprzednich wieków: nieprzeliczone owoce podniosłej myśli, arcydzieła geniuszu i mozołu mędrców zniszczone zostało bezpowrotnie. Pozostały znowu tylko ruiny i bezkształtne szczątki.

Zapomnianą została wspaniałość ustroju społecznego Grecji i Rzymu. Najcenniejsze, bo umysłowe skarbcze człowieczeństwa: biblioteki Aleksandryjska i Pergamska poszły z dymem. Nauki i idee umarły.

Przerażająca ciemnota rozpostarła się na długo nad ziemią. W jej mrokach krzywdy jedynie, zdrady, bezprawia, okrucieństwa i zbrodnie snuły się nieprzerwanym, tłumnym pochodem przez wszystkie godziny, lata i żywoty całych kilkudziesięciu pokoleń.

Jakaś szatańska moc czy rozigrana wyobraźnia nie oszczędziła profesorowi żadnej katuszy. Najmniej zajmował się dziejami, a przecież musiał oglądać obrazy jeden od drugiego boleśniejsze.

Trzynasty wiek przejrzał na wylot. Widział powszechną niedolę ludu, źle rządzoną Anglię Henryka III, Francję Ludwika Świętego, ciemnotę i straszny despotyzm we Włoszech, w Niemczech „prawo mocniejszego” z nieskończonymi gwałtami i wojnami domowymi. Olbrzymi i szczęśliwy po swojemu Bagdad zamieniony przez Batu-Chana w stos krwawych gruzów. Ruś w srogim jarzmie Mongołów i wyludnioną, dymiącą zgliszczami Polskę, która bohaterską piersią zasłaniała długo Europę i krwią swoją ocaliła od własnego losu. Widział potem, jak szlakiem krwi, dymu i pożogi niesiono godło krzyża do Litwy pogańskiej. Widział także, jak niesiono to samo krwią zbryzgane godło do świeżo odkrytej Ameryki. Patrzył na ponure czyny Korteza, godne Attyli, Batu-Chana i wszystkich geniuszów gwałtu. Później musiał patrzeć jeszcze, jak wyciągano „czarowników” na belkach i kołach, aż kości wychodziły ze stawów, jak ludzie darli ludziom za nic pasy z pleców, a podeszwy przypiekali żelazem, jak w stęchłych podziemiach, gdzie zaduch odbierał oddech i przytomność, konali o chlebie męczarni i wodzie boleści „kacerze” i „czarownicy”, jak w szesnastym i siedemnastym wieku palono i gładzono na stosie miliony kacerzy i czarowników. Serce zamierało mu w piersi i lez już zabrakło w wyschłych od zgrozy oczach.

W takim piekle, stworzonym przez ambicję, namiętności i ciemnotę jednostek, cierpiało całe biedne mrowie ludzkie, wszystkie niemal narody Europy i wszystkie stany. Przemoc zapanowała po raz nie wiadomo już który nad słusnością, a zwierzęcość nad pierwiastkiem człowieczeństwa. Ludzkość na podobieństwo wiewiórki w klatce biegała

"hlby wciąż przed siebie; dobywała wszystkich sił, ale mimo to nie posuwała się naprzód!

Dziw, że przez tych ciemnych lat tysiące z okładem nie wyrosły ludziom kły tygrysów i szpony sępów, że pod czaszkami nie zastygła, nie skamieniała myśl wzniosła, a na dnie serc nie wytęły iskry czystej miłości i cnót.

Człowiek, owa łagodna i zalękniona w początkach istota, przeszedł okropnością instynktów wszystko. Stał się potworem, jakiego ziemia jeszcze nigdy nie oglądała! Szpony tygrysa przedłużyły się u niego w sztylety, miecze, kule i złe pióra. Jad żmii zamienił się w atrament i tysiące trucizn fizycznych i moralnych. Człowiek zaćmił całą menażerię ziemską. Obżarstwem zaćmił świnię, opilstwo sam już wynalazł, rozpustę pierwszy zaczął praktykować, zabójstwo wydoskonalił i podniósł do godności sztuki!

* I pomyśleć, że tak żył z małymi wyjątkami przez całe lat trzy tysiące, aż do Chrystusa, a od Chrystusa przez wszystkie wieki aż do dziewiętnastego!

I to ma być twór najwyższy! I on stawia się z dumą na piedestale, spogląda z pogardą na resztę stworzenia, każe się uwielbiać i śmie wołać: „Jam chwała ziemi! Jam ideał stwórcy!”

Ależ to komedia najtragiczniejsza ze wszystkich tragedii!

W natłoku czarnych obrazów widział geolog i jasne, ale były to istne „białe kruki” i bardziej jeszcze rozdzierały mu serce.

Im większa gdzie sprawiedliwość, tym bardziej uciśniona mimo wszystkie kodeksy; im większa była gdzie dobroć, tym sroższe odbierała nagrody; im większe serce, tym srożej cierpiało; im większy rozum, tym zajadlej głupota nań godziła. Im większe poświęcenie, tym głośniejsze drwiny; im bielsza czyja szata, tym liczniejsza tłuszczka biegła, : aby ją oplwać i splugawić!...

Przebrała się wreszcie miara ucisku geologa.

— Dość już tego — jęknął umęczony — dość tych obrazów godnych piekła dantejskiego! O, zmoro straszliwa! Za co mię dręczysz? Za jakie winy każesz patrzeć na samą nędzę rodu ludzkiego? Czyż w nim tak mało stron jasnych?

Wszak rodzaj człowieczy jest już czymś lepszym na świecie! Choć powoli, choć nie wszystek, ale uszlachetnia się ciągle. Wyżyny, na które wzniosły się i wznoszą jednostki, stają się niebawem dostępne tysiącom, a później milionom. Serce staje się czulszym, umysł subtelniejszy. Suma dobra i szczęścia zwiększa się statecznie na ziemi.

Nie należy rozpaczać! Czyż pięć lub sześć tysięcy lat historycznego bytu ludzkości stanowi tak wiele wobec niezmierzonej i niezgłębionej

wieczności? Czyż można wymagać, aby ród ludzki od razu stał się tym, czym kiedyś być może?!

Ale tymczasem cierpcie tłumy, płacźcie duchy jasne! Naśladujcie tego, który umarł na krzyżu. Tylko wasze łzy obmyją świat, a gdy wypełnią oceany, wówczas nastanie era panowania Dobra. Wtedy poziomą pogoń za zwierzęcymi potrzebami i rozkoszami zastąpi zaszczytna walka z ułomnościami... Wy okupicie swą nędzą szczęście odległych potomków!

Przez was, dzisiejsze duchy jasne, ziemia musi wejść wreszcie w nową fazę bytu i stanie się siedliskiem istot podniosłych, które z podziwem będą wspominały swych przodków, tak mało... ludzkich.

Może te istoty nie osądzą surowo tych biedaków, którzy choć zapewniali nad żywiołami, choć policzyli gwiazdy, zważyli słońce, obrachowali zawile drogi planet i komet, nie zdołali jeszcze zwalczyć w sobie zwierzęcych instynktów!

Wtedy, w tej odległej chwili, ludzkość wystawi wam w sercu swoim pomnik wdzięczności i budowniczym swego szczęścia błogosławić będzie!

Vanitas vanitatum?

*Marność jest klątwą ziemi syna,
A dziełem jego nieświadomość,
A losem jego dzieł znikomość,
A imię jego: proch i glina!*

*Próżno się kusi wzlecieć duchem
Z pyłu, gdzie trawi go tęsknota,
Próżno się zrywa i szamota
Skowan glinianych pęt łańcuchem...*

*I cóż ma z trudu swego człowiek
I z prac tych, które wszczął pod słońcem?
Znikomość jego dzieł jest gońcem,
A żywot jego — mgnieniem powiek!*

*Rozkosz i ból, co pierś nam wzdyma,
Mijają tak, jak szybkie lodzie,
Chwil kilka drży ich ślad na wodzie,
Ucichły już i już ich nie mai...*

— Cóż to jest? Skąd mi wpadają w uszy te zatrute jadem z wątpienia strofy? — zawołał profesor Przedpotopowicz. — Więc nic? Więc nic, jeno znikomość? I tylko marność, proch i glina?

Jak to?...

*Więc równy dział jest tych, co skąpią,
Z tymi, co trwonią swe dostatki?...
Więc nic? I znikąd nie zaczerpie
Syn ziemi w smutkach swych otuchy!
I nic? I celem grób mu głuchy?...*

Nieprawda! Po stokroć nieprawda! *

Po tym proteście energicznym geolog popadł znowu w odrętwienie. Wyrwały go z tego stanu dopiero posępne rymy, niby kruki zlatujące się do trupa. I jak kruki poczęły mu znowu szarpać serce.

*Wirują światy w rączym pędzie
Wiecznym swym torem bez wytchnienia.
Tak było w pierwszym dniu stworzenia,
Tak jest i dziś — tak zawsze będzie!*

*Do morza wodę znoszą rzeki,
Te zaś je znowu chmurom zwraca —
Od wieków trwa ta próżna praca,
I będzie trwać po wszystkie wieki!*

*Do podmogilnych dążąc wczasów
Kroczy wciąż ludzkość bez przestanku,
Tak było w pierwszych dni poranku,
Tak będzie aż do końca czasów!*

*To, co istnienia zwiem imieniem,
Co zwiem poczęciem i konaniem,
Jest tylko prochów wirowaniem
I męką ciał, i utrapieniem.*

*Szalony więc ten, komu zda się,
Ze coś buduje lub wywraca;
Daremne trudy! Próżna praca!
Wszystko już było kiedyś w czasie!*

*Znikomość jest dzieł ludzkich gońcem,
Co jest, to było już od wieka,
Co było — nowych wcieleń czeka,
Nowego nie masz nic pod słońcem!*

*Mijają ludzkie pokolenia,
Jak fale, gdy wiatr morzem zmaćci,
I nie masz godów ich pamięci
I nie masz bólów ich wspomnienia...**

co

— Milcz! — krzyknął Przedpotopowicz i zerwał się gwałtownie z łoża, ale go silne ramie z delikatnością kobiecą powstrzymało.

— Spokoju! — szepnął miękko głos łagodny, ale przekonywający.

Przedpotopowicz uczył dziwny ból w skroniach i zamknął powieki. Gdy je podniósł, ujrzał pochyloną nad sobą postać oniezykłym wyglądzie. Wyraz twarzy był słodki, niewypowiedzianie szlachetny, myślący, a wzrok do głębi duszy sięgał. Nigdy jeszcze geolog podobnych oczu nie spotkał. Jakiś czar nieziemski bił z tych źrenic jasnych, jak promień słońca, jak młodość, a patrzących z oblicza zwiędłego już od lat przeżytych. Geolog uczył bezwiedną a silną sympatię do tej istoty.

Cera ciemnopopielata i zupełny brak zębów oraz zarostu na twarzy i głowie wzbudziły podziw i ciekawość.

Nie umiał odpowiedzieć sobie nawet na pytanie, czy to mężczyzna czy kobieta.

— Kto jesteś? — zapytał po polsku.

Popielatoskóry człowiek odrzekł mu nad wyraz melodyjną, ale całkiem niezrozumiałą mową. Uczony nasz przemówił po angielsku, ale nie otrzymał już odpowiedzi.

Na obliczu nieznajomego czy nieznajomej zagościło tylko zdziwienie i błysk radości. Geolog powtarzał natarczywie pytanie po francusku, po niemiecku, ale na próżno.

Nieznajomy zdawał się nie rozumieć żadnego z tych języków.

Wreszcie oddalił się z dobrotliwym uśmiechem i powrócił w towarzystwie bardzo wątlęgo starca. Pod względem braku naturalnej ozdoby głowy starzec był zupełnie podobnym do swojego towarzysza. Przedpotopowicz zwrócił się doń z ponownym pytaniem i otrzymał nie-dokładną angielszczyzną zapytanie:

— Po jakimu mówisz?

* Włodzimierz Zagórski: „Król Salomon”, (przyp. aut.)

— Po angielsku — odparł profesor — ale czemu pytasz, skoro znasz ten język?

— Nie wiedziałem, że się tak nazywa — odrzekł z prostotą starzec. A po chwili milczenia odezwał się znowu: — Choć dziwnie surową jest twa postać, widzę, żeś człowiekiem i mężem. Kimże jesteś i skąd pochodzisz?

— Jestem Polakiem, profesorem paleontologii w Oksfordzie.

— Nie rozumiem tego! — odparł głęboko zamyślony nieznajomy.

— Gdzież więc jestem? — zawołał geolog, urażony nie tyle odpowiedzią, ile wyrazem politowania i zgrozy, jakiej nie miał siły ukryć nieznajomy, wpatrujący się uporczywie w oblicze naszego uczonego. Odpowiedź objaśniła tylko Przedpotopowicza, że jest w Afryce, badał więc dalej.

— Daleko stąd do Londynu?

— Do Londynu? — zawołał starzec. — Dziwnyś wymienił wyraz. Uczeni spierają się o znaczenie jego. Powtarza się bowiem na szczątkach bardzo wielu starożytnych przedmiotów.

— Ależ to pięciomilionowe miasto! Serce Anglii, a nawet prawie świata całego!

— Ciekawe mówisz mi rzeczy. Poczekaj, niech sobie przypomnę. To pewno tego miasta ślady odkryto pod 49° szerokości geograficznej.

— Ależ tam leży Paryż! ■— poprawił go Przedpotopowicz.

— Nie wiem, co to — odrzekł popielaty starzec.

— Nie słyszałeś więc o stolicy Francji?

— Nie mogę sobie przypomnieć...

— Zatem gdzież jestem?

— Jesteś w stolicy rzeczypospolitej Uniam-Wesi, w ognisku wiedzy współczesnej. Ja zaś piastuję obowiązki dyrektora Muzeum Starożytności Północnych. Witam w tobie głębokiego lingwistę, władasz bowiem biegle jednym z najstarożytniejszych, zaginionych dawno języków. Proszę, chodźmy do muzeum, a pokażę ci tam ciekawe zabytki ludu mówiącego niegdyś tym językiem.

Profesor, niespodziewanie pasowany na znakomitego językoznawcę, nie opatrzył się nawet, jak przeszedł kilkanaście sal, bogato napełnionych przeróżnymi okazami, ale starzec mijał wszystkie powtarzając:

— To młodsze, późniejsze epoki Europy, trzecie i czwarte tysiąclecie po Chrystusie.

I zawiódł naszego paleontologa do niewielkiego pokoju. Tu spoczywał skromny zbiór monet złotych, pieczęcie wyryte na twardym kamieniu, nagrobki kamienne i tablice pamiątkowe, sporo złotych wyrobów przemysłu, posążki, szczątki narzędzi naukowych i przemysłowych. Była nawet koperta złota od zegarka, wypełniona masą krzemioną. Na

wielu przedmiotach były wyryte napisy w języku angielskim. Starzec zwrócił się do Przedpotopowicza.

— Zdajesz się być biegłym ode mnie w tym języku.

— Znam go jak swoją rodowitą mowę.

Dyrektor muzeum pokiwał z podziwem głową.

— Pochlebiałem sobie dotąd, że nikt lepiej ode mnie nie zgłębił tej mowy — rzekł z żalem. — Ale nie odpowiedziałeś jeszcze na pytanie, kim jesteś, znakomity językoznawco?

— Porzucmy żarty! — zawołał Przedpotopowicz. — Język angielski rozumie połowa świata. Nie mogę tedy pojąć, co znaczą te okazy i dziwi mię twoja nieświadomość, starcze!

Przyszło do ostatecznego wyjaśnienia. Afrykański lingwista zrozumiał nareszcie, że rozmawia z przedstawicielem jakiejś zamierchłej cywilizacji. Zarzucił go tedy mnóstwem zapytań:

— Za twych czasów żyły podobno jeszcze takie zwierzęta? — zapytał wskazując na złoty brelok. Przedstawiał on pięknie wymodelowanego lwa, napadającego na słonia.

— Naturalnie!

— Podobno nazywały się one „lew” i „słoń”.

— Tak jest!

— Widzę, żeś dobrze odcyfrował! Zatem widziałeś i żywe konie?

— Jeździmy na nich!

— Widziałeś i woły?

— Jadam co dzień ich smaczne mięso!

Tu lingwista skrzywił się. Zmieszany i zawstydzony, skierował zaraz mowę na inny przedmiot.

— Chodź, pokażę ci prawdziwe szczątki tych zwierząt. Mamy tu w muzeum najbogatszą w świecie kolekcję zoologiczną.

Weszli do obszernej sali. Pod wielkimi kryształowymi kloszami stało kilkanaście wypchanych lub zabalsamowanych okazów zwierząt ssących i ptaków. Żle to było przechowane i mocno uszkodzone, mimo to geolog rozpoznał z łatwością w okazach najpospolitsze zwierzęta kręgowce. Był tam: koń, pies, para szczurów, mysz, żyrafa, gęś, kura i wróbel.

— I to wszystko?

— Było więcej, ale powoli niszczało.

— Dlaczego pod kloszami umieściliście te liche szczątki zwierząt?

— Bo już się za najlżejszym dotknięciem rozsypują. Musimy je chronić od zgubnego wpływu powietrza. Przed dwunastu laty jeszcze muzeum posiadało dwa razy tyle, ale skutkiem wielkiego trzęsienia ziemi połowa w proch się rozsypała. Odtąd te cenne zabytki stoją na mechanizmach, które zabezpieczają je od wstrząśnień.

— Ależ to pospolite zwierzęta!

*' , * _

— Eynajmniej! — zaprzeczył żywo uczony. — To nieocenione unikaty. Ten pies był podobno ostatnim psem na ziemi i jak świadczą zupełnie wiarogodne kroniki, został wypchany w Australii trzy tysiące lat temu. Szczur jest młodszy. Tego czworonoga widywano jeszcze kilkakrotnie przed dwoma tysiącami lat. Od dawna już znamy zwierzęta tylko z dawnych opisów, obrazów i starożytnych zabytków sztuki.

Geolog słuchał i coraz większe ogarniało go zdumienie. Umysł się mącił, w głowie wirowało, a po skórze przebiegały zimne dreszcze. Ujął głowę w dłonie i długą chwilę pozostał niemym i głuchym.

— O, znikomości rzeczy ziemskich! ■■ zawołał wreszcie i przypomniały mu się strofy króla Salomona.

Więc człowiek wszystkie zwierzęta wytępił i przeżył!

—• Czy ty wiesz, starcze ■— odezwał się do człowieka — że za moich czasów żyło jeszcze na ziemi zwierząt przeszło dwadzieścia cztery tysiące gatunków.

■— Kiedyż to było?

— W dziewiętnastym wieku nowej ery, a w 649 roku, licząc od minimum odległości Ziemi od Słońca.

Popielaty starzec pośpiesznie zaczął rachować.

— Obecnie mamy rok 1300 panowania Powszechnej Miłości i znowu prawie minimum ekscentryczności drogi ziemskiej*, więc podług rachunku zaginionych ludów Europy, jest rok 11895 od narodzenia Chrystusa.

— Jak to! Więc o dziesięć tysięcy lat przetrwałem swoją epokę? — zawołał przerażony geolog.

Excelsior

Gdy ochłonął, opowiedział pokrótce swoją nadzwyczajną wędrówkę, nareszcie zmęczony umilkł. Powrócono do gabinetu uczonego. Popielatostokóry archeolog ze swej strony scharakteryzował swoją epokę.

Potężna rzeczpospolita Uniam-Wesi była już od wieków siedliskiem wyższej cywilizacji. Obywatele jej byli sobie równi. Od wieków w tej sprawiedliwej i szczęśliwej krainie panowała miłość bliźniego, posunięta aż do poświęcenia z zaparciem się siebie samego.

Przestrzeżenie tej wzniosłej miłości sprawiło, że myślące i słodkie

* Minimum przypada na rok 11748 po narodzeniu Chrystusa, ostatnie zaś nastąpiło w roku 1246 po Chrystusie, (przyp. aut.)

oblicza popielatoskórych mieszkańców krainy jaśniały błogością. Takie": twarze trafiały się i za czasów geologa, ale bardzo rzadko. Kto je choć raz ujrzał, nie zapominał nigdy.

Nasz uczony przypominał sobie teraz, że widział kilka podobnych twarzy w swoim życiu. Jedną oceniały śnieżne skrzydła cichej i pokornej szarytki, druga należała do jakiegoś bezimiennego nauczyciela wiejskiego. Za życia patrzano nań zimno, a nawet podejrzliwie, a na zapomnianym grobie brakło nawet napisu: „Tu spoczywa człowiek”. Trzecie takie oblicze geolog ujrzał na łożu śmiertelnym. Marmurowe od wyciekłej krwi ze zdrowego, młodocianego, umęczonego ciała, jaśniało uśmiechem niewinnego dziecka...

Popielatoskóry starzec prawił bardzo dziwne rzeczy profesorowi.

Od dawna już nie było na ziemi wojen. Ostatnie były toczone z barbarzyńcami, którzy objęli Europę w spadku po rasie białej i wiedli nędzny a burzliwy żywot.

Część tych ludów wygasając złagodziła swe obyczaje i przyjęła wyższą cywilizację.

— Więc nie jadacie mięsa? — zagadnął profesor archeologa,

— Mięsa? — zapytał blednąc starzec.

— No tak! Mięsa zwierząt, na przykład baranów, wołów, wieprzów? Cóż w tym' zapytaniu dziwnego?

Oblicze lingwisty skrzywiło się kurczowo. Mimo wysiłku nie mógł zapanować nad ogarniającym go wstrętem.

— Choćby nawet i żyły zwierzęta, nikt nie zdobyłby się na okrucieństwo zabijania istot żywych i na brutalność spożywania ich ciała... — przemówił popielaty człowiek z widocznym wysiłkiem.

— Czymże się żywicie? Jesteście, jak widzę, wegetarianami?

— Ależ na to za mało mamy miejsca na ziemi. Chemia dostarcza nam związków potrzebnych do podtrzymywania procesów życiowych. Odkąd ludzkość porzuciła zwierzęcy i wstrętny sposób odżywiania się, wygasła większość chorób, które gnębiły ród ludzki, a co ważniejsza, znikły instynkta, które trzymały ludzi w stanie zbydłecenia **lub** pchały w objęcia zbrodni. Żyjemy w mierności i możliwej prostocie obyczajów. Potrzeb fizycznych mamy niewiele, a staramy się ich mieć jak najmniej, a za to czasu i sił więcej na zaspokajanie potrzeb duchowych, na przyjemność służenia bliźnim.

Ciężkiej zresztą pracy nie znamy. Wyłączamy się pracą martwych, nieprzebranych a posłusznych sił natury. Woda, przyptyw i odpływ morza, promienie słońca i ciepło, czerpane z wnętrza ziemi — oto nieprzebrane źródła siły, zastępującej wybornie pracą dawnych zwierząt

jdowycyn i aawnycn macnin parowycyn. Kazay dojrzały obywatel pełni służbę przez trzy lata przy cięższych i niezbędnych pracach dla publicznego dobra. Innych ciężarów nie znamy. Pracujemy wszyscy jednakowo. Najwięcej jednak nad poznaniem cudów wszechświata. Muzyka jest ulubioną osłodą wolnych chwil naszych. Przez nią, niby na skrzydłach poezji, unosimy się w czystą krainę marzeń podniosłych, Muzyka jest najwyższym skarbem i poezją naszą, ona wypowiada stokroć więcej niż, z natury rzeczy, gruba i niedoskonała mowa ludzka wyrazić jest w stanie. Ona daje nam przedsmak doskonalszego zagrobowego istnienia, do którego tęsknimy, ona godzi z dolegliwościami żywota.

— A więc i wy nie jesteście szczęśliwi?!

— Jesteśmy! Dopiero gdybyśmy wolni od trosk i pokus utonęli w jakimś jednostajnym i wcale nie pożądanym dobrobycie, zatracilibyśmy poczucie szczęśliwości. Bóle oczyszczają przecież i wnoszą nas wyżej. Najsrożej cierpimy nie mogąc ulżyć cierpieniom bliźnich, nie mogąc podnieść całej ludzkości do wyżyn idealnych, ale i na to nie sarkamy...

Im dłużej patrzył geolog na postać dyrektora, tym większa ogarniała go wątpliwość, czyli kobietę miał przed sobą, czy mężczyznę. Nie śmiał zadać niedyskretnego pytania, wreszcie nie oparł się pokusie.

— Dziwnie delikatna jest twa postać, dyrektorze. Daruj, że cię zapytam czyś mężczyzną?

Starzec uśmiechnął się łagodnie.

«← Jestem człowiekiem.

A zauważywszy, iż odpowiedź nie zadowoliła geologa, dodał z prostotą:

— Jeśli chcesz wiedzieć to, do czego my zresztą żadnej nie przywiązuujemy wagi, powiem, że należę do rodzaju żeńskiego.

— Z twych słów wnoszę, dyrektorze, że nie masz męża?

— Naturalnie! Jak większość... To jest podstawą naszego szczęścia i stanu ducha, do którego ludzkość tak długo tęskniła...

Prawił jeszcze dużo starzec, ale były to już rzeczy, których geolog mimo wysiłku zrozumieć nie był w stanie. Więc przerwał znużony mowę dyrektora, podobną do cichego, dziwnie przyjemnego śpiewu.

— Daruj mi prozaiczność i szczerłość w chwili niewłaściwej. Omdlewam z głodu, a nie wiem, kiedy zasiądziecie do posiłku.

Gospodarz, a właściwie gospodyni zerwała się cokolwiek zawstydzona.

— Przepraszam najmocniej, że nie objaśniłem cię wcześniej — zawołała i dyskretnie wskazała skinieniem ręki na jedną ze ścian.

Widać w niej było dwoje małych drzwiczek.

— Co to?

— Jadalnia. Wejdz tam!

Geolog ujął za klamkę.

— Nie tu! — zawołała żywo. — Drugie drzwi. Ale prawda! Sam pewno nie dasz sobie rady. — To mówiąc otworzyła drzwiczki i oczom geologa ukazał się niewielki pokój, w którym pomieścić się mógł tylko jeden człowiek.

Przy ścianie połyskiwał szereg rurek i kranów z odpowiednimi napisami, które jął gospodarz objaśniać. Były to chemiczne związki, stanowiące jedyny repertuar gastronomiczny udoskonalonej ludzkości. Trzeba wyznać, że nie było tu uwzględnione nic dla podniebienia; pokarmy nie miały smaku, ale za to były zdrowe i nadzwyczaj posilne.

Ludzkość dawno przestała być smakoszem. Co więcej, od dawna zaprzestano jadać u wspólnego stołu. Przyjmowanie pokarmów, aczkolwiek nieuniknione, odbywało się w dyskretnej samotności, gdyż uchodziło za brutalną funkcję, z którą wypadało się kryć przed okiem nawet najpoufalszych. Delikatność uczuć była nadzwyczajna.

Geolog, posiliwszy się w niezwykły dlań sposób, poprosił dyrektora, aby go zaprowadził raz jeszcze do najstarszego oddziału muzeum. Uczony chętnie spełnił prośbę.

Wrócono do angielskiego oddziału.

— Dlaczego tak mało macie zabytków z tej epoki? — zapytał paleontolog.

— Nie dziw się, że ledwie szczątki się tu znajdują. Zanim rozpoczęliśmy poszukiwania, kilka razy na miejscu waszych miast stawały nowe stolice nowych państw i narodów. Trwały one czas jakiś, kwitły, a wreszcie w gruzy się rozsypywały.

Rozmaicie rządziła się tu ludzkość. Żółta rasa zepchnęła do grobu białą, ale nie zdążyła jeszcze wznieść się sama na właściwe wyżyny, gdy przyroda odegrała rolę mściciela.

Srogie zimy i związane z nią kłęski poczęły w piątym tysiącleciu srodze wyludniać sioła i grody. Wreszcie w szóstym i siódmym — śniegi i lody okryły większość ich dzierżaw na długie wieki. Cywilizacja cofnęła się wtedy na południe. Jeszcze później przyszły ciężkie powodzie, zarazy i katastrofy klimatyczne.

Cóż dziwnego, że resztki z waszych czasów, nie zniszczone przez waszych pogromców, zostały unicestwione przez żywioły tak dalece, że nawet pamięć o tym, co było przed lodową epoką, zatraciła się z kolei wieków?! Dziś już tylko jako największe osobliwości wykopują niekiedy archeologowie przedmioty z twoich czasów.

— Czy nie macie już więcej zabytków z tych czasów?

I _____ Owszem. Pokazałem ci te, któreś nazwał angielskimi. Mamy jeszcze inne, nawet takie, na których napisów nie udało się nikomu fdcyfrować. Pójdziemy na lewo, w tej sali zobaczysz je.

Geolog znalazł się wobec szeregu szaf. Skwapliwie rzucił się do czytania napisów.

Ujrzał pod kloszem zjedzony od rdzy hełm żelazny, a na nim wy-czytał złotem wyłożony, gotycki, dumny napis:

Wir Deutsche furchten niemand...

Uśmiechnął się gorzko i poszedł dalej.

Minął parę szaf, zawierających skromne ułamki pokryte rdzą, i wpadła mu w oczy duża płyta kamienna, przełamana na pół i starannie spojona. Widniały na niej trzy słowa:

MIKOŁAJOWI KOPERNIKOWI
RODACY

Serce uderzyło mu jak młotem. Stał przykuty do ziemi z oczyma wlepionymi w ten pomnik chwały naszej.

! Nie słyszał nawet archeologa, który pytał, co go tak bardzo zajęło w tym kamieniu. Wreszcie oderwał wzrok i obok tablicy ujrzał znajome sobie godło: złoty krzyż, serce i kotwicę. Na sercu wyryty był pewien czterowiersz.

! To przeszło siły biednego Przedpotopowicza.

I Padł na kolana przed drogimi szczątkami, ukrył twarz w dłoniach i zalał się gorącymi łzami.

! Szlochał cicho jak dziecko. Co się w duszy jego działo, próżno byśmy usiłowali oddać słabym piórem. Wreszcie wybuchnął:

— Warszawo moja biedna! I ja cię przeżyłem!... Nie służyłem ci dość wiernie!...

Nagle usłyszał szept. Wsłuchiwał się w przyciszone głosy.

— Przytomność wraca! — rzekł ktoś głośno.

— Bogu dzięki, kryzys minął!

Przedpotopowicz otworzył szeroko oczy, zaczerpnął powietrza i spostrzegł obok siebie kilka znajomych twarzy: lorda Puckinsa, Stanisława i Muchołapskiego. Jedyne nieznanym, staruszek bezwłosy, trzymał go lekko za rękę i puls badał. Uszczęśliwione twarze przyjaciół wywołały uśmiech i na bladych ustach profesora.

— Spałem? — zapytał ledwo dostrzegalnym szeptem.

- Spałeś, zaśnij jeszcze, to cię pokrzepi!
— Więc tyś nie zginął? A ja cię już opłakałem.
— Jak widzisz, trzymam się jeszcze...

Wpatrzył się w Anglika i dostrzegł w nim zmianę. Był wychudły, a głowę miał ostrzyżoną do samej skóry.

— Ależ tyś chory, lordzie — wyszeptał — i ty, Stanisławie, błądy jesteś i wynędzniały.

— Bogu dzięki, już przeszło — odrzekł Anglik — ocaleliśmy. Nie myśl o niczym i zaśnij.

Geolog zasnął. Tym razem spał spokojnie i długo. Obudził się pokrzepiony o tyle, że mógł się dowiedzieć, iż chorował ciężko.

Wszystkich trzech, nieprzytomnych i umierających z wycieńczenia i gorączki, odkopano z zasypanej szczeliny i dzięki szybkiej pomocy uratowano. Najniebezpieczniejszy był stan geologa. Przez dziesięć dni walczył ze śmiercią w trawiącej gorączce, z głową obłożoną lodem. Telegraficznie wezwany doktor Muchołapski nie opuszczał łoża przyjaciela.

Wszystko, czego geolog doświadczał po zgaśnięciu lampek w podziemiu, rzekomo w towarzystwie lorda i Stanisława, było gorączkowym majaczeniem na tle ulubionej nauki.

I ci biedacy także na swój sposób majaczyli i cierpieli razem z geologiem.

Gdy przyszedł do sił i miał już powracać na swoje stanowisko, odezwał się żegnając czule Muchołapskiego:

— Dotąd mi stoją w oczach obrazy, jakie widziałem w marzeniu, a osobliwie ostatni. Nie służyłem dość wiernie społeczeństwu! Pracowałem dla obcego narodu, dla bogatej literatury obcej, zapominając, że biednej własnej winienem spłacić dług święty. Pragnę naprawić zło choć wedle skromnych sił swoich. Wezmę się do opracowania przede wszystkim podręcznika do nauki paleontologii, w czym mi, Boże, dopomóż.